

Wacław Karczewski

W Wielgim

Powieść współczesna

Stowarzyszenie Oświatowe Śycyna

Wacław Karczewski

W Wielgim

Powieść współczesna



Stowarzyszenie Oświatowe Śycyna

Biblioteka Sycyńska

Tom IX

Monograficzna Seria Wydawnicza

Redaktor naukowy: prof. dr hab. Henryk Bednarczyk

Wacław Karczewski ps. Marian Jasińczyk

W Wielgiem

Na podstawie książki „Powieści polskie”, wybór pod redakcją profesora doktora Juliana Krzyżanowskiego. Spółdzielczy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1948.

Fotografie: Mirosław Dygała, Barbara Polakowska, Bożena Popławska,
Janusz Popławski, Paweł Goliat

© Copyright by Stowarzyszenie Oświatowe Sycyna, 2002
Sycyna 126A, 26-700 Zwoleń, tel. 0691 738 711
e-mail: sycyna@ppp.pl www.sycyna.ppp.pl

ISBN 83-914918-1-1

Redakcja: Marcin Olifirowicz – red. prowadzący, Anna Wasilik-Dusińska,
Joanna Iwanowska

Projekt okładki: Janusz Popławski

Opracowanie techniczne: Robert Kotliński, Marta Pobereszko



Opracowanie wydawnicze, skład, druk i oprawa Instytut Technologii Eksploatacji
26-600 Radom, ul. K. Pułaskiego 6/10, tel. 364-42-41, fax 364-47-65
e-mail: instytut@itee.radom.pl <http://www.itee.radom.pl>

Część pierwsza

Widocznie coś niezwykłego dzieć się miało w Wielgiem w ten jasny, uśmiechnięty, wspaniale pogodny ranek majowy.

Na drodze, długim płowym pasem biegnącej popod szeregiem kilkudziesięciu chałup, nie spotkać żywego ducha. Psy jeno u wrót domostw poprzysiadały na ogonach, i wszystkie zwrócone łbami w jedną stronę, naszczekiwały niespokojne, najeżone, niepewne, czy wyć im wypadało tylko, czy ujadać na dobre. Ten i ów oglądał się za siebie, jakby naprzód stosownej upatrywał kryjóWKi, ten i ów nawet, Stuliwszy ogon i uszy, zabierał się do odwrotu i pomrukując, dla zachowania pozorów odwagi, zmykał wystraszony do chaty lub krył się w stodole

Widocznie coś niezwykłego dzieć się miało w Wielgiem... Pusta, słońcem wyślacana droga, słońcem złocony po jednej jej stronie szereg chałup, po drugiej łąka, kaczeńcem okwitła i smółką, sprawiały wrażenie przygotowanej do czegoś dekoracji. Droga ta i łąka, i chaty zdały się niecierpliwie wyglądać czegoś, muskane od czasu do czasu przelotem jak cień lekkiego wiatru, który je, rzekłbyś, chłodem swym koił w gorączce oczekiwania.

Wtem z jednej z chałup środkiem wsi ustawionych szybko zbiegła ku wrotom kilkoletnia dziewczynina, a przystanąwszy za nimi, przysłoniła oczy ręką od słońca, wpatrując się przed siebie i nasłuchując uważnie. Wystrojona odświętnie, w czepku na głowie kolorowym, nabijanym gęsto pękami krótko strzyżonej włóczki i wstążek, spod którego dwa cienkie jasne opuszczały się warkocze, czerwoną splecione harasówką, czerwoną miała na sobie, do pięt sięgającą spódniczykę, na niej zielony fartuszek. Biała, o bufiastych rękawach, mocno przefarbkowana koszula i bosc nogi dopełniały stroju.

Na żywej, sprytnej wyrazem, twarzy dziecka malowało się zaciekawienie wielkie, z uczuciem nieokreślonego lęku i niecierpliwości zmieszane, bo co chwila odwracała głowę w stronę rozwartych drzwi chaty, jakby się zjawienia z nich czyjegoś spodziewała, podskakując przy tym pociesznie z nogi na nogę.

– Cichoj, Kruczek! – zachnęła się na psa, który, pełen już odwagi, rozszczękany na dobre, do wrzaskliwego wtóru pobudzał inne, i nagle wrzasnęła na całe gardło:

– Już idą, babulu!... już idą... już ich słyhać...

Raz jeszcze rzuciła okiem przed siebie, raz jeszcze obejrzała się na drzwi chaty, a gdy się nikt nie zjawiał, pędem skoczyła ku domowi, zarumieniona i rozdygotana, wołała:

– Chodźta, babulu, żywo!... już mineni Szymkową chałupę!... – W towarzystwie Kruczka, przezornie rejterującego z drogi, wpadła do czyściutko umiejscionej, piaskiem i tatarakiem wysypanej izby; mgnienie oka zatrzymała się przed siedzącą na przypiecku, zgarbioną wiekiem, a widocznie ciężko stroskana kobietą, i jednym tchem rzuciła jej:

– Bierzta kołacz i chodźta, bo się spóźnita! – poczem zwracając się do stołu, białą nakrytego płachtą, a suto napitkiem i jedzeniem zastawionego, porwała zeń złożony na drewnianym, okrągłym denku, jakich do przykrywania garnków z mlekiem używają, kołacz i sól, a podawszy je staruszce, raz jeszcze zawołała od progu: – Naszta i chodźta! – i wybiegła z izby na dawne za wrotami stanowisko.

Na skraju wsi; w niewielkim od niej oddaleniu, na wzgórzu, gęsto lipami porośłym, wznosił się parafialny kościół wielicki. Cały zielenią spowity, widniał jeno blaskami słońca rozpaloną kopułką, która, świeżą blachą pokryta, strzelała naokół pękami światła.

W kierunku to jasnej kopułki dziewczyna topiła oczy, i w tamtą stronę psy niespokojnie nadstawiały ucha.

Od kościoła, na drodze, w dali wzbijał się słup kurzawy, a zza gęstej chmury pyłu dochodziły dźwięki jakieś, niby stłumiony huk, głuchy, przeplatany skrzypieniem. Od czasu do czasu rozlegało się w powietrzu wesołe: „hu! ha!” zwyczajne zakończenie równie wesołej piosenki.

Kłęby kurzu zbliżały się zwolna; coraz wyraźniej dobywał się z nich głos bębna i piskliwe dźwięki skrzypiec, słyszałeś melodie zwrotek, na różne wyśpiewywanych tony.

Na drodze parę już tylko co najodważniejszych psów dotrzymywało placu, inne z ukrycia wyły, niby przed nadejściem Tatarów. Z tej i owej chaty tu dziecko wyjrzało lękliwie, owdzie rozciekawiona postać starca lub staruszki, jedynych na razie wyludnionej wsi mieszkańców.

– Babulu, babulu!... – powtarzała dziewczynina półgłosem, nieprzytomna prawie, zachwytem przykuta do miejsca, choć jej się nogi do ucieczki zrywały.

Nagle błysnęła przed nią w górze, tęczą wstążek upstrzona, zielona różga pierwszego druzby, a jakby na dane hasło ranny rześki majowy podmuch wiatru uderzył w tuman kurzawy i odsłonił przed okiem dziecka pstry korowód weselny, o kilka staj zaledwie odległy.

Przodem, rażno potrząsając różgą, družba posuwiste zataczał koła; dziarski parobczak z fantazją ujął długą sukmanę pod ramię, a skinąwszy na muzykę tuż za nim postępującą, huknął od ucha:

Na piecu orał, żyto siał,
Baba płakała, chłop się śmiał:
– Nie płacz, kobieto, będzie chlib,
Pół kosza żyta, worek pliw!... hu!... ha!....

– Hu!... ha!... – zawtórowano chórem, podczas gdy na ochotnika ktoś z tłumu na własną palnął rękę:

Kapała się Wikta w bobrze
I mówiła, że jej dobrze!... hu!... ha!...

Teraz i staruszka, wywabiona z izby hukaniem drużyny weselnej, wyszedłszy z chaty, z kołaczem w ręku i solą, zdążyła ku drodze. Ale snadź nie pilno jej było. Szła zwolna, jakby ociągając się, a twarz jej, pomarszczona wiekiem, niby jabłko mrozem ścięte, okalana pękami białych jak mleko włosów, opuszczających się spod chusty, starym zwyczajem pokrywającej głowę, i śladu nie okazywała wesela lub ochoty.

– A daleko są tam jeszcze, Kasiu? – wątlym, trzęsącym się głosem pytała dziewczyny.

– Babulu, babulu!... – odparła zagadnięta, nie odwracając nawet głowy, duszą całą utopiona w barwnej różdze drużby i hałaśliwych tonach muzyki.

Już tylko kilka kroków dzieliło ją od godowników.

– Co tu luda!... co tu luda!... – powtarzała, i nagle chwyciła babkę za fartuch, onieśmielona tłumem, rada by ukryć się przed nimi, a ciekawa.

Staruszka wolną ręką przygarnęła ku sobie głowę dziecka, jakby je brać chciała w opiekę i obronę, i zmarszczona, poważna, groźna prawie, czekała z kołaczem nowożeńców, co otoczeni całą niemal ludnością wioski prosto się ku niej do wrót zagrody zbliżali.

Kto żył w Wielgiem, choć nie proszony, na świadka bodaj uczestniczył w obchodzie; dzieci nawet od kościoła samego w przyzwoitym oddaleniu towarzyszyły pochodowi.

Ale bo też i weselisko było co się zowie! Oto jeden z najzamożniejszych gospodarzy wielickich, z dziada pradziada osiadły na roli, Jakub Musiała, po stracie pierwszej żony, z którą lat mendel z okładem w szczęśliwym przeżył stadle, w powtórne wstępował związki, biorąc sobie Magdalenę Nowotnikównę, dwudziestoletnią córkę dworskiego gajowego, Nowotnika Jana, a z dworskiej także służby – pokojówkę. A choć dziewczuchę brał nie gospodarską, „przez nijakiego wiana”, niejeden zazdrościł mu na schwał urodziwej niewiasty, a parobczakom, jak wilkom na mrozie, świeciły się do niej oczy.

Śliczna to była ta Magdzia, jeno gdy się do nóg schyliła matce Jakuba, sędziwej, a szanowanej po wsi Franciszkowej, co ją przed wrota chaty witać wysła chlebem i solą, ręka staruszki bezwiednym ruchem zacisnęła się na głowie Kasi, a twarzy, rzekłbyś, zmarszczek przybyło.

Spoza fartucha babki dziecko jak w obraz wpatrywało się lękliwie w postać i przyodziewek macochy.

I jemu wydała się jak malowanie.

Stała tam uśmiechnięta, postawna, młoda, ze świeżo odebranych z rąk Franciszkowej kołaczem, cała niby garść kwiatów w słońcu. Na głowie poruszany wiatrem rój różnokolorowych wstążek, pękiem opuszczających się ze stroika panny młodej, trzepotał się z szelestem. Biała na niej spódnica, złotym i srebrnym bramowana szychem, niebieski stanik, w metalowe usiany kółka, które mieniły się wywołując w dziewczusze zachwyt, prawie z osłupieniem graniczący.

Wśród ciemnych rzęs, włosów obfitych, czarnych, całe niemal czoło porastających, i oliwkowej cery, paliły się wielkie, ciemne, głębokie a lśniące oczy, którymi bez zakłopotania rzucając dokoła, ani razu nie spoczęła na rozpromienionej twarzy Jakuba.

A stał tuż przy niej, jak w tęczę, w żonę wpatrzony, o bożym zapominając świecie. Ogorzała, zmarszczkami zbrudzona już twarz Musiały młodniała, przystrojona wyrazem serdecznego zadowolenia, a choć niejednym srebrnym włos widniał na głowie jego, choć lat pięćdziesiątkę dźwigał na barkach, to przecież, kto go tam widział u boku od ołtarza prowadzonej, a snadź żywnie umiłowanej niewiasty, bodaj czy o czterdziestkę mógł go posądzić. Chłop tęgi był jeszcze i czerstwy w sobie, z siwych, pocziwych oczu szczerłość mu biła jakaś i ochota wielka, co przy rozchylającym usta uśmiechu w młodego niemal przeobrażały go parobczaka.

I oto, gdy starosta, poważny gospodarz, Szymon Leśkiewicz, kończąc zwykle przemówienie weselne, zwrócił się do Jakuba:

– Przywiedliśwa wam – mówił – niewiastę, coby, jak to w każdej zagrodzie bywa i zatuleniu, strzegła chaty waszej i dobytku; a wam nikiej, Franciszkowej i tej oto sierocie, niewiastą była, wedle woli bożej, a dobrą córką i matką...



Musiała, przerywając mu, rozochocony, chwycił Magdzię w ramiona i ruszył z nią w dygach do chaty.

Ona wtedy, uśmiechnięta, swobodnie na ramieniu męża przychyłona, dostrzegłszy obok śmigłego jak topól w liberii dworskiej chłopaka:

– Jaśku, naści go! – zawołała, podając mu denko z kołaczem, a gdy się do odebrania go zbliżył, pewna, iż w gwarze on jeden dosłyszysz ją tylko:

– Jaśku!... – szepnęła, oczy w nim topiąc jak węgle.

1

W mroźny, wyiskrzony wieczór styczniowy w przywalonej śniegiem Musiałowej chacie buchał na kominie jasny, z zeschłych rozniecony gałęzi ogień, przy którym na okapie stojąca blaszana lampka naftowa przykopconym jeno a niewidocznym prawie ćmiła się światłem.

Spora, czysto umieciona izba, przybrana w części obrazami Świętych, w części obszernymi zawieszona półkami, na których rzędem w okazałej ilości ustawione błyszcząły gliniane, fajansowe i szklane naczynia, widome, wraz z suto zasłanym pościelą łóżkiem, znamiona zasobności właściciela, wesołym rozwidniona ogniem, ciepłe, zaciszne dawała schronienie mieszkańcom, do porządku snadź i ładu przywykłym.

Gospodarza samego nie było w domu. Wczesnym rankiem powiózł na jarmark do Lipska zboże na sprzedaż, a zabrał i parobka z sobą, aby mu przy dopilnowaniu sprzężaju i przy wadze ziarna był pomocnym. Z wieczerzą dopiero spodziewała się Franciszkowa syna z powrotem, a do wieczerzy, przy wczesnie zapadającej nocy styczniowej, kawałek jeszcze miała czasu. Obrządziwszy chudobę, siedziała oto kądziel mając pod sobą na przypiecku, i przędła. Opodał, nad rzuconą u nóg jej garścią tyczkowego grochu pochyłona, Kasia łuskała strąki, pstrokate ziarna fasoli z wielkim zajęciem we wzorzyste układając na podłodze desenie. U proga, wygodnie na brzuchu rozciągnięty, ze łbem złożonym między przednie łapy, leżał kudłaty Kruczek, to wpatrując się w ogień bezmyślnie, to strzygąc uszyna i pomrukując, gdy pod nogami mijającego chatę przechodnia ścięty mrozem śnieg zaskrzypiał na drodze.

Na drewnianym stołku, przed kominem także i z kądzielą, a naprzeciw Franciszkowej zajął miejsce gość, częsty gość w chacie: bliska, bo z trzeciej chałupy, sąsiadka, gospodyni Kajtaniakowa Wojtkowa. Zażywna, o twarzy rumianej, noszącej ślady częstego spotykania się z półkwatkiem, niemłoda już kobieta, „kuma” wsi całej, a na wieś całą znana bajczarka, za co ją zresztą po izbach mile widziano, na pogawędkę wstąpiła dziś do Musiałowej.

– Coby wam się – tak na powitanie rzekła do niej – nie cniło, moiściewy, wieczoreczkiem przez synka, skoro się na dzionek cały Jakub do Lipska wybrali.

I rzeczywiście, powodem odwiedzin Wojtkowej była właśnie nieobecność gospodarza w domu, bo nie kto inny, tylko Jakub miał być przedmiotem rozmowy.

Od pewnego czasu różne o Musiale po wsi chodziły gadki. Mówiono, jako po niezbyt dawnej stracie żony o powtórny przemyśliwał związek, bo w lata już posunięta Franciszkowa sama chudobie nastarczyć nie mogła, a i dla dziecka młodsza przydałaby się opiekunka. Tylko że nie zgadzano się co do wyboru niewiasty. Mówili jedni, że jeno patrzeć Jakubowych swatów u statecznej wiekiem, „do połowy roli przynależącej”, także owdowiałej niedawno, bezdzietnej Kacprowej Sulimowej, co z uwagi na wiek i położenie Musiały, dobrą sławę i gospodarność Kacprowej, zdaniem powszechnym „odpowiadało jedno drugiemu”.

Ale mówili inni, że niemłody Jakub na zabój rozmiłował się w Magdzi Nowotnikównie, córce gajowego, a pokojówce przy dworze, dziewczusce co prawda jak łania i na schwał urodziwej, ale „przez nijakiego wiana” i latawcu, o którym różnie ludzie gadali. Dziewczyna dwie niedziele temu zjawiała się na nieszpórach w bursztynach jak „zołędzie” wielkich, co się wnet po wsi rozniosło, z dodatkiem, że je z Radomia, gdzie z innymi gospodarzami z dostawą żyta dworskiego jeździł, przywiózł Musiała. Ale nie było w tym „pewności nijakiej”, bo Magdzi podobno i „panowie” zwozili gościńce, ona zaś do każdego zęby suszyła, ale sercem to chyba do jednego lgnęła fernalczyka przy cugowych, Jaśka Górajca.

Słowem, mówiono tak i owak. Kajtaniakowa zaś, zwyczajnie wszystko wiedząca, tym samym ku ciężkiemu utrapieniu domysłami jeno zadowalniać się musiała. Nie dalej jak dziś oto z rana, gdy ją przy studni kuma z sąsiedniej chałupy zagadnęła o zamiary Musiały i głośnie we wsi bursztyny.

– Co też wam się, kumeczko, roi? – odparła, niby pewna swego. – A kaj to Magdzi do gospodarza na roli i ojca dzieciom! Kacprowa, na ten przykład, to nie mówię – czuła jednak, że nadrabiała winą, że sama tyle, co i „kumeczka”, wiedziała.

A choć ta ostatnia święcie jej, zdało się, uwierzyła, długi czas bowiem z opartą na dłoni brodą kiwała głową powtarzając:

– Moiściewy!... moiściewy!... a czego to ludzie nie wymyślą!... – to przecież korciła ją okrutnie niepewność własna, i postanowiła, bądź co bądź, dobrać się prawdy, a najpierw wziąć zręcznie na spytki Franciszkową.

Z Musialiną jednak nie łatwa była sprawa. Staruszka, z natury zamknięta w sobie, niechętnie pozwalała ciągnąć się za język, a o ile lubiła słuchać plotek Wojtkowej, o tyle, znając ją dobrze, strzegła się dostarczać materiału od siebie.

– Słówko wyleci wróblem, a wraca wołem, i ani się człek opatrzy, kiej zgrzeszy gębą – mawiała zawsze, tak w czynach jak w mowie przezorna.

Toteż Kajtaniakowa „od lasa” jęła ją obchodzić, krok za krokiem zbliżając się do celu. Buzię bo miała wprawna, i sprytu i fantazji dosyć, cały tedy worek

wiadomości i wiadomostek wysypała, zanim, rozochociwszy już i rozgadawszy nieco staruszkę, w słabą jej uderzając strunę, zwróciła się nagle w stronę Kasi i czułym obejmując okiem bawiące się fasolą dziecko, na pozór rzewnie roztkliwiona, rzekła z westchnieniem:

– Siroteczka! jak się to dziecina zabawia sama grzecznie; z nią to chyba, Kumeczko, nijakiej nie mata zgłoby?

Franciszkowa oderwała ręce od przedziwa i z miłością wielką spoglądając na wnuczkę odparła:

– Poczciwe dziecko, nie ma co mówić... ani to sprzeczne, ani to grymaśne – a nie domyślając się podstępu – ino, moiściewy, jak jest, tak jest – dodała, z nurtującej ją z dawna zwierzając się myśli – człek jest wiekowy, i dziecina przez nijakiej może ostać opieki.

– Nie wydziwialibyśta, kumeczko, po próżnicy – zachnęła się Wojtkowa, wielce z obrotu rozmowy rada. – Komu to, komu o śmierci wspominać! Dał Pan Jezus zdrowie tyle czasu, to da jeszcze i nie roczek, i nie dwa... A zresztą, święć się Jego przenajświętsza wola! – tu Kajtaniakowa ciężko westchnęła. – Skoroby to zaś co i do czego przyszło, dyć się dziewusze ojciec na pociechę ostanie, a nie ojczym tam byle jaki.

– Jakub dobry był syn i dobry ojciec z niego pownikiem; – poważnie wtrąciła staruszka – ino ojciec, chocia najlepszy, zawdy to nie mać i nie matczyzna opieka.

Tu Wojtkowa postanowiła przypuścić szturm ostateczny i zwracając się do Kasi zapytała:

– Kasiu, a chciałabyś to mieć matulę?

Dziecko, zagadnięte znienacka, zawahało się z odpowiedzią, poczem odparło obojętnie, niby wyuczoną powtarzając zwrotkę:

– Matula mi pomarli!... matula u Pana Jezusa!...

– Trusiąteczko ty moje!... – zawołała Kajtaniakowa, do głębi wrzekomo rozczulona, i porwawszy się ze stołka, z którego wraz za nią i kądzielnica stoczyła się na ziemię, pochwyciła Kasię za głowę i głośnymi jęła obsypywać ją pocałunkami.

Nagle spoważniała.

– Pomarli!... Wieczne odpoczywanie racz jej dać, Panie! – westchnęła, podnosząc przedziwo i sadowiąc się na nim wygodnie. – Pomarli, to się wie, co pomarli!... A światło wiekuiste niechaj jej świeci!... U Pana Jezusa?... A kajże by niebożatko miało być indziej?... Tyło widzisz, Kasiu, ja się nikiem pytam, czy byś ty na ten przykład chciała mieć inszą matulę?

Tego pytania Kasi jeszcze nikt nie stawiał, zakłopotana się nim nie żartem. Niepewna, jaką dać odpowiedź, spuściła na razie oczy w fasolę, a podnosząc je następnie trwożliwie na babkę mruknęła:

– Babula wiedzą! – i czym prędzej jęła grzebać palcem w grochu.

– Abo i sprawiedliwie, dziecko ma recht, moja kumo! – zawyrokowała sąsiadka.

– Bo nikiem co? – spoglądając na nią przenikliwie, zapytała starucha.

Kajtaniakowa zaś czując, iż chwila stanowcza nadeszła, poprawiła się na stołku, pośliniła dwa palce, szarpnęła nimi grubą nić przędzy.

– A to byśta ich pożenili i szabas! – oświadczyła, podkreślając wrzecionem aż furknęło.

– Nikiem kogo z kim? – udając, że się nie domyśla, odezwała się Franciszkowa, nie spuszczać przy tym oka z sąsiadki.

Zbiło ją to nieco z tropu, ale nie na długo.

– Kogo z kim... kogo z kim... – burknęła niecierpliwie. – Dyc Jakuba z Kacprową!

Staruszka brwi zmarszczyła i milcząc podniosła się chrustu dorzucić do ognia.

Kajtaniakowa, raz przełamawszy lody, prawiała dalej:

– Abo i źle mówię, moja kumo? Kobita stateczna, do połowy roli przynależąca, jako i wasz gdowiec, gdowa i przedzietna, a to wedle Kasi, nie przymierzając, grunt. Gospodyni jak się patrzy, i domu dopilnuje, i chłopa dopilnuje, i dziecka... Nie trza wam zresztą dużo gadać, kobita jak szkło!

Sąsiadka uderzyła w sedno, każde jej słowo trafiało do przekonania Franciszkowej i własne jej tłumaczyło pragnienia. Nie od dziś przemyśliwała nad połączeniem Jakuba z Kacprową. Kobieta poczciwa, Kasi by jej nie skrzywdziła pewnikiem, a zaradna, obrotna, to i dla syna jak stworzona, bo Jakub chłop dobry z kośćciami, ale miękki i „nijak mu się było przez opieki babskiej obchodzić”. Wiedziała o tym dobrze ona, co tyle lat na pasku go prawie wodziła, co i jego, i dobytek własną głową nieraz od złego ustrzegła. Tylko że nie lubiła przed czasem wywnętrzać się ze swoich zamiarów i myśli, synowi jeszcze nie napomknęła o nich słówkiem, a tu Kajtaniakowa tak na nią znienacka z tym wpadła, a tak gorąco do rzeczy się brała. Podejrzanym jej się to wydało. A może to i Sulimowa wysłała ją na spytki, na zamożnego gospodarza łasa. Nie podołało się to staruszce i zwolna odwróciwszy się od komina, utkwiała w sąsiadce bystro swe siwe oczy i ostro niemal zapytała:

– Ja to, moiściewy, w bawełnę nie nauczna, gadajta szczyrze, nastali was tu?

– A bodajem, moja kumeczko, światłości niebieskich nie oglądała!... – submitowała się Wojtkowa. – Dyciem ino od serca wtrąciła swoje, skoro się o tym zgadało. A niechbym tak jutrzejszego dnia nie doczekała!...

Snadź zaklęcia te, z zapalczywym wygłaszane przejęciem, zadowolniły Franciszkową, bo udobruchana, spokojnie już biorąc kądziel do ręki, prze-rwała je.

– Jeszcze się nad nieboszczką darń nie zazieleniła! – rzekła poważnie.

– A światłość wiekuista niechaj jej świeci, chudziatkowi! – westchnęła znowu Wojtkowa. – Dyc nie zazieleniła się, i prawda, ino to nie trza wam powtarzać: w chłopskim stanie chłop przez baby, chałupa zasie przez gospodyni, wiadoma rzecz, i bez rok nie strzymają nijak, a i po wsi gadają...

- Co gadają? – wtrąciła żywo staruszka.
- A co by mieni, ino że Jakub za niewiastą się oglądają, a tylo nie wiadomo, o którą uderzą: o Kacprową, czyli też o Magdzię...
- Jaka to znowuj Magdzia? – marszcząc się spytała Franciszkowa.
- Nowotnikówna, gajowianka, pokojówka ze dworu. Dyc wiadomo, co się wasz wedle niej kręca...
- W imię Ojca i Syna!... czyście, kobito, zbyli rozumu, czy lichu was opętało jakie!... – zawołała staruszka, do żywego poruszona. – Magda, gajowianka, ten latawiec, ten wyciruch!...

Nareszcie Kajtaniakowa dobiła swego. Wyprowadziła starą z równowagi umysłu, kierującej nią zawsze w czynach i słowie. Jeżeli kiedy, to teraz mogła się czegoś dowiedzieć, byle kuć żelazo, póki gorące. Furknęła tedy wrzcionem zamasyście i rzekła:

- Wycirus, nie wycirus, ale się do niej wszystkie śmieją chłopaki, i nie ma co mówić, dziewczyna kieby łania.
- Takiej ci łani – z oburzeniem wielkim wtrąciła Franciszkowa – i na jarmarku za pieniądze dostanie. Nie potom ci tyle lat dobytku strzegła i zagrody, żeby mi się taka tam po niej swędać miała. Kacprowa, to nie mówię, niechby się z nią i żenił, ale z tamtą... niedoczekanie...

A Wojtkowa dolewała oliwy do ognia.

- Święte wasze słowa, kumeczko! – mówiła – ino to z chłopem zawdy trudna sprawa, zwyczajnie trusia, a kiej się rozmiłuje, to ci nikiem ten kozioł bryczny bósć gotów. Jakub...
- Ino mi syna nie wspominajta! – zawołała staruszcza – bo to plotka i tyła.

– Ja ta, moiściewy, dokumentnie to i nic nie wiedząca – tłumaczyła się Wojtkowa; – ale co Magdzia nikiem żołędzie wielkie miała na niesporze bursztyny, to miała, a co po wsi gadają, jako je dziewczusze Jakub, kiej to z odstawą zboża dworskiego jeździli, aże z Radomia przywieźli, to gadają.

Ale, ku wielkiemu zdziwieniu Kajtaniakowej, staruszka na wzmiankę o bursztynach, miasto burzyć się dalej i wywnętrzać, jakby je kto mowę odjął, zamilkła nagle. Zasepiła się jeno bardziej, niezrozumiałym już prawie tylko pomrukiwaniem i kiwaniem głowy udział biorąc w rozmowie, która się wreszcie w monolog gadatliwej sąsiadki zamieniła.

Próbowała jeszcze Wojtkowa to tedy, to owędy wyciągnąć coś ze starej, by się o istotnych zamiarach jej i Jakuba czegoś pewnego dowiedzieć, ale ponad stwierdzenie z góry przewidywanej przychylności dla Kacprowej, a nieprzyjaznych uczuć dla Magdzi ze strony Franciszkowej niczego się nie dobała. Nawet pogłoski o bursztynach i stosunku Jakuba do gajowianki nie sprawdziła. Tym ostatnim zaprzeczyła wprawdzie Musiałowa energicznie, ale na wzmiankę o bursztynach przycichła, na dwoje tedy babka wróżyła: albo wiedziała coś, ale zataić pragnęła, albo pogłoska istotnie tylko plotką była. Pewności nie zyskała żadnej. W ostatniej chwili postanowiła zaczerpnąć języka u źródła, to jest

u Magdzi, na której chełpliwość liczyła, i pod wymówką zbliżającej się wieczery, ze zwykłym na spracowanych daremnie ustach: „Niech będzie pochwalony!...” wysunęła się z izby, w ponurym zostawiając staruszkę zamyśleniu, podczas gdy Kasia, wyciągnięta na strączynach, w towarzystwie Kruczka spała w najlepsze.

O ile jednak Kajtaniakowa nie dowiedziała się niczego, o tyle sama, ani się tego domyślając, doniosłych Franciszkowej udzieliła objaśnień, tak doniosłych, że starowina po wyjściu sąsiadki bez ruchu, niby skamieniała, przesiedziała drugą godzinę na przypiecku, ciężko, a snadź i boleśnie zadumana. Przed Wojtkową nie zdradziła się ani słówkiem, miała dość siły, praktyką zresztą życia wyrobionej, aby szarpiący ją niepokój zataić w sobie, ukryć go przed ciekawym uchem a gadatliwym językiem sąsiadki, zbyt mało skądinąd przenikliwej, iżby z samego milczenia jej i rozlanego na twarzy frasunku wnioski jakie wyprowadzić miała. Teraz przecie, bez świadków, niczego się już obawiać nie potrzebowała, wypadało jej też wrzeciono z palców, a ręce z wyrazem rozpaczony prawie splotła na kolanach przed sobą. I duamała, dumiała bez ruchu, zgarbiona, jakby jej nagle wiązkę lat rzucono na barki wiekowe.

Ale boć to może i nie plotka była tylko, one, niby żołędzie, wielkie bursztyny Magdzine. Staruszcze stanęło w oczach niedawne zajście jej z synem, na które w swoim czasie nie zwróciła uwagi, które jej się wszakże po rozmowie z Kajtaniakową w innym zgoła przedstawiało świetle. Gdy istotnie ładny sznur bursztynowy dostrzegła wypadkiem w kobiałce Musiały po powrocie jego z Radomia, Jakub, a przypomniała sobie w tej chwili wszystko dokładnie, zmieszał się zrazu bardzo, a nawet z gniewem, którego się względem niej rzadko dopuszczał, kobiałkę wyrwał z jej ręki, zapytany zaś o dziwny sprawunek, odparł, iż bursztyny kupił dla kowalczynej Nastki, na obstalunek jej matki, a dając to objaśnienie był tak spokojny, że je bez podejrzeń przyjęła, znając zamożność kowala w parze idącą z kosztownością gościńca.

Czemu jednak na niesporze wystąpiła w bursztynach Magdzia właśnie, nie Nastka? Toć by się ze swoimi i kowalczanka nie kryła, a o takim sprawunku rychło by się po wsi rozniosło.

Staruszkę ścisnęło coś w piersiach, niespokojnym okiem powiodła po izbie, a spostrzegłszy u nóg swoich uśpioną wnuczkę, jakby uderzona nagle poczuciem grożącego niebezpieczeństwa, szepnęła:

– A brońże Ty nas, Jezusieńku!...

Byłóż bo jej przed czym wzywać bożej opieki. Ta dziewczucha, której ona, zasobna na roli gospodyni, stateczna życie całe niewiasta, szanowana po wsi i doma, Franciszkowa, i znać pierwej nie chciała, ten „wycirus” miałżeby z nią pod jednym zamieszkać dachem, ba, panią może zostać zagrody, nad nią starą, nad ukochanym dzieckiem jej, Kasią, przewodzić! A Jakub słaby, a Jakub jak wosk miękki, a do kochania skóry, zawojowany, aniby się oprzec umiał, choćby o rodzoną szło matkę, o dziecko rodzone, choćby o dobytek szło i zagrodę. I przewinęły się kolejno przed oczyma staruszki: ziemi świętej włóka z okła-

dem, i co rok jesienią pełna po szczyty stodoła, i para koni, i wołów, i ciołki dwa jak ulane, krów i jałowizny sztuk ośmioro, i owiec mendel, i trzoda, i gądziny garść spora wszelkiej. A tam, w kącie klepiska jej tylko i Jakubowi znanym, przez nią, męża jej, starego jeszcze Franciszka, i gospodarną później nieboszczkę Jakubową, sztuka za sztuką, grosz za groszem nieledwie, garnek uzbierany rubli srebrnych, między którymi nierzadko i dukat się trafił jeden i drugi. Wszystko to dla niej, obieżyświata, wietrznicy, wycirusa!...

– Panienko przenajświętsza!... – jęknęła starowina, a łzy jak groch pociekły po zmarszczonej, wykrzywionej bólem twarzy.

Byłóż jej, było przed czym wzywać bożej opieki! Co począć? Jakub dobrym był synem, uległym, stwierdziła to sama przed chwilą, ale jej też w uszach brzmiała odpowiedź Kajtaniakowej:

– Ino to z chłopem zawdy trudna sprawa, zwyczajnie trusia, a kiej się rozmiłuje, to ci nikiem ten kozieł bryczny bóść gotów.

A jeżeli syn się zatnie – a bywało tak – bywało, jeżeli ani prośby nie usłucha, ani się groźby nie ulęknie? co wtedy?

A z wnuczką?... co się z jej Kasią stanie?...

– Pod Twoją obronę uciekamy się... – jęła, głowę już tracąc, powtarzać starucha, skulona we dwoje, niemal troską złamana, kurczowo zaciskając suche, kościste dłonie przed sobą.

Wypalone na kominie drzazgi pokrywały się już warstwą popiołu, mdłe światło lampki ledwo w półmroku utrzymywało izbę, a cichy, równy oddech śpiącego dziecka rozlegał się po niej echem, gdy nagle skrzyp sań po drodze i radosne skomlenie u drzwi Kruczka wyrwało Franciszkową z odrętwienia.

– Jakub przyjechał! – szepnęła, zrywając się do komina i rozdmuchując wygasły na nim ogień.



Tego samego dnia z rana, słońce zaledwie skrawkiem tarczy wychylało się zwolna z za lasu, na pogodne, mroźne wytaczając się niebo, a z kominów chat wielickich śniegiem przywalonych prostopadle w górę, kłębami pary niby pióropuszcami zdobne, strzelały dymy, gdy sprzed Musiałowej chałupy ruszył na saniach złożony wasąg, pełen worków ze zbożem, na których, lejce trzymając w dłoniach, pokrytych grubymi, o jednym palcu rękawicami wełnianymi, w czarnej, wysokiej jak kołpak, baraniej czapce, w sutym skórzanym kożuchu, o spadającym do bioder niemal, w trójkąt wyciętym, baranim, rudym kołnierzu, szerokim przepasany pasem, siedział Musiała.

– Wista!... wista małe!... – powtarzał, popędzając konie lejcami, podczas gdy z progu żegnając syna:

– A nie zabacz soli, Jakubie, i donic! – wołała Franciszkowa, trzymając ręce przed mrozem zasunięte pod zapaśnikiem.

Zwolna, ostrożnie, noga za nogą, wyminął Musiała wąskie wrota zagrody, które za nim z batem w ręku, w drogę wybrany także, zamknął parobek. Zamknąwszy je, żywo podskoczył ku zatrzymanym za nimi saniom, biczyskiem krzyż przed końmi na śniegu skreślił, a odebrawszy lejce z rąk gospodarza i sadowiąc się na przodzie wasągu końce ich podsunął pod nogi, szybkim ruchem wdział rękawice, poprawił czapki i świsnął batem wołając:

– Wio małe!...

Sprzypnięcie zamykanych przez Franciszkową drzwi chaty złało się we wtór ze zgrzytem ściętego mrozem śniegu pod kopytami koni, i pomknęły sanie z miejsca w stronę przeciwną kościołowi, po ujeżdżonej, równej jak stół drodze.

Wypasione jak gałki, czupurne Musiałowe gniade mierzyny paraskały jeno, kłębami rzucając z nozdrzy parę, a toczyły się, żywo zbierając nogami, jak piłki. Od czasu do czasu, dla fantazji, parobek świsnął nad nimi batem lub:

– Zdrowe małe! – wołał, od uroku je broniąc, po każdym głośniejszym parsknięciu.

I tak, przy odgłosie miarowego pod kopytami ćwierkania śniegu i naszczekiwania psów gadatliwszych sunęły przez wieś sanie, aż i ostatnią minąwszy zagrodę, u dróg rozstajnych wysforowały się na szczerze, białe, gdzieniegdzie gruszcami upstrzone, jak tafla lodu gładkie pole. Zmierzały teraz, jak strzelił, ku lasowi hen u nieboskłonu zwartym pasem czerniejącemu, którym następnie, z małymi jeno przerwami, do samego już miano jechać Lipska, dokąd na jarmark z żytem na sprzedaż dążył Musiała.

– Wiśniocha to ci znowuj całe koryto wychlapała dziś wody! – odezwał się nagle parobek, wyciągając na pogawędkę rozmownego zwyczajnie w drodze gospodarza. – Piła i piła, aż mi obie ręce od wiadra ścierpły! – mówił wpół odwrócony, dłuższej rozmowy pewny.

Ale gospodarz poprawił jeno kożucha na piersiach i mruknął coś o wybojach.

– Handryczny musi dzisiaj, czy co? – zauważył w duchu parobek i świsnął batem na pociechę, wołając:

– Wio małe!...

Jechano dalej w milczeniu. Nie do rozmowy było dziś jakoś Musiale; siedział na workach, z lekka poprószonych słomą, kilimkiem w białe i szafirowe pasy pokrytą, zamyślony, ale nie frasobliwy. Pocierał rękawicami czerwone od mrozu uszy i coraz, mrużąc przed jaskrawością śniegu oczy, zwracał je na prawo, kędy sadzona topolami włoskimi droga biegła od dworu, w kępie drzew ukrytego, ku lipskiemu traktowi, i to uśmiecha się, to marszczył, to poruszał wargami, jakby z samym sobą rozmawiał.

Od dawna bo już do dworu tego, co teraz za drzew słupami dymu istnienie swoje znaczył, rwały się, ilekroć dojrzeć go mogły, Jakubowe oczy i rozjaśniała się twarz pocziwa, ramą długich ciemnoblonde okolona włosów, na plecy niemal opadających, ponad czołem zaś aż do osady jego równo ściętych w grzywę, co gospodarza owego na chłopskiej tylko zagrodzie dziwnie podobnym czyniło do rznionych na starodawnych pieczęciach wizerunków książąt Piastowskich. Dwa roki dobiegało już właśnie, jak jeszcze za życia nieboszczki swojej, a pamiętał chwilę niby wczorajszą, całą gromadą w obszernej jadalnej sali dworskiej kilkudziesięciu gospodarzy wielkich dobiło z dziedzicem targu o serwituty, a dziedzic na „oblewunek” z dawna a żmudnie prowadzonych układów podać kazał gąsiorek wódki i przepił do sąsiadów. Przyniosła ją i kolejno częstowanym rozlewała córka świeżo „nastalego” do służby gajowego Nowotnika, dwudziestoletnia może nie więcej dziewczucha, Magdzia, przy dworze pokojówka, wraz z ojcem wdowcem przyjęta, po wydaleniu się ich z sąsiedniej Bąkowy, gdzie Nowotnik za karbowego służył, a dziewczyna lat parę przy pokojach także spędziła. Magdzia „jako to z łyków”, nosiła się z waszecia; bez chusty na głowie, z gładko przyczesanymi na niej włosami i obfitym warkoczem. Czerwony miała na sobie wełniak w czarne pasy, biały fartuszek i biały, suto na piersiach różnokolorowymi zawieszony paciorkami kaftanik. W sznurowanych, na wysokich obcasach trzewikach uwijała się między gospodarzami, zwinna „kieby ten wąż”, to pełne podając im blaszane miarki z wódką, to wypróżnione napelniając z gąsiorka, a taka ci przy tym rezolutna, że na dziedzica samego strzelała oczyma, uśmiechnięta, swobodna, jakby od urodzenia do pokojów „nauczna panienska”.

I odśmiejali jej się gospodarze, ten i ów dalej od dziedzica stojący, a młodszy półgłosem słówkiem zaczepił, dziewczyna zaś odcinała się na poczekaniu od ucha i szczyrzyła zęby, niby ten kociak, co wróbla zobaczył. Całą już niemal obczęstowała gromadę, gdy z kolei zatrzymała się z pełną miarką przed Musiałą tuż u drzwi wchodowych o kredens wspartym. O „śwarnej” ze dworu pokojówce słyszał już Jakub to i owo, nie najlepiej o niej gadano, bo i z Bąkowy różne dochodziły języki, tylko urody nikt jej nie przeczył, dziewczęta nawet co najśliczniejsze pierwszeństwo jej przyznawały nad sobą, a co chłopaki toć po-

miarkowania nie znali w chwalbie i chwalili aż grzmiało. Musiała do tej pory nie znać jej jeszcze, w układach zaś o serwituty nieufnością przez podejrzliwą matkę zarazony należał do opozycji, którą ujawniał zajęciem miejsca wraz z kilkoma innymi oponentami na tyłach samych gromady, a zafrasowany postanowieniem większości, w sprawach gromadzkich rozstrzygającej zwykle nieodwołalnie, nie zwrócił wprawdzie na razie uwagi na wejście i poczęstunek dziewczyny. Dopiero gdy stanęła przed nim z wyciągniętą ku niemu blaszanką, czerstwa „jak rzepa”, rozbawiona zaczepkami, tym urodziwsza, że krasę jej oto oczy wszystkich niemal gospodarzy wielickich, niby lustra, odbiły w sobie koleją, rozruminiona zadowoleniem własnym i uśmiechnięta, czarne jak węgle utkwiała w nim oczy, Musiała nagle ją spostrzegł, a spostrzegłszy, jakby kto gardzią za gardło go ścisnął, stał chwilę wpatrzony w Magdzię, ani widząc podawanej sobie blaszanki.

Aż się niby to zniecierpliwiła:

– Pijcie! – rzekła – bo upuszczę!

On zaś, podnosząc miarkę do ust:

– Na zdrowie Magdzi! – mruknął, nie wiedząc prawie co mówi, dziwnie otumaniony przypadającą mu do smaku dziewczuchą.

– Ja tam i tak zdrowa! – odcięła się, a tłumiony śmiech sąsiadów zmieszał do reszty Jakuba.

Ale się nie dał.

– Ślepemu gadać – odparł, ocierając usta rękawem, którym przelotny pokrył na twarzy rumieniec.

Tylko że to dziewczucha coś bo i zmiarkowała, ostatnich już bowiem kilku częstując gospodarzy, raz a i dwa może zwróciła do Jakuba i zalotnym błysnęła mu okiem.

Wszystko to jadącemu oto na jarmark Musiale na widok onej kępy drzew dworskich odżyło w duszy niby na jawie, a przebyte ongi wrażenia to uśmiechem, to zmarszczką na wyrazistej odbijały się twarzy.

Spory ubito już szmat drogi, ciemna smuga zamykającego horyzont lasu zbliżała się ustawicznie. Parobek, nie odebrawszy na zaczepkę odpowiedzi, gdy wzmianka nawet o ulubionej Wiśniosze rozgadać nie zdołała, dał za wygraną i nie przerywał więcej milczenia. Jakub zaś dalej tonął we wspomnieniach.

I przypominał sobie, jak to wracając ze dworu po Magdzinym poczęstunku gromada wstąpiła po drodze do karczmy, aby raz jeszcze zawarty układ oblać, a także i ów niepokój, jaki zwyczajnie ogarnia człeka po ostatecznym powzięciu doniosłych dla niego postanowień. Często z rąk do rąk podawane sobie półkwatki, poparte nie od dziś znaną gromadzie wymową, u starego Jukla arendarza z niepokojem załatwiły się na poczekaniu, a gwar i śmiechy do ogólnego dostroiły kamertonu najprzeciwiejszych nawet układowi oponentów. On jeden tylko, Musiała, w zebraniach gromadzkich i rozmowny zwyczajnie, i wesoły, „nijak do swego nie mógł przyjść humoru”. Siedział za stołem chmurny, aż i uwagę zwrócił na siebie.

– A cóżeście to, kumie, zaniemiali? – podchmielony już dobrze, z półkwarterkiem w ręku i nie bardzo na nogach pewny, zaczepił go Szaspak z rogu, co to na skraju wsi mieszkał, a do wypitki zawdy był pierwszy, i w przekonaniu, że Jakuba myśl o serwitutach gnębiła.

– Czego się markocita! – jął prawić – dyć sam Jukiel powiadają, jakośwa targu dobili galantego... – Tu jednak ktoś do Szaspaka przepił, a Jakub korzystając z odwróconej uwagi kuma, wymknął się z karczmy i założywszy ręce w tylne kieszenie sukmany szedł zwolna ku wsi, zafrasowany ciężko i nieswój.

– Opętanie czy kiej lichu! – mruknął, spluwając „na psa urok”.

A bo i urok chyba!... Wciąż przed oczyma migotał mu czerwony w czarne pasy wełniak pokojówki, a w uszach, „kieby zadanie”, najwyraźniej dzwoniło:

– Pijecie?... bo upuszczę!... – to znowu: – Ja tam i tak zdrowa.

Kiż lichu!... ani bo się opędzić!... I strach go zbierał zabobonny. On, gospodarz „żeniany i dietny”, nie młokos przecie żaden, i życia „nauczny”, i ludzi, ani pojąć mógł, co się z nim działo. Toćże niejedną, bywało, „swarną” napotykał dziewczuchę, a choć i nie podarował żadnej, to ino tak ode zwyczaju, pośmiać się lubił i zagadać, i poswywolić.

– A zawdy, co i z oczu, to i z myśli.

Do Marysi swojej, choć niemłodej już, a pracą steranej niewiasty, z którą tyle się lat w zgodzie i pokoju przeżyło, z nawyknięcia samego szczerze był przywiązany i ani mu teraz w głowie nie powstało latać za spódnicami białogłowskimi. Ku Marysi też siłą woli myśl oporną napędzał i obrazem niewiasty starał się zetrzeć sprzed oczu migotliwy wełniak czerwony. A tu wyraźnie, jakby go coś ku dworowi ciągnęło, i przystawał, i oglądał się na kępę drzew dworskich, to znowu szedł dalej, jak kołowaty.

– Ja tam i tak zdrowa – i widział, jakby je miał przed sobą, uśmiechem zza krwistych warg wychylone bieluśkie zęby dziewczuchy i połyskliwe, zalotnie wpatrzone w niego oczy Magdzine.

– A nie dajże ty mnie, Maryś, niewiasto! – zachnął się, jakby pomocy szukał i obrony przed „onym opętaniem grzysznym”, co go jak zmora dusiło.

Wszystko jednak daremnie.

– Pijecie?... bo upuszczę!... – zabrzmiało znowu w uszach, aż zniecierpliwiony:

– Tfu!... – splunął, a splunął w głos i z takim rozmachem, że parobek, będąc w przekonaniu, iż objaw zniecierpliwienia gospodarskiego silniejsze właśnie wywołało od innych pójście sań w zatokę, skwapliwie jął się tłumaczyć.

– Dyć raiłem podkuć sanice – z wielkim prawił pośpiechem – bo te psiajuchy z dostawą szwejów drogę kieby lód wyszorowały, a choćby żabki podbić na razie. Ale bogać tam, Franciszkowa nie dali, mówili co próżny ekspens, a tera ani utrzymać sani w torze. Wio, małe!...

Musiała jednak, rad, że go tak rozumiano, żadnym splunięcia nie poparł argumentem, aż zdziwiony milczeniem chłopak:

– Oj, źle!... handryczny musi... – zakonkludował – nie co innego!...

Zbliżano się do lasu, odległego niecałą wiorstę. Sadzoną topolami aleję dworską pozostawiono w tyle, obiedwie zaś drogi, ze wsi i dworu, wspólnym już biegły gościńcem. Jakub, wolny dziś wdowiec, ani próbował opędzać się wspomnieniom, tak energicznie zwalczanym ongi, toteż płynęły dalej swobodnie.

Błyskawicą przebiegły mu w umyśle kolejne epizody dziejów onego czasu „grzysznego” obecnie niestosownego może już tylko kochania.

Wróciwszy z karczmy do chaty, na widok krzątającej się po obejściu Marysi, na widok dziecka jedyne go i matki, która go wnet wypytywać poczęła o szczegóły umowy i przebieg targu, przyganiając po swojemu, ze zwykłym w chłopce starej daty kunktatorstwem, zbytniemu wrzekomo pośpiechowi gromady, bo jak twierdziła, na zwłocę nikt nigdy jeszcze nie stracił, a co nagle, to po diable, i dziedzica niechybnie do korzystniejszej dla wsi nakłonić można było ugody. Musiała zbył na czas jakiś nurtującego w nim „opętania” i ułożywszy się do snu ze spokojnym zasypiał sumieniem.

Tylko że zaraz nazajutrz z rana, a przeznaczenie to czy dopust boży, gdy obręcz zluzowaną na kole zaniósł do kuźni, zastał w niej pokojówkę po duszę do żelazka. Ten sam miała na sobie wełniak czerwony, a na głowie czerwoną także, niedbale zarzuconą chustkę. W chustce tej kraśniejszą mu się jeszcze wydała. I znowu zalotnie błysnęła mu oczyma, i znowu bielusieńkie wyszczerzyła zęby, kiwnięciem głowy i uśmiechem odpowiadając mu na powitanie, jakby po starej z nim znajomości. I zaczepiła go z miejsca:

– A to mówiłam, gospodarzu, coście chyba wyprzysięgnięci, żeście tak wczoraj nie chcieli pić i nie chcieli.

A jego znowu coś ścisnęło za gardło, poczerwieniał i zdawało mu się, że chyba nie wytrzyma, a chwyci dziewczuchę, jak stała, i zdusi szelmę abo co z przylubienia wielkiego.

Gadali ze sobą spory kęs czasu, a gdy odchodząc od proga jeszcze odwróciła się za nim, to już nie śmiała się tylko spojrzała jakoś dziwnie, aż go od tego zimny dreszcz przebiegł, a potem znowu ogniem buchnęło, bo wyraźnie mówiły jej oczy:

– Wiem... wiem... ano, spróbujta!...

– Praktykantka musi abo i nie! – rzekł sobie w duchu i ogarnęła go nieprzemierzona chęć spróbowania.

Zawojowała go dziewczyna do reszty, wpiła mu się w duszę jak oścień i poddał się jej jak omamieniu. Rumienił się na wspomnienie, że on, gospodarz zasobny, któremu ważniejszych jeno i dochodniejszych, jak ciesiołka lub odstawy dalsze, podejmować się wypadało zarobków u dworu, za życia niewiasty jeszcze najmował się, niby ten parobczak lub wyrobnik marny, do gradzenia sztachet dworskich i płotów, byle mieć sposobność zdybania Magdzi. A wypatrzyła go zawsze i zawsze do zaczepki okazję jakąś znalazła.

I zawsze to w oczach na odejściu:

– Wiem... wiem... ano, spróbujta.

Później, to się między brackich zapisał, by co niedziela klękiwać w czasie sumy ze świecą u ołtarza, bliżej kobiet. A zajmował zawsze miejsce od chrzcielnicy na prawo, gdzie się zbierały dziewczuchy same; po lewej bowiem, od ambony, było miejsce zamężnych niewiast, chłopci zaś w tyle stawali; od chóru po prawej gospodarze, a parobczaki po lewej. Taki już był porządek. Pod chrzcielnicą też samą klękiwała i Magdzia. Gdy go pierwszy raz spostrzegła zbliżającego się po „Sanctus” w gronie brackich ku ołtarzowi ze świecą, zarumieniła się i uśmiechnęła. Przywykła jednak wkrótce widywać go co niedziela za sobą i zawsze, gdy szedł, odwracała ku niemu głowę nieznacznie na powitanie. A kiedy tak od „Sanctus” aż do „Baranka” co suma wpatrywał się w dziewczuchę jak w obraz, o świecie zapominał i wszystkim, i ani przez myśl mu nie przeszło spojrzeć w lewo ku ambonie, gdzie w gronie starszych gospodyń modliła się niewiasta jego lub matka.

Toteż później, skaranie boże czy znowu przeznaczenie tylko, zaniemogła Maryś ciężko i „nijakiej nie było rady”, ni leki pomagały, ni zamawiania, i frasowała się Franciszkowa ciężko, do synowej przywiązana niby „rodzona”, a nawet do Częstochowy ofiarowała się pieszo, powiadając, jako dopust to był boży za jakoweś w domu przestępstwo. Jakub uląkł się powiadania tego okrutnie i na odpust wybrał się na Przemienienie Pańskie do sąsiedniej w Kazanowie parafii, i „wysłuchał” się z grzesznego kochania przykładnie, i w skrusze wielkiej szczerą przyobiecał poprawę; ale bo mu też żal było dusznie niknącej w oczach niewiasty a ratunku i pomocy dopraszającej się. Ksiądz surową wyznaczył pokutę: suszyć kazał miesiąc cały co środy i piątki, aż się matka na to suszenie krzywo patrzali, jeno że jej rzekł, jako to na uproszenie zdrowia Marysi ślubował.

I dopóki Maryś żyła, on ci ni razu w stronę dworu nawet nie spojrział, choć go, Bóg świadkiem, siłą podrywało w te strony, ale bał się czegoś okrutnie i żony dogorywającej sromał jak dziecko. Przemógł kochanie, tylko że Maryś w połowie żniw pomarli, on zaś do dawnej wrócił nawiści.

Teraz wolny i o żeniacze przemyślał z umiłowaną dziewczuchą. Gryzło go wprawdzie czasem sumienie, że tak prędko zapomniał niewiasty, co tyle lat o dobro jego dbała, sprawiedliwą była mu żoną; cóż jednak mógł dziś poradzić? A zresztą może to i nie pomsta była, jak powiadali Franciszkowa, a przeznaczenie?

Czegóż by teraz wyrzekać się miał nawiści, za którą niby kania za dżdżem dyszał? Nikt bo mu tego dzisiaj wzbraniać nie miał prawa. I coraz częściej zachodził to ku dworowi, to w okolicach leśniczówki kręcił się, gdzie niedzielami, zwłaszcza po południu, zabiegała do ojca Magdzia. Dziewucha, jak miarkował, bodaj czy nie była mu rada. Powiadali ludzie, że latawiec, mizdrzyć się do każdego gotowa. Ot, złe języki i tyle. Cóż bo i za dziwota? każda by się, gdyby jak ona miała czym, na jej miejscu mizdrzyła. Młoda, to i swywolna, ale niechby ją pod strzechę dostał swoją, a matce oddał w opiekę, niewiasta by z niej była jak i z innej, jeno od najmilejszych milejsza.

W tajemnicy jeszcze jął tedy obsypywać Magdzię gościńcami, z każdego jarmarku coś jej przywożąc, za każdą pamiętając o niej bytnością w mieście. Dziewczyna zrazu wzdragała się niby, mówiła, że pośmiać się lubi, ale nic więcej; aż gdy zaręczył, że po przyjaźni jeno za poczęstunek we dworze wywdzięczyć się pragnie. I ciągnęło się tak z pół roku, a dopiero dwie niedziele temu, gdy z Radomia kosztowny sznur bursztynów przywiózł dziewczynie, gruchnęło po wsi całej. Że już przebąkiwano o nim i o pokojówce, i do jego doszło uszu – napomknął mu o tym żartami niby Jukiel, kryć się zatem dłużej nie było powodu. Wszakci zresztą nie bałamucić pragnął dziewczuchę, lecz do ołtarza wieść, po bożemu; tak czy siak tedy, postanowić coś wypadało. Tylko że mu jakoś dziwnie śmiałości w ostatniej chwili zabrakło. A nuż Magdzia wyśmieje? A nuż wzgardzi? I nie tylko o pośmiewisko chodziło mu ludzkie, lęk go zdejmował, a na czoło pot zimny występował na myśl o stracie nadziei. Toćże wtedy zdusiłoby go kochanie!...

A matka?... Ze strony Franciszkowej zacieklego spodziewał się oporu. Domyślał się aż nadto zamysłów jej na Kacprowę, a wiedział, że od powziętych nie odstępowała łatwo. Cóż dopiero, gdy w miejsce statecznej a posażnej niewiasty synową by jej nazwać przyszło, kogo? bez grosza wiana, na ludzkich językach obniesioną pokojówkę ze dwora!

Z chwilą więc, gdy wasąg wsuwał się pomiędzy pierwsze drzewa lasu, namarszczona twarz Musiały, niby lustro, odbijała stan duszy jego niepewnością targanej. Trwało to jednak niedługo, snadź nadzieja posiadania na schwał urodziwej niewiasty przemogła, zmarszczki bowiem ustąpiły niebawem uśmiechem rozjaśnionemu wyrazowi oblicza, i raz jeszcze, zanim mu go miał gąszcz zasłonić, rzucił okiem ku dworowi. Spojrzał za siebie i jakby go coś podniosło, zerwał się nagle, a chwytając za ramię parobka, który mimowolnie ściągnął ku sobie lejce, i wskazując mu widną jeszcze, topolami sadzona drogę:

– Wicek! – zawołał. – A kto to tam ode dwora ku lasowi idzie?

Donośne „prrr” osadziło w miejscu już i tak szarpnięciem lejc wstrzymane konie. Wicek odwrócił się we wskazanym mu przez gospodarza kierunku, dłoń do oczu przyłożył, a popatrzywszy chwilę rzekł:

– Dyc chyba pokojówka musi dworska, Magdzia! – poczem spojrzął na Jakuba, zdziwiony trochę ciekawością jego i pytaniem.

Ale dziwił się oto więcej, gdy bowiem po udzielonym objaśnieniu, jak sądził, zgoła gospodarzowi obojętnym, podnosił bat nad końmi, by ruszyć dalej, zabrzmiało mu w uszach:

– Stój, hyclu! – jakiego dawno już od Jakuba nie słyszał; skoro się zaś obejrzał wylękniony i zupełnie zbity z tropu, Musiała stał już na drodze przy saniach i ściągał z nich kilimek pokrywający siedzenie. Ujął następnie jeden ze złożonych na tyle wasagu worków, a przywoławszy do pomocy wciąż dziwiącego się mocno Wicka, przesunął worek na przód, ku siedzeniu, w wygodne zamieniając go oparcie.

Tu chłopak uspokoił się nieco: widocznie zdrzemnąć się zamierzał gospodarz, bo i to trafiało się w drodze, i wygodnego zapragnął oparcia. Podniósł tedy porzucony kilimek, aby go na nowourządzonym rozpostrzeć siedzeniu, gdy znowu:

– Czekaj, bestyjo! – huknął po lesie i wstrzymało parobka, niby grom w miejscu.

Chłopakowi kilimek wypadł z ręki i już tylko w niemym osłupieniu patrzył dalej, jak Musiała, dobywszy spod worków sporą wiązkę siana, przeznaczonego na popas dla koni w Lipsku, zdarł z niej powrósło, a siano, najlepsze z broga, górne siano, na siedzeniu rozesał wszyściutko, poczem:

– A kaj masz koniczynę? – zapytał.

Złożył ją Wicek przy sobie, aby niewielki zresztą ładunek cennej paszy wciąż mieć w drodze na oku, na rozkaz jednak:

– Dawaj tu żywo!

Podał ją gospodarzowi, a ten rozrzucił koniczynę w nogach i poproszył jeszcze słomą z powrósła, i teraz dopiero worki, stanowiące siedzenie i oparcie, starannie pokrył kilmkiem.

Jak świat światem, a lat już kilka woził po nim Wicek gospodarza, nic mu się podobnego nie zdarzyło. W dalsze i bliższe drogi na słomie jeździł, i gorzej, i całymi tak sypiał nocami; żeby zaś sianem, a w dodatku i koniczyną słać siedzenie, to się chłopakowi wprost w głowie pomieścić nie mogło. Choć tedy znał mores przed gospodarzem i z niewczesnymi uwagami nierad wyrывał się przed nim, nie zdołał w osłupieniu wielkim zatrzymać w sobie gwałtem cisnącego mu się na usta pytania i:

– A lo koni?... – mruknął nieśmiało, drapiąc się w głowę.

– Głupis! – brzmiała odpowiedź. – Nie pyskuj, rób, co każą!... nie twoja w tym głowa! – kończył Jakub łagodniej, zwrócony w stronę gościńca dworskiego.

Magdzia tymczasem minęła już szpaler topoli i szła wspólnym, nagim traktem lipskim. Postać jej rysowała się dokładnie: ciemna, kształtna sylwetka dziewczyny na połyskliwym tle śniegu odrzynała się jak rzeźbiona. Szła szybko, lekko, w długiej po kostki, z waszecia skrojonej do stanu, czarnej, wатовanej salopie, na głowę miała chustkę czerwoną, końcami na plecy opadającą, dokoła szyi szczelnie związaną.

Musiała, jakby przypomniał sobie coś nagle, łakomie utkwione w Magdzi oczy zwrócił na Wicka:

– A ino mi się tłucz po zatokach! – rzekł do parobka, siedzącego na wasągu, poczem parę kroków posunął się w stronę dochodzącej pierwszych drzew dziewczyny.

– Dobra nasza!... – mruknął do siebie chłopak, któremu teraz dopiero poczęło się rozjaśniać w głowie. – Tak ci moja! – prawił w duchu. – To siano i koniczyna dla pokojówki!... a jechać to ci mam przykazane, kieby ze szkłem... patrzajta, sprawiedliwie, czego ci to ludziska nie wygadają...

Boć i Wickowi obita się o uszy pogłoska o Jakubowej dla Magdzi nawiści, ale jednym ją uchem wpuszczał, a wypuszczał drugim, tak mu na zwyczajną tylko wyglądała plotkę. Musiała, ten zasobny, wiekiem i powagą stateczny gospodarz, na którego od dziecka przywykł był chłopak z poszanowaniem spoglądać – i Magdzia? Nijakiego w tym przecie nie było pomiarkowania! A jednak, póty ludzie gadali, aż wygadali, bo któż by siano, a do tego koniczynę, marnował po próznicy. Podrapał się tedy Wicek w głowę po raz wtóry z pewną zawziętką i zakonkludował w myśli:

– Będziewa mieni gospodynię, będziewa galantą... dziewczucha jak rzepa... ino co na to Franciszkowa rzekną... a to ci termedyje, człek by się prędzej śmierci spodziewał! – tu jednak dobiegł go wesoly chichot Magdzin, przerwał więc dalsze uwagi i obejrzał się ostrożnie.

Dziewczyna już na skraju pola, dostrzegłszy zdążającego ku niej lasem człowieka, wylękniona zwolniła kroku. Poznała jednak niebawem Jakuba i z dala witać go jęła:

Wickowi obił się o uszy wykrzyknik:

– Jak Bożię kocham, to wy, Jakubie?... a ja już jak przed zbójem uciekać chciałam.

– Powiadają góra z górą... a dokąd to Bóg prowadzi? – wyraźna brzmiała odpowiedź Musiały.

Zatrzymali się o kilkanaście kroków od wasagu. Teraz Wicek, mimo szczerzej chęci podsłuchania i podpatrzenia wszystkiego, widział wprawdzie i dobrze, lecz to i owo jeno mógł chwytać z ożywionej między Jakubem a Magdzą rozmowy. Ta ostatnia zwłaszcza, rozchichotana, mówiła z początku głośniejsze:

– Do Lipska?!... jak Bożię kocham!... i ja także... a to zdarzenie!... – wołała.

A potem:

– Na szczęt wydarłam się z trzewików...

A potem:

– Jak Bożię kocham, pożyczyla mi swoich kowalczanka...

A potem:

– Nie wierzycie?... patrzajcie!... gdzie to noga, a gdzie trzewik! – i stwierdzając słowa przykładem, uchyliła spódnicy i podniosła nogę, obutą w sznurowany trzewik i granatową, ciepłą, wełnianą pończochę, której spory kawałek uderzył oko Wicka.

– Adyc kieby toczona!... – szepnął półgłosem i westchnął.

Między Jakubem a dziewczyną rozmowa przeciągała się dalej cichsza, ale snadź sprzeczali się o coś, bo Magdzia to potrzasała głową na znak odmowy, to znaczące, przeciągłe wybiegało jej z ust:

– Eeee!...

Parę razy spojrziała w stronę wasagu, jakby wskazując wzrokiem Wicka. Potem odskoczyła w bok ku lasowi. I przekomarzali się znowu, aż ją na wpół niby to przekonaną chwycił Musiała za rękę i ku saniom prowadził, ona zaś raz

już tylko, opierając mu się jeszcze, tuż przy wasagu powtórzyła przyciszonym głosem:

– Eeee!... sprawiedliwie, Jakubie!... – poczem nagle, jakby jakiemuś postanowieniu posłuszna, szybko do sani wskoczyła, a zajmwszy miejsce na usłanym przed chwilą wygodnie siedzeniu, lękliwie rzuciła okiem do koła i chustkę z głowy na twarz zsunęła.

Tu spostrzeżenia Wicka doniosły przerwał rozkaz:

– Jedź!... – i wiele obiecująca uwaga: – A ino mi po zatokach hulaj, smyku!...

Chłopak świsnął batem i ruszyli.

111

Do samego już teraz prawie Lipska jechać miano lasami. Wielickie, a następnie rządowe ciągnęły się nieprzerwanym pasem aż na wiorstę pod miasto, na dwumilowej przeszło przestrzeni, w połowie jeno drogi przerwane rozległą polanką, na której klika chat mizernych, dokoła obszernej karczmy zajezdnej zgrupowanych, tworzyło rodzaj kolonii, zwanej Rozdrożem, u zbiegowiska dwóch większych traktów przysiadłej.

Szeroki gościniec wielicki w miarę zapuszczania się w knieję, porośłą z brzegu młodym zagajnikiem, coraz zwartszym biegł lasem, poprzez którego konary okiścią ponaginane ku ziemi kapały złotem jasne promienie słońca na gęsto tropami zwierzyny upstrzony, jednolity, puszysty całun biały, rozesłany jak okiem dojrzeć na podścielisku mchów miękkich i wrzosowisk.

Teraz miarowy tętent koński i skrzyp sani od czasu do czasu przerywała z drzewa na drzewo przelatująca wrzaskliwa wrona lub zlewał się z nimi łopot zawzięcie po chojakach kującego dziecięcia. Tu i owdzie, lekkim podmuchem wiatru strząśnięte, z nadmiernie przywalonej gałęzi spadały kłęby śniegu zanurzając się z głuchym łoskotem w puchach zalegających ziemię, podczas gdy kiść drzewna, zbywszy ciężaru, wyprostowana nagle, z trzepotem iglic wzbijała się w górę, sypiąc dokoła iskrami pyłu śnieżnego. Ponad saniami, niby blade ogniki błędne, wznosiły się i nikły oddechem jadących wyrzucane zwitki pary, rozplywające się w przejrzystym, mroźnym powietrzu jak widma.

Jechano w milczeniu. Musiała, ogłuszony zrzędzeniem losu, który mu oto najniespodziewaniej Magdzię wrzucił do sani i na towarzyszkę drogi i jarmarku orzeźnił, już i tak zwykle przy pewnej siebie a ciętej z waszecia dziewczynie nałomówny i nieśmiały, teraz z uradowania wielkiego, zdało się, oniemiał do eszty. Siedział, jak na rozżarzonych węglach, nieświadom, co począć z sobą, obecnością dziewczuchy aż do dna duszy przejęty. Słońcem rad był ją nakryć i to ochylał się i zbierając rozrzucone po wasagu źdźbła koniczyny na stopy jej

nagarniał, to słomę pod nogi jej podsuwał, to na siedzeniu coraz miększe sianem uścielał jej oparcie, aż nareszcie:

– A niech się Magdzia oprze! – dobył z siebie. – Będzie wygodniej.

Oparła się, nic nie odpowiadając. I ona milcząc także, przyjmowała oznaki troskliwości Jakuba, a tylko ruchem ręki szybkim, nerwowym poprawiając co chwila chustki pod brodą, przelotne a badawcze rzucała na sąsiada spojrzenia. Rzekłbyś, niecierpliwiła się czegoś.

Bo nie dowodów nawiści Jakubowej pragnęła, miała ich dosyć, ale oświadczyn życzyła sobie i zamążpójścia. Sprytnej dziewczusze, przywykłej świecić oczyma, nie nowiną była chwytana nimi zdobycz, dla której bywało, zwłaszcza gdy się to opłacić mogło, ofiarą się stawała łatwo, choć bez zapału.

Straciwszy matkę wcześniej, w towarzystwie jedynie dziewczki zwyczajnej przebyła u boku ojca, szczwanego, a zepsutego dworusa, co z różnego pieca chleb jadając, nigdzie dłużej nie zagrzał miejsca i ze służby na służbę, łakomy jeno zysku łatwego a pohulanki, włóczył dziecko za sobą, ot, bo pozbyć się go do czasu nie miał sposobu. We włóczędze tej, samej sobie oddana, z natury żywa i rozgarnięta, zbierała Magdzia wzory, jakich jej bezpośrednio otoczenie ojca z nim wesoły dostarczyć mogło, i wyrostkiem już rozumiała się na sztuce dworowania ludziom i korzystania z ładnych oczu. Tu i owdzie rzucone przez Nowotnika zdanie, słówko, uwaga, marną jego życia filozofię komentujące, dopełniały nauki, nie na lasy idącej.

Jako też z zastosowaniem nauk tych niedługo czekać dała na siebie Magdzia. Szesnasty liczyła rok zaledwie, gdy po raz pierwszy oddana przez ojca na służbę dworską, skokietowała sobie z miejsca, niewiele co do niej starszego, bawiącego na wakacjach w domu panicza. Chłopak, jak się to zdarza na wakacjach paniczom, dziewczynę tak wziął do serca, że się rzecz cała wykryła, a że jednocześnie i dług wydał się zaciągnięty u pachciarza na opłacenie prezentów łakomej na nie Magdzi, przerwano romans bez ceremonii i odesłano ją do ojca.

Gdy Magdzia, która pół roku temu zaledwie, z jedną spódniczyzną na sobie w świat wyprawiona, najniespodziewaniej zjawiała się pewnego dnia przed ojcem i śmiało, jakby o najzwyczajniejszą chodziło sprawę, przygodę mu z paniczem i skutki jej przedstawiła, Nowotnik na widok okazałego rozmiarami kuferka, towarzyszącego dziewczynie, rzekł tylko:

– Głupiaś, trza się było kryć lepiej! – i z zadowoleniem jął następnie przeglądać zasobne już przyobleczenie i przyodziewek córki, a gdy dobyła złożonej gotówki kilkanaście owiniętych starannie rubli, po dwakroć powtórzył jeszcze:

– Głupiaś!... oj, głupiaś...

Ona, w duchu przyznając uwadze tej słuszność, choć panicz tu głównie nieostrożnością zawinił, postanowiła sobie korzystać z niej w przyszłości, i oto krótka ta scena stała się podwaliną poufnego, o pozorach serdeczności nawet, stosunku, nie tyle dziecka z ojcem, ile raczej dwojga dobrze pojmujących się współników. Zdawało się, iż Nowotnik po raz pierwszy spojrział na Magdzię

uważniej, ona zaś po raz pierwszy także odczuła rodzaj łączących ją z nim związków i podpory, jakiej się po nim spodziewać mogła.

Ze znalezieniem nowego miejsca nie łatwo poszło dziewczynie. Po okolicy rozniosła się wieść o paniczu, zaczem i bez paniczów dwory nie kwapiły się w przyjmowaniu zalotnej służącej. Czas upływał, a z nim i złożone w kuferku zasoby tajać poczęły. Magdzi zaś już nie starczyła jedna, jak dawniej, spódnicy. Dziewczynie w dodatku cknęło się przy ojcu, zasmakowała w życiu na szerszej, dworskiej arenie, gdzie się jej oczy ładne nie marnowały i gdzie nie do parobczaków tylko szczerzyć można było zęby. Postanowiono zatem szukać szczęścia w dalszych stronach, a Nowotnik, który już dziś oceniał wartość córki, zgodnie zresztą z jej życzeniem, porzucił także zajmowaną służbę owczarza i wraz z Magdzą do sąsiedniej powędrował guberni, z Rawskiego przenosząc się aż w Radomskie.

Tu powiodło się lepiej, w bąkowskim dworze przyjęto Magdzię do pokojów, a karbowego miejsce dostał Nowotnik. Na służbie tej przebyła dziewczyna dwa lata. Ruchliwa, zwinna, wesoła, sprytna, do roboty sprawna, wyrobiła się na pokojówkę zręczną co się zowie i tak użyteczną, że przebaczone jej wrodzoną zalotność, a nawet umizgi do niej młodego rządcy. I co to zresztą obchodzić kogo mogło, skoro ojciec jej własny nie zwracał na to uwagi. Ale Nowotnikowi z tym się właśnie dobrze działo, bo jakkolwiek zalecanki rządcy mniej dawały bezpośredniego zysku córce od paniczowych ongi, opłacały się za to sownie ojcu, pod osłoną dyskretnej protekcji zwierzchnika szachrującemu paszą, zbożem, czym się dało.

Do czasu jednak dzban wodę nosił. Wyszurchany przez karbowego parobek, poprzysiągł mu zemstę a wypatrzywszy przy omłocie odgarniane ukradkiem zboże, pod kupą plew ukryte, skorzystał z ukazania się na gumnach dziedzica samego i śmiało wyjawiał mu sprawy Nowotnika, popierając doniesienie niezaprzeczalnym prawdomówności swej dowodem – pod plewami. Nie było tłumaczenia, karbowy stracił służbę, a co gorzej, gdy się o wstawiennictwo za nim Magdzia zgłosiła do przyjmującego chętnie prośby jej rządcy, dowiedziała się, że odkrycie pod plewami i na jego wpłynęło losy, że i on za innym obejrzeć się jest zmuszony obowiązkiem. O pewne, moralne bodaj, współnictwo z ojcem padło także podejrzenie i na pokojówkę, co wszystko razem i Magdzię, ufną już teraz w wartość swoją i wyrobienie służbowe, skłoniło do porzucenia Bąkowy, zwłaszcza że pachciarz i arendarz z nieodległego Wielgiego, stary Jukiel, od dość już dawna starał się ją dla swoich państwa odmówić.

W ludnym, a utrzymującym liczne stosunki sąsiedzkie dworze wielickim, zasobnym w trzy panny na wydaniu, potrzebowano właśnie obytej ze służbą pokojówki, o zaletach zaś pod tym względem Nowotnikówny niejednokrotnie dochodziły tu wieści z Bąkowy; przyjęto więc Magdzię nie tylko na wyższą płacę, ale czyniąc tym zadość postawionemu przez nią warunkowi, zgodzono jednocześnie ojca jej – na gajowego tym razem.

W Wielgim ani panicza wprawdzie nie było, ani młodego rządcy, licznie jednak nawiedzany gości dwór, uboczne, wcale pokaźne zapewniał pokojówce *dochody*, a już co do strzelania oczyma sposobności nie brakło nigdy, choć ze względu na panny w domu ostrożniej poczynać sobie wypadało. Zresztą do porzucenia Bąkowy dla Wielgiego inną jeszcze miała pobudkę Magdzia, pobudkę w ścisłej tajemnicy chowaną przed ojcem, którego zmysł praktyczny ma wieść o niej dobyłby mu z ust niechybnie, jak ongi, po stracie panicza, dosadny wykrzyknik:

– Głupiaś!...

Owóz w początkach zaraz służby swojej w Bąkowie, gdy przyjeżdżały tam latem z odwiedzinami panienci wielickie, powożące się same lekkim, koszykowym kabrioletem, zauważyła Magdzia i wpadł jej w oko towarzyszący zawsze paniom, a na koziołku, poza wolantem usadowiony chłopak w liberii i granatowej kurtce, wysokiej czapce z monogramem, w łosiowych spodniach i sztylpach, w białym krawacie i rękawiczkach wiśniowych. Jaśkiem go zwano, a zdrowie i młodość biły mu kolorami dojrzewającej brzoskwini z twarzy, co lekkim, pod światło zaledwie widzialnym puszkim zarostu pokrywać się zaczynała jak brzoskwinią.

Chłopak wówczas mógł liczyć niewiele więcej nad lat szesnaście, dzieckiem był zatem prawie; Magdzia jednak, przywykła zawsze o własnej pamiętać urodzie, i cudzą śledziła bacznie; Jasiek ją zaciekawił. Toteż gdy obrządziwszy konie, zgłosił się do izby czeladnej, kuchni drugiego stołu, na wydawany zwyczajnie latem ludziom gościnnym podwieczorek i z apetytem szesnastu lat swoich zasiadł nad miską świeżego a okraszonego z lekka śmietaną mleka zsiadłego, z pokaźną kromką chleba sitnego w rękę, Magdzia, mimo iż pilne miała dnia tego prasowanie, raz i drugi wyrwała się z leżącej obok garderoby do czeladnej na oględziny przybysza, no i pokazanie się samej. Ale chłopak, w jedzeniu zatopiony, głowy nawet na pokojówkę nie zwrócił, czym w miłości własnej zdrażnięta, przysiadła się opodal do kucharki, zajętej właśnie skrobaniem kartofli na wieczerzę dla drugiego stołu, a przysiadła z mocnym postanowieniem niedarowania swego.

Tymczasem Jasiek, załatwiwszy się z podwieczorkiem, najspokojniej dobył z kieszeni paczkę „świcentu wyborowego” i jął starannie skręcać papierosa, a zapaliwszy go podniósł się, odzież z okruszyn chleba i tytoniu strzepał i nakładając czapkę, mruknął w stronę kucharki:

– Bóg zapłać! – i zwolna skierował się ku drzwiom.

Tego Magdzi było zanadto; wychodził, jakby jej tam nie było, złość w niej wezbrała i niewiele myśląc, byle chłopaka drasnąć, głośno zauważyła:

– Sprawiedliwie, teraz to już i dzieci ćmią te papierosiska!...

Zaczepiony w ten sposób Jasiek zaczerwienił się jak piwonia, przystanął chwilę u proga i spojrzawszy na wyzywająco uśmiechniętą dziewczynę, rzekł:

– A to by panna lepiej swojego nosa pilnowała! – i wyszedł.

– Trafiła kosa na kamień! – ze śmiechem zawołała kucharka.

Magdzia zaś, pąsem cała oblana, hamując gniew, obojętnie z pozoru wzruszywszy ramionami i wracając do prasowania zawyrokowała:

– Ordynus jakiś!...

Równie krótkiej, a dosadnej odprawy nie zdarzyło się jeszcze dziewczynie odebrać w życiu, a choć spotkała ją ze strony dziecka prawie i przez nią samą była wywołana, to przecież dojadła jej do żywego. Jednocześnie chęć zwrócenia na siebie uwagi hardego chłopaka i pozyskania góry nad nim wzbudziła się w niej do stopnia namiętnego niemal pragnienia, zwłaszcza że wpadł jej w oko nie żartem.

Długi czas jednak, bo rok bez mała, stosunek Magdzi z Jaśkiem na otwarcie, z pozoru, nieprzyjacielskiej utrzymywał się stopie; ilekroć ten ostatni przyjeżdżał z państwem do Bąkowy, a zdarzało się to dość często, pierwsza zawsze znalazła sposobność sprezentowania się i zadraśnięcia go docinkiem jakimś lub konceptem. W prostocie ducha chłopak zaczepki te brał za objawy istotnej dla niego nieprzyjaźni ze strony pokojówki i jak nieprzyjaciel traktował także dziewczynę. Tylko, co mogła cierpieć do niego, ani rusz nie pojmował:

– Co ona sobie upatrzyła do mnie? – zapytał pewnego razu, po jednej z gorętszych z Magdzą utarczek, w której się nawet ubliżająca mu wielce uwaga o „mleku pod nosem” znalazła:

– Czego ona chce ode mnie? – mówił do starszego od siebie i sprytniejszego lokajczyka bąkowskiego Jóźka.

– Czego ona chce?... a to się jej zapytaj kiedy we cztery oczy, to ci może odpowie.

– Utrapienie z tymi babami! – ciągnął dalej Jasiek naiwnie, raz wzięwszy na zwierzenia, ani domyślając się znaczenia wypowiedzianej przez lokajczyka uwagi. – W domu to ci znowu skaranie boże ze stelmachową, tylko co aby nie taka jak ta wasza pokojówka, sprzeczna, łązi ino i powzdychuje.

– Stelmachowa także baba niczego! – zauważył Józiek markotnie, wobec widocznego powodzenia kolegi tym markotniej, że i on próbował szczęścia z Magdzą, ale się skończyło na siarczystej odprawie, za którą do dziewczyny chował tajoną urazę.

A Jasiek wywnętrzał się dalej:

– A niechby tam sobie, jakie chcą, były! – jęknął, sfrasowany okrutnie – ino czemu mi spokoju nie dają.

Wybuchem śmiechu przyjął lokajczyk wykrzyknik towarzysza, poczem zagadnął:

– Wiesz co, Jasiek!

– Ano co?

– Poskarż się stelamchowi.

– I cóż mu powiem? dyć każdemu łązić wolno...

– Ino ja bym ci zawdy radził – kończył lokajczyk – we cztery oczy i ze Stelmachową pogadać.

– Niby względem czego?

- Spytaj na ten przykład czego wzdycha.
- A jak mnie spierze!... baba jak mur!...

Nowy wybuch śmiechu lokajczyka i zjawienie się w kredensie lokaja prze-
rwały dalsze utyskiwanie Jaśka. Powędrował do stajni, ciężko zamyślony,
w drodze zaś powrotnej do Bąkowy, z założonymi siedząc ramionami na kozioł-
ku za wolantem, wyglądał jak skołatana łódź, gnana losami od pokojówki-Scylli
ku stelmachowej-Charybdzie.

- Utrapienie z tymi babami!...

A może zresztą i nie takie wielkie, bo oto w miesiąc niespełna po przyto-
czonej tu rozmowie, gdy panienki wielkie znowu odwiedziły Bąkową, a Jasiek
znowu sam na sam znalazł się z lokajczykiem w kredensie, snadź zgoła odmien-
ne grały mu w duszy uczucia. Wszedł z czapką na bakier, z rękoma w kiesze-
niach od spodni, z zapalonym papierosem w ustach, a szafirowe ciemne oczy
chłopaka błyszcząły, jakby w nich kto tam na dnie porozpalał światła nieznane
i blaski. Butą mienił się jakąś zawadiacką, wyrazem pewności siebie już nie
dziecięcej uderzał. Józkowi nawet, choć się na razie w zaszłej odmianie połapać
nie mógł, odmienny, nie tym samym się wydał.

- Cóżes to taki dziś miniasty? – odpowiedział na powitanie koledze.

Jasiek siadł na ławce przy stole, przy którym na pasku posypanym tartą ce-
głą lokajczyk czyścił noże od obiadu, i milcząc zaciągnął się papierosem,
uśmiechnięty do siebie a tajemniczy. Aż po chwili, zsunąwszy trochę czapki na
tył głowy, wygodnie wsparłszy się o ścianę, zagadnął:

- Józiek!...

- A co?

- A to już wiem, czego stelmachowa wzdychali...

– Dobryś!... zawołał Józiek, uderzając się po kolanie z wielkiej uciechy. –
A nie mówiłem, żebyś się baby spytał, to odpowie.

- Ja się tam o nic nie pytałem.

- Ino jak?

- Ano wiem, i tyle.

– Powiedziała sama?... słuchaj, a może cię sprąta?... – ciągnął dalej lokaj-
czyk naiwne Jaśkowi przypominając obawy.

– Głupiś! – urwał chłopak, niemile przypomnieniem dotknięty. Niedopałek
papierosa rzucił, wstał z ławki, przeciągnął się i ziewnął.

– To ci jucha zmądrzał! kiwnąwszy głową zauważył Józiek. – A jaka be-
styja niewyspana!... poszedłbyś w siano na stajnię, bo cię widać w domu coś po
nocach straszy.

Jasiek uśmiechnął się zadowolony.

– A bo i pójdę, ino zjem podwieczorek!... – rzekł kierując się do drzwi
w głąb dworu, przez sień ku czeladnej i garderobie wiodących.

– Żeby cię znowu pokojówka nie zjadła! – zawołał za odchodzącym lokaj-
czyk, na co z sieni już odebrał odpowiedź:

- Niech ino dziś spróbuje, a zobaczy!...

I spróbowała, jak zawsze, ale zobaczyć, to i tym razem zobaczył Jasiek tylko, więcej nawet zobaczył niż zwykle. Kończył już podwieczorek, złożony z talerza głębokiego sałaty ogórkowej, przewidując grożące mu w każdej chwili spotkanie z pokojówką, on, co to już wiedział wprawdzie, czemu stelmachowa wzdychała, ale nie rozumiał jeszcze odmiennej zgoła taktyki młodej dziewczyny, zhardziały jednak pierwszym w życiu sukcesem, przemyśliwał właśnie nad godnym obecnego położenia odparowaniem spodziewanego ciosu, gdy z trzaskiem i chichotem, biegnąc gdzieś widocznie z pośpiechem, wpadła do czeladnej Magdzia.

Na sam głos kroków nieprzejednanego, jak mniemał, wroga Jasiek poczerwieniał nad ostatnią łyżką mizerii, dziewczyna zaś okamgnienie zatrzymała się na środku izby i złośliwym obrzuciwszy go spojrzeniem, zawołała:

– A może Jaśkowi dla odmiany cygaro?... – i wybiegła nie czekając odpowiedzi.

– Hi... hi... hi... – zaśmiała się zawsze o tej porze skrobiąca kartofle kucharka.

Napadnięty znienacka Jasiek nie zdążył jeszcze przyjść do siebie, gdy po chwili Magdzia, wracając do garderoby pędem prawie, dorzuciła mu w przelocie:

– A może figę z makiem?

– Ha... ha... ha... – wybuchnęła kucharka pełną piersią.

Ale chłopak, miasto zapłonąć gniewem, utkwiał wzrok w zatrzaśnięte drzwi garderoby, a w oczach jego zdziwienie malowało się tylko i jakby chęć przebicia nimi ściany zasłaniającej mu dziewczynę.

Tak, Magdzia „spróbowała”, ale on tylko „zobaczył”. Zobaczył, jakby je pierwszy raz widział, czarne, przepaściste oczy dziewczyny, białe poza krwistymi wargami zęby, jak perły, zobaczył i dołki wabne na policzkach i brodzie, dojrzał i pyszne na jej głowie warkocze, jak kruki, i zwinną, pełną a czerstwą postać dziewczuchy, co mu się nagle, cud niby, z dawnej pokojówki, sekutnicy, wyłoniła. Wszystko to spostrzegł teraz w mgnieniu oka, bo miał już w sobie punkt porównania, bo gdzie się tam było stelmachowej równać z Magdzą!

Nie gniewny też wcale, a raczej zadowolony, choć oberwało mu się od dziewczyny, wracał z podwieczorku do kredensu, w którym Józiek, oczyściwszy noże, wycierał je teraz ścierką.

– Galanta z tej pokojówki dziewczucha! – rzekł zatrzymując się przed lokajczykiem.

– O, patrzcie no, jak mu się to oczy otworzyły! – zauważył zagadnięty. – Ino zawdy, kieby ta osa dojedliwa! – ciągnął dalej, pod wrażeniem figi z makiem, Jasiek.

– Głupiś i tyle! – burknął Józiek.

– Abo i nie?... wyraźnie coś do mnie cierpi...

– Cierpi, a ino i cierpi... a to cierpi, co i stelmachowa cierpiała! – zniecierpliwiony naiwnością Jaśka, odparł lokajczyk.

– Ho!... Ho!... gdzie tam stelmchowej do niej! – wyrwało się chłopakowi z westchnieniem. – Magdzia inaksza.

– A dyć każda inaksza, ino każda na swój manier – zdecydował Józiek. – Insza ci wzdycha, a insza znowuż tnie! – co rzekłszy, sporą paczkę oczyszczonych sreber poniósł do pokojów, Jasiek zaś, z zamiarem przespania się na świeżym sianie, podążył do stajni.

Nie do snu mu jednak było. W przepierzonej deskami na obroki i paszę podręczną komorze, ciemnej niemal zupełnie, wyciągnięty wygodnie, z ramionami podwiniętymi pod głowę leżał bez surduta, wpatrzony w świecące się słońcem w szparach pajęczyny, sieczką przyprószone, i dumał, do myśli własnych uśmiechnięty. Boć tak rozważywszy rzecz dokładnie, to i cóż by do niego mogła cierpieć Magdzia? Wszakże on jej się tylko odcinał, bronił, a nie zaczepiał sam nigdy, gdzie tedy złości szukać jakowej lub „jankoru”. Musi już taką miała naturę zaczepliwą i sprzeczną, a jak jej z tym było do twarzy, kiedy to w złości niby wielkiej białe pokazywała zęby, a oczy jej się świeciły jak dwie nie przymierzając przy wolancie latarki. A on gdzie swoje miał, żeby się zaś teraz dopiero tej pokojówczynej urodzie dziwować, i dziwował się precz, wpatrzony w migotliwe pajęczyny, a jak mu Józkowe powiadanie na pamięć przywiodło, jako to każda inakasza, insza co wzdycha, a insza znowuż tnie, to go aż czasem, jak w febrze, zatrzęsło. Wiedział już przecie, czemu insze wzdychają.

Nagle gorącość uderzyła na niego płomienista, zerwał się do połowy, nasłuchując chwilę, poczem znów rzucił się na siano i przymknął oczy nieruchomy, jakby pogrążony w śnie głębokim. Serce tylko tłukło się w nim okrutnie, i tłumił oddech, byle je uciszyć jako. Przywarował jak martwy, rumieniec zaś, który mu na twarz buchnął, udanemu uśpieniu dodawał jeno pozorów prawdy.

Od dworu biegła Magdzia z daleka już wołając:

– Jasiek, zaprzęgać żywo! – wysłana w braku kogo innego pod ręką, aby chłopakowi zajeżdżać kazała, i z tym wołaniem wpadła do stajni.

Zatrzymała się w progu, rozejrzała wkoło, ale w stajni nie było nikogo. Chrupot tylko miarowy szczęk końskich, ścierających zieloną zza drabin koni czynę, rozlegał się po niej wyraźnie. Uchylone drzwi komórki zwróciły uwagę dziewczyny:

– Pewnikiem śpi! – rzekła półgłosem i otworzyła je starając się w ciemnej przestrzeni rozpatrzyć.

Jasiek ani drgnął, a tylko zza rzęs rozchylonych z lekka śledził każdy ruch dziewczyny.

Dostrzegła go wreszcie.

– A co, nie mówiłam, śpi!... – mruknęła, poczem w głos zawołała.

– Jasiek, żywo zajeżdżać!... panienki kazały!...

Tu echem głębokie rozbrzmiało po komórcie chrapnięcie.

– Śpi, jak zabity! – ciszej zauważyła Magdzia i jakby niepewna, co czynić, przystanęła u wejścia, cała oblana światłem, wpatrując się w leżącą w półcieniu postać Jaśka, jak malowaną.

– Śliczności chłopak!... – szeptem prawie wybiegło z ust dziewczyny i westchnęła.

I uwaga ta, i westchnienie nową falę krwi rzuciły w twarz Jaśkowi, ale się zmógł i leżał dalej przyczajony.

– Jaśku, zakładać!... – rozległo się znowu po stajni, i znowu wezwaniu temu głośnie odpowiedziało w głębi komórki chrapanie.

– Eee, sprawiedliwie... – zniecierpliwiona już burknęła dziewczyna i poskoczyła ku śpiącemu, a chwyciwszy go za rękaw koszuli szarpnęła nim wołając:

– Jaśku, za... – i nie dokończyła zdania.

Jak sprężyną podrzucony, zerwał się Jasiek z legowiska i obiema rękoma pochyloną nad nim Magdzię w pół objąwszy, zanim wystraszona krzyknąć nawet zdołała, przygarnął ku sobie i twarz jej, oczy, usta, głowę obsypywać jął pocałunkami raz za razem:

– A może figę z makiem!... a może figę z makiem!... – powtarzając.

Zaskoczona najniespodziewaniej nie próbowała nawet oporu. Poddawała się pieścizotom bierna, jak bezwładna uczuciem zdziwienia, nie wiedząc, co się z nią dzieje.

Aż tchu prawie pozbawiona, ocknęła się dziewczyna; całą szarpnęła się mocą i, wyrwawszy się z uścisku, odskoczyła pod ścianę komórki, o którą się oparła.

Jasiek powtarzał znowu:

– A może figę z makiem!... a może figę z makiem!... – z oczy świeciły mu się jak iskry.

Nie słyszała go, nie patrzyła nawet na niego. Pochyliła głowę, brwi zmarszczyła, niby gniewna, a niby z natężeniem w coś wmyślona, bezwiednie strzepując ze spódnicy źdźbła siana. A potem żywym ruchem podniosła ręce i poprawiła warkocza, raz jeszcze strzepnęła odzież, wyprostowała się nagle i splecioną, nie spojrzawszy na Jaśka, pędem wybiegła ze stajni.

– A mówiłem, niech ino dziś spróbuje!... – rad z siebie, uśmiechnięty powtarzał w duchu Jasiek zakładając konie. Bardzo był z siebie zadowolony i błogość zdejmowała go wielka. Słodycz ust dziewczyny czuł na swoich, a czuł także, że ust tych i słodyczy pragnie okrutnie, że mu za nimi dokuczać będzie tęsknota, że miał ich mało, że mu ich teraz trzeba było więcej koniecznie, o czym myśląc, ani wspomniał nawet stelmachowej. Tu zdobywał, a tam – zdobywanym był tylko.

Czy jednak zdobył? I żywcem stanęła mu nagle przed oczyma pochylona, o ścianę komórki wsparta postać Magdzi i namarszczona, niby gniewna twarz jej, i uporczywe milczenie, bez jednego bodaj spojrzenia ku niemu, i lęk go zdjął, zali nie przegrał sprawy, i cała opuściła go fantazja.

Gdy przed dwór zajechał, począł się z kozła dookoła rozglądać w nadziei, że może gdzie Magdzię upatrzy i przecie coś z niej wymiarkuje, daremnie jednak. Pokazała mu się dopiero przy wsiadaniu panienek, niosąc za nimi okrycia

i pled na nogi, ale i tym razem ani się nie odwróciła w jego stronę i najwyraźniej pozór miała zagniewanej.

– Źle!... – pomyślał i bardzo mu się zrobiło markotno.

Dopiero gdy ruszono z miejsca, a on nieznacznie raz jeszcze rzucił okiem na stojącą przed gankiem pokojówkę, pochwycił jej spojrzenie i wydało mu się, iż w oczach dziewczyny te same błyszcząły światła, jak w chwili onej, kiedy to, nie podejrzewając podejścia, w drzwiach komórki z ust jej się wyrwało:

– Śliczności chłopak!... – a potem westchnienie.

Wstąpiła weń otucha, odżyła nadzieja i całą już drogę myślał tylko, jakim by się tu sposobem najrychlej do Bąkowy dostać, i różne układał plany, które, niestety, wszystkie rozbiły się o twarde wymagania służby. Nazajutrz zaraz na dni kilka trzeba było z panem jechać do Radomia, potem panie wyjeżdżały znowu na dłużej do krewnych aż pod Sandomierz, a choć w drodze tej nie Jasiek, ale sam stangret Wojciech brał udział, to jemu od stajni, zostawionej na jego opiece, krokiem oddalać się nie wypadało, a i dziedzic, który pozostał w domu, mógł go każdej chwili potrzebować.

I niecierpliwił się chłopak, nowej zdobyczy łakomy, westchnieniami stel-machowej ścigany, ani domyślając się nawet, że właśnie zwłoka ta w odwiedzi-nach najskuteczniejszym była mu sprzymierzeńcem. Magdzia, co zrazu na nie-spodziewany wybuch Jaśka nieprzygotowana, zdziwienie swoje i zadowolenie z pozornej porażki i ten wstyd, który ją wobec niego zdjął nagle, pokrywką uda-nego gniewu i obrazy osłonić się starała, następnie zaś obiecywała sobie drażnić go obojętnością i chłodem, popastwić się nad nim, aby mu się zwycięstwo nie wydawało zbyt łatwym, po całorocznym zwłaszcza z jego strony oporze, Mag-dzia, zmuszona na czas dłuższy zamiary te swoje odłożyć, pozbywała się zwolna wojowniczego usposobienia. Wspomnienie chłopaka wybijało się na wierzch, dziewczyna zaczęła tęsknić, umizgom rządcy nawet nierada, i oto, gdy się jej nareszcie po kilku tygodniach niewidzenia Jasiek nawinał, zmiękła jak wosk, zaniechawszy wszelkiego udawania.

Wypadały właśnie imieniny dziedziczki bąkowskiej, na które, jak to było w zwyczaju, całe do Bąkowy zjeżdżało Wielgie. Stangret Wojciech karetą po-wiózł panie, Jasiek wolantem dziedzica z proboszczem wielickim, po którego wstępowano na plebanię. Zanim się proboszcz wybrał, upłynął kawałek czasu, i karetą znacznie wyprzedziła wolant. A tu każda stracona chwila niecierpliwiła Jaśka okrutnie. Kręcił się na koźle jak na szpilkach, gdy więc ruszono wreszcie sprzed plebanii, wyciągniętym kłusem popędził konie. Dziedzic, który sobie życzył właśnie, by się trzymano w pewnym od karety oddaleniu dla uniknięcia kłębami spod kół jej dobywającego się kurzu, daremnie starał się skłonić chło-paka do wolniejszej jazdy. Jasiek tłumaczył, że młode, niedawno ze stadniny wzięte konie rwały same za karecianymi, i ani ich mógł utrzymać, ukradkiem jednak to lejcamy, to batem przynaglał je do biegu. Wiedział z doświadczenia, że skoro się raz do karety zbliży, pan ją minąć rozkaże, a chodziło mu o to już nie dlatego tylko, aby samemu prędzej stanąć na miejscu, ale by wyprzedziwszy

starego tetryka stangreta, uwinąć się z wyłożeniem koni i drapnąć, zanim Wojciech zajedzie przed gościnną stajnię i ze zwykłą sobie powolnością swoje wykladać zacznie. Boć, oczywiście, pomagać mu trzeba było, a może na wyraźne przełożonego zlecenie na cały wieczór kamieniem trwać przy stajni. Dawniej, niedawno jeszcze, nie byłby się tym martwił zbytecznie: wobec imieninowego zjazdu, w licznym gronie furmanów i koni pilnując zabawić się można było wesoło; tego rodzaju zabawy nawet nęciły go głównie, choćby jeno wspomnieć próbę batów, którymi na dziedzińcu dworskim w chwili wznoszonego na pokojach zdrowia solenizantki ogłuszające wystrzeliwano salwy. Jasiek w strzelaniu był mistrzem i za popisami owymi przepadał, dziś jednak czworokonnego bata nawet nie wziął ze sobą, a pilnować nie stajni pragnął, ale – Magdzi.

Toteż ani się dziedziec opatrzył, gdy zewsząd chmurą karecianego pyłu otoczony dusić się jął, krztusić i spluwać, aż wreszcie wrzasnął:

– Mijaj!... kiedy utrzymać koni nie możesz!... – a chłopak, co rozkazu tego czekał tylko, świsnął batem, i wolant jak strzała przemknął obok karety, i potoczył się dalej, furcząc jeno kołami.

– A co, proboszczu? – na wolne dobywszy się powietrze wesoło zagadnął dziedziec towarzysza – źrebięta niczego?

– Niczego, bo niczego, ale i słone! – odparł z westchnieniem proboszcz, który pół roku już targował ze stadniny dworskiej parę młodziaków, ale się jakoś na cenę zgodzić nie miał odwagi.

– Co dobre, to i słone! – zawyrokował właściciel rącznych źrebaków, podczas gdy Jasiek korzystając ze sposobności, jakby chodami zaprzęgu swego chciał się popisać, poganiał, co się dało.

I wolant na dobre pół godziny wyprzedził karete, a skoro zgramoliwszy się z kozła Wojciech przed gościnną stajnią bąkowską obejrzał się za Jaśkiem:

– Ho!... ho!... gdzie go tam szukać, i miejsce po nim zastygło!... – objaśnił kolegę z fajką na bryce pana swego rozłożony wygodnie Antoni z Gardzienic, na co Wojciech pełną poddania się losom odpowiedział uwagą:

– Ino popuść hultaja, a tyle go obaczy! – i zdjawszy płaszcz liberyjny, rad nie rad, sam się do wykładania koni zabrał.

Jasiek tymczasem, starannie omijając na tyłach dworu uwijającą się służbę, myszkował w pobliżu izby czeladnej. Spodziewał się tu zdybać choć w przelocie pokojówkę, licząc trochę i na to, że gdy go zoczy, sama może wybiegnie. Krzakami ogrodu skradał się ku sieni, oddzielającej kredens od czeladnej i garderoby, i mimo imieninowej krętaniny do sieni tej dostawszy się szczęśliwie, przystanął we framudze drzwi roztwartych, obojętnie z pozoru papierosa paląc, a raz wraz spoglądając w okna garderoby, z załamanego w tym miejscu skrzydła dworu wprost na niego wychodzące. Tu go dziewczyna, jeżeli tylko w garderobie była, dojrzeć musiała, drzwi zaś roztwarte sieni w razie potrzeby zasłonić ich mogły sobą.

Obrane jednak stanowisko do bezpiecznych nie należało. Opodał, w przysłonionym krzewami budynku folwarcznym, w którym mieściła się dworska

kuchnia, wrzało jak w garnku. Miejscowi kucharze z dopożyczonymi z sąsiedztwa, otoczeni rojem dziewczek, oddanych im do pomocy, wśród klątw i nawoływań, przyrządzali imienionowe przyjęcie, stróż zaś, dobry Jaśka znajomy, w cebrzykach pełnych lodu, posypanego solą, a przed folwarkiem na dworze ustawionych rzędem, pokręcał puszki z lodami i marznących doglądał auszpików i galaret. Z sąsiedniego kredensu dolatywała wrzawa napływającej wciąż z gośćmi służby. Lada chwila zjawienie się czyjeś w sieni spłoszyć go mogło i udaremnić jedyną sposobność spotkania Magdzi.

Niecierpliwił się też, z nogi na nogę przestępując, w obawie przede wszystkim, aby go nie zdybał w tym miejscu domyślny Józiek. Nauczyciela już dziś nie potrzebował, a zwierzeń, gdy o Magdzię chodziło, czuł, że wystrzegać się winien. Nikt go jednak nie płoszył, chwila bowiem zjeżdżania się gości całą uwagę mieszkańców dworu w ich stronę kierowała.

Skrzypnęły wreszcie drzwi czeladnej, na Jaśka buchnęły płomienie, ale i wnet opadły. To kucharka wychodziła po drzewo do drwalni. W przejściu kiwnęła chłopakowi głową przychylnie:

– Nijakiego dzisiaj nie będzie podwieczera! – zagadnęła go w przekonaniu, że jak zwykle, na podwieczorek przychodził – bo się ludzie ciągiem zjeżdżają. Wieczere się ino wyda pospólnie.

Jasiek za objaśnienie podziękował udając, że przyszła w porę, i jak na węglach czekał dalej, aż się doczekał. Nie zdążyła jeszcze kucharka powrócić z drzewem, gdy w otworze zastawionych przez nią drzwiach czeladnej zjawiała się Magdzia.

Gdy się do sieni skradał chłopak ogrodem, już go z okien garderoby dostrzegła. Powodów skradania się onego domyśliła się łatwo i pokraśniała. Widziała Jaśka następnie o framugę drzwi wspartego, zerkającego w jej stronę, ale choć ją do niego żywnie ciągnęło, ciągnęło jak do nikogo w życiu, przeczekać chwilę postanowiła, bo i ochłonać trzeba jej było, i podrożyć się przecie. Podrożyć się koniecznie, z tą myślą szła do sieni, upatrzywszy wyjście kucharki, a szła udając, że się nikogo spotkać nie spodziewała. Nucić ją półgłosem i nucąc, niby to nagle, spostrzegła Jaśka.

Dziw jednak, jak na sam widok chłopaka cała odbiegła ją pewność siebie i w okamgnieniu stopniał zamiar podrożenia się. Ledwie ją bowiem chwycił za rękę i poza drzwi sieni pociągnął, nie wiedząc prawie, co mówi, patrząc mu w oczy z wyrazem uległości w swoich a z prośbą w głosie:

– Niech Jasiek puści!... – jęła powtarzać. – Kucharka idzie z drzewem!...niech Janek puści!...

A że nie puszczał:

– Za ogród wylecę dziś wieczorem!... niech Jasiek puści!... – dodała.

Teraz dopiero puścił, raz tylko pocałował i puścił, a podczas gdy dziewczyna pobiegła dalej, jakby ją coś gnało przed siebie, on nie czekając kucharki zniknął w kredensie.

I dziwne odtąd działały się z Magdzą rzeczy. Szafirowe oczy chłopaka zapadły jej, hen, w duszę, i byłaby za nimi na skinienie szła w wodę i ogień, ona, co się swoimi jeno zachwycać umiała. Zniewolił ją sobie, nito psa człek niewoli, i odmieniła się przy nim, jako na nice odwrócona odzież. I gniewało ją to chwilkami, i próbowała oporu, cóż jednak radzić jej było, kiedy jak przyszedł, spojrzął a uśmiechnął się do niej, żadnej nie miała przed nim obrony.

Dawnych, wszczepianych w nią życiem, radami i przykładem ojca nawyknień nie porzuciła, o nie, jak własnej nie zapomniała urody, rada zawsze i wszędzie popisywać się nią, zdobywać, a jeno przy chłopaku, przy swoim, potulniała jak trusia, dla Jaśka na każdą gotowa zawsze ofiarę. Co więcej, zalotną stawała się dla niego, na jego korzyść. I nigdy by się nie odważyła przyznać ojcu, że ona, ta Magdzia, dokoła której roilo się od umizgów, zbierane tu i owdzie oczyma zyski przetapiała na papierosy, szaliki, cygarnice, chustki lub spinki Jaśkowe, że byle dobyć z niego błysk tylko przelotnego bodaj zadowolenia, była w stanie sto razy na pogardliwe „głupiaś” Nowotnika zarobić. Ba! wiedziała i dobrze, że się jej z kochania tego nic nie zawiąże, że chłopak, syn ubogiej ze wsi wyrobniczy, z łaski wychowany przy dworze, nie dla niej był mężem, ni ona dla niego żoną, a jednak w Bąkowie jeszcze, wszak z myślą o nim, i wbrew namowom ojca, odrzuciła zamęście z rymarzem z sąsiedniego miasteczka Ciepiewlowa, właścicielem posiadłości mieszczańskiej, a i pochodzeniem, jak ona, z „tyków”.

Jakoś w pół roku po pierwszej za ogrodem Jaśka z dziewczyną schadzce kilka dni spędził w Bąkowie przy robocie dworskiej, no i dostał się w ręce pokojówki. Póty strzelała oczyma, aż od rozmiłowanego na dobre rymarza wytarowała dla Jaśka na sarniej nóżce oprawną świeżo nahajkę, dla siebie zaś obicie skórą kuferka i – oświadczyły. Te jednak dostały się jej w zgoła niepożądanym dodatku, bo na spór naraziły ją z ojcem, który zrazu na małżeństwo to jął napierać. Wytłumaczyła mu się jednak młodością, nadzieją lepszego zamażpójścia w przyszłości i nie wiadomo skąd zaczerpniętą wieścią, jakoby rymarz zapijać lubił okrutnie. Skończyło się zatem na nahajce i obiciu kuferka, za które zapłaciła całusem ukradkiem pochwyconym i mocą obiecujących spojrzeń.

Tylko że Jasiek, rad wprawdzie zawsze jak malowanie dziewczynie, ani się na rymarza obejrzał, choć próbowała drażnić go nim wyraźnie. Chłopak, zadowolony głównie z łatwej zdobyczy przez wzgląd na miłość własną, nie troszczył się zbytnio o nią, nowych podbojów żądny i nowych w przyszłości pewny. A brak ten w nim zazdrości, pewność siebie, lekceważenie, z jakim od pierwszej niemal chwili wystąpił wobec niej, jątrzyły Magdzą dawno i gryzły, teraz zaś, wobec świeżych obojętności dowodów, wprost podejrzenie wzbudziły, zali jedynym była Jaśkowym kochaniem.

I nękać ją poczęły długie między odwiedzinami jego przerwy i niemożność bliższego wniknięcia w życie miłego jej nad życie chłopaka, i rozwijać się w niej jęła podejrzliwa o wszystko i wszystkich zazdrość, która pod wpływem

wiadomości o stelmachowej, udzielonej jej złośliwie przez Jóźka, domyślającego się stosunku pokojówki z przyjacielem, objęła ją jak płomieniem.

Namowy Jukla do porzucenia służby w Bąkowie, którymi ją prześladował od pewnego już czasu, i wkrótce potem dokonane odkrycie zboża pod plewami przysły jej same z pomocą. Uniknąwszy bowiem sprzeczek z ojcem i podejrzeń ludzkich, wraz z ojcem tym w dodatku, znalazła się pod bokiem Jaśka w Wielgiem.

Tu uspokoiła się trochę, jakkolwiek bowiem wnet dostrzegła, iż w plotkach Jóźka było coś prawdy na dnie, a zachowanie się stelmachowej widocznie wskazywało wyraźne jej dla Jaśka skłonności, a nawet pewne do niego prawa, to jednak przekonała się jednocześnie, jako prawa te do bezpowrotnie przedawnionych należały. Chłopak, powodzeniem zepsuty, a doświadczeniem dojrzały, z rozmiłowanej w nim kobiety drwił dziś tylko, naśmiewając się z niej przed ludźmi. Jak z jednej wszakże strony sprawiało to dziewczynie pociechę, uwalniając ją od obawy przed danym współzawodnictwem, tak z drugiej napawało lękiem przed współzawodnictwami w ogóle. Jasiek rwał się do życia, oczy mu się za dziewczuchami świeciły, i ani sposobu było Magdzi pochwycić go dla siebie wyłącznie. Dotąd trwał przy niej, wiedziała o tym, niewoliła go jeszcze urodą, a zjednywała sobie obsypywaniem podarunkami, do których przyzwyczaiała go sama, które zdawały się mieć znaczny wpływ na niego, a które teraz, niby dań sobie należną, przyjmował. Czy go jednak utrzyma jutro, pojutrze? A tu co dnia wzmagało się w niej kochanie i coraz trudniej było jej się pogodzić z myślą utraty onej dusznej swojej nawiści.

Aż po roku szarpaniny takiej ze sobą czując, że chłopak coraz się bardziej z rąk jej wymyka, postanowiła, wszelkie przeciwne temu pomijając względy, przykuć go do siebie bodaj małżeństwem. Działo się to w porze, w której dla nikogo prawie we wsi, prócz najbliższej tym zainteresowanej Franciszkowej, nie były już tajemnicą Jakubowe do Magdzi umizgi. Dziewczyna przyjmowała zaloty gospodarskie wraz z sutymi przy nich gośćmi, jak tyle przyjmowała innych, bez zastanowienia się nad zalotami, rada zaś wielce gościom; ale zupełnie inaczej, zgoła nie wiedząc o sobie, patrzyli na nie: Nowotnik i Jasiek.

Co do pierwszego, ten w związku Magdzi z Musiałą znakomitą widział dla siebie i córki „okazję”. Zasobny, niby kolonista jaki, gospodarz, groszem podszyty, a przy tym nie pierwszej już młodości, wydawał mu się doskonałym przedmiotem wyzysku. Boć, ani wątpić chyba, iż młoda żona, do rzeczy zabrać się umiejąca, rozkochanego Jakuba wodziłaby na pasku, jak dziecko. Na pierwszą wzmiankę Magdzi o nowej w osobie Musiały zdobyczy, choć jeszcze żona tego wtedy, gajowy zamyślił się nie żartem, w miłostce podżytego już chłopca dopatrując się źródła nie lada korzyści, i stanął mu w oczach długi szereg bezpłatnych w karczmie posiedzeń. Zalecił tedy córce, która pomimo sprytu swego zdawała się nie pojmować położenia i lekceważyć owe chłopskie „amory”, umiejętne pokierowanie sprawy, bo jak się wyraził:

– I panicz przy takim furda... dziś jest, jutro go nie ma, a takiego zawdy pociągnie.

Jakoż przekonano się niebawem, że to chłopskie kochanie ani się paniczowym umizgom nie równało, a rady doświadczonego Nowotnika i tym razem nie zawiodły. Hojność Jakuba, bezinteresowna hojność, w podziw wprowadzała Magdzię. Korzystała też z niej dla siebie i dla Jaśka, jak mogła, nie zapominając i o przypytującym się ze swej strony ojcu, a nagłe odstrychnięcie się od niej Musiały, które na czas choroby żony jego przypadło, zaniepokoiło ją bardzo. Zafrasował się nim i Nowotnik, i dopiero śmierć Musiałowej nowe odłoniła mu horyzonty. Domyślił się przyczyn pozornej odmiany w uczuciach zabobonnego chłopca i nie wątpił, iż jako wdowiec, tym chętniej im się podda. Widział się już w marzeniach na wygodnym stanowisku ojca zamożnej gospodyni, a nie wiedząc nic o stosunkach córki z Jaśkiem, jął ja do małżeństwa z Jakubem nakłaniać, dziwując się jeno oporowi z jej strony. Ucieszył się za to niepomiernie, gdy po głośnym we wsi podarunku cennych bursztynów, postanowiwszy sobie choćby przymusem wydać Magdzię za Musiałę, nie tającego się już wyraźnie z zamiarami swoimi, na pierwsze o tym słowo znalazł dziewczynę bodaj zaraz gotową iść do ołtarza.

A był to skutek namowy Jaśkowej. Kochanek z ojcem zeszli się tu, jakby w porozumieniu. Jasiek zaczął mieć dosyć Magdzi. Dziewczyna nękała go zazdrością, a chłopakowi pragnęło się wolności niekrępowanej niczym. Zrywać z nią nie chciał wprawdzie, zanadto i do papierosów przywykł lepszych, i do szalików coraz odmienniejszych; zresztą i kochanki dorodnej żał mu było jeszcze tracić, a tylko zawadzała mu, ot, w tej chwili, jak nieraz już zawadziła w innej, w nawiązanej z kowalczanką miłostce, u której celu majaczył mu się i ożenek bogaty z Nastką. Gdybyć ją tak odsunąć było można od siebie, utrudnić Magdzi baczną każdego kroku śledzenie, a jednak mieć ją na zawołanie? Małżeństwo z Jakubem jak raz wszelkie rozwiązywało trudności; gadali już o nim ludzie po wsi, a i Magdzia o ojcowskich wspomniwała mu namowach i pytała niby o zdanie, z którym wszakże, na rymarzu sparzony, nie wyrwał się, w strachu przed wybuchem zazdrości, aż wyrwał się dopiero, gdy szczerą się ku temu nadarzyła sposobność, kowalczanka zaś wprost oświadczyła, jako dzielić się z nikim nie myśli, a i zemsty się obawia Magdzinej.

Właśnie pod tę porę, wzrastającą obojętnością Jaśka przynaglona, chwyciła się Magdzia ostatecznego na własną odpowiedzialność sposobu i napomknęła mu, z daleka obchodząc drażliwy przedmiot, że byłoby może najlepiej na pobranu się skończyć.

– A bo nam to źle? – odparł chłopak, nierad propozycji i starając się zbyć ją niczym.

Dziewczyna jednak nalegała tym razem, aż przyparty do muru, wybuchnął:

– W głowie ci się pomieszało czy co? – prawił już bez ogródek. – A kajże bym cię to po weselu zaprowadził?... do stajni?... a do garnków to może owsa nasypał?

Nie dawała za wygraną:

– Można by się na ordynarię zgodzić! – zauważyła. – Przy dworze to i dla mnie znalazłaby się robota.

Ale jej przerwał opryskliwie:

– A ino... na ordynarię!... a kto by mi ją dał?... a wojsko to śpas?... nie mówiący, co i lat swoich nie mam, i matka by pozwoleństwa nie dali!...

– Jaśku, Jaśku!... – odezwała się teraz bliska płaczu dziewczyna. – I młodsi od ciebie pobierają się, ale tobie żeniaczka nie w smak ze mną, i tyle...

Łzy w głosie Magdzi udobruchały go trochę.

– Głupiaś ty, Magdzia!... – rzekł miękcej. – Ani ja krzyw, ani do ciebie nijakiej nie mam niechęci, ino i tobie trza mieć pomiarkowanie. Kaj mnie to o żeniaczce myśleć, ale tobie to i czas, i żebyś tak...

– A cóż, ty mnie chcesz jeszcze swatać? – zachnęła się dziewczyna.

– A bo i co?... – ciągnął teraz buńczucznie Jasiek postanowiwszy raz wygadać się. – Żebyś tak rozum miała, pojęłabyś lepiej oto Musiałę, i po krzyku!... byłabyś panią, jak się patrzy, a co do czego – dodał z uśmiechem – przy Jakubie to i nam byłoby dobrze.

Tu ją przedstawiać płynące dla wszystkich ze związku z Musiałą korzyści. Zbierała pokojówka owoce własnej siejby i w Jaśku podatną znalazła glebę. Rozbudziła w nim chciwość, i oto teraz, gdy bez osłonek kreślił wymownie jej przyszłe ich życie pod strzechą starego męża, poczuła jasno, że zasobami tej strzechy jedynie chłopca utrzymać zdoła, i rozeszli się w zgodzie: on wesół, ona zaś przekonana, choć smutna.

– Słyszałem w karczmie – rzekł jej na pożegnanie – co się na pozajutrze na jarmark ze zbożem wybierają Musiała do Lipska, wyprośże się ty u dziewcziczki i targu dobijeta.

Los rychlejsze zdarzył, niż sądziła, spotkanie, i oto jechała Magdzia Jakubowym wasągiem dobijać targu na jarmarku.



Jechała z mocnym postanowieniem wydobycia z Jakuba oświadczyń, które, jak już nie wątpiła, od chwili śmierci Musiałowej, wisiały jeno na ustach rozmiłowanego gospodarza, ale spaść z nich do tej pory nie spadły.

Było w tym i jej winy niemało. Naglonej namowami ojca dziewczynie, a zamążpójścia niechętniej, bo całą duszą w stronę Jaśka zwróconej, zdarzało się powstrzymywać w drodze z ostatnim niejako słowem wypowiadającego się Musiałę, to skierowaniem rozmowy na inne tory, to uwagą, słowu temu wręcz wrogą.

Wszakże niedawno, bo późną już jesienią, gdy zaszedł ją zajęta rozwieszaniem bielizny na tyłach ogrodu owocowego i zbliżywszy się z paczką pierników na poczęstunek – nigdy się bowiem z próżnymi rękoma nie zjawiał – wspomniął w rozmowie o pustej chacie, ona, świeżą utarczką z Nowotnikiem o to zamęcie rozdrażniona, zwierzenia przerwała krótko:

– Wyście pewnie, Jakubie, niewiele co od rodzica mojego młodszy?

I jakże mu było zwierzać się dalej? Odchodził smutny, a zgoła swego niepewny, ile że inna mu się przypomiwała z pokojówką rozmowa. Od Węgra roznoszącego po wsi towary kupił jej suto oprawny „Ołtarzyk złoty”. Na widok ozdobnej książki, do której wzdychała dawno – czytać bo się w Bąkowej jeszcze przy dworze poduczyła – rumiana zadowoleniem rzekła mu sama z siebie:

– Wyście tacy chyba dobrzy Jakubie, że ino waszą być, sprawiedliwie.

Ale on się wtedy z uradowania wielkiego nie opatrzył, a później to mu już tego nie powtórzyła więcej. Zawdy go tak, ni to, ni sio, wodziła.

– Kto ci ją wie? – powtarzał, to zwątpieniem targany, to kołysany nadzieją.

Gdyby o Sulimową na ten przykład chodziło, nie wahałby się pewno: wysłałiby matka Kajtaniakową na zwiady i po wszystkim. A tu ni matki się poradzić, ni kogo, roznieśli by na językach i tyle, a może i na śmiech ludzki podali. Samemu miarkować trzeba było koniecznie, a tu, jak co do czego, z obawy dusznej wyraźnie odbierało mowę.

I kręcił się Jakub na saniach, jak ryba w ukropie, z każdą chwilą więcej zakłopotany, podczas gdy Magdzia zerkała nań ukradkiem, obmyślając sposoby postawienia na swoim.

Aż ich wypadek z kłopotliwego położenia wybawił:

Nadjechano do miejsca, w którym droga, niby koryto rzeki wyspę, dwoma ramionami otaczała kępę drzew, gęsto krzewami podszytą. Popod okiścią, jako krużgankiem śnieżnym, wypadało się tu przesunąć, a potrącenie jednej gałązki zasypaniem groziło.

Na widok niebezpieczeństwa szybkim, bezwiednym ruchem w bok podała się dziewczyna i całym ciężarem wsparła się o Musiałę. I stała się z nim pod wpływem dotknięcia tego rzecz dziwna: on, co jej dotąd myślał tknąć się nie

ważył, ramieniem przygarnął Magdzię do siebie i, nieprzepartej ulegając pokusie, już, już do ust się jej nachylał, gdy Wicek zaciął konie wołając:

– A nie daj!... A hedź go!... A kota!... – i wpadł z wasągiem, idącym na zatokę, jak huragan pod okiść. W oka mgnieniu i konie, i sanie zamieniły się w bryłę śniegu, wasąg zaś, zatoczywszy półkole tyłami sani, z takim utknął rozpędem, że ułożony wierzchem, jako oparcie, worek stoczył się z niego, Jakub zaś o mało drugą nie wypadł stroną.

Wymierzony Wickowi w kark kułak z wykrzyknikiem Musiały:

– A rozkazywałem uważać, psi synu!... – rozległy się chórem po lesie, zmieszane ze śmiechem Magdzi, co wyskoczywszy z sani, otrzepywała ze śniegu odzież, złośliwie spoglądając na Jakuba po niedoszłym zamachu.

– Nie udało się polowanie – rzekła dwuznacznie – zając drogę przeleciał.

A Wicek płaczliwym tłumaczył się głosem:

– A ino, dyć ścierwo walił prosto na sanie, mówiłem, co zajadę...

– Ja ci, smyku, zajadę!... Złaż mi do worka!... – wrzasnął Musiała powtórnym kułakiem rozkaz ten popierając. Ale krzyczał i bił dla zachowania pozorów. W duszy rad był przygodzie, przyszła w porę, gdy ani rusz nie wiedział, co ma począć ze sobą, a zerkanie dziewczyny niby szpilkami kłuło. W powietrzu nadto zastygły zamiar, choć z niego drwiła Magdzia, jeszcze dodał otuchy. Skądże bo mu się odwaga wzięła? A skoro przyszła, no to mogła przyjść jeszcze, czuł nawet, że oto wzbierała w nim dziwnie i nanosił z parobkiem zalegające drogę sanie i siedzenie na nich układał, śmielej jakoś oglądając się za dziewczyną.

Ona zaś najniespodziewaniej jęła grymasić:

– A to ja lepiej pójdę piechotą – odezwała się z dąsem, gdy do wsiadania przyszło; ale ją, nie po swojemu rezolutny, Musiała przemocą niemal wsiąść znaglił. – Ino bez polowania, bardzo proszę – mruknęła niby gniewna, znacząco sadowiąc się na skraju samym wasąga. – Obejdzie się wesele przez marcepanów!...

Musiała uśmiechnął się tylko; pokazał przecież, co umie, i jego się strzec należało, i on nie zawsze języka zapominał w gębie. I raźniej mu się jechało, choć Magdzia teraz i niespokojna zdawała się, i nie swoja.

Zbliżano się do Rozdroża. Na widniejącym już z dala gościńcu zwoleńskolipskim, który, biegnąc tu od Ciepiewowa, pod kątem prostym przecinał drogę wielicką, jako na miejskim trakcie ruch z okazji jarmarku objawiał się znaczny.

Co chwila na widnym skrawku drogi, jakby w ramie drzew niktne obrazy, przesuwały się to sanie, to pieszo zdążający na jarmark. Nieco w lewo, zza wąskiej już tu ściany lasu wyraźny dochodził kwik prosiąt, prowadzonych na sprzedaż. Naprzeciw Żyd jakiś borykał się z krową, podczas gdy z głośnym brzękiem janczarów przemknął się zaprząg młodego dzierżawcy rządowej wioski, Jasieńca. Jarmark zapowiadał się ludny.

Na kilkaset kroków przed punktem zbiegu wielickiej drogi z gościńcem, zza drzew na prawo, biały śniegiem, błysnął dach karczmy Rozdroża. Wiankiem

otaczały ją zatrzymane dla wytchnienia furmanki, których właściciele to bijąc rękoma o plecy, to przytupując nogami skostniałe rozgrzewali członki. Spora u wejścia gromadka otulonych kobiet i we wnętrzu jej domyślać się dawała grona przyjezdnych, mniej platonicznie rozgrzewających się półkwatkiem.

Już przy gościńcu Magdzia odezwała się nagle:

– Niech Jakub zatrzymać każą, ja wysiądę...

Musiął spojrzeć na nią zdziwiony i milczał.

– Niech Jakub zatrzymać każą – powtórzyła – bo wyskoczę – i przechyliła się w bok, jakby wykonać zamierzała pogrózkę.

Pochwycił ją za rękaw, ona zaś przyciszonym głosem mówiła szybko:

– Ani mi Jakub swat, ani brat, aniśmy po zrękowinach, ani też po ślubie, żebym przy nim świecić miała oczami. Niech Jakub puszczają i tyle!

Szarpnęła się tak niecierpliwie i gniewnie, że ją puścił.

– No już zgoda – rzekł – zgoda, ino się za Rozdrożem spotkamy w lesie...

– Dobrze... dobrze... – przerwała mu, jakby się go pozbyć chciała prędeej, i znowu nachyliła się niby do skoku.

– A stań no Wicek!... – zawołał Musiś widząc, że nie ma rady.

Wyskoczyła i aż na przeciwną stronę drogi pobiegła, skąd niecierpliwie burknęła:

– A niechże Jakub jada!

Cóż było robić? pojechał, raz wraz oglądając się za brodzącą w śniegu dziewczyną.

Przed karczmą nie zatrzymywał się wcale, chociaż go przed nią jeden i drugi kum witał. Ku lasowi, ciemniejacemu po drugiej stronie polanki, głównym już teraz zdążał gościńcem, gdzie miał nadzieję zabrać znów Magdzię. W gruncie rzeczy nie dziwił jej się, że nie chciała tak przy nim przed ludźmi świecić oczyma. Ni swatem jej był, ni bratem; ni po zrękowinach byli, ni też po ślubie. Ale bo i raz skończyć z tym wypadało, skończyć koniecznie, a bodaj zaraz; niechże się dowie, co go czekało, potem zobaczy. Bo i co sobie dziewczyna pomyśleć mogła: kręcił się, niby ta ćma, wedle niej, a gościńce zwoził i tyła na tym. Przecie niewiasty pragnęło mu się swojej, rodzonej, jak się patrzy, po bożemu i ludzku. Teraz i gwałtowne wydzieranie się z sani Magdzine na korzyść jej przemówiło do niego:

– Miała recht – mruknął – nie ma co mówić!

A potem zaraz:

– Harda dziewczucha – i wzruszył ramionami na myśl o bajkach, jakie o niej chodziły, i obmowie.

– Złość to na jej urodę i tyle, kto zaś ją pojmie, ten się nie powstydy niewiasty.

Na skraju lasu kazał Wickowi konie zatrzymać i obejrzał się znowu. Szła prosto ku niemu, polną drożyną, na tyłach jej omijając karczmę. Wyraźnie unikając spotkania z ludźmi, a może śpieszno jej było do swojego miejsca na wasąggu. Tylko że w pewnym od lasu oddaleniu przystanęła i nieznacznie jęła mu

dawać znaki, aby jechał dalej. Spełnił życzenie to w połowie tylko i wysiadłszy z sani polecił Wickowi zwolna posuwać się naprzód, sam zaś zatrzymał się, czekając w gęstwinie. Snadź rozporządzenie to nie zadowoliło jej ze wszystkim, czas bowiem jeszcze jakiś widocznie wahała się, czy ma iść dalej; po czym jednak, nasunawszy chustkę na oczy, ruszyła z miejsca.

Ale zrównawszy się z Jakubem nie zatrzymała się, ani nawet zwolniła kroku, szła dalej, mijając go pośpiesznie.

Poskoczył za nią.

– Niech Jakub jadą swoim dworem – burknęła. – Ja tam niczyjego nie potrzebuję asystunku.

W rozpaczliwym położeniu, wszystkie siły ducha zebrawszy zaczął:

– A to widzi Magdzia...

Przerwała mu, zatrzymując się gniewna.

– Sprawiedliwie, czego Jakub chcą ode mnie? – zapytała patrząc mu w oczy.

Zmieszało go to pytanie do reszty.

– Ano – rzekł, jakby mu się słowa na własną odpowiedzialność z ust rwały – ano... chciałem ino wedle tych zapowiedzi... – i uciał nagle nie wiedząc, co mówić dalej.

Ale mu teraz, dobiwszy targu, przyszła z pomocą. Zadowoleniem rumiana, innym już zgoła ozwała się głosem, dalekim od zniecierpliwienia i gniewu.

– Jakie znowu zapowiedzi?... Co Jakub wygadują?...

– Dyc moje, nie przymierzając, i Magdusine – odparł, zmianą usposobienia dziewczyny ośmielony.

Choć jej się na śmiech zbierało, powstrzymała się jednak, a niby zdziwiona tylko, zapytała swobodnie:

– Z kimże się to Musiała żenią? bo ja tam o swoich zapowiedziach pierwszy raz słyszę.

Jął się nareszcie tłumaczyć jaśniej.

– A to krótko mówiący, chciałem nikiem dać na zapowiedzi, ino – tu, zdjawszy czapkę, pokłonił się dziewczynie do kolan – ino mi o przyzwolenstwo Magdzine chodzi.

Z kolei spoważniała i ona, chwilę pobladła, ze spuszczonej stała oczyma, jakby zniecka zaskoczona pytaniem, na które ciężko dosyć było jej odpowiedzieć, po czym wzruszona odparła:

– Trza się rodzicowi pokłonić.

– Trza... ma się wiedzieć... ino co Magdzia?... – niepewny jeszcze pytał Musiała, mnąc czapkę w rękach, niespokojnie w dziewczynę wpatrzony.

Czas jakiś trzymała go w zawieszeniu, zawzięcie koniec chustki okręcając na palcu, wreszcie, zarumieniona, odpowiedziała półgłosem:

– Ja tam nie od tego.

Tu do nóg się jej znowu pochylił, a z ust serdeczne wybiegło mu:

– Bóg zapłać – a potem, jakby w niego człek nowy wstąpił, od kolan się porwał dziewczyny, czapkę zarzucił, szybko obejrzał się dokoła, jak piłkę podniósł ja w górę, wykręcił, pocałował, a potem skoczył na drogę wołając:

– Hop!... Hop!... – zatrzymał Wicka, rękami dając mu znaki, aby nawracał.
– No teraz – wtrącił wesoło – to i pojedziwa razem.

– Pojechać, pojedziemy, ale niech mi się Jakub do całowania nie zrywa, będzie czas na to po ślubie.

W nim jednak grała już, podniecana pewnością siebie i odniesionym zwycięstwem, buta iście kawalerska.

– Jak ci tu nie całować – rzekł – kiej słodka!...

– Nie zgorzknije do wesela – odcięła się po swojemu. – Niech ino Jakub – dodała – nie zwleka z pokłonem ojcu. W niedzielę po nieszporce na leśniczówkę zabiegnę.

Jak najrychlej pragnęła go związać, mieć jak najrychlej wolne ręce, zbyć się wszystkiego jak najrychlej.

Niewesołe bo też niebawem poczęły ją obiegać myśli. Targu dobiła i sprytnie, to prawda, ale co potem? Jasiek utrzymywał, że będzie dobrze, wszystkim dobrze, i poszła za jego radą, a właściwie życzeniem. Czy się nie pomyliła jednak? Ten Musiała jakby odmłodniał przy niej, nie tak bo znowu na starego wyglądał męża, i kto wie, jak to tam mogło być jeszcze. A Franciszkowa jak przyjmie? Słyszała o niej, że twarda, zabita chłopka. „Łykom” nierada a i dworakom także. Tu wszakże na spryt swój i przypochebność liczyła. Niechby tam sobie zresztą i pilnowała starowina dziecka, bo dziecko to, ta pasierbica przyszła, głównie ją przejmowała wstrętem. Macochą zostać miała, a miano to i stanowisko, tak sprzeczne z urodą jej i wiekiem, niby zgrzyt jaki drażniły ją i bodły. Widziała już czepiającą się jej spódnicy Kasię, którą nieraz uczepioną tak u matki lub babki spotykała w kościele, i podrzucało ją nieledwie na wspomnienie o tym.

– Niech sobie – pomyślała – co chcą robią z dzieckiem, byle mi święty dali z nim pokój. Ja mu tam ślubować nie myślę wcale... Dość mi starego!...

I taki ją oto strach zdjął nagle i zniechęcenie, że jeno chyba w las skoczyć, a do niego uciekać, do Jaśka, a wołać, że niczyich dostatków nie pragnie, tylko jego łaknie kochania. I ani pojmowała, co ją na saniach przy chłopie tym prostym trzymało i co on jej, wesoły, rozmowny, prawił a prawił, że usta mu się nie zamykały.

Gdzieniegdzie zaledwie chwytiała słowo: Mówił o zapowiedziach, o ślubie w maju, o matce mówił, dobrej, choć „sprzecznej” trochę, wreszcie o dziecku wspomniał i uważniej słuchać go jęła:

– Z Kasią to nijakiego – ciągnął – przyniewolenia, nijakiej zgłoby. Dziewczyna, kieby ta trusia, a na babkowej opiece. Skoro podrośnie, to i wysługa będzie z niej zawdy. Przyjmiewa dziewczkę i będzie se Magdzia w chałupie panią, nijakiej ta od rozkazywania we dworze. Jest ci u Musiały dostatek, co się to przy nim Magdzi i za dworskimi nie zatęskni marcypanami.

W miarę jak go słuchała, zwolna przychodziła do siebie; boć i korzyści w zamierzonym jej związku nie brakło. Było i sporo: i własny dach nad głową, i chleba kawał własnego, i wolność, której nie szukać w służbie, i stanowisko zamożnej gospodyni, wcale pokaźne. Ta para zaraz, jak gałki spasionych koni, i te worki ze zbożem, i wasąg, na którym oto wygodnie wsparta, jak pani jaka, jechała, wszystko to do niej, do niej należeć miało. A tam, za nimi, to gospodarstwo znów całe – dobytek kolonisty. Wiedziała o tym od ojca, który, wychwalając jej dostatki Musiałowe, powtarzał:

– Ho!... ho!... Jest ci czym łzę obetrzeć, jest, i nie jedną!...

Pod działaniem tych myśli otucha w niej rosła, przyszłość nie tak się przedstawiała czarna. Spojrzała uważniej na Musiałę. Siedział teraz uśmiechnięty, z nałożoną świeżo krótką fajką w zębach i pykał z niej sobie z takim wyrazem zadowolenia i dobroduszości, że się i jej usta mimowolnie do uśmiechu rozchyliły, a do oczu napłynęły owe migotliwe, figlarno-wyzywające błyski, które nęciły jednych, zaciekawiały innych, Jakuba zaś onieśmiały w dodatku okrutnie.

– Musi będzie tańcował – pomyślała – jak mu zagrają.

Tak, przy nim i drugiemu mogło być dobrze. I Jasiek, i Nowotnik mieli bo chyba słuszność. Trochę z jej strony sprytu i przebiegłości, a wszystko pójdzie jak z płatka. Stanowczo na związku z Musiałą nic nie traciła, a zyski?... było ich było, jak mówił Jasiek, dla wszystkich.

Poprawiła się na siedzeniu wygodnie, znad oczu odgarnęła chustkę i śmiało rozejrzała się po drodze. Niechby ją teraz i spotkał kto na Jakubowym wasągu.

A pobyt na jarmarku utwierdził ją tylko w przekonaniu, jako wolniej, zasobniej, a na pasku wodzącej męża gospodyni swobodniej było, niż pokojówce przy dworze, obracać się po świecie.

Zaraz na wstępie pochlebne dla miłości własnej spotkało ją powitanie.

Mosiek Koper, wszystkich znający w okolicy gospodarzy, krawiec z powołania, od święta zaś, a zwłaszcza w czasie jarmarku, faktor, skoro tylko dostrzegł wtaczające się na rynek zbożem wyładowane sanie Jakuba, z góry obliczając zyski, jakich spodziewać się mógł po miękkim zwyczajnie w targu Musiałe, z grzecznym podbiegł do niego pokłonem i jął pana gospodarza, „gospodarza nad gospodarzami!”, wypytywać ciekawie, co przywiózł, a z czym zamierzał powracać. Dowiedziawszy się, że na saniach „na przedaj” było cztery korce pszenicy i sześć żyta, skrzywił się utrzymując, że „chłopstwo” tyle zboża nawiozło, co „nijakch” nie należało się cen spodziewać, co jemu tylko i „na jego sumienie”, po dawnej znajomości, uda się kupca „prosić”, ale z trudem, bardzo wielkim trudem.

Tu markotnemu zapowiedzią złego targu, wiedząc z doświadczenia, iż Musiała miększym bywał „po wesołości”, mrugnął okiem znacząco w stronę Magdzi, której nie znał, i tak, aby go i ona, może także klientka, usłyszeć mogła, zawołał:

– Fajn panienska, takiej drugiej po całym jarmarku nie znajdzie!... A gdzie to się – trącając łokciem Musiałę, dodał – panienski takie rodzą?

Musiała rad był pochwale, ale poufałości nie bardzo.

– A to niech sobie Mosiek od panienek gęby nie wycierają – rzekł hardo – toto nijaka tam panienska, ino moja, po zrękowinach, i szabas.

Mośka to niby aż podrzuciło z wielkiej radości. Poskoczył do wasaga i jął przed Magdzą, kłaniając się po kilka razy, wykrzykiwać w zachwycie, co jak świat światem, takiej nie widział, po czym zapytał, czym się on, Żydek biedny, pani gospodyni przysłużyć może.

– Coby i Mosiek przy takim wielkim święcie zarobił.

Zarumieniona słuchała Magdzia oświadczeń Żyda, pierwszy raz w życiu napawając się onym zadowoleniem, jakie z poczucia własnej godności płynie. Toćże ten Koper, bijący jej w podrygach pokłony, aniby się za pokojówką obejrzał. Stawała się więc czymś, czym dotąd, mimo krasnego lica i czarnych oczu nie była, a stawała się dzięki małżeństwu, rozumnemu małżeństwu z zamożnym gospodarzem.

– Będiesz se panią – powtarzali jej i Jasiek, i ojciec, a obiecywał Musiała, i oto państwa tego pierwsze zbierała dowody. Ostatnie ślady niepewności, lęku i wstrętu spadły jej z duszy i chwilę, prawie z wdzięcznością, utkwiała wzrok w Jakubie. Choć dla Jaśka uczucia jej na pozór żadnej nie uległy zmianie, już teraz jednak zdziwienie ją opanowywało na myśl o ożenku, tak niedawno proponowanym przez nią chłopakowi. A toć obecnie otwierało się przed nią życie dopiero, i znowu w stronę Jakuba spojrzała.

Ułożono się, iż gdy on zajmie się sprzedażą zboża, ona na przeglądaniu straganów czas spędzi, sprawunki zaś, jakie załatwić mieli, załatwią razem. Przed rozejściem się jednak, na zaproszenie Musiały, wstąpili do jedyne go w mieście zajazdu, arystokratycznego zakładu na rogu ulicy Iłżeckiej, gdzie w pierwszej, ogólnej izbie wygodnie za stołem, kolorowym obrusem nakrytym, na wyplatanych siedząc krzesłach, wypili dla rozgrzania się po szklance herbaty z arakiem i ciastkami; pragnąc bowiem wszelkimi sposobami jak najdodatniej przedstawić dziewczynie przyszłe jej stanowisko, no i uraczyć czym mógł i umiał narzeczoną, Jakub nie oglądał się dnia tego na wydatek.

A nie śpieszno im było opuszczać zakład, grało w obojgu uczucie miłość własną podniecające przy tej herbacie z ciastkami; nadto Jakub, do jarmarcznego przywykły handlu, wczekać chciał czas jakiś, aby Żydom zbytniej do sprzedaży towaru nie okazać ochoty; a Magdzia? Magdzia napotkała tu ulubiona rozrywkę strzelania oczyma, i to strzelania z za stołu, kolorowym obrusem nakrytego.

Zajęła krzesło w głębi od ściany, mając naprzeciw roztwarte drzwi do honorowej salki, dostępne jeno dla wykwinnych gości, obywatelstwa, mieszczan i urzędników co najprzedniejszych. Obecnie na kanapie rypsem krytej, pod lustrem w złożonych niby ramach, nad szklanką herbaty także, siedział w tym gabinecie, żywo rozprawiając z Mośkiem, co chwila wśród zaklęć i przysiąg

nakładającym czapkę, młody dzierżawca z Jasieńca, przystojny brunet, kawaler, a jak to z pogłosek obiegających służbę wiedziała Magdzia, wielce na wdzięki niewieście łasy. Że pogłoski miały podstawę, sprawdziła zaraz na wstępie, skoro ją bowiem ujrzał naprzeciw Kopra, który mu część drzwi zasłaniał, znakiem ręki usunął na bok, a gdy się Żyd zaciekawiony obejrzał i, dostrzegłszy Magdzię, uśmiechnął, wnet zaczął z nim rozmowę o niej zapewne, bo nie spuszczał z niej oka, aż wreszcie szeptać coś jął z faktorem, widocznie wydając mu tyczące się jej zlecenia.

Ona ze swej strony bacznie śledziła ich także, starając się jednak o pozorną w tym obojętność. Ceniła się już sama teraz, zwłaszcza wobec Mośka, o tyle więcej, że pospolite mizdrzenie się pokojówki nie wystarczało jej mimowiednie. Trzymała też oczy na wodzy, z rzadka im tylko na błyskawiczne ku kanapie pozwalając wycieczki. Bawiła się przy tym nieźle, prowadząc rozmowę z odwróconym plecami do honorowego „gabinetu” Musiałą i przekonywała się zaraz w pierwszym dniu istnienia praw czyichś do niej, że prawa te łatwo obejść i w zgoła martwe zamienić litery, że gdyby jeno chciała, dziś jeszcze, przy pomocy faktora, pod bokiem, na oczach nieledwie Jakuba, zawiązać by mogła najbezpieczniej intrygę miłosną.

Tym razem jednak wystarczyło jej przeświadczenie o możliwości zawiązywania intryg na przyszłość, głównie zaś o możliwości prowadzenia ich z Jaśkiem; gdy więc Mosiek, w porozumieniu widocznym z dzierżawcą jasienieckim działający, wybiegł z gabinetu, a mrugając do niej znacząco, pod pozorem pilnego zlecenia w sprawie sprzedaży zboża, starał się na chwilę wyprowadzić z sali Musiałę, Magdzia domyśliła się, iż chodziło tu właściwie o ułatwienie zaczepki nowemu jej wielbicielowi, surowym, pełnym godności obrzuciwszy go spojrzeniem, obrażona niby, wstała z miejsca, oświadczając, że i ona wyjdzie już także na miasto.

W prawdzie Żyd, w mniemaniu, że się na znakach jego nie zrozumiała, nie przywykły w tego rodzaju sprawach ze zbytnim spotykać się oporem, a nierad obiecane go tracić zarobku, próbował, zbliżywszy się do niej pod nieobecność Jakuba, dokładniej rzecz wyłuszczyć, zbyła go jednak krótko a ostro, z objaśnieniami odsyłając do Musiały.

I raz jeszcze miała się Magdzia w tym dniu przekonać dosadnie, jak praktycznym były rady jej ojca i kochanka, gdy przyszło do kupna trzewików, dla którego wrzekomo zyskała pozwolenie na jarmark. W wędrownie dokoła sklepów i straganów, w jednym z pierwszych upatrzyła sobie parę: wysokich, na guziki zapinanych, jak raz na jej nogę, a wzorzysto ciętymi kapkami lakierowanymi zdobnych. Bardzo jej do smaku przypadły, skoro się jednak o cenę ich spytała, zaśpiewano jej półpięta rubla. Po długich targach i kilkakrotnym wychodzeniu i powracaniu do sklepu opuszczono pół rubla, od czterech wszakże ani grosza odstąpić nie chciano, częstując dziewczynę tańszym, ale też mniej wykończonym towarem, nie zapinanym na guziki, a o takie chodziło jej właśnie, bo takie, choć bez kapek, nosiły panienki wielkie. Magdzia, dla której nie

grosz, lecz to, co za niego dostać było można, znaczenie miało, chętnie byłaby za trzewiki zapłaciła i sześć rubli, gdyby je posiadała. Cóż, kiedy w węzełku chustki zwinięte trzymała w ręku cztery wszystkiego i trochę drobnych, od gościa za posługę otrzymanych niedawno. Starczyło wprawdzie na trzewiki, nie starczyło zaś na piękny z czerwono-malowanej kości garnitur spinek, za które pięć złotych żądano, a który jakżeby rada, wraz z nowiną o oświadczeniach Musiały, przywieźć Jaškowi, szczególnemu amatorowi spinek. I tu rubla ceniono zrazu, utargowała złoty grosz dwadzieścia i ani rusz więcej odstąpić nie chciano.

Markotna, biła się już z myślami, czyby na tańszym tym razem gościńcu nie poprzestać dla Jaška, i tak mu bowiem pożądaną przecie wiozła wiadomość, czy może w ostateczności, wymawiając się prezentem dla ojca, dapożyczyć kilka złotych od Musiały, gdy ten ostatni dobiwszy targu o zboże i nieźle je, wbrew przepowiedniom Kopra, sprzedawszy, wesół, nic już nie mając na głowie, a z pieniędzmi w kieszeni dopadł dziewczynę zadumaną smętnie przed sklepem, z za którego wystawy świeciły się do niej lakierowanymi kapkami czterorublowe trzewiki.

– Ano, kiej szelmy nic nie chcą spuścić – rzekł, o przyczynie kłopotu Magdzi zawiadomiony – to trza zapłacić i kwita. Chodźwa do sklepu!... – i popchnął z lekka dziewczynę ku wejściu.

Energia Musiały zdecydowała ją na kupno; skoro jednak, odebrawszy trzewiki, dobywać poczęła z węzełka w kilkoro złożone papierki:

– Nijakiej na to zgody!... – równie energicznie zawołał Jakub, ruchem ręki odsuwając ją od lady sklepowej. – Co się należy? – zapytał. – Ja płacę!... i wyjął z zanadrza w kolorową szmatę starannie owinięty, dobrze już podniszczony pugilares, pełny świeżo za towar odebranych banknotów, z których pracowicie grubymi palcami wysunięte wręczył szewcowi cztery ruble.

I nie dość na tym, w przekonaniu, iż chodziło o Nowotnika, zafundował Jaškowi spinki, żeby zaś pieniędzy w chustce nosić nie potrzebowała, za pół rubla kupił dziewczynie skórzaną, „zamykaną fest” sakiewkę.

Hojność Musiały i pugilares jego, zasobny w kwotę, jakiej nie tylko, że w ręku nie miała jeszcze, ale i nie widziała może nigdy, znacznie w oczach jej podniosły przyszłego męża w sukmanie nad poziom tego, co w dworskiej gwarcze przywykła mianować „chłopstwem”. Z chłopem ożenek, zwyczajnym chłopem tylko, w jakże nowym przedstawiać jej się jął świetle.

A Musiała, jakby się uwziął, na niesłychane pozwalał sobie wybryki. Kobiątka oto ze złożonymi w niej przez Franciszkową jajami, chlebem i serem, które tak dla Jakuba jak i Wicka, wedle jarmarcznego zwyczaju, z co najwyżej dokupionym półkwatkiem wódki lub kuflem piwa w pierwszym z brzegu szynku, ku wielkiej jego uciesze dostała się niepodzielnie parobkowi, i to z dodatkiem całej złotówki napiwku. Jakub z Magdzą raz jeszcze odwiedzili zajazd przy ulicy Iłżeckiej, gdzie nie herbatą już, ale dwiema porcjami pieczeni wieprzowej z kapustą uraczyli się, zakrapiając je dwiema butelkami piwa radzikow-

grosz, lecz to, co za niego dostać było można, znaczenie miało, chętnie byłaby za trzewiki zapłaciła i sześć rubli, gdyby je posiadała. Cóż, kiedy w węzełku chustki zwinięte trzymała w ręku cztery wszystkiego i trochę drobnych, od gościa za posługę otrzymanych niedawno. Starczyło wprawdzie na trzewiki, nie starczyło zaś na piękny z czerwono-malowanej kości garnitur spinek, za które pięć złotych żądano, a który jakżeby rada, wraz z nowiną o oświadczeniach Musiały, przywieźć Jaškowi, szczególnemu amatorowi spinek. I tu rubla ceniono zrazu, utargowała złoty grosz dwadzieścia i ani rusz więcej odstąpić nie chciano.

Markotna, biła się już z myślami, czyby na tańszym tym razem gościńcu nie poprzestać dla Jaška, i tak mu bowiem pożądaną przecie wiozła wiadomość, czy może w ostateczności, wymawiając się prezentem dla ojca, dapożyczyć kilka złotych od Musiały, gdy ten ostatni dobiwszy targu o zboże i nieźle je, wbrew przepowiedniom Kopra, sprzedawszy, wesół, nic już nie mając na głowie, a z pieniędzmi w kieszeni dopadł dziewczynę zadumaną smętnie przed sklepem, z za którego wystawy świeciły się do niej lakierowanymi kapkami czterorublowe trzewiki.

– Ano, kiej szelmy nic nie chcą spuścić – rzekł, o przyczynie kłopotu Magdzi zawiadomiony – to trza zapłacić i kwita. Chodźwa do sklepu!... – i popchnął z lekka dziewczynę ku wejściu.

Energia Musiały zdecydowała ją na kupno; skoro jednak, odebrawszy trzewiki, dobywać poczęła z węzełka w kilkoro złożone papierki:

– Nijakiej na to zgody!... – równie energicznie zawołał Jakub, ruchem ręki odsuwając ją od lady sklepowej. – Co się należy? – zapytał. – Ja płacę!... i wyjął z zanadrza w kolorową szmatę starannie owinięty, dobrze już podniszczony pugilares, pełny świeżo za towar odebranych banknotów, z których pracowicie grubymi palcami wysunięte wręczył szewcowi cztery ruble.

I nie dość na tym, w przekonaniu, iż chodziło o Nowotnika, zafundował Jaškowi spinki, żeby zaś pieniędzy w chustce nosić nie potrzebowała, za pół rubla kupił dziewczynie skórzaną „zamykaną fest” sakiewkę.

Hojność Musiały i pugilares jego, zasobny w kwotę, jakiej nie tylko, że w ręku nie miała jeszcze, ale i nie widziała może nigdy, znacznie w oczach jej podniosły przyszłego męża w sukmanie nad poziom tego, co w dworskiej gwarze przywykła mianować „chłopstwem”. Z chłopem ożenek, zwyczajnym chłopem tylko, w jakże nowym przedstawiać jej się jął świetle.

A Musiała, jakby się uwziął, na niesłychane pozwalał sobie wybryki. Kobiątka oto ze złożonymi w niej przez Franciszkową jajami, chlebem i serem, które tak dla Jakuba jak i Wicka, wedle jarmarcznego zwyczaju, z co najwyżej dokupionym półkwatkiem wódki lub kuflem piwa w pierwszym z brzegu szynku, ku wielkiej jego uciechu dostała się niepodzielnie parobkowi, i to z dodatkiem całej złotówki napiwku. Jakub z Magdzą raz jeszcze odwiedzili zajazd przy ulicy Iłżeckiej, gdzie nie herbatą już, ale dwiema porcjami pieczeni wieprzowej z kapustą uraczyli się, zakrapiając je dwiema butelkami piwa radzikow-

sukmany kolana jej i stopy nakrywał. Uśpioną tak aż pod ogród wielicki dowiózł, do zabudowań dworskich przytykający, i tu dopiero, rozspaną znosząc prawie z wasągu, do oporu niezdolną, pocałunkiem pożegnał, swaty na niedzielę zapowiadając.

– Nie zapomnijcie tylko – upomniała, przez gumna śpiesząc ku dworowi z myślą zajrzenia po drodze do stajni, gdzie w komórce, jak zwykle, oczekującego na nią spodziewała się zastać Jaśka.

– Kajbym ta miał przepomnąć... Dobranoc Magdzi!... – odparł, a gdy mu z oczu znikła, szybko wskoczywszy do sani:

– Jedź... a jedź... – powtarzał niecierpliwie Wickowi, zdziwionemu pośpiechem, a żywo poganiającemu konie boczną popod ogrodem ku wsi drożyną.

Pilno mu było dziś jeszcze, pod urokiem spędzonych chwil z Magdzą i szczęśliwie przyjętych oświadczyn, rozmówić się z Franciszkową. Pilno... czuł bowiem, że nie ulegnie, „choćby go matula skłąć mieni”, dziewczuchy nie odstąpi swojej...

I od proga zaraz, wchodząc do chaty, zwołał:

– A to zmówiłem se, matka, niewiastę na jarmarku. Galantą zmówiłem se niewiastę!...

Zabudowania gospodarskie Jakuba otaczały podwórze kształtu prostokąta, szczelnie zewsząd ogrodzonego. Jednym krótszym bokiem dotykało drogi, wraz z chatą, frontem i drzwiami ku niemu zwróconą. Naprzeciw drzwi, opodal nieco leżała studnia, obok tej zaś wysoka sterta gałęzi i odpadków różnego drzewa na opał, nadto dwa brogi, puste niemal w tej chwili, na siano i paszę. Poza chałupą sad, przeważnie gęstą śliwiną zarosły, dalej zaś w równiej za nią linii stała obórka, stajnia i chlewiki, wszystko w jednym budynku, a jeszcze dalej, stanowiąc sama drugi, krótszy bok prostokąta, wznosiła się długa stodoła, o jakie trzysta kroków od chaty odległa. Zwartą ścianą tarniny obramowana, biegła poza stodołą polna wzdłuż wsi droga, równoległa do głównej, za którą już tylko, jak okiem sięgnął, ciągnęły się pola włościan wielickich, ujęte ciemną u nieboskłonu smugą lasu.

Chata, podwórko, sad i zabudowania wrzały ochotą weselną, przepelnione rojem rozsypanych dokoła uczestników Jakubowych godów. Huczało tu jak w ulu; izba trzęsła się od przytupywań, rozbrzmiewała śpiewkami.

Co chwila, rozpychając grono starszych kobiet i gospodarzy, raczących się u progu kieliszkiem i pogawędką, wybiegała z chaty jak piwonia rumiana dziewczucha, a za nią jeden, dwóch, kilku czasem chłopaków; wśród śmiechu i umizgów, zdążali do studni, chłodu spragnieni i orzeźwienia.

To znowu, wachlując się chustkami lub rogiem fartuchów, chroniły się w cień do sadu, zalotnie śledząc, który tam zechce zwrócić je z drogi. Zaczepione, wzdragały się niby, drożyły, natarczywym opierając się naleganiom, aż gwałtem niemal wprowadzone, wśród gradu docinków i przymówek powracały do izby.

– Pójdzi Maryś... jednego ino... – powtarzał, ciągnąc ją za rękę, szczególny wielbiciel wdzięków Marysi Nachylanki, Jędrak Sulimiak.

– Kiejem okrutecznie zmęczona, Jędrak – broniła się dziewczyna wyrывая się napastnikowi w sad, ku śliwinie.

– Pódzi... pódzi... jednego ino obróciwa... Dziewczyna jak mur, a wzdraga się tańca...

– A juści!... Jak mur!... Widzi go!...A ty kieby forteca...

– Kiej nie chcesz po dobroci, pójdiesz po niewoli – następowało porwanie.

– Jędrak!... Sprawiedliwie!... Eee!... – wołała, szamocąc się w objęciach Jędrka, Marysia, w duchu zadowolona wielce.

– A nie daj się... a nie daj się, Maryś!... – wykrzykiwały dziewczuchy.

– Trzymaj, Jędrak, ostro... trzymaj!... – wtórowały chłopaki.

I niknęła para w drzwiach chaty, wśród chóru śmiechu i żartów.

Za podwórkiem, na drodze, korzystając z muzyki, którą i tu nieco słyhać było, potworzyły się na ochotnika kółka tańczących dzieci. Pocieszenie naśladowały one, z trudem takt chwytając ruchy starszych. Kręciły się prawie w miejscu, dziewczuchy osobno, chłopaki osobno. Tu rej wodziła Kasia, a czerwona jej spódnica i świeży zielony fartuszek do zmroku świeciły wśród codziennego przyodziewku towarzyszy.

W gronie co najprzedniejszej starszizny, wygodnie na wystawionej pod ścianą od podwórza ławie, fajkę krótką trzymając w zębach, w szaraczkowej kurtce o zielonych wyłogach i z rogu jeleniego guzikach, rozsiadł się, na weselu personat, ojciec panny młodej, Nowotnik. Chłop tęgi, barczysty, o sumiastych, szpakowatych z lekka, jak miotły wąsiskach, o cerze jak u córki śniadej, o krótko strzyżonej, gęstej, szpakowatej czuprynie i przebiegłością świecących czarnych oczach, rozpościerał się tu, raz wraz do kieliszka zaglądając, z miną nieledwie gospodarza, przyjmującego gości na swoich śmieciach.

Tam, w chacie, gdzie z pomocą tylko Kajtaniakowej i Wicka, bo Magdzi nawet niczego tknąć się nie dała, krzątała się Franciszkowa, a gdzie zrazu i Nowotnik także próbował wstępny bojem „swojaka” odegrać rolę, mniej powiodło mu się szczęśliwie. Musiałowa, o prawa swoje zazdrosna, „przbłędem”, jak zwała Nowotników, niechętna, gdy się jej po komorze jał kręcić i na własną z niej rękę to napitek, to kołacze, to mięsiwo wynosić, a częstować nimi, niby od siebie, zbyła go krótko:

– A to niech mi się gajowy po komorze nie swędają!... Co potrza, to z Kajtaniakową i Wickiem usłużę...

Nie udało się również wesołością rozbroić starej, skoro bowiem podochocony w podskokach zbliżył się do niej i niby żartem jednego chciał z nią „obrócić”, dla „przypominku”, jak mówił, wciąż go z lekceważeniem „gajowym” zowiąc, burknęła gniewnie:

– Ani ja sarna, ani gajowy zając, coby wele mnie, nikiej po lesie, wyskakiwali!... – a gdy mimo odprawy nie ustępował, takim poczęstowała go kułakiem, że dając za wygraną, splunąwszy tylko, aż na podwórze się wyniósł, klnąc

w duchu i pocieszając się myślą, że Magdzia przecie wnet po swojemu z „chamami” porządek zrobi.

Ale Magdzia oczy miała tylko dla Jaśka, niepokoju pełne i troski. Gęste brwi łukiem zwierają się jej nad nimi, na gładkie czoło głęboką ściągając za sobą bruzdę, a łzy, najcięższym jeno powstrzymywane wysiłkiem, coraz to świeżą biły w nie falą, lada chwila gradem posypać się gotowe. Istne bo przechodziła męczarnie i, jak wówczas w drodze do Lipska po oświadczeniach Musiały, lęk ją zdjął znowu okrutny, azali wolności swej i życia nie zaprzepaściła na marne, azali jej sił starczy zgotowaną sobie znieść dołą.

Po pierwszym zaraz zetknięciu się z Franciszkową odczuła jasno, że wroga miała w niej zaciekłego, że w chacie tej wszystko jej obce, wstrętne, że z „chłopstwem” nie zżyje się nigdy; a tu Jasiek w dodatku jakby jej nie widział z całą jej krasą, z całym kochaniem. Przetanączył z nią na wstępie raz, drugi, a potem za dziewczuchami jął gonić, co rade chłopakowi, rośtemu jak trzcina, jedna przez drugą garnęły się do niego, to go oczyma wabiąc, to śmiechem i zaczepkami.

A najwięcej kowalczanka; ta nie odstępowała go prawie, a snadź przylubił ją sobie, bo raz wraz do tańca prosi i hula z nią, hula, jak z żadną.

A Magdzi kraje się serce. Chwilami uderza jej krew żarem do głowy i skoczył by chciała do Jaśka, i osłonić go sobą, i krzyknąć:

– Zasio wam, dziewczuchy, od niego!... On mój!... Zasio wam od kochania, powiadam, zasio od nawiści mojej serdecznej!... Zasio, dziewczuchy!...

Ona jednak niewiastą już Musiałową, a tamte dziewczuchy wolne! A tu wszystkich oczy na nią zwrócone, Jakub zaś jak przypięty do niej. Ten i ów z panną młodą dobija się tańca i tańczy, choć za chwilę rozmowy z Jaśkiem życie by oddała!...

– Także być miała obięcywana dola po ślubie?... Tak że to miało być dobrze, tak wszystkim dobrze?...

I żeby jeszcze nie ta Nastka przynajmniej!...

Zmierzchem zaledwie wyrwała się świeżego chwycić powietrza, a raczej za Jaśkiem biegła, co z kowalczanką wyszedłszy z izby, nie wracał już od godziny. W drzwiach chaty kołem ją obstały kumoszki, ale się bałamucić nie dała, chłopaka oto dostrzegła swojego i nie widziała nic więcej. U studni stał i wodę ciągnął wiadrem, a nie było przy nim nikogo.

Serce zabiło w niej młotem.

– A czekaj no Jaśku! – zawołała – napiję się i ja – i lotem zbiegła ku niemu. Tu, by nie dać pozorów, nachyliła się, kryjąc prawie twarz w cembrowinę, i szybko a przyciszonym jęła mówić głosem:

– Dziewuchy się do ciebie śmieją, a mnie serce boli... Dłużej nie zmożę... Przed oczepinami wylecę za stodołę... Skryj się tam w tarni...

Na więcej nie było czasu, z ławy porwał się do niej Nowotnik i dobrze już podchmielony, podczas gdy piła z podanego jej wiadra, szedł ku studni w ukłonach, uśmiechnięty bezmyślnie, zataczając się z lekka i powtarzając w kółko:

– Pani Musiałowa... Wielmożna pani Musiałowa... Jaśnie pani Musiałowa...

Wtem opanowało go wzruszenie.

– Córka moja!... – płaczliwym wybełkotał głosem, uściskiem próbując ją objąć.

– A to niech ojciec idzie spać, bo pijany... – odtrącając go od siebie, burknęła, do wszystkiego raczej niż do wdzięczności za skojarzenie małżeństwa z Musiałą zdolna w tej chwili. Niech ojciec idzie spać... – powtórzyła raz jeszcze i znacząco spojrzawszy, jakby się pijanego strzec nie potrzebowała: – Leć naokoło i czekaj w tarni... – szepnęła, z wolna zwracając się ku chacie.

– Niech ojciec idzie spać... Niech ojciec idzie spać... – przedrzeźniając głos córki mruknął do siebie, mocno z odprawy niezadowolony Nowotnik.

– Leć naokoło i czekaj w tarni... – powtórzył echem, wpatrując się uparczywie w stojącego jeszcze przy studni chłopaka i nagle poznawszy Jaśka, jakby niespodziewaną uderzony myślą, skurczył się, przysiadł prawie do ziemi, dłoń do ust przyłożył i syknął: – Phii... – śmiech niby tamując głośny, poczem, jak ten, co niepotrzebne zrobił odkrycie, na jednej wykręcił się nodze i na ławę powrócił, tęgim haustem, co widział i słyszał, zapijając.

Zadowolony był z córki, widocznie w „moranse”, jak się wyrażał, nie miała zamiaru wdawać się z Musiałami, a rad był podchwyconej wiadomości, bo nużby tak córka częściej „niech ojciec idzie spać” powtarzać chciała, to i dobrze było mieć na nią sposób. Uczynione odkrycie otrzeźwiło go nawet trochę, a zaraz potem myśl zaniepokoiła, że ta Magdzia, choć sprytna, zbyt może śmiało poczyniała sobie, tak zaraz w dzień godów samych w tarninę wysyłając chłopaków. I postanowił mieć ją na oku dla „przezpieczeństwa”.

Jasiek bo bez zapału przyjął zlecenie kochanki. Chcąc się bez wzbudzenia podejrzeń dookoła wsi aż za stodołę dostać, trzeba było wiorstę przeszło zrobić drogi i kawał stracić uciechy, tańca i mniej niebezpiecznych umizgów. Toćże nie brakło dziewczuch pod ręką, z którymi schadzki nie wymagały tyle ostrożności, a Magdzia i tak nie ucieknie. Śliczna była, to prawda, i od Nastki krańszej, ale pozbywać się dla niej przyjemności, które nie co dnia się trafiały, tego sobie nie życzył wcale, a dla odmiany, to by dziś i przy Nastce wolał się kręcić. Cóż dopiero mówić, gdyby ich tak podpatrzył kto lub zeszedł? Wiedział, że Nowotnika nie było się co obawiać, że córce nie sprzeciwił się w niczym, tyle się jednak ludu snuło dokoła zagrody!...

– Ani mi się śni... – powtarzał w duchu, markotny powracając do chaty. – Powiem, co mnie w drodze zdybano i nawrócić musiałem.

Ale zaraz u wejścia do izby, jakby niepewna swego jeszcze, czekała na niego Magdzia, i zanim minąć ją zdążył, szepnęła:

– Nie zmożę Jasiek... Słyszysz, nie zmożę... Idź, bo nieszczęście gotowe...

– Dyc pójdę... pójdę... – odszepnął niecierpliwie.

– Trza iść – mruknął do siebie – trudna rada, zacięła się nikię koza – i jakby pod działaniem palącego groźbą i zawiścią spojrzenia kochanki, kieliszkiem się odtąd głównie zabawiał, od dziewczek, o ile mógł, stroniąc.

Późnym już wieczorem Franciszkowa poprowadziła Kasię do stodoły i tam, usławszy jej posłanie ze snopka słomy nakrytego kilimkiem, do snu ją ułożyła. Jedyne to było jeszcze w zagrodzie miejsce wolne od napływu gości. Weselna drużyna rankiem dopiero, po oczepinach, na „poprawiny” przenieść się miała do karczmy, a tu dziecku mimowolnie zwierzały się oczy. Wytrzeszczała bo je niepomrotnie dziewczynina dzień cały, różności tyle mając przed nimi. Tańce zdziećmi zmorzyły ją do reszty i bez oporu, jak nieprzytomna, dała się babce zaprowadzić do stodoły, gdzie też i wnet zasnęła twardo, ani budząc się w czasie częstych odwiedzin Franciszkowej, doglądającej przy każdej wolnej chwili snu ukochanego dziecka.

Spało też dawno, a kury już „wele północka znaczyły”, gdy niepostrzeżenie wymknęła się Magdzia na podwórze. „Kawałek” już przed nią, oczyma jej nieledwie wygnany z izby, wysunął się z niej Jasiek na schadzkę. Liczyła, że mógł być na miejscu. Szła wolno zrazu, rozglądając się w koło przezornie. Minęła kilku dobrze podpitych weselników; ci jej nawet nie poznali. Spłoszyła spoza brogu półgłosem sprzeczącą się o coś parę, która na odgłos kroków szybko do chałupy zbiegła, i tak nieznacznie zbliżyła się do obórki. W tej stronie podwórka pusto już było zupełnie, od sadu jeno dolatywało głośne chrapanie uraczonego do syta. Nie zwracając więc uwagi na uchylone wrota stodoły, gdzie zapewne także ten i ów się wysypiał, biegiem puściła się dalej i, szybko a zwinnie przedostawszy się za płot, znalazła się w tarninie.

Tu przystanąła chwilę, serce jej biło okrutnie, tchu prawie złapać nie mogła.

– Jašku!... – szepnęła półgłosem, uspokoiwszy się nieco. – Jašku!... – powtórzyła, upatrując chłopaka w gęstwinie.

Ale się nie odzywał, przyszła za wcześniej.

Ponad nią białych chmur otoczony rojem, z ukosa już tylko przyświecający ziemi, długie kładł po niej cienie pyzaty, ku zachodowi chylący się księżyc. Chwilami tonął w napływających kłębach obłoków, gasł, sam niby wstecz uchodząc, to znów na czyste wzbijał się niebo, jasny, rozświetlony, jakby rad ze zwycięstwa w lotnej z chmurami pogoni.

Słabe się jeno dochodziły echa wesołej w chacie zabawy; tłumiała je potężna orkiestra majowa, rozgłośny chór miliona żab. Od dworskiego ogrodu ostrymi tonami przebijał się śpiew słowika, a znad pól, łąki i lasów falami biły, jedna za drugą, zapachy pogodnej, cichej a tajemniczej nocy wiosennej.

Urokiem nocy tej zdjęta, wpatrzona w niebo, w chór żab i słowików wsłuchana, zapachy chłonąc w siebie majowe stała Magdzia od stóp do głowy bladym zlaną światłem miesiąca, białą plamą na ciemnym tle tarni widna, o bożym zapominając świecie, srebrna, nieruchoma. Żal jakiś i tęsknota chwyciły ją tu kleszczami, pierś podnosiła się i opadała, jakby tam w niej targało się co i burzyło; łkanie gwałtem napierało się do kurczem zaciśniętej krtani, i dwie łzy, te

które już dawno w oczach nosiła, jak grochy wielkie, spłynęły jej po twarzy, ciężko spadając na Jakubowe bursztyny, blaskiem księżycy nasiąknięte.

Nagle ponad runią zbóż z ciemnej smugi tarniny wynurzyła się na światło postać Jaśka. Jak sprężyna porwała się ku niemu Magdzia. Obie ręce zarzuciła mu na szyję i łkając teraz a obsypując go pocałunkami:

– Jaśku!... – mówiła, słowo każde z wysiłkiem dobywając z siebie. – Jaśku, czego ty mnie na to zamięzcie niewolił... czego niewolił... ja doli nie zmożę swojej...

Na wybuch ten nie przygotowany chłopak, w obawie, aby płaczu jej kto nie dosłyszał z podwórza, mimowolnie dłonią zasłonił jej usta a objawszy powtarzał w kółko:

– Cichoj, Magdzia... Cichojże, mówię... – starał się ją z przestrzeni oblanej światłem w ciemny zaułek tarni sprowadzić.

Tu dopiero ochłonał nieco, gdy Magdzia płakała dalej.

– Głupiaś ty – jął ją pocieszać, z niedowierzaniem rozglądając się w prawo i lewo – mazgaisz się, kieby cię wielgaśne jakie napotkało nieszczęście... – i nie dokończył zdania.

Szeptem tuż za nimi wydano rozkaz:

– Machaj w tarń żywo! – stłumiony okrzyk przestrachu Magdzi i skrzyp tylnych, na pola wychodzących wrót stodoły, na której progu nagle pojawiła się zgarbiona postać Franciszkowej, w jedno zlały się echo.

Tej samej chwili, jak cień, Jasiek zaszył się w krzakach, a podczas gdy z dłonią u czoła, jakby jej stare oczy nie znosiły nawet księżycowego blasku, szybko ku bielejącej Magdzi zbliżała się Franciszkowa, zza wylękłej, do ucieczki już gotowej kobiety wynurzył się z tarni Nowotnik.

– Nie bój się – rzekł – to ja – poczem dodał z przekąsem: – Niech ojciec idzie spać, bo pijany.

Stara, która wypadkiem, przy doglądaniu Kasi, szmery jakieś i głosy podsłuchiwała w pobliżu, z daleka już poznała synowę.

– A cóżeś to aże tu zawędrowała, a tam cię Jakub pewnie szukają – mówiła, podejrzliwie rozpatrując się w koło. – Z kimżeś to na rozmowie? – surowym pytała głosem, nie dostrzegając Nowotnika w cieniu. – Dyciem wyraźnie pogawędkę słyszała?

– Z kimże by?... – odparł gajowy, wychylając się na światło z za oniemiałej z przestrachu córki. – Dyc ze mną. W izbie par, wyszliśwa świeżym powietrzem odzipnąć.

Uspokojona, choć niezupełnie i jakby z umysłu nie zwracając uwagi na Jana, zwróciła się Franciszkowa do Magdzi:

– Noc chłodna i o chorobę nie trudno, wracaj żywo do chałupy... Jakub w izbie, a ty za stodołą na drodze... Wracaj do chałupy, powiadam.

Bez oporu, bez słowa uwagi, cała jeszcze groźbą położenia przejęta, zawróciła Magdzia na podwórze i wraz z ojcem, gniewnie coś pomrukującym, znik-

nęła z oczu świerze, co z wolna podążała ku stodole, wciąż bacznie zapuszczając spojrzenie w ciemną ścianę tarni.

Nieufna z natury, była nią podwójnie względem narzuconych sobie wbrew woli „przybłędów”.

Zdawało się jej koniecznie, że inne tu, prócz Nowotnikowego, słyszała głosy, zmieszanie zaś synowej uderzyło ją także.

Raz jeszcze uważnie rozejrzała się wkoło, nic jednak nie dostrzegła. Rechotały jeno chórem żaby, śpiewały w dali słowiki, a zrudziały już mgłami zachodu miesiąc staczał się za ciemny skraj lasu.

– Kajże by znowu, tak zara w sam dzień godów... – mruknęła dochodząc do stodoły.

I przystanęła chwilę w przymkniętych wrotach, ostatnie rzucając spojrzenie na łany wysrebrzone księżycem, gdy oto krzaki tarni szeleścić jęły i rozchyłać się z wolna, wynurzyła się z nich ostrożnie na oświetloną drogę postać ludzka i pędem ruszyła dalej.

Franciszkowej błysnęły jasne, liberyjne, przy krótkim odzieniu guziki.

Mimowolnie cofnęła się w cień, pełen goryczy uśmiech wykrzywił jej usta, poczem suchym, niskim, gdzieś z głębi gardła dobywającym się głosem szepnęła:

– Jasiek!... – i zwarła wierzeje stodoły.



Część druga



Wąskim, na ścieżaj otwartym okienkiem Musiałowej chałupy, wychodzącym na sad śliwiną zarosły, na drogę i hen dalej na łąkę, pola, tyły ogrodu dworskiego, gumna i topolową ku nim aleję, poprzez wazoniki z kwiatami, poprzez liście drzew sadu, lekkim powiewem wiatru poruszane, niby przez sito siane, migotliwe, złote ukosem na izbę padały krople słońca, co, wyiskrzzone na czystym niebie, a ku zachodowi już pochylone, około piątej z południa wskazywało porę.

Jak garścią rzucone blaszki świetlane, czepiały się promyki to ścian izby, to podłogi, to pułapu, wciskając się w szparę każdą, w rozstawione na półkach naczynia, w ciemna jamę komina, poruszając się niby ogniki błędne z miejsca na miejsce i jakby skrami obsypując, gdy się w nie zanurzała rosła postać Musiały, przechadzającego się po izbie bez sukmany, w kamizeli jeno, szerokim spięte pasem, z rękoma w tył na plecach założonymi.

Na malowanej na jesion ławie z poręczą, pod oknem ustawionej, i przed takimże stołem, na uboczu trochę, chroniąc się przed migotliwym najściem słońca, nad robotą pochylona, w białym kaftaniku i czerwonej spódnicy, chwilami tylko i z lekka muskana płomykiem, aż do niej zabłąkanym, siedziała Magdzia i szyła.

W izbie nie było więcej nikogo, a panowała w niej cisza, przerywana miarowym jeno krokiem Musiały i z sadu dolatującym świergotem wróbli. Franciszkowa z Kasią wyszły w pole po chwast dla trzody. Byli sami.

Brwi Magdzi, łukiem ponad oczyma ściągnięte, i frasobliwe a nieśmiało rzucane ku niej od czasu do czasu spojrzenia męża przykrym odbijały kontrastem smętku i przygnębienia od płynącej z zewnątrz, pełnej barw, światła i woni, wspaniałej pogody dnia letniego, uporczywe zaś obojga milczenie zdało się głużyć sobą i tłumić gnane powietrzem tysięczne echa tej pogody.

Wtem zwrócił się Jakub ku żonie, ręce zza pleców rozplótł i ostrożnie przysiadł przy niej na skraju ławki. Magdzia, jakby niemiłym z zadumy wyrwana dotknięciem, niecierpliwym, nerwowym ruchem w bok się podała, brwi zwarła niemal na czole, pochyliła je niżej jeszcze i szyła milcząc, podczas gdy blask słońca, refleksem pąsowego kwiatu pelargonii zabarwiony, padł jej na twarz i purpurowym, ognistym zalał ją rumieńcem.

Musiąła, który właśnie przygarnąć ją do siebie zamierzał, wyciągnięte już ku niej ramię opuścił, onieśmielony nagle, zbity z tropu, aż po chwili wahania, przemocą niemal oderwawszy jej rękę od igły, pocałunkami obsypywać ją zaczął i, nie zważając na opór, miękkiem, potulnym powtarzał głosem:

– Magduś... dyciem ci nie krzyw, kobito... Magduś, dyciem ci nijak nie krzyw...

– Krzyw nie krzyw – zachnęła się, usiłując wyrwać mu rękę – ano puszczaj i tyle.

Ale on chwycił ją wpół i ust jej szukał.

– Magduś... – prosił – jednego aby, Magduś...

Wyprostowała się ze wstrętem i szarpnęła całą siłą.

– A odczepże się ty ode mnie! – i odsunęła się na przeciwny koniec ławki, gdzie znów do przerwanej zabierając się roboty, mruknęła jakby do siebie:

– A cmoktałby ino dziad i cmoktał, niby ten młokos jaki...

Na Musiąkę buchnęły zrazu płomienie, ale się pohamował. Z westchnieniem podniósł się z ławy, fajkę wziął, nałożył, zapalił i z dala naprzeciw żony na przypiecku przysiadł. Zrazu z wyrzutem niemym w oczach wpatrywał się w namarszczoną zawsze kobietę, aż zwolna twarz wypogadzać mu się jęła, wyjaśnić, niby światłem bijącej z duszy błogości zlewana, uczuciem zachwytu i uwielbienia rozpromieniona.

Tak, ów „dziad” zgnął go jak nożem wprawdzie, nie pierwszozna jednak mu była. Nie od dziś w przystępach gniewu częstowała go nim Magdzia, a taki ją miał niewiastą miał swoją rodzoną, w rodzonej chacie swojej. To grunt! Bo choć mu tam nieraz i do żywego dopiekła, choć niby ta młoda koza dobodła, on, byle ją bodaj tak mieć naprzeciw siebie w chacie, czegoż by nie zniósł, czego? A zresztą nie zawdy bywała taka, ot dziś ją napadło i bodzie, aże ją znowu omienie, aże uśmiechnięta, przylipna, jak nie spojrzy na człeka, a nie rzeknie niby śpiewanie jakie:

– Oj, ty dziadu... ty dziadu...

Ino wtedy, oj wtedy niczego już człowiekowi nie żał niczego, a pieściłby tylko i hołubił, na rękach, nikiej to dziecko grymaśne, nosił.

Półtrzecia roku mijają kiedy to po raz pierwszy ujrzał ją na sali dworskiej, w takim oto samym białym kaftaniku i czerwonej spódnicy; rok przeszło, jak odmłodniały kochaniem, niby piórko chwycił ją z ziemi, sprzed wrót chaty niewiastę wniósł pod strzechę, a nawiść ona, co niby piorun z jasnego nań spadła nieba, jeno w nim rosła i rosła, aż ci go do cna zmogła, jak ta rdza, co i hartowaną stal trawi, w duszę się wżarła tak, iż w onej duszy nic się prócz nawiści tej

nie zostało. I czuł, że mogła być z nim, co zechce, poczynać, że za skinieniem jej w ogień i wodę szedłby, że owe troski i zło, które wniosła do chaty cichej ongi, zgodnej i pracowitej, a dziś swarliwej i próżniaczej, że coraz częstsze z matką niesnaski i opuszczenie gospodarki, zdanej prawie na głowę Wicka, i grosza trwonienie, i czasu, że wszystko to niczym mu było, że nie odczuwał tego wobec tej wielkiej, jedynej, nieustannej rozkoszy, jaka nań płynęła z oczu, postaci, ruchu każdego niemal umiłowanej ponad wszystko i wszystkich niewiasty. Stłumiła go nikiem omanem i nic poza nią nie istniało dla niego. Byle jej się w chacie nie cniło, byle mu dobre raczyła dać czasem słowo, byle pieśczętę znieść chciała „chamską”, duszy by się wyrzekł i życia. Nie rozumował nad tym, nie zastanawiał się zgoła, ale ot tak patrząc bodaj na tę Magdzię swoją z dala jak w obraz, widoku jej zawsze spragniony, promienny zdał się kochaniem, co z niego niby światło biło promienne.

I co go jedynie żywiej już dziś obejść mogło i wzruszyć, to smutek tylko i niehumory żony. Spadały na nią coraz częściej, a tak niespodziewanie, że nie umiał ich sobie tłumaczyć. Biedził się nimi, martwił; ilekroć jednak wprost o objaśnienia do niej zgłaszał, czekała go na pewno krótka a niemądra odprawa:

– A niech cię o to głowa nie boli, co mi jest, a tobie nic do tego.

Przypuszczał i w pewnej mierze słusznie, iż powodem sumowania onego młodej kobiety była nieprzyjaźń względem niej matki; ale choć go to z dniem każdym do tej ostatniej rozgoryczało więcej, dotąd jednak nie umiał jakoś spod długoletniego jej wpływu i powagi otrząsnąć się zupełnie i ulegał, już i tak wydawszy ze siebie znaczny zapas oporu i energii w długiej z nią walce o ożenek swój z pokojówką.

Ot niedawno Franciszkowa znowu mu wolę swoją narzuciła, i w tym nawet dopatrywał się, choć mylnie, powodu świeżego niezadowolenia żony. Chodziło o dziewczkę, którą chciał przyjąć, pragnąć na przyszłość od wszelkiej cięższej roboty uwolnić Magdzię, no i z przyrzeczenia wywiązać się, danego dziewczynie jeszcze w dniu oświadczyn. Zwlekał z tym do tej pory, przewidując nowe swary z matką, których, z usposobienia miękkiego a słabego, unikał zawsze skwapliwie. Wreszcie zdobył się na odwagę, ale na pierwsze o dziewczce słowo Franciszkowa porwała się jak oparzona i, nie zważając na Magdzię, rzekła:

– Dziewka na podwórz, a ja z chałupy, na dziady, dość w niej jednego darmożjada!...

A nie była to czcza pogroźka tylko. Pewnym był tego Musiała. Wśród starszych wiekiem gospodyń, ba i gospodarzy nawet, nie dziwotą po wsiach bywały one na dziady wędrówki, aby gdy sił już zbrakło do pracy na zagrodzie własnej, ciężarem jej nie być próżnym, a i młodszym nie zabierać miejsca i chleba. Franciszkowa, której, mimo wiek późny, tchu w piersiach i do ciężkiej starczyło jeszcze roboty, a zabobonne czuła przywiązanie do onego świętej ziemi kawałka, na którym z pradziadów marli i rodzili się Musiałowie, mawiała nieraz, jako po odchowaniu Kasi, skoro życia nie odmówi Przenajświętsza Paniienka, a mocy nie będzie w kościach nijakiej, sakwę rzuci bez plecy a kijem się podeprze że-

braczym, byle tej świętej, rodzonej nie ssać daremnie. I dobrowolna taka wędrówka, skoroby w kościach nijakiej nie było mocy, uświęcona niejednym po wsiach przykładem, pohańbienia nie przyniosłaby ze sobą nikomu, ale spełnienie groźby w obecnym stanie sił i zdrowia starowiny równałoby się wyżeniu jej z chaty przez młodą gospodynię i wstydem ją okryło i hańbą. Dopuścić tego nie mógł Jakub żadną miarą; choć tedy do żywego dotknięta „darmozjadem” Magdzia, jak to czyniła w takich razach zwykle, zamknęła się w komorze i pół dnia przesiedziała w niej samotnie, a długo potem ani mu się przybliżyć do siebie dała – rad nierad ustąpić musiał i poprzestać jedynie na oględnym zburczeniu matki za nieoględne „rozpuszczanie języka”.

Od tej pory, choć kilka już dni upłynęło, a żadnej nowej do boczenia się nie miała przyczyny, młoda kobieta nie uśmiechnęła się ni razu, a wylatywała jeno gdzieś z chaty, to szła milcząc, to wreszcie zamykała się w komorze, gdzie, jak ją podejrzewał Musiała, płakiwała nawet zapewne, bo z czerwonymi, zdało mu się, wychodziła oczyma, a zawsze „handryczna” jakaś, zła i niecierpliwa.

I teraz ot, siedząc naprzeciw niej na przypiecku, a fajkę pykając w zamyśleniu, świeżo dziadem poczęstowany, szukał Jakub sposobów udobruchania chmurnej jak noc, a milczącej jak grób niewiasty. A może i o tę dziewczkę, o którą wprawdzie nie dopominała się nigdy, tak jej żywnie chodziło? Może by tedy raz jeszcze z Franciszkową szczęścia spróbować, a może się uda jako. Nie łatwo bo było z matką, no, ale przecież bywało skruszyć się i przekonać pozwalała niekiedy. A zresztą on tu gospodarz, on rządzi!...

– Słuchaj no, Magduś – rzekł fajkę z ust dobywając; – ja się ta onej dziewczki nijak jeszcze nie odrzekł, a skorom ci ją przyjąć obiecał, to niech se ta matka co chcą gadają, a przyjmę.

Magdzi, której ani w głowie była dziewczka, zdziwiona zrazu niespodziewanym przedmiotem rozmowy, spojrzała na męża zaskoczona pytaniem znienacka, ale wnet opuściła głowę i, szyjąc dalej, mruknęła:

– Daj mi tam pokój z dziewczką, tyle mi o nią, co o ten wiatr, co wieje, chodzi. I tak mi się stara niczego tknąć nie daje, a ciebie by ino skłęła, i tyle.

– Skłęna, nie skłęna – zachnął się Jakub, nadržając miną. – Cóżem to nie gospodarz na własnej zagrodzie, abo co? Ino matka zawdy to matka, bił się z nią przecik nie będę ani prawował.

– To i czemu o dziewce wspominasz?...

– Ano, to ja tak ino wele tej klątwy powiadam, a dziewczkę, jako zechcę, tak i przyjmę.

– A juści!... – uśmiechając się z przekąsem, rzuciła Magdzia.

I znowu zaległa izbę cisza.

Przerwał ją po chwili Musiała:

– Kiej ci nie szło o dziewczkę, to czego się tak handryczysz ino a handryczysz? o kąs mi serce od patrzania na to nie pęknie. Cni ci się w chacie czy co?

Magdzia rzuciła się niecierpliwie, do łez prawie podrażniona pytaniem, które wszystkie jej smutki jakby na światło dobywało z duszy, a powtarzaniem się ciągłym rozpaczliwie nudzić ją zaczynało.

– Jaka jestem, to jestem – zawołała gniewnie – a tobie nic do tego. Siedź na przypiecku, kiedy ci dobrze, i patrz swojego nosa.

– A właśnie, co nie będę siedział – wstając z miejsca, a wesołość udając odparł Musiała. – Słuchaj no, Magduś – mówił zbliżając się ku niej zwolna – na pozajutrze walny jarmark we Zwoleniu, miałem ci ja po prawdzie kośbę poczynać, bo i czas wielki, a słyszę, co i gospodarze na łąki się zbierają, ale co byś mi ino nie sumowała, Magduś, pojedziewa do miasta.

Tu znowu na skraju ławki przysiadł się obok żony i znowu ramieniem ją obejmując prosił:

– Ino jednego, Magduś...

Ale milcząc porwała się z ławki jak sprężyna, robotę na stół rzuciła, i zanim się obejrzał, z trzaskiem zaparła się komorze. Tu głowę utopiwszy w poduszkach suto załanego pościelą łóżka, łkać ją całym żalem i smętkiem, jaki się w niej nie od dzisiaj i z różnych gromadził przyczyn.

Tu bo wyplakać się mogła przynajmniej swobodna. Do komory, gdy chciała, nie wpuszczała nikogo. Do dworskiego rozkładu mieszkań przywykła, a ze wstrętem jeno znosząca myśl wspólnego, jak się wyrażała, „z chłopstwem” w jednej izbie sypiania, przed ślubem jeszcze wymogła na Jakubie, iżby komorę na wyłączny swój, osobisty, mogła mieć użytek. Po długich utarczkach z matką, której się te pańskie „fanaberie” nie podobały wielce, przynaglony jednak gwałtownym domaganiem się tego ze strony dziewczyny, skorzystał z nieobecności w domu Franciszkowej, na jarmarku w sąsiednim Kazanowie bawiącej, i przy pomocy parobka zwinął się tak gracko, że gdy wieczorem wróciła starszka do domu, wszystko w nim przeinaczonym zastała. W komorze pustki; szereg zalegających ją uprzednio fasek, niecek, beczek, stosy worków, szmat, przedziwa i bielizny, wianki suszonych grzybów, połec słoniny, wszystko to znalazło się w przepierzzonej na ten cel w sieni komórce lub na strychu, ulubioną zaś maciorę z prosiętami z sieni wygnano do chlewika. Oburzenie matki nie miało zrazu granic, ale Jakub pod groźbą zerwania ożenku gotów był na wszystko, i niebezpiecznie było za daleko posuwać opór. Zrozumiała to Franciszkowa i poddała się konieczności, ale co przeszła, w gniewnym, zaciętym przypatrując się milczeniu, jak w opróżnionej ze szczętem komorze podłogę zakładano nowusieńką, wprawiano nowe na zawiasach okno, jak łóżko do niej, na jesion malowane, wnoszono i stołki dwa i stół sosnowy, a nawet spore obok okna lustro zwoleńskie przybito w lakierowanych ramach, o tym Bóg jeden wiedział, a z czasem z objawów wrogiego usposobienia starej przekonać się miała Magdzia.

Tymczasem postawiła na swoim. Posiadała, jak się wyrażała, „swój pokój”, którym po ślubie długi czas cieszyła się serdecznie. Sprytna a zysku wszelkiego żadna, umiała w służbie spore nagromadzić zapasy pościeli, odzieży, bielizny

i cacek różnych, i drobiazgów, czym suto następnie wypełniła komorę, małpując dworski obyczaj. I obrazków porozwieszała po niej kilka różnej treści, nie wyłączając wzorów mód, i ołtarzyk sztucznymi ubrała kwiatami, ponad łóżkiem, z pościelą wysoko napiętrzoną, czystym, białym, haftowanym w kółka i ząbki prześcieradłem nakrytą. Pod lustrem kazała sobie przybić półkę, na której „toaletowe” rozstawiła przybory: szczotkę, grzebienie, poduszeczkę na szpilki i odpustowe broszki, ozdobne po panienkach flakoniki od pachnideł, z wiązanymi na szyjkach różnokolorowymi kokardkami. Na stole, obok łóżka, pokrytym kraciastą chustką, leżała w ozdobnej oprawie książka do nabożeństwa „Ołtarzyk złoty”, dar Jakuba, przybory do szycia, w różnych uzbierane czasach, jak nożyczki, igielniki, naparstki, motki z nićmi i włóczka, a wreszcie w ozdobnym, także po panienkach, pudełko od cukierków w watę złożone, także dar Jakuba, bursztyny. Pod lustrem na stołku stała miska fajansowa, biała, obok niej zaś na spodeczku tabliczka mydła glicerynowego. W głębi komory, nakryte prześcieradłem, wisiały pękiem spódnice i stały dwa kuferki z bielizną i rzeczami. Na ścianie, nad łóżkiem, wisiał przybity kawałek starego dywanika i takiż kawałek pokrywał u nóg jego podłogę.

Do tak przybranej komory, a jak się przekąsem wyrażała Franciszkowa „na pokoje”, Musiała na palcach nieledwie wchodził; na prostą jego naturę, do niewygód przywykłą, a do sypiania latem w stodole, zimą w stajni, tak urządzona sypialnia żony nie tylko bezpośrednio oddziaływała rodzajem czaru jakiegoś i mamidla, ale i Magdzię tym droższą mu czyniła i świętszą, niby w pałacu swoim księżniczkę. Wobec progu tej izby, chłop się na delikatność zdobywał mimowiednie, nie przestępował go nigdy bez pozwolenia, a tym mniej z głową nakrytą; gdy zaś zamknięta w niej niewiasta handryczyła się i po swojemu sumowała, ani przez myśl mu nie przeszło, iżby go przestąpić można było własnolnie. Kręcił się pod drzwiami tymi, wzdychał, nasłuchiwał, po głowie się drapał, chrząkał czasem wymownie, czasem zapukał i zagadał, lecz nigdy nie pchnął i otworzyć nie próbował. Co więcej, mimo drwin i przekąsów, nie zdając sobie z tego sprawy, szanowała i Franciszkowa „pokoje obieżyświata”, co zresztą, być może, drwinami właśnie i przekąsem pokrywała.



I tym więc razem, skoro się przed nim z trzaskiem zawarły drzwi komory, nie szukał nawet ku nim drogi Jakub. Wielka mu jeno na twarz wstąpiła zgryzota, a z ust szeptem wybiegły słowa:

– A dyć ja bym jej nieba przychylił, niewieście!... – i nie ruszając się z ławki, zadumany, bez ruchu przesiedział dobre pół godziny, poczem z wyrzutem spojrzął w stronę komory i zwolna wyszedł z izby, ot tak, hen przed siebie, na pola idąc i lasy.

Chwilę później ostrożnie uchyliła drzwi Magdzia, a rozejrzawszy się po izbie i nie widząc w niej nikogo, szybko wybiegła z komory i, równie szybko a ostrożnie przedostawszy się za wrota, ruszyła drogą w stronę zabudowań dworskich.

VI

Na skraju wsi, od strony kościoła i w niewielkim od niej oddaleniu, przedzielając ogród dworski od równoległych z nim sadu i zabudowań probostwa, leżał pastewnik.

Pospolicie „pasternikiem” zwane, kilkumorgowe było to pastwisko, ogrodzone dokoła, kształtu wydłużonego czworoboku: lecznica dla niedomagających sztuk inwentarza dworskiego, schronisko letnie osobników dożywających resztek dni na łaskawym chlebie. Spotykałeś tu więc zawsze to jarzmem poranionego wołu z karkiem obficie nakrapianym olejkiem zwierzęcym, to zołzującego źrebaka z zawłoką, to jakieś kaszlące jagnię, to wreszcie i najczęściej „Jadama” jakiegoś lub „Jewę”, jak się utarło zwać w Wielgiem bezzębne, ostrokościste, kłapouche, a ślepe, ostatnim tchem goniące rumaki.

Zaciszne to było ustronie a malownicze; wonne i kolorowe jak rzadko. Środkiem zieleniła się łąka, macierzanką, rozchodnikiem, smółką i jaskrami zbarwiona; jeden z jej skrajów, w rozległym od dworu nurzający się stawie, ginał w bogatej kępie olch i wierzby złotej; drugi ode wsi, wyniesiony znacznie, wzgórze prawie, tarń porastała gęsta i strzelające z niej pnie potężne nadwiślańskiej topoli. Od probostwa strumień sącył się drobny, idąc hen od pola „stokami” zwanego, smugą olszyny młodej znaczony; od ogrodu zaś dworskiego, na wzgórzu także, w tarninowym wianku, dwie rozłożyste grusze dumwały, w których cieniu, zwykle kłapaniem warg obwisłych opędzały się muchom tradycyjne „Jadamy” i „Jewy”.

Na pastewnik to, od plebanii w bok skręciwszy, popod wysokim, zwojami dzikiego chmielu majonym parkanem proboszczowskiego sadu przemykała się Magdzia ostrożnie, bacząc na wszystkie strony, zali jej skąd znajome nie śledzi oko. Jakkolwiek szła ścieżką, brzegiem ogrodu ku zabudowaniom dworskim wiodącą dalej, i w razie czego, zagadnięta o cel wycieczki, łącno rzecz mogła, jako miast dłuższą, kościelną drogą, na przełaj w odwiedziny biegła do dworu;

to przecież, z uwagi na zbyt częste ostatnimi czasy wyprawy, pozorowane folwarkiem lub garderobą, wolałaby się przemknąć niepostrzeżenie.

Sunęła szybko, lekko, coraz oglądając się poza siebie, aż dopadła płota żerdzianego, okalającego pastewnik, i w tarninowej znikła gęstwinie na topolowym wzgórku. Czas jeszcze krótki ścieżką się między krzem przedzierała, wreszcie, wydostawszy się na skraj łąki, a zawsze krzewiną kryta, przystanęła w jej cieniu, badawczym powiodła dokoła okiem, poczem pot z czoła rękawem kaftanika otarła i z westchnieniem na murawie przysiadła.

– Ciekawość też – szepnęła – przyjdzie dziś czy nie przyjdzie?...

Tam przed nią, ode stawu, długie, na całą niemal łąkę, kładły się chłodne cienie olch i wierzbiny. Od grusz, uszyna strzygąc a kłapiąc wargą, zwolna, ostrożnie spuszczało się w dół pastwiska ślepe, jak rdzą żelazo, hreczką zrudziałe, stare, upałem dnia zmożone, muchami skłute konisko, jeden z „Jarlamów”, podczas gdy żrebak jakiś, z łopatką w łubkach, na trzech utykając nogach, pasł się wśród kwiatów, wybierając zielone źdźbła trawy. Ponad pastwiskiem snuły się rojem jaskółki; w olszynach, podrzucając niby sprężyną ogonem, tu i owdzie łątki łowiła pliszka; z ogrodu zaś dworskiego polująca na wiśnie donośnym odzywała się głosem wilga.

– Przyjdzie, nie przyjdzie? – powtarzała w duchu Magdzia rzucając przed siebie roztargnione spojrzenia. – Przyjdzie, nie przyjdzie? – i zwolna, stopniowo, tonąc jęła w bijącym tu zewsząd na nią spokoju, a choć tęsknota przelewała się przez nią wielka, bólu nie miała w sobie, gniewu i zniecierpliwienia żadnego, ba, żalu nawet nie czuła w tej chwili do Jaśka, mimo że od miesiąca zawodziły z nim schadzki.

Czy zmogła ją zgryzota? czy koło wilgi granie i trzepot skrzydeł jaskółczych? czy może rwało się w niej co właśnie? czy wszystko razem, dość, że zamiast, jak zwykle, z gorączką wypatrywać chłopaka, głowę na dłoni wsparłszy, nad losem zadumała się swoim, a gorzkie ostatnich czasów wspomnienia rzuciły się na nią zewsząd.

A najprzykrzejsze one z wesela. Nastkę jakby ujrzała naraz w ramionach Jaśka i coś ją ścisnęło, a potem siebie z nim za stodołę, dokąd go niemal groźbą z izby wygnała, a gdzie jak złodziej oglądał się w koło lękliwie, w cień ją spychając tarni. Tu chwilę gorzki jej na usta spadł uśmiech.

– Bał się, byłby uciekał – szepnęła.

I znów się uśmiechnęła z przekąsem na myśl o ojcu, co to już po rublu dziecięć wyłudził od niej, wciąż przypominając jej poślubną ową schadzkę, przerwaną wykrzyknikiem:

– Machaj w tarń żywo!...

Jasiek bo się dnia tego już nie pokazał więcej w chałupie, wolała go jednak nie mieć na oczach, niż z Nastką widzieć w tańcu.

Nazajutrz za to, w karczmie na poprawinach, bawiła się dobrze. Starej, tak zwała Franciszkową za oczy, nie było: zmęczona, z Kasią została w domu. Nastkę okrutnie rozbolały zęby, nie przyszła także. Że Musiała, jako gospodarz,

mniej miał czasu dokoła żony się kręcić, nie brakło jej swobody, jak i powodu do korzystania z niej, bo Jasiek, ochłonawszy po wczorajszej przygodzie, stawiał się wraz z innymi. Mniej gonił za dziewczuchami i dużo z nią tańczył. Wszystkiego mu zapomniała. Umówili się na dzień następny pod wieczór na pastewnik, gdzie już i dawniej latem schodzili się zwyczajnie, miała bowiem do dworu wpaść po resztę rzeczy, umyślnie zostawionych w tym celu. Jakub po oczepinach podarował jej całe piętnaście rubli, niby na szpilki; podzieliła się nimi z Jaśkiem po połowie. Rzekł, iż ją nawidzi bardzo, że tęsknić będzie do niej okrutnie, że co dnia, jeśli służba pozwoli, wyleci na pastewnik pod wieczór, zajrzeć, czy jej tam nie ma. A gdy niezwykłą dobrocią jego ośmielona wspomniała mu o Nastce, roześmiał się twierdząc, że to tak dla niepoznaki tylko i odwrócenia uwagi kręcił się wele dziewczuchy, bo mu się zdało, jako niedobrze patrzali na niego Franciszkowa. I jakże nie było mu przyznać słuszności po zdarzeniu na schadzce; już wtedy przychodziło jej na myśl, że stara nie wypadkiem znalazła się w stodole, a coś musiała o stosunku jej z chłopakiem miarkować i na przeszpiegi wybrała się za nią. Nie przypuszczała jednak, aby dostrzegła Jaśka, ten zaś, nie zjawiwszy się więcej w chacie, sądził, że zatarł ślady, budząc we wszystkich, którzy by nieobecność jego zauważyli, mniemanie, że ot, zmęczony, spać poszedł, na dobre opuszczając wesele. Toteż i lękliwość ta jego, jaką wówczas okazał przy niej, a która ją mimowolnie dotknęła wtedy, rozumną teraz wydała się jej przezornością i wdzięczną mu za nią była.

Tak, bawiła się na poprawinach i dobrze, a i potem czas jakiś było jej znośnie. Choć stara boczyła się wciąż na nią i Jakubową zwałą z przekąsem lub nawet „jaśnie panią”, nie obchodziło jej to wiele na razie. Niecierpliwiał ją wprawdzie chwilami Jakub niesamowitym kochaniem swoim, ale też kochaniem tym nad wszystko jakże miłości dogadzał własnej! A przy tym cieszyła ją i odmiana zupełna życia: i służby pozbycie się na zawsze, i swoboda nieograniczona prawie, i urządzenie się na swoim, w swoim, jak zwałą komorę, pokoju, i objawy zazdrości nie tajone ze strony niedoszłych kandydatek do zamożnego z Musiałą związku, i tytułu gospodyni, i czepki, z którymi się z początku nie rozstawała, i ten grosz wreszcie łatwy, którego nigdy w takiej ilości nie posiadała.

A tu i Jasiek, ilekroć znalazła sposobność wymknięcia się na pastewnik, zawsze ją prawie na nim wypatrzył. Dobre to były czasy!... Wynurzał się zwyczajnie, hen, od stawu, od inspektu dworskiego, i ku topolowemu, brzegiem olszyny, skradał się wzgórze. Pokazywała mu się na skraju tarni, a on przyśpieszał kroku, w niej zaś każdy krok odzywał się kołataniem serca. Czasem figle ją zbierały dziecinne i chowała się przed nim, bawiąc się jego zniecierpliwieniem, i dopiero, gdy zbierał się do odejścia, wyskakiwała nagle z ukrycia. Dostrzegła jednak, że figłów tych nie lubił, i skoro pewnego dnia, nie ujrawszy jej z dala, tuz od inspektu zawrócił i odszedł, przestała się chować. Na powitanie rzucała mu się na szyję, a potem i do zmroku niekiedy przesiadywali jedno przy drugim, i różniej jej było wracać do ckliwego Musiały i swarliwej Franciszkowej.

Tak było dawniej, niedawno nawet, bo rok temu niespełna. A dziś? Piąty to raz w tygodniu na pastewniku czekała i piąty chyba daremnie. I wstyd ją zdjął, i gniew, i niecierpliwość wielka.

– Żeby się tak – szepnęła – gościńca jakiego spodziewał, nie czekałabym daremnie.

I nie wiedziała sama, czego się przy nim tak upierała znowu. Już na jesieni roku zeszłego coraz rzadziej go widywała, i tylko gdy się dowiedział, że była gdzie na odpuszcie lub jarmarku, nie chybił nigdy, ale i ona wtedy z próżnymi nie przychodziła rękoma: bodaj papierosów paczkę zawsze mu w dowód pamięci przyniosła.

– Pojadę – mruknęła – do Zwolenia, na złość pojadę.

Przyleci, ale mu figę przywiozę.

Skoro pierwsze padły przymrozki, ani słyszeć chciał o pastewniku. Ona mu wtedy przypomniała komórkę w inspekcji na skład narzędzi ogrodniczych, gdzie dawniej schodzili się na deszczu, a do której przez znaną im szczelinę w parkanie łatwo się było dostać. I to mu się jednak nie podobało. Żądał, iżby do stajni załatywała do niego, zupełnie jakby we dworze jeszcze służyła i stajnię miała pod bokiem, i wymówkę w kręceniu się koło niej. I była raz czy dwa, ale się tyle za każdym razem strachu i wstydu najadła, że i nie poszła więcej. Już wtedy podejrzewać go jąta, że tak umyślnie kierował chcąc się jej pozbyć, na szczęście jednak wypadkiem inny znalazł się sposób.

Przyjęto po niej we dworze na pokojówkę przez faktora jakąś z Radomia narajoną dziewczynę, niby to wielką w służbie praktykantkę, która niezgorzej pracować i prasować umiała, choć na jej, Magdzin rozum, za dużo używała farbki, a i z żelazkiem przy delikatniejszej robocie nie bardzo sobie umiała radzić i często gęsto przyżółciła coś i przypaliła. Tylko że, jak one miejskie marmuzele, „wyszczekana” była okrutnie i, jak się pokazało, złodziej przy tym. Paniom zaczęły ginąć różne drobiazgi, a że się to nigdy przedtem nie zdarzało, dopiero po nastaniu nowej pokojówki, padł też na nią posadek. Pani kazała sobie otworzyć kuferek i wszystko się w nim znalazło. Ale ona, zamiast w pokorę uderzyć, jakże nie rozpuści języka: że to nikogo rewidować nie wolno, że skarżyć będzie do sądu, że to jej ktoś na przekór rzeczy panienek podrzucił, a może sama pani – dość, że tego dnia jeszcze fora ze dwora, wywieziono pannę razem z kuferekiem, het, za granicę, skąd, jak niepyszna, zwykłą furmanką dowlokła się do Radomia z powrotem.

Po tej przygodzie nieskoro było pani przyjąć nową marmuzelę, a tu nie było komu dojrzyć bielizny i prania dopilnować, i prasowania. Gdy się o tym dowiedziała Magdzia, nic Jakubowi nie mówiąc, pobiegła do dworu i bieliznę wzięła na siebie. Raz w miesiącu do małego, a co kwartał do wielkiego wzywano ją prania. Oddawano jej do pomocy ile chciała dziewczek z folwarku i po dawnemu rządzić jąta w pralni dworskiej.

Jakub boczył się zrazu na tę robotę, bo gdy się zwłaszcza zaczęło wielkie pranie, to i po dni kilka nie widywał jej prawie w izbie, nocowała nawet we

dworze. Podszczuwany przez matkę, „swędaniu” się synowej za oczyma przeciwną wielce, próbowała wzbronić jej tych wycieczek. Ale na dziada swojego miała sposoby i ulec musiał, chciwą zaś na grosz świekrę przekonała obietnicą zarobku.

I rozjaśniło się jej życie. Do służby i otoczenia dworskiego przywykła, czuła się tu w swoim żywiole, zapominała o nudach w chacie, o „chłopstwie” wstrętnym jej zawsze, i swobodna, wesola, a jak ongi zalotna, niby ta dawna pokojówka, kręciła się, podśpiewując, po pralni. Lubili ją tu wszyscy, nawet wykrygowana zawsze panna Paulina, piastująca wysoką godność panny służącej, za złe jej urody nie miała, z panienek czasem która zajrzała, ba, pani nawet sama wprawnej a chętnej pracownicy rada, to kawy przysłała szklankę na podwieczorek, to rosółu talerz z obiadu czy leguminy. Toteż, choć z myślą o nim to wszystko ułożyła, o Jaśka mniej dbała teraz.

Przy dworze, jak to przy dworze, różne trafiały się okazje; z wiosną ogrodnik nastał, kawaler. Chuderlawe to było, a nawet zezowate trochę, nie wpadł jej w oko, ale ona mu za to wpadła, wodziła go też, wodziła, niby ślepego, a tak się w wodzeniu onym zaciekła, że Jaśkowi ani przystąpić dała, z obawy, aby tamtego nie zrazić. Całe jedno wielkie pranie tak się zabawiła, aż się i znudził, aż ci go pewnego dnia za śmielsze jeno słowo tak przy ludziach „spospolitowała” że do Jakuba i starej wieść o tym doszła. Ta ostatnia poprawiła się dla niej trochę, a Jakub z wielkiej uciechy cichaczem pięć rubli jej podarował, którymi się już jednak nie podzieliła z Jaśkiem.

Tyle ją nagryzł, namartwił tyle, że na dnie serca urazę miała do niego i pozbyć się jej nie mogła, mimo że chłopak, gdy ją tak po dawnemu śmiejącą się w pralni, a zachepliwą, a urodziwszą jeszcze bodaj zobaczył, na nowo jął za nią gonić, aż mu się opędzać musiała. Pochlebiało jej to i bardzo, ale nie przejmowało już szczęściem, zresztą swobody pragnęła teraz nad wszystko. Jeżeli tęskniła za nim, to z nudów tylko i beczynności w chacie, jak do jedynej poza chatą rozrywki; jeżeli upierała się przy nim, to przez ambit i na przekorę Nastce, tej Nastce, co ją tak namęczyła ongi, a co się podobno na zabój rozmiłowała w chłopaku. Po wsi o swatach już nawet chodziły gadki, ale choć posażna dziewczucha mogła się jemu uśmiechać, nie przypuszczała jednak, aby ojcowie za takiego hołysza chcieli ja wydać. Korciło ją to wszakże okrutnie, drażniło i bolało chwilami, bolało resztką kołającego się po niej kochania może, może przyzwyczajenia tylko, a najwięcej bolało upokorzenie. I oto wybiegła na pastewnik i niecierpliwiła się do płaczu, i raz przecie, jeżeli nie z ust kochanka, to z oczu jego szczerzej dobadać się pragnęła prawdy – i nadaremnie.

Nie przyszedł znowu.

Poprzez konary złotej wierzby, tuż ponad taflą wód stawu, kładły się bezpromienne, krwiste, zmartwiałe smugi słoneczne. Padały z wielkiej kuli ognistej, spowitej mgłami zachodu, co wszystek, zdało się, błysk z niej wyssawszy, bezświatlny już tylko pozostwiły jej rumieniec. Jakby westchnieniem ziemi żegnając słońce, zawiąło po niej wiatrem raz, drugi, rozszczepiły się od podmu-

chu tego gałęzie olch i wierzb, raz jeszcze i drugi błysnęła ogniem łąka i zwolna zaczął padać cień zmierzchu. Znad strumienia opar podniósł się wałem, rozlewał w koło, coraz szerzej, coraz wyżej, aż i „Jadam”, weteran, i żrebak w łubikach, po grzbiety w mgieł zatonęły całunie. Od pola ozwał się głos przepiórki, z oparu derkacz, a czasem tylko rozlegał się chrzęst miarowy rwanej zębami końskimi trawy. Aż oto w tarni na wzgórzu błysnęły rojem świetliki i ogarnęła ziemię wonna, gwiazdzista a bezmiesięczna, cicha, a jednak gwaru pełna noc letnia.

Magdzię dreszczem chłód przejął i ocknęła się nagle.

– A toć noc, sprawiedliwie... – szepnęła, nie dowierzając oczom własnym, i porwała się z murawy wylękała. – Trza wracać... Nie przyszedł znowu... Trza wracać...

Pod wpływem doznanego zawodu i konieczności powrotu do onej chaty, gdzie nudy czekały na nią i pustka, i natrętne pytania męża, i złośliwe uśmiechy starej, wzburzyło się w niej wszystko.

– Trza wracać – powtórzyła półgłosem, gniewne w stronę dworu posyłając spojrzenie – ale mnie tu, nie bój się, nie zobaczysz już więcej!... – i po omacku prawie przedzierać się jęła przez tarń i rozpalone po niej świetliki.

VII

Kawałek przed zachodem powróciły z chwastami Franciszkowa i Kasia. Obie przydzwigały je w płachtach: w większej staruszka, a w mniejszej dziecko, i na przedsieniu złożyły. Jakub, który wyszedłszy z chaty, zgryziony a markotny, po poletkach swoich jął się na razie tuż za stodołą kręcić, powędrował następnie aż na łąki gromadzkie, stan trawy sprawdzić na miejscu i porę košby oznaczyć. Łąki te, hen, poza lasem, za leśniczówką, mieszkaniem Nowotnika, Borowcem zwaną, ponad brzegami rzeki Iłżanki leżały, dobre trzy ćwierci mili ode wsi, późnym tedy wieczorem, nocą zaledwie, mógł być Musiała z powrotem. Franciszkowa pustą zastała izbę, pusta komorę.

– Znowuj się kajś na wender wyprowadzili – mruknęła, pewna, że wyszli razem, lecz niedaleko, bo drzwi otworem zastała, i wciąż już, jak to zwyczajem jej było, to do siebie, to do wnuczki zagadując zabrała się do wieczornego po zagrodzie obejścia.

Dokoła babki, coraz to nowe odbierając od niej zlecenia, a bosymi wytu-pując piętami, to po izbie, to podwórzu, płowa jak len zmiędlony, kręciła się Kasia, wcale słuszna już dziewczynina. Ruchliwa a pojętna, raz wraz w oczy spoglądała babuli, która z miłością spojrzeniami odpłacając się za spojrzenia, raz wraz na nieme odpowiadała pytania:

– A ino, dziecko... Dobrze, dziecko... A dyć tak, wnusiu...

Gdyby już nie sama treść pytania, to sposób, w jaki je podano, zmusiłby do zastanowienia się nad nim dziewczynę, która z ust babki niejednokrotnie spotykała się z zakazem opowiadania ludziom, co się działo w chacie. Wytrzeszczyła też oczy na Kajtaniakową ze strachem i czując, że się tu coś niedobrego święci po pewnym wahaniu, potrząśnięciem głowy przeczącą dała odpowiedź.

– A prawdę ino, dziewczyna, gadasz? – badała Kajtaniakowa.

– Aści prawdę... – szepnęło dziecko ze spuszczoneymi już oczyma, zbite z tropu, a za babką oglądające się na drzwi, i nagle wyskoczyła do sieni, z sieni na podwórze i wołać ją:

– Babulu... babulu... a chodźta żywo, Kajtaniakowa przyszli!...

Niespokojna trochę popędziła Wojtkowa za Kasią, chcąc jej zalecić milczenie lub jako zagadnąć sprawę; ale dziewczyna kręciła się teraz po podwórzu w kółko jak fryga i, przykucając od czasu do czasu, bawiła się w najlepsze rozdymającą się przy tym, niby bania, spódnicą. Nie było co jej zaczepiać nawet, widocznie nie pamiętała już rozmowy.

A tymczasem i Franciszkowa ze skobkiem wyszła z obory.

– Kasia! – zawołała po drodze. – A idź no, dziecko, po stołek i popłucz go u studni.

Zatrzymała się przed chatą, na „pochwalony” Wojtkowej odpowiadając:

– Na wieki... – Ale nie zapraszała jej do izby, skopek z mlekiem postawiła na progu i bystro spojrzała jej w oczy. Krótka ją zbyć pragnęła w podwórzu. Bała się teraz języka Kajtaniakowej podwójnie. Wiedziała starowina i dobrze, że język ten i bez złej woli, dzięki jedynie niepohamowanej swej ruchliwości, nie szczędziłby nikogo, a tu w chałupie nie wszystko działo się najlepiej i nie było się czym przed ludźmi chwalić. A nużby co podpatrzyła sąsiadka, podchwyciła. Bezpieczniej zawdy trzymać się od niej z dala, i przytrzymała ją na progu. Lęk ją ogarniał przy tym, zali nie przynosi przykrej nowiny jakiej; spodziewała się jej zawsze od czasu powtórnego ożenku Jakuba, spodziewała się każdej chwili sromu i zgryzoty.

– A skądże to idzieta? – zapytała.

Jak nakręcona, rozpoczęła Kajtaniakowa:

– A lecę to – mówiła szybko – od Szarpakowej z końca, odnosiłam ci jej kawałtka omasty, co mi nią bez tydzień temu wygodziła. Skaranie boże, moja kumo, z tymi chłopami... Kobita aże zawodzi, tak ci się znowuj schlał, jak nieboskie stworzenie... Leży ścierwo w komorze, a jęczy, okeż się po chałupie rozlega... Ino z kosą niby to wyszedł do klepania, a tera to i gdzie kosa nie wiadomo... Przepił musi, psia wiara, a bo co? Miała ci się niewiasta pytać Jukla... A dyć patrzajta ino, akuratnie leci drogą...

Szła nią rzeczywiście, biegła prawie, potykając się jak pijana, z twarzą opuchniętą od płaczu. Szarpakowa ratować przepitą kosę w przeddzień kośby, a w zaciśniętej dłoni przygotowaną na wykup niosła złotówkę.

Widok ten poruszył snadź starą, bo zmarszczyła się, a potrząsając głową smutnie, mruknęła jakby do siebie:

– Oj, gorzałka, gorzałka! – Na myśli Jakub jej stanął, Jakub co nigdy dawniej nie przebrał miary, ale dziś, przy tym tam latawcu, czy mogła za niego ręczyć? Dawnoż to z ciepiewskiego odpustu spity wrócił jak bela, a ona, tamta, śmiała się ino i śmiała, póki ci go spać nie wyгнаła do stodoły. Choć to z nim razem przecie na odpust jeździła, a ustrzec go nie umiała. Był tam podobno z nimi i ten „gajus” Nowotnik, i Jasiek furmańczyk, co dziedzica woził do księdza, i widzieli, jak ci się ponoć gziła z chłopakiem, a swojemu to ino lała w gardło, co wlezie, aż ci go i zalała. Musi tak jej trza było, bo że z tym Jaśkiem nieczysta, to nieczysta sprawa.

– Oj, gorzałka, gorzałka... – powtórzyła z westchnieniem, ale się i opamiętała: – Mój tam nie pijał nigdy – dorzuciła pośpiesznie, w obawie, aby jej źle nie tłumaczono.

– Bogać tam – podchwyciła żywo sąsiadka – a dyć wiadomo, co Jakub najtrzeźwiejszy są gospodarz we wsi – tu jednak nie mogąc przenieść na siebie, by z lekka nie zaznaczyć bodaj, że i ona coś przecie o odpuscie ciepiewskim słyszała.

– A choćby ta se, mojsćiewy – od niechcienia dodała, a w wielce pobłażliwym tonie – podchmielił czasem, to i trudno na kłódkę znowuj, nie przymierzając, chłopu gębę zamykać.

Wszystko to jednak przedwstępną było dopiero szermierką Kajtaniakowej. Z inną przychodziła tu wieścią, z którą się właśnie po wsi obnosiła. A ciekawa była okrutnie, jakie też u Musiałów sprawi wrażenie. I żałowała tylko, że ni Jakub, ni Magdzia słyszeć jej oto nie mogli.

– Ale, ale, mojsćiewy – podjęła nagle, przechodząc do nowego tematu, podczas gdy Franciszkowa przybladła trochę i znów ją niespokojnym zmierzyła okiem – a dyć byłabym na śmierć zabaczyła. Jasiek Górajczyk, ten ze dworu, od koni, żeni się z Nastką kowaliczanką – i zatrzymała się chwilę śledząc wrażenie. Staruszka jednak, choć nowinie wielce rada, ani drgnęła, a Wojtkowa, zawiedziona, prawiała dalej:

– Podobno ci się do Kuczek, gdzie to dziedzic siedzi kawaler, aże pod Radom na stangreta całego zgodził, bo mu inaczej ojcowie nie chcieli dać dziewczuchy. A i tak ponoś wymodliła go sobie sama, jako że to od roku, abo i więcej, okeż oczów za chłopakiem nie zgubi. Wiana weźmie nikiem stu rubli i tę krasą jałówkę, co to ją kowalowa na wiosnę we Zwoleniu kupili. Wesele na po żniwa. Górajowa lata ci po wsi z językiem, a wszystkim ino o tym trefunku opowiada Jaśkowym, bo się to nikiem dzisiaj z rana rozbiło.

I znowu zapuściła sondę.

– No, no, moi ludzie – po małym ciągnęła przestanku – i kto by się to był spodziewał. A ja mówiłam se zawdy, jeszcze zanim to się wasz pobrali, co to z nich będzie para, z Jakubowej nikiem i Jaśka...

I tym razem wszakże Musialina ani słówkiem myśli swoich nie zdradziła, Kajtaniakowa zaś, przypomniawszy sobie nareszcie nieobrane jeszcze na wieczereż kartofle, jęła się żegnać.

– Ano, ostańcie z Bogiem, kumeczko... Niech będzie pochwalony...

Od wrót jeszcze rzuciła pytanie:

– Kajże to Jakub z niewiastą? – i ogólnikową odebrawszy odpowiedź, że wyszli w pole, popędziła ku domowi z mocnym postanowieniem nie wstępowania już nigdzie po drodze.

Franciszkowa weszła do izby z głową mocno nabitą Jaśkiem. O istniejącym podobno między Magdzą a chłopakiem kochaniu słyszała od Kajtaniakowej jeszcze, później starała się nawet sama, w nadziei, iż wpłyną na postanowienie Jakuba, o bliższe w sprawie tej wiadomości; nic się jednak stanowczego dowiedzieć nie mogła, pogłoski zaś Musiała zbywał lekceważeniem, mianując je bajkami ludzkimi. A skądże tu wziąć było dowodu? Już, już, zdało się, choć za późno, miała go w ręku, gdy zza przymkniętych wrót stodoły, w noc godów błysnęły jej w miesiącu liberijne guziki Jaśka, na usta zaś gorzki wybiegł jej uśmiech pewności nieszczęścia. Cóż, kiedy pewność trwała, niby ten błysk guzików, i rojem zwalczając ją wątpliwości jęły rozliczne. Przede wszystkim tropiła ją obecność Nowotnika, a potem w czasie weseliska nie dziwota chłopak w tar-ni, bo i dziewczuch nie zawsze w izbie doliczyć się można. Gdzieś dowód, że Ja-siek Magdzi w niej właśnie szukał? Że jak ona synowę z ojcem, tak oni jego nie zeszli? Wychodząc do stodoły i Magdzą jeszcze zostawiła w chacie, i Nowot-nika na przyźbie. Nie było tylko Jaśka, to pamiętała, a czy dziewczuchy nie brakło której i przez myśl nie przyszło jej badać. Nie przypuszczała, iżby tak w dzień godów zaraz szukać się mieli po nocy i nie dopilnowała na razie. Później sposobności jej nie stało i sposobów, domysłami żyła jeno i przywidzeniem. By-wało, gdy coraz częściej powtarzać się zaczęły wycieczki Magdzi do dworu, a coraz dłużej przewlekać, chęć ją zbierała wyglądającemu powrotu żony Mu-siale, jakoby w jasnowidzeniu, wołać:

– Idźże ty za nią, miasto tu wzdychać daremnie, idź, niedołego, za nią, a przekonaj się przecie, na własne przekonaj oczy...

I gdyby nie żal, jaki odzywał się w niej wtedy nad synem, zaślepionym aż do niedołęstwa w nawiści swojej, kto wie, czy nadzieja pozbycia się jako nie-nawistnej z chaty synowej nie byłaby w niej przemogła tej hardej w honornej chłopce przed językami ludzkimi obawy.

Boć na języki te nie zważała, gdy, broniąc pokojówce wstępu pod strzechę, u proboszcza była cichaczem dwa razy, a raz we dworze, gdzie pańszczyźniane czasy przywodząc sobie na pamięć w potrzebie i dawną nad gromadą władzę dziedzica, całując go po rękach, prosiła, by nijak na ożenek z Magdzą nie dawał pozwolenstwa Musiale, a dziewczkę hen, za siódmą aż wyżenał granicę, coby jej we wsi oko ludzkie nie oglądało więcej.

Uległa w końcu i uspokoiła się pozornie, ale wrzało w niej wszystko. Wrzało wspomnieniem odniesionej porażki, wrzało obawą wpływu w chacie i przewagi młodej kobiety, wrzało widokiem próżniactwa i marnowania tak zawsze dotąd szanowanego grosza, wrzało przeczuciem, jasnowidzeniem niele-dwie, wstydu i hańby, wiszącej nad głową syna, już dziś potieranego we własnej

zagrodzie, a nade wszystko wrzało lękiem o przyszłość Kasi, tej ukochanej wnuczki, żrenicy oka, co sama jedna z pięciorga dzieci pierwszej żony Musiały, najmłodsza, na pociechę lat jej starych uchowała się zdrowo.

Podejrzliwa, nieufna, kamienście uporna, pełna gospodarskiej dumy, a lekceważeniem przejęta i pogardą dla „przybłędy”, stara nawet w razie spotkania w synowej tylu cnót, ilu się w niej słusznie i nie słusznie wad i zdrożności wszelakich dopatrywała, nawet w tym razie lat potrzebowałyby zapewne, aby się wyrzec uprzedzeń swoich i zapomnieć urazy, jakiej syn nieposłuszeństwem w wyborze żony stał się powodem. Ale ta żona nie przyniosła nic z sobą, prócz urody, marnej w oczach świekry, a trzymana od wszelkich zajęć domowych z dala przez chłopkę, zazdrosną o panowanie w chacie, do którego od pół wieku przywykła, i na grosz chciwa do skąpstwa, darmożadem stawiała się jeno, wyzyskującym nagromadzone pokoleniami zasoby, zagrażającym bytowi, a nawet dobrej sławie rodziny. Bo wspomnienie sceny owej za stodołą z dnia godów prześladowało ją ustawicznie, a podejrzliwość wrodzona, pobudzana wciąż tym wspomnieniem, jeden z głównych a nieprzemierzonych wstrętów rodziła w niej i podtrzymywała do synowej. O stosunek z furmańczykiem podejrzewała ją ciągle, a jeno siła podejrzeń owych rosła w niej lub malała wedle okoliczności. Byle pozor, byle słówka starczyło, aby wątpliwość ustępowała pewności zupełnej; to znowu, pod działaniem osłabiającej ją niedostateczności zarzutów, do poziomu wątpliwości spadała: podejrzenie jednak i nieufność trwały niezmiennie.

Na wieść o energicznej odprawie, danej ogrodnikowi, czas krótki życzliwiej spoglądała na Magdzię, płynęło to jednak raczej z zadowolenia dumy, troskliwej o dobre imię Musiałów, nie zaś z przekonania do synowej.

– Spospolitowała ogrodnika – mówiła sobie – bo jakże go ci nie miała zwymyślać przy tamtym – i zasługa kobiety nikła w jej oczach, szczęśliwy jeno względnie dla strzechy pozostawiając wypadek.

Tak i teraz. Na wieść o związku Jaśka z kowalczanką doznała pewnej ulgi, ale nie ukojenia, bo oto zrodziło się w niej przypuszczenie, jako smutki Magdzine, gniewy jej i sumowania miały źródło w zdradzie kochanka. I cóż stąd za pociecha? Zabraknie Jaśka, znajdzie się kto inny, takiej tam gachów nie szukać, na gładkie lico łasych korcami, jej zaś strzec jeno wypadało i bronić, co jeszcze ustrzec się i obronić dało: Kasi, świętej ziemi kawałka, strzechy nad głową i tych pozorów dobrej sławy i imienia, co się hańbie nie pozwalała na ludzkie dostać języki. A gdyby ta tam jakaś przebrała miarę, wtedy i ona stara wyrzekłaby się pomiarkowania i zgody, i wstydu by jawnego nie zniosła. Ufna w powagę swoją i władzę wierzyła święcie.

Dawno i ogień przygał w kominie, i kluski rozmiękły na nic w mleku, i uraczona, wyjątkowo dla niej przyrządzonym specjałem, kartoflami suto najprzedniejszą okraszonymi śmietaną, drzemała Kasia na przypiecku, a Franciszkowa, przy świetle lampki, zabierała się już nawet do siania sobie i dziecku, gderając półgłosem na one „włóki” Jakuba z żoną po nocach, niespokojna,

gdzieby się zaś tak długo zabawiać mogli, czy aby nie w karczmie może, gdy do izby weszła Magdzia sama.

Badawczym rzuciła w koło spojrzeniem, a spragniona i głodna, blaszanką z cebrzyka pod półkami napiła się wody, poczem sięgnęła po talerz fajansowy głęboki, łyżkę cynową i zawsze milcząca ze stojącego na kominie garnka naląła sobie zacierki, siadła na ławce za stołem i jeść poczęła.

Teraz dopiero Franciszkowa, która baczenie każdy jej ruch śledziła spod oka, zdziwiona nieobecnością syna, spytała:

– Kajże się Jakub podział?

Nie przestając jeść, burknęła Magdzia:

– A czy ja wiem? Cóżem to, niańka jego, czy co?...

Półuśmiechem, przekąsu pełnym, przyjęła odpowiedź i dalej, zwolna, z przerwami, spokojnie a zdradliwie, z tym spokojem i podchwytnością, które młodą kobietę do ostatnich granic zniecierpliwienia doprowadzały, jęła badać ją Franciszkowa i pytaniami zarzucać, widocznie z ukrytym celem.

– Kajże to znowuj – rzekła po chwili – chodzili sama?

– Chodziłam, gdzie chodziłam, gdzie mi trza było i tyle. Nic nikomu do tego.

– Nikomu, jak to nikomu... Ano pewnikiem we dworze, a może gdzie pode dworem byli – ciągnęła stara – to i o nowinie słychali...

Magdzia pobladła. O jakiejże to nowinie wspomina Franciszkowa? A jeżeli wspomina, to coś ją pewnie złego czekało. Co zresztą z pytaniem tym zrobić? Na pastewniku żadnej się nie mogła dowiedzieć nowiny. A nie znać jej, to może zdradzić, przypuszczalnie zrodzić się w starej, że pode dworem nie była nawet. I chwyciła się kłamstwa.

– O żadnej nie słyszałam nowinie – mruknęła, niepewna swego – do ojca, na Borowiec chodziłam.

Tu Franciszkowa, rozpoczęte porzucając słanie, zbliżyła się do stołu i zatrzymawszy się naprzeciw synowej, a bystro patrząc jej w oczy, rzekła:

– Jasiek furmańczyk żeni się.

Mimo że z góry na przykrą przygotowana była wiadomość, a w rozmowach ze świekrą zawsze na bacności się miała, tym razem nie zapanowała nad sobą, i podniesiona łyżka z brzękiem opadła jej na talerz, a z ust mimowolne wybiegło krzykiem prawie:

– Z Nastką?

Tej samej chwili, okrzykiem onym i brzękiem łyżki zbudzona na przypiecku przypadkiem Kasia niby przez sen odezwała się nagle:

– A to pytali się Kajtaniakowa, czy tatuś matule biją...

Zrozpaczona położeniem, złapawszy się samochcąc, pewna już bowiem umyślnego ze strony Franciszkowej podejścia, rozżalona do siebie samej, wzburzona nowiną i ponad wszelki wyraz zniecierpliwiona, nie wiedząc zgoła, co czyni, rzuciła się Magdzia ku dziecku, odezwaniem się jego do reszty wyprowadzona z równowagi, i wołając:

– Ty smarkulo... ty szczeniaku... ty mi tu jeszcze przyganiać będziesz... – zanim z obroną wnuczce zdążyć Franciszkowa zdołała, chwyciła Kasię za ramiona i potrząsać ją z całej siły, aż uderzenia głowiny jej o ścianę głuchym po izbie rozległy się łoskotem.

Jednocześnie w drzwiach izby stanął Jakub i jak wryty zatrzymał się w progu. Magdzia na widok męża puściła dziecko, chwilę to na Musiałę spoglądając, to na świekrę, wahała się, co począć, aż z głośnym, spazmatycznym płaczem zatrzęsła się w komorze.

Teraz i Franciszkowa jakby oprzytomniała nagle, poskoczyła do dziecka, co z pierwszego ochłonawszy przestachu, zanosilo się wniebogłosy. Przysiadła obok wnuczki i z wyrazem namiętnego przywiązania tuląc biedotę do siebie:

– Cichoj, Kasiu... cichoj, dziecko.... cichoj, wnusiu... – powtarzała, to całując ją, to głaszcząc po rozbitej głowinie, a guzów szukając na niej drżącą ręką.

A potem porwała się do syna:

– Słuchaj, Jakub, ty ojciec – wołała, kurczowo zaciskając pięście – ino ty mi dzieciny tykać nie dawaj, ino mi dziecka broń od krzywdy, bo pomsta ci i matczyne przekleństwo, i hańba, i zatracenie... Słuchaj, dziecka niech mi ta tam nie tyka, od dziecka mojego wara, bo wieś całą na ratunek sprowadzę i świadków, kiej ty, ojciec, nad krwią dajesz się znęcać rodzoną...

A potem kręciła się po izbie, niby zwierz dziki w klatce, a z ust jej rwały się zdania:

– Cały odwieczyrz nie było jej znowuj w chacie... Na Borowiec, mówi, chodziła, aż do ojca... Przyszła zziajana, zła, niekiej ten pies rozzarty, i skorom ci jej o zmówinach Jaśka furmańczyka z kowalczanką spomniała, a dziecko cosik musi bez sen mrukneło, niekiej niesamowita rzuciła mi się na nie i tłuc zaczęła, i rozbijać o ścianę, kieby drewno... Nie w smak jej musi furmańczykowe zmówiny... Nastka jej chłopaka odbiła, co go u swojej chciała trzymać spódnicy... Galantaś se na jarmarku zmówił niewiastę... galantą... galantą...

I powtarzała w kółko „galantą”, zdyszana, kręcąc się między cebrzykiem, a dzieckiem, któremu maczaną w wodzie szmatą ją okładać głowę.

A Jakub? On jedno, jedyne słyszał tylko z ust matki chwycone zdanie:

– Na Borowiec, mówi, chodziła, aż do ojca... – no, a on przecie z Borowca wracał właśnie, gdzie obejrzawszy łąkę, po drodze wstąpił do Nowotnika. Na leśniczówce dobrą zabawiał chwilę i jako żywo nie spotkał się na niej z Magdzą.

– Na Borowiec, mówi, chodziła, aż do ojca... – brzmiało mu w uszach dzwonem. Twarz krwią nabiegła, ruszył do drzwi komory, ale go coś przed nimi w miejscu wstrzymało. Wpatrywał się w nie chwilę bezmyślnie, chwilę znowu niby głuchy i niemy, z założonymi za siebie rękoma, chodził po izbie, aż napotkawszy drzwi jej otwarte bezwiednie wyszedł z niej milcząc.

Drugie już odzywały się kury; na łóżku, pod ścianą obrazami świętymi zasłaną, spały już dawno Franciszkowa z Kasią, gdy bosy, w bieliźnie jeno, wysunęła się Magdzia z komory i cicho, na palcach na podwórze wymknęła.

Szła do stodoły za mężem i uśmiechnięta, pewna siebie, pocałunki niosła mu na zgodę.

VIII

Okolo południa nazajutrz, z workiem mąki a drugim otrąb, zajechał przed zamknięte wrota zagrody Wicek; zatrzymał konie i zeskoczywszy z wozu, jął je otwierać, ramieniem unosząc ponad spodem w ziemię wbity kołek, gdy od chaty, na której przyźbie siedziała właśnie obok wygrzewającej się na słońcu babki, porwała się radosnym wołaniem Kasia:

– Wicek przyjechał ze młyna... Wicek przyjechał!...

Skoczyła do wrót i pochwycawszy je od wnętrza z wielkim wysiłkiem pomogła niby to odsunąć je chłopakowi, stękając przy tym pociesznie, poczem przystanąwszy za nimi, z widocznym weselem na twarzy, przyglądała się ciekawie przejazdowi wozu w podwórze, na które Wicek skręcał kierując końmi. Mijając dziecko nieznacznym ruchem dobył z zanadru trzygroszową, w opaskę kolorowego papieru oblepioną, paczkę pierników i podał ją dziewczynie.

– Naści – rzekł – kiejs wrót pomogła otworzyć.

Spojrzeniem pełnym nieograniczonej ufności i przywiązania podziękowała Kasia za gościniec, szybko wsunęła pierniki za rozchyloną na piersiach koszulicę i z wielkim zapalem, jakby się poczuwała do obowiązku zamknięcia ich, chwyciła wrota oburącz, ale ich z miejsca ruszyć nie mogła.

Wicek zatrzymał znów konie, chwilę z uśmiechem przyglądał się daremnym wysiłkom dziewczyny, wreszcie, zbliżając się do niej, zapytał:

– A co dasz, to pomogę?... Dasz piernika?...

Bez namysłu sięgnęła Kasia w zanadru i milcząc całą podała mu paczkę.

– Schowaj, Kasia, schowaj la siebie, ja tak ino, bez żart mówiłem – rzekł, odsuwając z lekka wyciągniętą ku niemu rękę dziecka. Zamknął wrota, a gdy do koni wrócił, by je poprowadzić dalej. Kasia siedziała już na worku z mąką, zjadając pierwszego piernika, ostrożnie spod opaski wysuniętego.

Tak zajechali przed chatę. Uchylając kapelusza pochwaleniem Chrystusa powitał Wicek Franciszkową, zdziwiony niezwykajnym jej o tej porze wygrzewaniem się na słońcu, i spojrział na starą uważniej, zali to nie choroba może na beczynność ją skazywała. Prócz wielkiej jednak surowości w twarzy i oczach nie dostrzegł nic niezwykłego; jął jej tedy, jak zawsze, liczbę podawać odsypanych na mlewo miarek, utyskując na chciwość młynarza Joska, któremu z wielkim targiem jedną zaledwie miarczynę urwać potrafił, i opowiedziawszy następnie, jak długo ze zbożem swojej musiał czekać kolei – po dłuższej bowiem suszy i naprawie pogródek, zerwanych następnie nagłym przyborem wody, z mlewem kto żyw do młyna walił – zapytał wreszcie, widząc, że Franciszkowa z miejsca nie rusza, czy znosić ma worki z wozu, czy na klepisko jechać z nimi do stodoły.

Staruszka, co w pierwszej chwili, zdało się, słuchała go uważnie, zwłaszcza gdy o miarkach odsypu mowa była, roztargnione już tylko potem zwracała na niego oczy i dopiero zapytana wprost, ocknęła się niby nagle, ruchem niecierpliwym w bok się odsunęła i z gniewem prawie rzekła:

– Idź do gospodyni... Pani gospodyni się pytaj, Jakubowej... Ona tu rządzi...

A gdy Wicek nie zrozumiał na razie o co chodzi, stał przed nią dalej z pytaniem w oczach, zachnęła się:

– Ano, nie słyszysz?... Pani Jakubowej się pytaj... gospodyni... Ja tu nic nie znacząca – i skuliwszy się tak, że brodą sięgała prawie kolan, mruknęła jakby do siebie: – Mnie już z kijem, pod kościół... W świat z sakwami na dziady... Ja tu nie znacząca...

Chłopak osłupiał. Spojrzał na Kasię, ale ta najspokojniej do drugiego zabierała się piernika, zwyczajnie dziecko, cała nim wyłącznie zajęta. Franciszkowa zaś, w ziemię wpatrzona, jakby go nie widziała. Stał jeszcze chwilę wystraszony jakiś, niepewny, wreszcie z dala już zdjawszy kapelusz i mnąc go w rękach, ruszył do chaty, skradając się do niej, jak złodziej.

W izbie przy kominie warzyła strawę Magdzia, wesola, swobodna, rumiana od ognia, jak wiśnia, Jakub zaś, z fajką za stołem, wsparty na rękę, niby po deszczu wypogodzone niebo, siedział pogodny.

Pokłonił się Wicek od progu.

– Mliwo przywiozem – rzekł. – Kaj z workami? Franciszkowa nie wiedzą...

Zza stołu podniósł się Jakub.

– Ano, Franciszkowa nie wiedza – odparł – bo jej się też wiedzieć nie patrzy. Wiedzący to ja, nikiem gospodarz i nikiem niewiasta moja, gospodyni, wiedząca. Rozumiesz?

– Rozumiem – mruknął chłopak, nic a nic nie pojmując, co się stało, zupełnie zbity z tropu.

– Pódzi... zniesiewa worki!

Machinalnie, przez pół jeno świadom czynów swoich i mowy, nosił Wicek z pomocą Musiały mlewo do komórki i na pytanie o jego odsyp, wyczekiwanie kolei, stan wody i pogródek, ilość zwiezonego do młyna zboża odpowiadał. Powtórzył objaśnienia, dane już uprzednio Franciszkowej, bezmyślnie, jak i bezmyślnie wsiadł na wóz potem, aby go przed wyłożeniem koni, jak zwykle, na klepisko stodoły zatoczyć i dopiero widok Kasi, co usadowiwszy się obok niego, do lejc wyciągała ręce wołając:

– Ja będę powozić, Wicek... ja będę... otrząsnął go ze zdziwienia, a jednocześnie poczuł ból jakiś w sobie i żal, i półświadomość niejasną jeszcze krzywdy, jaka widocznie stać się tu musiała staruszce, którą niby rodzony kochał.

Oddając lejce Kasi, ukradkiem spojrział ku przyźbie i spotkał się ze wzrokiem Franciszkowej, zwróconym w niego i we wnuczkę, lecz nie surowym i twardym, ale przyjaznym wielce, choć tęsknym, bardzo tęsknym. Kiwnęła mu

głową staruszka, jakby wskazując na Kasię, jemu zaś od patrzenia onego w oczach się niby łzami zamgliło.

Swojak to był raczej, niż sługa. Daleki Musiałów powinowaty po krewniacze jeszcze Franciszka Siwcowej. Sierota, przygarnięty wyrostkiem, gdy się dzieci Jakubowi z pierwszej żony nie wiodły, i czworo ich przed Kasią pomarło, na uproszenie łaski bożej, niby swój wychował się pod okiem Franciszkowej, przywykły od dzieciństwa powadze jej ulegać i wpływom przemożnym w chacie. Trzymany krótko, w ciągłym znoju i pracy, nigdy jednak krzywdy nie zaznał, przywiązał się też do wszystkich w chacie, a już najwięcej do samej starej, co chociaż nie folgowała zbytkom, a nieraz i kułakiem poczęstowała w gniewie, to przecież, jak rodzzonego, troskliwą otaczała go zawsze opieką. I przyobleczenia nie brakło nigdy, i przyodziewku, i czapkę całą miewał na głowie, buty na nogach, i strawy nie żałowano mu gospodarskiej, a zanim dano zasługi, grosz jaki często gęsto wsuwano do rąk. Dobrze mu było, niby u swoich. Do bezwzględnego nałożony posłuchu i ślepej dla opiekunów wiary, rósł, nie myśląc o jutrze, pełen w nich zaufania, pod twardym kierunkiem miękkiej, za dobro wdzięczny, usłużny, powolny, pracowity, aż wyrósł oto na zdrowego ciałem, sercem dobrego, a uczciwego z duszy, choć nie wymyślnego wolą i głową chłopaka. Co się i jak dziać miało, wiedziała o tym Franciszkowa najlepiej, wiedział gospodarz, a że się od lat tylu dobrze działo i słusznie, co nakazali tedy, spełniał, co postanowili, uznawał, a swoje robił i tyle.

Tylko, że teraz, nie samowiedzą wprawdzie położenia, ale bólem po prostu odczuwanym i żalem, a nawet lękiem, sąd się w nim budził samodzielny. Bo niedobrze się chyba działo, jeżeli, czego i za nieboszczki jako żyw nie bywało, niewiasta Jakubowa pierwszą miała być w chacie gospodynią. Mąciło się chłopakowi w głowie i duszy, mąciło w sercu i spoglądał na Kasię, przywiązane do niego, niby do brata, dziecko, któremu równą wypłacał się wzajemnością, spoglądał, zali w rozbawionej powożeniu dziewczusze nie odbije się znak jaki, a z ust jej nie dobiedzie się słowo, które by mu do równowagi powrócić dało i opamiętania. Z kolei prosta zdjęła go ciekawość zatem, co się tu pod nieobecność jego dziać mogło, boć wyraźnie dziać się musiało coś i niezwykłego.

A nie śmiał jakoś pytać Kasi, czemu, nie wiedział – czy lękał się objaśnień sam dla siebie, czy nasuwać ich na myśl dziecku nie chciał, czy wreszcie niewiele się od niego dowiedzieć spodziewał – dość że z pytaniem zwlekał; wyłożył konie, wóz do stodoły zatoczył i zwracał się już ku stajni, gdy nagle Kasia zatrzymała go w miejscu. Stała przed nim z wytrzeszczonymi oczyma i z wielką powagą w sobie, chwyciła się rączynami za głowę, a kiwając nią to w lewo to w prawo wymuszonym jęła opowiadać mu szeptem:

– O Jezus... Jezus... kieby to Wicek wiedział, jak ci mnie to matka wczoraj na odwieczyrz sprali... Tak ci mnie sprali, okeż w izbie dudniło i w piecu... sprawiedliwie... O tak mnie chwycili za plecy – tu dziecko dłońmi ujęło się za ramiona i pochylając się w tył i naprzód, mówiło – i tłukli głową o ścianę, aże się ozligiło... A potem to ci matka poszli i tatuś poszli, ino się ostali babula, co

mi głowę nikięj obwiązali chustą... sprawiedliwie... O Jezus... Jezus... kieby to Wicek widział... – i znowu ją kiwać głową w obie strony, ogromnie sama opowiadaniem swoim przejęta, aż dostrzegła tuż obok przelatującego motyla i żywo skoczyła za nim.

Ale motyl za płot pofrunął i wróciła do Wicka, napierając się, aby jej jednego konia dał prowadzić do stajni. O wypadku wczorajszym, z takim przejęciem opowiedzianym przed chwilą, nie pamiętała już wcale, aże ją rozciekawiony chłopak zagadnął:

– A czego cię to, Kasiu, matula zbili?

– A to siadłam se na przypiecku, a mówiłam se: wróci Wicek na wieczerze ze młyna, nie wróci? – a matka, jak ci nie skoczą do mnie zza stołu, jak ci nie strząchną... O Jezus... Jezus... prawiała już dziewczyna swobodnie, jakby nie o nią chodziło, i zakończyła uwagą: – Musi wiedzieli czego, kiej sprali...

Wicek jednak niewiele się dowiedział i na próżno starałby się teraz odwrócić już od wypadku myśl dziecka zająć nim znowu, gdy w dodatku samo widocznie nie zdawało sobie sprawy dokładnie z tego, co zaszło. Nie badając tedy przyczyny zajścia, próbował jeszcze o dalszym bodaj przebiegu zdarzeń wy dobyć co z dziewczyny, ale i tutaj bezładnymi się jeno zadowolić musiał wskazówkami.

Opowiadała mu Kasia szeroko, jak jej babula obwiązywali głowę, jak potem spać się pokładli, jak rankiem „tatuś z babulą rajcowali ci okrutnie, a rajcowali”, jak ci matka i krowy wydoili, i z wieczorowego mleka sama zbierali śmietankę, i sama zwarzyli strawę, jak potem ona z babulą chodzili w pole, a potem na przyźbie siedli, aż tu i on, Wicek, wrócił ze młyna i takich ci jej smakowitych przywiózł pierników.

I rozebrał chłopak konie i po kłaczku rzucił im siana, a gdy przegryzły z drogi, napoił i zasypał im wreszcie obroku, wydanego mu z komórki przez Musiałę przy znoszeniu mlewa jeszcze; a Franciszkowa, siedząc na przyźbie, skulona, wpatrzona w ziemię, wciąż wygrzewała się na słońcu, bez ruchu, bez znaku życia. Wickowi, co ku niej spojrzął, burzyło się w duszy, krajało w sercu i chęć zbierała go wielka biec do niej i do nóg się pokłonić starej, i za wszystko doznane od niej dobro dziękować, i prosić, by się nie gryzła, i pocieszyć jako i wspomóc, i zapewnić, że on, przygarnięty przez nią sierota, póki tchu w piersi, zawdy ją w chacie za pierwszą uważać będzie, że tamtej, co ino swary wniosła ze sobą, a gospodarzem nawet pomiata i wieku uszanować nie umie, znać nie chce więcej, że... Ale gdzie jemu, słudze, do gospodarskich mieszać się interesów? I sfrasowany, smutny przysiadł na progu stajni, wspominając te czasy, kiedy to za nieboszczki śmiało do izby wchodził z południa i wesóły, swobodny, czekając strawy, to garnka podał, to wody przyniósł, to Kasię bawił, to z gospodarzem o roli i dobytku gawędził. A choć potulny zawsze, a trzymający się z dala, jako na sługę przystało, między swoimi czuł się tu jednak „swojakiem”. A jak to sobie rozważał teraz, nie od dziś wszystko się to zmieniło. Po onej drodze do Lipska na jarmark, co im to ją zając przeleciał, gospodarz z Franciszko-

wą swarzyć się jeni, a swarzyć o ten niby gospodarzów ożenek, a skoro nowa gospodyni nastąpiła, to i do chaty zajrzeć nie było po co. Ani go tam widzieli, a ino Kasia bawiła się z nim po dawnemu. Wszystko się psuło, nie od dziś psuło, a teraz to i popsuło całkiem. Ona tu rządzi, a Franciszkowa nic nie wiedząca...

– Świat się musi do góry nogami przewraca – mruknął chłopak, któremu pod wpływem ciężkich myśli znowu się w głowie mącić poczyniło na dobre.

A z izby echem się na podwórzu Magdzine rozlegało śpiewanie. Od czasu jak przestąpiła próg Musiałów jeszcze jej tak swobodnie pod strzechą „chamską” nie było. Ale bo i czemu się gryzła Jaśkiem? Było też czym, oj było! A toćże ją od wczoraj, jak ręką odjął, cała do chłopaka nawiść odpadła. Żeni się z Nastką? A niech się żeni, byle jej nie zwodził dłużej, nie męczył, i dobrze, że się to raz skończyło. Bo ona teraz pani, i w sobie pani, i w chacie, i na nikogo oglądać się już nie potrzebuje i życia użyje teraz wolna do woli. Co chce, to zrobi, oj zrobi, i uśmiechała się na myśl samą, jak łatwo jej wodzić „chłopem”.

A stawiał się niby wczoraj okrutnie, a raz wraz pytał, gdzie była, skoro jej na Borowcu nie było? Na złość przetrzymała go chwilę, a potem rzekła mu tylko:

– Głupiś, byłam we dworze, ano, co Franciszkowej do tego? O Jaśkowych zmówinach wiedziałam także, bo i do Nastki wstępowałam po drodze, a skoro do niej urazy nie mam, to mi o chłopaka nie chodzi. Dziewczynę stukałam, bo mi, nauczna widać przez babkę, od bicia przygadywała twojego, a nie na bicie ani przygadki niewiastę brałaś. Obiecywałaś mi państwo. Śliczne mi państwo! Do garnka zajrzeć mi wara, komorę na klucz zamykają przede mną, niczego tknąć nie dadzą, a mamrocą pod nosem, mamrocą niby na wroga. A ty co? Pykasz fajkę i pykasz i z założonymi rękami łazisz po izbie, a tylko ci się do całowania żoninego zachciewa. Pieścić cię może jeszcze, za tyła od was dobrze, całować za potyrke i pośmiewisko? Niedoczekanie twoje! Znosiłam wszystko do czasu i zgody chciałam, i przymierza w chałupie; choć mi panienki welon dawały i same obiecywały upiąć, w stroiku poszłam do ślubu, w chłopskim staniu, byle się Franciszkowej, coś mówił, że źli na mnie, przyłasić. Znosiłam wszystko, ale jak skoro na ludzkie mnie chcą podać języki, chłopaków przypinają do spódnic, a ty, miasto ją zgromić, mnie jeszcze na spytki bierzesz, to i sprawiedliwie nie zniosę. Ja ci tu oto rzecz przyszłam, co dłużej nie dam pomiatać sobą, a kiedy się starej boisz, to zostańże se z nią z Panem Bogiem, a ja sobie poradzę sama. Do ojca wrócę, w świat pójdę i tyle mnie będziesz widział.

Jakże ci to jej wtedy przeproszać nie zaczął, a przeproszać, i po rękach całować, i nogach, a bić się w piersi, i do winy przyznawać, i obiecywać poprawę.

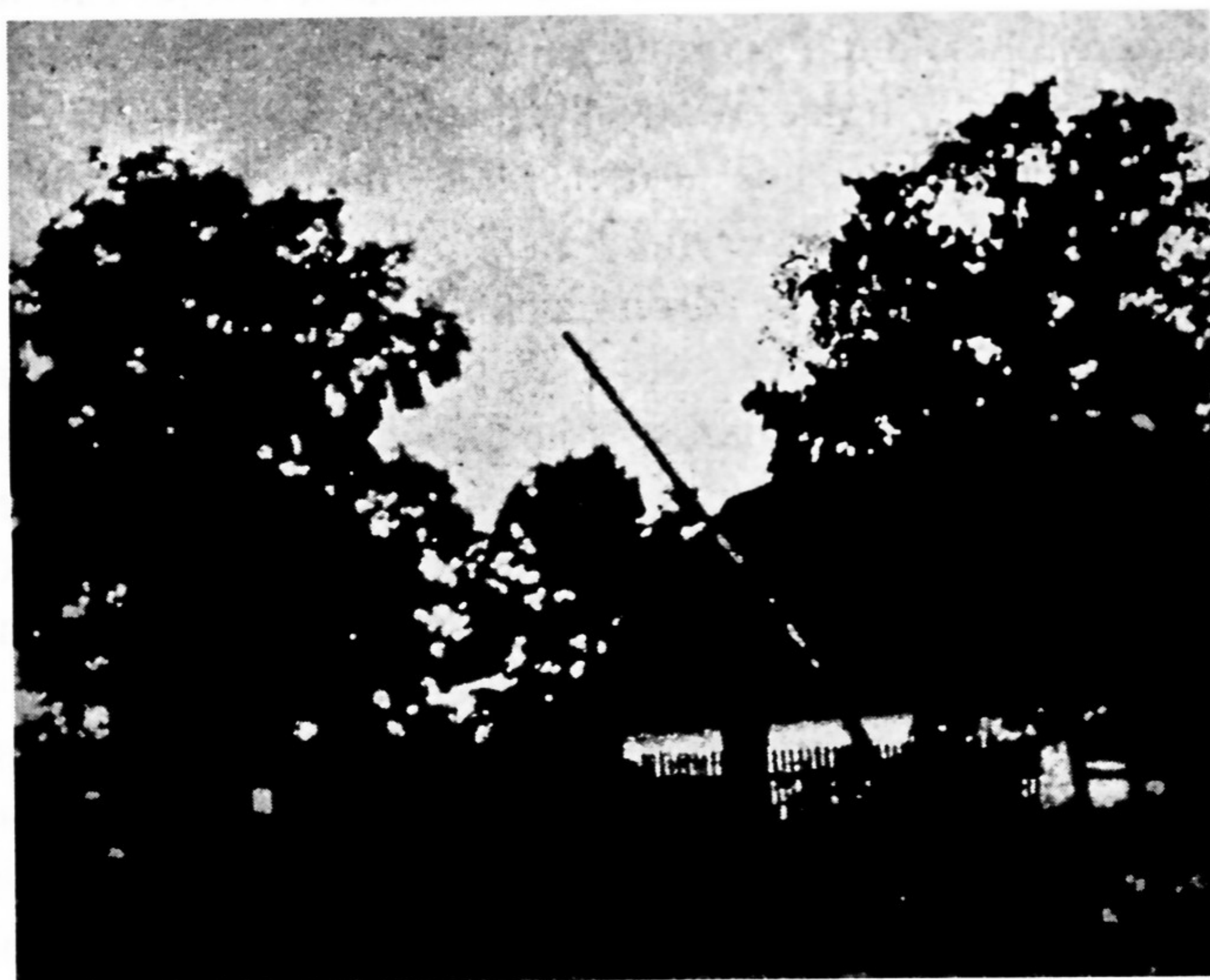
– Dyc – tłumaczył się – mówiłem, Magduś, co ty nikiej i rada, jak cię matka przy garnku zastępują i gadzinie. A no, kiej gospodarzyć chęć masz i wolę, to zasie matce od tego. Dość mają dziecka na stare lata pilnować, a strzec, coby językiem nie wojowała kaj nie trza. Będziesz se, Magduś, będziesz se gospodynią, kiej wola: przyjmiewa dziewczkę i rozkazywać będziesz w zagrodzie, a jeśli

czego, to się i grosza znajdzie w potrzebie, ładnego grosza, co go tam sporo w żeleźniaku w stodole. Kajże by ci po świecie lepiej być miało, kaj, Magduś, jak oto w chałupie własnej? Będiesz se panią, ino nie sumuj, ino mi nie płacz, Magduś ty najmilsza.

Co chce, to zrobi, oj zrobi! Od świtu zaraz samego Jakub jej rządy zdał w chacie, aże krzyknął na matkę, co on tu gospodarzem a gospodynią niewiasta. I oto rządzi, i na nikogo się już oglądać nie myśli, ani na starą nawet, której co prawda, był czas, przypodobać się chciała szczerze, obejść wroga podstępem, uspić go pozornie. I nie kłamała twierdząc, że stroik wdziała do ślubu i nabijany blaszkami stanik, i szychem bramowaną spódnicę, że się welonu dla przypodobania Franciszkowej wyrzekła, widziała jednak, że chociaż w „chłopskim”, w stroju jej tym do twarzy, jak żadnej nie było chłopce. Z natury i upodobań zalotna, wołała zgodą zdobywać ludzi, jednać uśmiechem, łaszeniem się wkraść w łaski, niż wojną iść i przebojem. Choć tedy pewna swego, Musiały jak siebie pewna, próbowała i szczerze do serca wkraść się teściowej, zniewolić ją, jak syna, i zapanować, jak nad nim. I po raz pierwszy może przegrała sprawę, i zabolęło ją to, aż do otwartej stanęła walki – i zwyciężyła.

Mściwości nie mając w sobie, znęcać się nad starowiną nie chciała ani jej też ze wszystkim od gospodarki usuwać, byle jej wszakże krzyżować planów nie próbowała, bo snuła je teraz różne, snuła na przyszłość, zwłaszcza gdy jej się Jakub o żeleźniaku z groszem wygadał. Chłopskiej wstydziała się doli, sukmany męża i wygolonej twarzy; no, to przerobi go sobie, na kolonistę przerobi, w granatowej sukiennej kapocie, czerwonym przepasanej pasem, i blachę mu do niej przypnie sołtysią albo mu na niej łańcuch zawiesi wójci. Co chce, to zrobi, skoro i grosz był w garnku, i oczy miała jak węgle.

Wszystko to dawno umyśliła już sobie, a tylko Jasiek stał na przeszkodzie, ale się go pozbyła i, wolna, zwolna zrobi, co zechce.



I przyśpiewywała sobie wesoło, żartami z dziadem zabawiając się swoim, do którego wzięła się ostro, w przewidywaniu pewnych z chłopstwem jego trudności, aż i zwarzywszy obiad, z proga zawołała na matkę, Kasię i Wicka.

Dziewczynina, co, załatwiwszy się już ze wszystkimi sześciu piernikami, zabawiała się pod płótem starannym okręcaniem dokoła palca barwnej po nich opaski, na głos macochy skoczyła do babki, jak oparzona, i za fartuch się jej chwyciła. Z wystraszonych jej oczu, z całej postawy znać było, że bez niej, tej opiekunki swojej, za nic by się do izby wejść nie ważyła. Pogładziła ją tedy starowina po twarzy.

– Nie bój się, wnusiu, babula z tobą – szepnęła i ujawszy Kasię za rękę, weszła do chaty dopilnować dziecka swojego. Wszedł za nią Wicek, a wszedł jak z musu.

I niewesoło pierwszą strawę Magdzinego warzenia spożyto. Jedzono milcząc. Milczała Magdzia, swarom nierada, w obawie, by nowych nie wywołała sporów; milczeli inni; a tylko gdy Musiała, zabierając się do miski z kaszą, rzekł, „co się nowa kucharka niczego wele garnków popisała”.

– A patrzaj – burknęła stara, ilością w misce tej omasty wzburzona – patrzaj, coby w nie zawdy było co włożyć.

Hardo rzucił jej Jakub:

– Moja w tym głowa – i nie odzywał się już, a jadł dalej, aż kiedy skończył, krótkie jął wydawać rozkazy: – Wicek z grabiami na łąkę dworską... Kasia naczynie pozmywa z matką – i odwracając się do Magdzi, łagodnie już i miękko dodał: – Pójdziwa, Magduś, w pole, na chwasty.

Napoiwszy konie z południa, szedł Wicek na łąkę dworską, gdy pod wrotami zastąpiła mu drogę Franciszkowa.

– No, Wicek – rzekła mu zwolna, dobitnie, w oczy się chłopakowi patrząc z uporem. – Nowe nastały rządy... Mnie starej iść w służbę do niej... a garnki po niej zmywać i miski... Dla Kasi strzymam, dla wnuczki... Ano, niedługo tego... Ino ty, Wicek – tu głos do rozkazu, groźby podniosła prawie – ino ty, Wicek, za dobro moje, opiekę, nie odstępuj mi dziecka, nie odstępuj, Wicek... Pamiętaj!...

A chłopak ryknął płaczem i zza wrót mruknął tylko:

– A ino...

IX

Nazajutrz zaraz, w drodze na jarmark zwoleński, zwierzyła się Magdzia mężowi ze swoich planów co do przyszłych dostojeństw.

– Cóżes to ty – mówiła – gorszego od Leśkiewicza sołtysa abo i wójta samego? Tak ci im, jak i tobie. Co gospodarz na urządzie, to na urządzie, inaksze zaraz ma poszanowanie i głos inszy, choćby u dworu. Abo to raz widziałam, jak dziedzic, niby gościa jakiego, sadzał wójta przy sobie, cygarem częstował

i przekąską, a „panie wójcie” mówił do niego i rękę mu podawał. Idź ino ty, a wystoisz się w sieni albo i przed gankiem, a ino ci pan przechodząc głową kiwnie: „a co to powiesz, Jakubie?” rzeknie, wysłucha, potem do rządcy albo i ekonoma odeśle, trzaśnie drzwiami i tyle go widziałeś. Może i nie?...

– A bo i prawda – odparł Musiała – ino – tu się jął drapać po głowie – wójtem ostać niemała rzecz. Cała parafia, aż więcej, bo aże pięcioro wsi pod sobą i pisarz, i kancelaria, i stójka, i sołtysowie, a jak czego, to i starszy strażnik posłucha, nie mówiący o młodszym. To nie śpas.

– Nie śpas... nie śpas... A kto wójta obiera, jak nie ludzie? Mogą i ciebie wybrać. Cóżeś to gorszego?

– Dyć wójt nasz, Majchroski, środ czerwieńskich kolonistów, nie przymierzając, największy: dwóch parobków, dwie dziewczki, cztery szkapy, ziemi aże trzy włóki, lasu będzie samego ze dwadzieścia, abo i pięć morgów, a dobytku moc i gadziny... I na książce nauczny, i w kapocie, i z wąsami... Taki to tam na wójta – tłumaczył się Jakub, przełknięty prawie hardymi zamysłami żony.

Ale ona nie zrażała się wcale.

– A tobie co braknie? – prawiała dalej. – Dziewkę przyjmujemy, parobek jest, dobytku i ziemi także sporo, a sam gadałeś, co i grosza się znajdzie w jakimś tam garnku...

– Juści go tam trochę, bo jest, skoro jeszcze rodzic składali... – tu jednak z pewnym wahaniem, jakby niechętnie przedmiotu tego dotykał, dodał: – Ino... tak dokumentnie, to nie wiadomo ile... Zawdy chyba z tysiąc będzie, abo i dwa...

Magdzia uśmiechnęła się nieznacznie.

– Nikt ci tam – rzekła – do garnka twojego nie zagłada, ale i wójtostwo także warte grosza, a i dobrego...

– Warte, bo warte... to się wie... mruknął Musiała.

– Abo i z tą kapotą i z wąsami? – ciągnęła Magdzia. – Niby to w Zwoleniu nie dostanie kapoty... a wąsy to i same wyrosną...

Jakub spojrział na żonę, a potem na sukmanę, a potem przeciągnął ręką po twarzy, jakby sprawdzał na niej stan zarostu, mocno w tej chwili potrzebujący brzytwy, i rzekł osłupiały:

– Co też to Magdzia gada...

Aż ją to zniecierpliwiło.

– Nie gadam, ino powiadam – zachnęła się. – Sprawiedliwie, to ci dopiero chłopisko zatwardziało! Ty swoje, a on swoje, ty tak, a on siak! A cóż być to zginął od wąsów, czy jak? Jeszcze by ci z nimi lepiej było do twarzy, co nią jak kolanem, nie przymierzając, świecisz... – i po chwili dorzuciła już spokojnie: – Na książce nauczny? A od czego pisarz? Co mu przykażesz, to napisze, a odczytać to i ja drukowane odczytam... Wielkie mi rzeczy!...

Ale Musiała nie gniewał się już więcej. Zamyślony, jechał milcząc, od czasu jeno do czasu po brodzie głaszcząc się i policzkach, tak bardzo tym, co usłyszał, poruszony, że fajki nawet do samego Zwolenia nie zapalił.

Magdzia zaś nie przerywała mu zadumy. Własnymi rozkołysana słowami, tonęła także myślą w przyszłości, zresztą na razie zrobiła swoje, niechże się więc, jak mówiła, „chłopisko wysapie teraz”, zanim go dalej przynaglać zacznie. I obmyślała drogi, jakimi dążyć by wypadało do celu. Chodziło przede wszystkim o zjednanie wsi własnej, a sposób na to prosty: dość Jukla i półkwaterek. Dobra też pomoc ojca, bo choć się skrzywi na tę robotę, co grosza sporo szarpnie na marne dogodzenie miłości własnej, to przecież chwyci się jej skwapliwie, choćby ze względu na one posiedzenia w karczmie z kieliszkiem, odbywane na rachunek wyborów i zięcia. Przy tym dębczakiem z lasu dworskiego w potrzebie mógł się przysłużyć, a choć Musiała przysługi takiej świadomie przyjąć by nie chciał, jako uczciwy chłop z gruntu, a zamożnością ambitny, zawszeć się we wsi nie jeden bo znajdzie taki, co i za brzózkę nie pożałowałby głosu. Po cóż by zresztą i wtajemniczać Jakuba. Toć by się pewno i na ów sposób nie zgodził, jakim pisarza przejednać liczyła sobie. Nie młody to już był człowiek, żonaty, sprawdziła jednak we dworze jeszcze, jako na wdzięki niewieście czuły, a wdzięków miała aż nadto. Wiedziała wprawdzie po świeżym zajściu, że niebezpiecznie było to może narażać się pod tym względem Musiale, ale wiedziała, że i stłumić go łatwo, że wreszcie to nie pierwszozna ani też znowu ostatek.

Dojeżdżano już do Zwolenia, gdy, długie przerywając milczenie, Jakub do siebie mruknął półgłosem:

– Na sołtysa, to ta jeszcze nie mówię, ale na wójta... – i znowu ręką powiódł po brodzie.

– A niechby i na sołtysa – odparła w duchu Magdzia, bo i los sam na tyle tylko, zdaje się, pozwalał zrazu.

Wybory na wójta odbyć się miały w gminie czerwińskiej, do której należało i Wielgie, dopiero za półtora roku, na wiosnę jednak kończyła się służba sołtysa. A tu Szymon Leśkiewicz, sołtys wielicki, a z Magdzinowych jeszcze godów starosta, wiekowy już bardzo gospodarz, zaniemógł podobno ciężko i wiosny mógł nie doczekać. Chociaż go tedy, aż do wyborów z urzędu, zastępował podsołtys Maciej Sulima, ubywał jednak miły gromadzie współzawodnik, którego od lat już wielu wybierała zawsze bez zmiany, a który niewielkie urzędowanie, po parę groszy z morga zysku zaledwie dające, pełnił ot dla powagi, jak pełniły je Musiała. Przegłosowanie Sulimy nie było rzeczą tak trudną: mniej od Leśkiewicza zamożny, liczną obarczony rodziną i nie dobijałby się o urząd może, gdyby nie zwyczaj, podsołtysostwu przyznający w tych razach pierwszeństwo. Zwyczajnie obalić, wiedziała Magdzia, nie łatwa to po wsiach sprawa, wcześniej koło niej zakrzętnąć się wypadało, wcześniej też zatem, niż to zamiarem jej było, z planów swoich zwierzyła się Jakubowi, a raz zwierzywszy, przynaglać go postanowiła.

Trudności, jakie ją ze strony męża spotykały, ociąganie się jego i wahania, a które przewidywała z góry, nie płynęły jednak z przeciwnych jego dla jej zamiarów chęci, ale raczej z nieoswojenia się jeszcze z myślą nową zupełnie,

a spadła nagle na umysł, nieprzywykły do samodzielnych, a tym bardziej szybkich postanowień.

Lat kilkadziesiąt wiedziony na pasku przez matkę, spod wpływu jej wyłamany noworodzącym się wpływem, znalazł się oto na rozstajnej drodze, nieświadom właściwego kierunku. Że pasek matki pewnymi wiódł go szlakami, że się na radach jej i woli nie zawiódł nigdy, szedł za nim ślepo, zawsze spokojny, a jeno budząc się czasem, gdy go zbyt twardo uciskał. Młody wpływ żony jednakże, któremu uległ z kolei, któremu, dla stępionej w nim długoletnią przewagą matki energii, z natury rzeczy poddać się musiał bez ograniczeń w przyszłości, młody ten wpływ, choć serdeczną wsparty nawiścią, a i skłonnościom wrodzonym bardziej odpowiadający, w chwili przełomu, wynikami działania swego ani też czasem nie uświęcony jeszcze, skazywał go na samodzielność pozorną.

Gdyby mu była ot matka rzekła: „ostaniesz wójtem”, nie tylko że nim ostatnie, ale że „ostać nim potra”, wierzyłby święcie. Wahał się jednak, a niedowierzał raczej, skoro mu Magdzia „ostać nim przykazała”.

Myśl sama, projekt uśmiechały mu się i bardzo; już posiadanie na schwał dorodnej niewiasty butą przejmowało go jakąś i na wszelakie ambicje otwierało mu duszę, a grały w nim przecie i hardość chłopca wrodzona, i chęć, skwapliwie zawsze i z powodzeniem zwalczana przez Franciszkową, a podniecana przez Magdzię, chęć użycia, teraz zwłaszcza przy młodej żonie, tych zasobów i zamożności, jakie ciężką tyłu lat pracą on i ojcowie zdobyli.

Ba! wójtem by został chętnie i bardzo chętnie, tylko mu się nie mogło pomieścić w głowie, jakby to on nim został. Nigdy bo myśl ta umysłu nie zaprzętała, a gdy mu ją poddano, miarą go swoją przerosła. On, Jakub Musiała, wójtem, Magdzia wójciną?... Ino Madzia jak Magdzia, ona bo i na panią patrzy, i na dziedziczkę, ale on, Jakub?...

– Na sołtysa to ta jeszcze nie mówię, ale na wójta?...

Magdzia bo wystarczało zupełnie, że się z oporem nie spotkała stanowczym, szczerą niechęcią, na wahanie się bowiem tylko, niepewność lek miała nieomylny.

Poddała go jej Nowotnik.

– Kiej ci chłop – mówił – nijak nie rusza z miejsca, ino go podlej, a kaj chcesz, skoczy...

Gdy więc Musiała, onym wójtostwem swoim sfrasowany, śmiałością zamiarów żoninych przybity, a mimo to olśniony nimi, stracił rezon, tak że go nawet jeden i drugi kieliszek otrząsnąć nie zdołały, Magdzi się miodu zachciało.

Nikogo nie mając pod ręką, kto by ją w tym wyręczył, zresztą nie życząc sobie udziału w rozmowie osoby trzeciej, choć pić nie lubiła, a wódki nigdy do ust nie brała, miodem trąciła się mężem. Miód, sprawdziła to, działał na Jakuba zabójczo, po paru zatem już lampkach raźniej mu się już jakoś robić poczęło i weselej ją na świat patrzeć.

– A cobym tak na ten przykład – rzekł nagle, niemiły przypomniawszy sobie docinek o kolanie – wasy zapuścił? Dyc we wsi i Siwiec, i Nachyła, i Sulima chodzą z wąsami, a parobczaki to wszystkie... Wielkie mi rzeczy!...

– Pewnie, że niewielkie, i zaraz by ci było lepiej do twarzy – dogadywała Magdzia. – Tylko że ci i wasy nic nie poradzą przy takiej grzywie końskiej i włosiskach, jak u baby na odrastaniu. Tak ci jedno akurat do drugiego, jak ten kwiatek do kozucha pasuje.

I znowu zawahał się Musiała, szeroką dłonią powiódł po obfitej, długiej czuprynie, po gęstej grzywie opadającej na czoło i zamyślił się znowu. Twarz jak kolano, grzywa końska i włosiska niby u baby na odrastaniu zaniepokoiły go jakoś. Dziwna rzecz, nigdy mu to na myśl nie przychodziło przedtem. Nosił się, jak dziad nosili się albo i rodzic, jak go przyzwyczaili nosić się matka. Aż oto teraz dopiero zauważył, że takich głów z grzywami a gołych twarzy coraz mniej dokoła siebie widywał. Na palcach policzyłby je we wsi. Spojrzał na żonę w czepeczku wymyślnym, kaftaniku do stanu, spódnicy w kliny z falbanką, w zgrabnych, na guziki zapinanych trzewikach z klapkami, a potem na siebie... i ocknął się nagle. Lampkę miodu całą wypił do dna, uderzył w stół pięścią i zawołał rezolutnie:

– A bo i prawda... chodźwa, Magdziu, do felczera. Raz kozie śmierć, ostrzygę się i tyla.

Tylko że po dokonanych ostrzyżynach ponownie stracił rezon. Po zasłoniętym dawniej szczelnie, a gołym obecnie karku każdy podmuch wiatru odbijał się chłodem i co chwila przypominał brak włosów. Kołnierz sukmany dolegał mu niby włosienica. Jakby wstydem przejęty, kapelusz wbił na czoło i nie zdejmował go wcale. Zdało mu się, po prostu nieprzyzwoicie wyglądałby bez niego, ot niby bez koszuli na sobie. Jak się tu matce pokazać? A co powiedzą sąsiedzi? Czy nie za prędko usłuchał żony, na którą teraz spoglądał ukradkiem, jakby otuchy się po niej spodziewał i dodania odwagi.

Magdzia jednak w pierwszej chwili miała sama pozór załapanej. Grube rysy Jakuba, łagodzone do tej pory ramą obfitych włosów, dobyły się niejako na wierzch, bez obłonek, w całej swej sile i wyrazistości, twarde jakieś, jakby z gruba ociosane. Twarz zmieniła niemal zupełnie charakter. Znikł z niej ów wyraz dobrodusznej a swobodnej szczerości, znikł rysunek głowy, jak ze starej zapożyczony pieczęci, poważny, harmonijny a miękki, ustępując miejsca głupowatej powszedności konturów, co z niej czyniły bryłę,



niezdarnymi nabijaną guzami. Magdzia przełękła się zrazu dzieła swojego i nie umiała nad własnym niezadowoleniem zapanować, co oczywiście podniosło jeszcze zakłopotanie Musiały. Aż uchwyciła na pociechę myśli o wąsach, które na górnej wardze Jakuba czerniały dopiero rodzajem brudnej, jakby zatabaczonej smugi, w porównaniu ze świeżo ogoloną brodą i policzkami, nic a nic jeszcze twarzy jego uroku nie dodając. Stanowiły jednak źródło nadziei.

– Niech ci tylko wąsy odrosną – rzekła nareszcie, kłopotliwe przerywając milczenie, czując że coś przecie na pociechę mężowi rzecz wypadało – zaraz ci będzie lepiej do twarzy.

Ale Musiała owemu lepiej nie dowierzała jakoś. Nie sprawdziło się już raz po ostrzyżynach, mogło się z wąsami nie sprawdzić. Stało się jednak: o przyprowadzeniu głowy do dawnego jej stanu i myśleć nie było co teraz, machnął tedy chłop ręką i machnąwszy powtórzył:

– Ano, raz kozie śmierć... Chodźwa na piwo i kwita!...

Przy piwie, ulubionym napoju Musiały, przetrącanym suszoną kiełbasą, obojgu jęły przecie wracać humory. Magdzia powoli oswajała się z widokiem postrzyżonego męża, odzyskując pewność siebie, która i jego stawiała niejako na nogi. Coraz rzadziej macał się już po karku i palcem po wardze górnej przesuwiał, a tylko kapelusza nijak jeszcze zdjąć nie chciał.

Pierwszą jednak ofiarę na rzecz projektów żony poniósłszy, sam do projektów tych wrócił. Jakkolwiek ostrzyżony i wąsów na przyszłość pewny, zawsze jeszcze wójtostwo zbyt śmiałą zdawało mu się zachcianką, urząd za to sołtysa nęcić go począł nie żartem. Bądź co bądź, przewodnictwo to w gromadzie, godność płynąca z wyboru, dowód zaufania i uznania nie każdemu dostępny, a choć więcej z nim kłopotu niż zysku, nie o zysk przecie chodziło mu żaden, kłopotów zaś miałby się lękać, skoro i stary Szymon dawał sobie z tym radę! Wkrótce też dziwić się począł sobie samemu, że mu to sołtysostwo nie przyszło wcześniej do głowy, żal uczuwać do matki, że i ona nie pomyślała o nim.

– Matka, jak matka – rzekł sobie w duchu – aby ino grosz zbijać w kabzie i tyle.

Tylko że on już zbijania onego miał dosyć, bo i dla kogoż zbijać tak znowu? Dla Kasi może i dla zięcia? I bez zbijania było ją czym wianować, a było suto. Na więcej dzieci nie zanosilo się jakoś, gdyby zaś przyszły, pomyśli o tym, teraz jednak i jemu należało się coś na świecie, a młodej żonie tym więcej. Będzie sołtysem i basta! Cóż to, nie stać go na to? Choćby Sulimie dać odstępnego, choćby Szymona przyszło przesadzić, przesadzi. Z wdzięcznością spojrział na żonę i kupił jej targowany od dawna zegar ścienny z wagami, o porcelanowym, suto malowidłami upstrzonym cyferblacie, którego wiedział, że pragnęła gorąco, którego wszakże, mniej może ze względu na wydatek, bo o trzy ruble wszystkiego chodziło, ale z uwagi na matkę, oboje nie mieli dotąd odwagi nabyć.

Ano, cóż to, nie jego może pieniądze?!...

W Magdzi, której wszystkie życzenia spełniały się oto, jak na zwołanie, znowu na chwilę wzbudziła się wdzięczność dla męża, co jej na każdym kroku

tak serdecznego kochania dawał dowody; gdy tedy i zegar, starannie owinięty, poczuła w ręku, rzekła:

– Dobrze z ciebie chłopisko, Jakubie, do rany bodaj przyłożyć. Będę cię – obrzucając go zalotnym spojrzeniem, dodała – będę cię lubiła, dziadu, słyszysz?...

A jemu, jakby kto, miodem serce smarował, radość się wielka na twarzy wybiła.

– A nie będziesz to, Magduś, komory zapierała? – zapytał.

Roześmiała się, wymijając odpowiedź.

– Jemu to aby komora na myśli...

Nie na czym jednak poprzestała tym razem słowie, bo już na samym wyjeździe do bławatnego sklepu wstąpiła i za własne pieniądze Kasi kupiła łokieć „ostrego” na fartuch.

Czy mężowi się tym przypodobać pragnęła, czy działała jeno pod wpływem onego zadowolenia, którego pełną była, czy może chodziło jej o zamiatanie fartuchem oburzenia starej na zegar, kto odgadnie? Musiała jednak ażę pokraśniać.

– A ty to nikię zła, Magduś... Bogać tam – mruknął wzruszony.

Wracali do domu w najlepszych usposobieniach, zajęci wyłącznie przyszłymi wyborami. Od sprawy tej Jakub nie odstąpiłby już za nic w świecie, a Magdzia, jak do wszystkiego, namiętną przyłgnęła do niej naturą. Ot, było o co znów myśl zaczepiać, o chłopstwie zapomnieć swoim i nudach w chacie a to tym więcej, że dla niej wstępem być miało sołtysostwo jedynie, pierwszym tylko ku wyniesieniu się krokiem, na którym zgoła nie zamierzała poprzestać. Dziedzica już widziała w wyobraźni, podającego Musiale rękę, a częstującego cygarem, słyszała jak go zwał „panem wójtem” i siedzieć prosił, i aż jej się błogo na myśl o tym robiło.

Postanowiono wziąć się do rzeczy niezwłocznie, nie rozgłaszać jej wprawdzie na razie, z Juklem się jednak i Nowotnikiem umówić zawczasu. Musiała doradzić nadto przymierze z Kajtaniakową, bez której nic się we wsi nie działo, a którą zawsze lepiej mieć było za sobą.

– Baba – mówił – jak piskorz; gdzie ją nie posiał, tam wyrośnie, a wy miarkuje, co potrza. Ino że z nią ostrożnie, coby nas nie podeszła.

Pobudzony energią żony, chłop zdobywał się na pomysły od siebie, rozmowny, wesół, butny a pewny swego, jak nigdy.

– Ano, śpekulant z ciebie, Magdzia, nad śpekulanty – powtarzał i obejmował żonę, i całował, czego mu oczywiście nie myślała bronić w tej chwili.

I tak się rozochocił w końcu, że nagłym ruchem zdjawszy kapelusz z zadowoleniem przeciągnął dłonią po wystrzyżonej czuprynie i z pewnym zawyrokował przekonaniem:

– Dyc co i lepiej, to lepiej, nie ma co mówić!... A tak ci na łbie lekuśno, że i kapelusza nie czujesz.

A tylko starej, gdy z onym „łbem lekuśnym” syn przed nią stanął butnie, łzy zakręciły się w oczach i nie zmrużyła już ich noc całą.

Gdy we dni kilka po widzeniu się jej na Jakubowym podwórzu z Franciszkową i pamiętnym zniknięciu Szarpakowej kosy, która istotnie w prawym znalazła się posiadaniu Jukła drogą wymiany za pokaźną ilość półkwaterków, na wykupienie zaś której nie starczyło złotych i dwa dni jeszcze odrobku przy okopywaniu ziemniaków arendarzowych dołożyć wypadło, przechodząc drogą spotkała się Wojtkowa oko w oko z Musiałą, jak wryta stanęła na widok gospodarza, potem z „dziwoty wielgiej” zachwiała się tak silnie, że jeno sąsiedztwo płota chwianiu się onemu kres położyło.

– Patrzajta, ludzie! – najbliższej z brzegu, Nachyłowej dopadłszy chałupy z wielkim rozpowiadała przejęciem: – Patrzajta, ludzie!...a to byłabym się prędzej śmierci, moiściewy, spodziewała, niżli na własne urzić oczy, com ci nikiej urziała... A dyć Musiała wąsy, moi ludzie, zapuścił i czernią mu się pod nosem, kieby podorywka po deszczu, a sterczą, kieby ściernisko po sierpnie.

Tu zatrzymała się chwilę, poczem z większym jeszcze dorzuciła zapalem:

– Myślita, co koniec na tym? Bogać tam!... Kiejem mu, nikiej Jakubowi, rzekła z wielkiej dziwoty, co, musi, straszyć chce wąsiskami, ośmiał się ino i zdjął ci kapelusza, a tu głowa, sprawiedliwie dyćem widziała, jako was widzę, kieby ten baran po strzyży, wystrzyżona dokolusieńka...

I zakończyła uwagą:

– Ano, musi niewieście chłopca się zachciało z wąsami, na dworski manier...

Całe dwa dni nosiła się Kajtaniakowa z wąsami onymi, niby ze skarbem, coraz to nowymi sposobami określając wygląd ich i naturę i jeszcze ich nie zużyła, jeszcze się ten i ów trafiał we wsi, komu nie opowiedziała o nich szeroko, gdy znowu Musiałów strzecha nowego jej dostarczyła przedmiotu.

– Jakub dziewczkę se godzą!...

A potem:

– Jakub dziewczkę zgodzili!...

A wreszcie:

– Do Musiałów dziewczka nastąpi!... – huczało po wsi z dodatkiem:

– Ano, państwa się, musi, Jakubowej zachciało i dworu.

Odtąd Musiałów zagroda stała się źrenicą oka Kajtaniakowej. Od kipiącego gotowa była odbiegać garnka, pacierz przerwać w połowie, byle, uchowaj Boże, najdrobniejszej nie przeoczyć okazji w wysledzeniu najdrobniejszego w zagrodzie tej wypadku.

Dnia pewnego, na zagotowaniu już samym, porzuciła mleko przy ogniu, spostrzegłszy oknem przechodzącego Jukła. Połowę strawy poszło na marne, ano widziała za to, widziała Jukła wchodzącego do Jakubowej chałupy. Do garnka naląła świeżego mleka i zamyśliła się tak głęboko, że tylko co nie wykipiało po raz wtóry.

Arendarz u Musiałów!... Stanowczo u sąsiadów na jakieś zanosilo się rzeczy, ślepemu gadać, ino na jakie? tego i ona, choć na oboje oczu widoma, nie mogła nijak zmiarkować.

I biła się z myślami okrutnie, a jakże bić nie miała, skoro ją w izbie własnej po dwakroć raz za razem odwiedziła Jakubowa i, niby kuma najlepsza, na pogadance godzinę całą spędziła i zapraszała do siebie, i „zajść kiej znowu obiecowała”.

Magdzia w ogóle do tej pory nie zadawała się we wsi z nikim, z dworskimi jeno utrzymując stosunki, tym więc dziwniejsze wydało się Kajtaniakowej to do niej zachodzenie.

– Cosik ona se na mnie – mówiła – kroi, a ino jej rzec niewyraźnie.

I przypuszczała, że może w miłosnej sprawie pośrednictwa szukała, że tu o Jaśka może chodziło i Nastkę, o Jaśka, o którego posądzała ją zawsze, tyle się dawniej nasłuchawszy o furmańczyku i pokojówce dworskiej. A okazyjki lubiła takie, lubiła bardzo, ona, co tak serdecznie cudzych spraw doglądała, że jej się przy nich niczym wydawały własne. Pobiec na zwiady, schwytać języka, zlecenie ponieść a z odpowiedzią powracać, najmilsza to była dla niej robota; nie w celach zysku, broń Boże, ano z upodobanie jedynie. Tyle bo się ciekawych rzeczy człek przy tym nałykał, że i fatygi nie żal ani mordęgi. Nieprzegadana bajczarka, gdy o nowinę szło, z zewnątrz spadłą lub pochwyconą wypadkiem, niemą się stawiała i głuchą, ilekroć jej kto wprost powierzył jaką sprawę i do wspólnego przyjął działania. Chodziła jeno wtedy jak szklana, poważna i nadęta, zamyślona a tajemnicza, prawie że od ludzi stroniąca.

Znano ją z tego.

– Oho! – mawiano – Wojtkowa cosik dusi w zanadrzu! – nie określając rzeczy dość ściśle, Wojtkową dusiło właśnie, a tylko wielką przemagała się mocą i tyle pragnęła jeno, iżby się po niej, jako do powiedzenia coś miała, domyślić było można.

I próbowała wyciągnąć Magdzię, gotowość swoją do usług dając jej do zrozumienia, w przypuszczeniach się jednak myliła chyba. Wzmiankę o Jaśku zbyła Jakubowa spokojnie, krótko i obojętnie, a na dobitek Jakub jej głowę do reszty zmacił.

– Ano – rzekł do niej, spotkawszy ją po sumie niedzielnej – chodźwa, kumo, do Jukła. Ja do was, wy do mnie i po krzyku!...

W karczmie Nowotnika zastali i tak we trójkę, aże po nieszpór „ja do was, wy do mnie, przepijali przez krzyku”. A tylko w drodze do domu chwiały się nieco nogi babinie, myśl zaś plątała się po głowie:

– Musi nie o chłopaka babie chodziło, skoro ci chłop funduje...

Poczęstunek Musiały zbił ją z tropu i nie próbowała biedzić się więcej nad rozwiązaniem zagadki, poddając się niejako przeznaczeniu, w nadziei, że przecież z czasem wyjaśnienia się jej doczeka. Ciekawość jednak paliła ją niezmierną, w odwiedziny się tedy nazajutrz zaraz wybrała do Jakubowej, co miast do

karczmy, do dworu zachodziła w niedzielę, jak mówiła swojemu, o pilne dowiadywać się pranie.

Wpadła pod wieczór, tak przed zachodem słońca, „coby się nikiej nie zsiadywać długo”. Franciszkowej nie zastała, nie było też Jakuba, a tylko obie-rała w izbie ziemniaki dziewczka świeżo przyjeta, rodem z sąsiednich Gardzienic, znana jej dobrze Wikta, po gardzienickim ongi karbowym córka, Karbowianka nazywana powszechnie. Dziewucha tęga, młoda, przystojna, o kragłych rysach twarzy, blondynka, snadź po służbach obyta, a sprytna, bo gdy się do niej Wojtkowa z pozdrowieniem zwróciła, znacząco wskazała jej ruchem głowy komorę. Pytań obawiała się widocznie zbytecznych.

Ale nie dopuściła ich Magdzia sama:

– A kto tam, Wikta? – zapytała zza drzwi przymkniętych.

– Niech będzie pochwalony... w odpowiedzi na progu już komory wygłosła Wojtkowa.

– Na wieki wieków... Jak się macie, Kajtaniakowa. A cóż to nie widać was i nie widać... Jużem do was sama zajść chciała... Siadajcieże no sobie... Co tam słyhać nowego?... – mówiła Magdzia szyciem zajęta, nie odrywając się od igły.

– A cóż by ta, moiściewy, i słyhać było – z westchnieniem rzekła Wojtkowa, na kuferku sadowiąc się, w pobliżu Magdzi stojącym – stara bida i tyle, nowego i na obwinienie palca... A gdzie to Franciszkowa?

– Na rydzach z dzieckiem.

– Jakub bo ci pewnikiem z kosą?

– Do dnia jeszcze wyszedł na łąkę: Wikta nosiła im obiad, bo z Wickiem poszli.

– Galanto se Jakubowa mieszkają – zauważyła sąsiadka, ciekawie rozglądając się po komorze, którą raz pierwszy obejrzeć miała sposobność dokładniej – galanto, nikiej dziedziczka jaka.

– Gadajcie zdrowi, trochę gratów i tyle – wydymając pogardliwie usta, odezwała się Magdzia – aby kąt mieć spokojny, żeby mi w nim Franciszkowa z dzieckiem nie trajkotała.

– Zatrajkoce jeszcze, oj zatrajkoce Jakubowej, ale własne, aże się od trajkotu onego rozligać będzie.

– A tylko – burknęła Magdzia, uśmiechając się z przekąsem – jest ciż po kim.

Nie podniosła sąsiadka wprost drażliwego tematu, ale na uwadze poprzestała z westchnieniem:

– Dyć wiadomo, nie chowały się Jakubowej dzieciska...

Po odpowiedziach Magdzinych zmiarkowała, jako się na Musiałów zbytecznie nie potrzebowała oglądać, a przypochebna, czując, że w tej tu chacie głową dziś była żona młoda, zwyczajem swoim poprawiła się, a raczej podskoczyła na siedzeniu i wybuchnęła nagle:

– Ano, taki powiadam, co na świecie nijakiej nie ma sprawiedliwości!...

– Bo co? – zagadnęła Magdzia zdziwiona i opuszczając robotę na kolana, z zapytaniem w oczach, spojrzała na mówiącą.

– Nijakiej nie ma sprawiedliwości!... – powtórzyła z naciskiem Kajtania-kowa, podskakując na kuferku raz wtóry. – A bo i sprawiedliwie to na ten przykład, coby ci taka, nie przymierzając, jako malowanie niewiasta sama nad igłą nikiem pustelnica w komorach wysiadywała? Dyc się to ino wszystkim wywiadować ze wsi chłopakom, a i z parafii...

Zarumieniona, ze śmiechem odparła Magdzia:

– A cóż bym to ze wszystkimi robiła?

– Wybrać bo se jednego, a przylipnego, i zabawiać, skoro chłop samą ostawia w doma.

– Dobrze Wojtkowa radzi, tylko się przedtem Jakuba spytam...

– W oczy powtórzę!... Sprawiedliwie, powtórzę!... – z pocieszeniem zapewniała ogniem sąsiadka. – Kto nie pilnuje swego, niech cierpi... Dobrze mu tak!... A bo to nie wiem o takim, coby się ta pewnikiem o nic nie zapytał Jakuba?

Magdzia pochyliła się nad robotą.

– O kimże to Kajtaniakowa znów wiedzą? – obojętnie spytała niby – bo ja o nikim.

– Bogać tam! – z powątpiewaniem ciągnęła swoje Wojtkowa. – A nie chodzili to Jakubowa do dworu, to i słychali, bo okeż po wsi nie dudni.

Teraz dopiero domyślać się poczęła Magdzia, a jednocześnie słuchać uważniej; zawsze jednak ponad igłą schylona, odparła na pozór zimno:

– Byłam we dworze o pranie dowiedzieć się na kiedy, zapowiedziała pani na jutro i tyle.

– A drogi to nikt Jakubowej nie zaszedł?

– Dwór nie las, żeby w nim kto komu drogę zachodził.

– Las nie las, a jest ci tam tera taki we dworze, co i na żart nie podaruje żadnej. Dyc wszystkie o nim rajcuja we wsi dziewczuchy, bo ci je po niemiecku jakoś przeżywa, a kaj którą napotka, tam capas. Panicz, krewniak dziedziców, co się ponoś na doktora uczy w Warszawie, a do państwa na wakacje zjechał. Ma ci z nim dziedziczka, ma zgłoby, bo choć to nikiem śpasem się dzieje, zawdy są trzy panienki w domu, to i zgorszenie. Ino że traf tu z takim do ładu. Mówiła mi Nachylanka, co bez cały dzień sobotni w dworskim ogrodzie robiła, że ci wpadł na nią, a Kleopatra jakoś, czy jak tam, wołał i coby byli ogrodnik nie nadeszli, to byłaby se dziewczucha nie dała rady. Okrutecznie ponoś przyszczypny, a dziewczycy ino tera, aby się do ogrodu na robotę dostać. Taki to by i złego o pozwolenstwo nie spytał.

– Abo i prawda – wtrąciła z kolei Witka, z napółobranym w ręce kartoflem, z kozikiem w drugiej, stając na progu. – Ekonom i mnie w sobotę do ogrodnika wysłali, bez pół dzień pełam z Szarpaczką w inspekcje. Skorom już na południe schodziła, spotkałam ci onego w kasztanowej alei, a on ci obces do mnie i, musi, Hebes czy jak tam woła. Ja nogi za pas, on za mną i ledwom ci się

na pastewniku skryła w tarninie. A wołał ino, kajżeś ta, Hebes, kajżeś ta, Hebes...

Dziewczyna zamilkła, kartofel skrobnęła kozikiem, widząc jednak, że i gospodyni, i Wojtkowa słuchały chętnie, dorzuciła ze śmiechem:

– Ale najlepiej to ci przezwał Szarpaczkę. Na odwieczyrz pełyśwa znowuj, ja, Szarpaczka i Nachylanka, przede dworem. A tu ci idzie ten sam, ino szedł z panienkami. Skoro nas urział, tak do Szarpaczki:

– „A jak ci to, dziewczucha, na imię?”

Dziewczyna się zawstydzila okrutnie, jako to przy panienkach było, i nic, a on do niej:

– „Cóżeś to – mówi – patronki zobaczyła swojej, czy co? A ładnie...”

Tak onej wstyd się zrobiło jeszcze większy i rzekła:

– „Dyc Joaśka”.

A on jak ci nie huknie:

– „Joanna Drag... Joanna Drag...”

Panienki w śmich, ogrodnik w śmich, my z Nachylanką w śmich, Joaśka, mówiłam, co się pod ziemię schowa, aże sama pani wyrziała oknem i po mieciecku, musi, zawołała:

– „Śarl... śarl...”

I poszli. Wszystkie ci tera dziewczuchy przezywają Szarpaczkę „dragiem”, a chłopaki ino „Joanna” wołają.

A Magdzia jednego z opowiadania nie traciła wyrazu, mieniła się tylko nad igłą a słuchała. Każda ze dworu wiadomostka zajmowała ją żywo, to zaś, co oto dziś słyszała, zajmowało szczególnie. O gościu onym, który tak sobą wszystkie wzruszył dziewczuchy, wiedziała już od wczoraj, od wczoraj myślała o nim wyłącznie, bo że „przyszcypny”, na sobie przekonała się samej.

Jak zwykle, w pierwszym rzędzie zamężnych niewiast klęczała w niedzielę pod amboną na sumie, gdy do kościoła weszli państwo ze dworu. Szła najpierw pani, za nią panienki, za nimi dziedzic, a za dziedzicem młody jakiś, nieznaný jej panicz: wysoki, szczupły blondyn, o niebieskich, bystrych, a jakby śmiejących się oczach, z jasnym, snadź ledwie że zapuszczonym zarostem. We drzwiach zakrystii zatrzymał się, a chociaż pani w ławce mu pokazywała miejsce obok siebie, potrząsnął głową i, o framugę wsparty, zaczął się po kościele rozglądać. Rzucił okiem na ołtarz, spojrział po chórze, na chrzcielnię popatrzył, aż dojrzał pod nią dziewczuchy i jakby się do Nachylanki, co z brzegu zaraz klęczała, uśmiechnął.

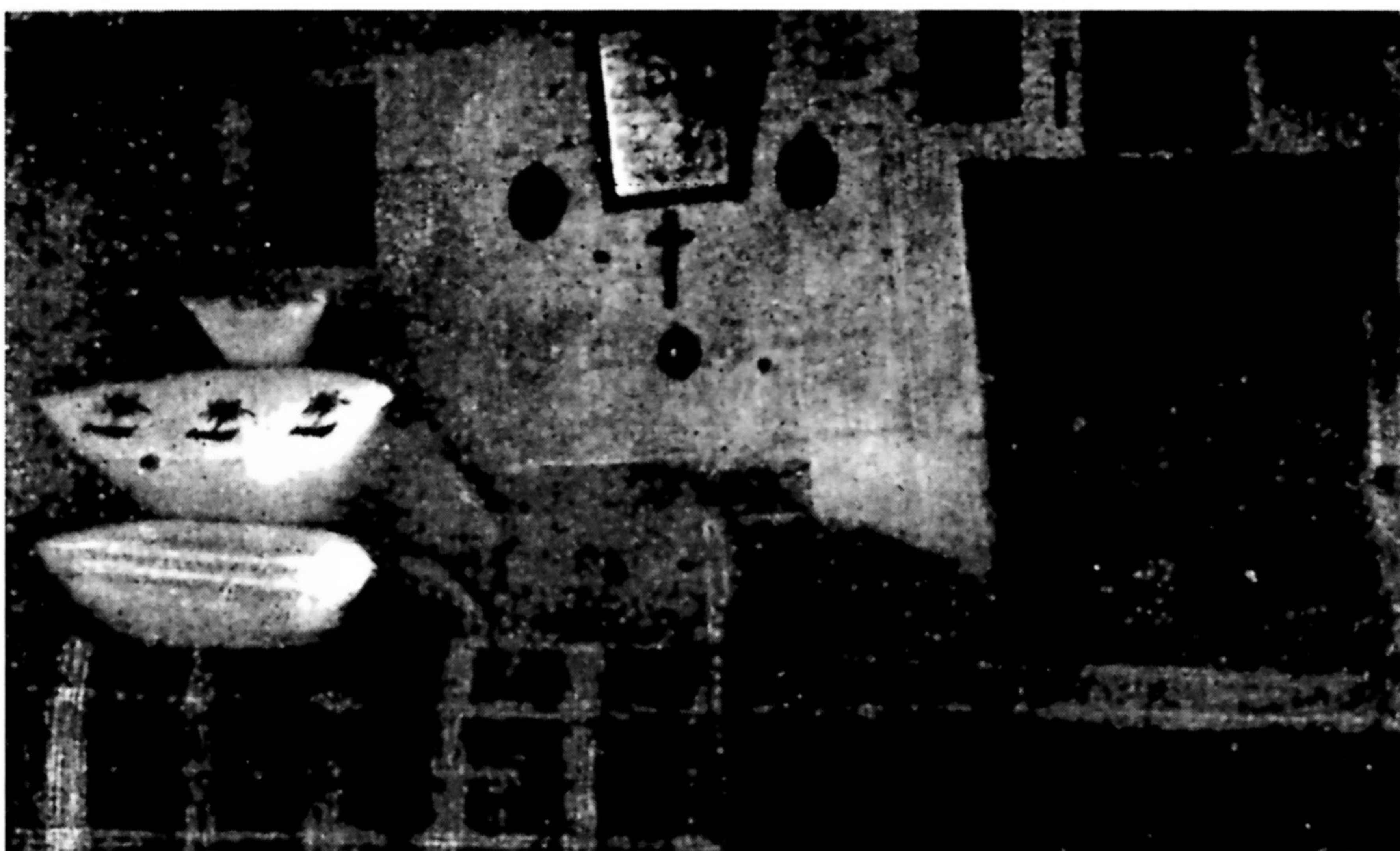
Tu Magdzia, która go pilnie z prostej ciekawości na razie śledziła, zarumieniła się nagle. Brakiem pobudki uśpiona w niej zalotność w całej odezwała się pełni. Uczucie w duszy jej ponad wszystko potężne buchnęło z niej płomieniem. Zazdrosnym obrzuciła Nachylankę spojrzeniem i raz, i drugi, jęła dokoła siebie układać fałdy spódnicy, pragnąc ruchem tym zwrócić uwagę panicza. Ale wyszedł proboszcz z sumą, na głos dzwonka pochyliły się głowy, pochyliła się i paniczowa, a Magdzia otworzyła swój „Ołtarzyk złoty”.

Skoro podniosła oczy, panicz wśród niewiast szperał swoimi, i znów rumiana wzrok opuściła na książkę. Zwolna, ostrożnie zza rzęs przymkniętych, gdy po raz wtóry spojrzała, patrzył już na nią i patrząc nie spuszczał z oka. Teraz z umysłu długi czas pochyłona nad „Ołtarzykiem” od kartek jego nie odwracała głowy, aż ją dopiero poważnie przed samym kazaniem wyprostowała i niby po raz pierwszy nieznajomego dostrzegła.

Tylko że panicz powagi tej się nie uląkł, a na spojrzenie czyhał widocznie; ledwo je chwycił, mrugnął do niej pociesznie i kiwnął ukradkiem głową. Zmarszczyła się. Co znowu? Cóż to, za chłopkę brał ją zwyczajną, za Nachylankę? Z wyraźnym odwróciła się dąsem i patrzeć więcej nie miała, ale nie zmogła, znowu zerknęła, on znowu mrugnął. Skaranie boże! A tu i Sanctus dzwonkiem rozległo się po kościele i Musiała ze świecą zbliżał się z brackimi. Od czasu godów już pod kościelnicą nie klękał, ale tuż za nią pod amboną. Gotów co dojrzeć i będą swary. Nieznacznie w tył się cofnęła i do „Baranka” modliła pilnie, by w razie czego mąż do niej nie miał przyczepki. I bać się poczyniała doprawdy, bać się spotkania. Przed ewangelią wyszła z kościoła i z dala bramy cmentarnej przystanęła; bo nużby i na święconym zaczepił miejscu, i to przy ludziach? Za pnem lipy się ukryła i na Jakuba czekając widziała, jak szedł z paniami, a wciąż się oglądał w koło, jakby jej szukał. Lecz mimo chętki okrutnej wymiarkowania, zali mu o nią chodziło, nie ruszyła się z miejsca, zbyt jej się śmiałym wydawał. Ale i wabnym. Rwać się ku niemu jęła, rozciekawiona, i biec postanowiła do dworu, biec zaraz, a tam niechby ją spotkał.

Wedle umowy, do karczmy z mężem iść miała, prosić Wojtkowę, tak sobie, na półkwaterek, dla umocnienia przyjaźni; myśl tę podała sama, ale gdy Jakub wyszedł z kościoła i o babinę zapytał, odparła:

– Idź sam, ja nie mam czasu, duchem trza lecieć do dworu. Pani przechodząc kiwnęła na mnie, pewnikiem z praniem czekają.



Żeby jej teraz i łańcuch wójci dawali, aniby się wstrzymała. Zalotność grała w niej burzą; do dworu gnało przemocą. Że na pozajutrz miało być pranie, wiedziała dawno, lecz jak do wtorku czekać? Zresztą do karczmy wstręt się w niej zbudził okrutny, sam widok męża drażnił ją znowu, chłopstwa znów miała dosyć.

I poleciała, chociaż tym razem odbyła drogę na próżno. Państwo, gdy przyszła, siadali właśnie do stołu, a po obiedzie wozem wybrali się do lasu na grzyby. Nawet z daleka nie oglądała panicza; z Jaśkiem się jeno spotkała u wrót ogrodu i zła, zgryziona, skoro jak dawniej spróbował się do niej zbliżyć, on, dla którego w niewolę się oto podała, niewolę, co ją znów żarła, z takim go jęła wymyślać gniewem, że uciekł jak oparzony.

Ogrodem i pastwiskiem wracała, byle ominąć karczmę, i przesiedziała na nim z godzinę, nad dolą swoją biadając. Jakub, jak dawniej, komorę zastał zamkniętą; próżno się w koło niej kręcił i podchmielony, bez wieczerzy spać ułożył się w stodole. Ze świtem poszedł na łąki, nie widziała go więc dzień cały.

Dzień też cały nie ruszała się prawie z komory, na Franciszkową i dziewczkę zdając tym samym gospodarstwo, a tylko o jutrzejszym myśląc występie, fartuszek sobie skroiła świeży z napierśnikiem, szeroką spaszony taśmą, na dworską modę, i szyć go kończyła właśnie w czasie odwiedzin sąsiadki.

O zaczepkach, figlach panicza słuchała mocno wzburzona, z żalem niemal do dziewuch, z zawiścią do Nachylanki, Szarpaczki, do Wikty nawet. I odpędziła ją też wreszcie do garnków, aż się Kajtaniakowej wspomniały własne i żegnać się poczęła.

Już na odchodnym, zza drzwi rzuciła jeszcze:

– A z Leśkiewiczem źle ci okrutnie, dyć chudziątek bez tydzień chyba nie strzyma...

Co jednak Magdzię Leśkiewicz teraz obchodził, co Jakub i „chamskie” sprawy! I podczas gdy Wojtkowa, wciąż łaskami Musiałów zaniepokojona, a zapóźniona jak zwykle, mrużąc do siebie pędziła warzyć wieczerzę, ona, drzwiami trzasnąwszy, słać sobie jęła pośpiesznie, byle się wtorku, byle się jutra doczekać!

XI

Gdy zegar, zawieszony na ścianie komory Magdzinej, biciem się odzywał, bywało, rozglądała się Franciszkowa po chacie, jak nie po swojej, spoglądała na syna, jak nie na swego i przecierała oczy, jakby w omamie, a tylko widok Kasi lub Wicka do zmysłów ją znów przywodził, z dawnymi łączył czasami.

Bo dawne to już dla niej, dawne czasy, które i bez zegara nad starą strzechą płynęły jak woda, równo pod miarą, każdą chwilą ku dobru skierowane, każdym mgnieniem oka na pożytek. Tak dawne, że chyba już i nie wrócą; tak dawne, że

jej się oto z najdawniejszymi mieszają, kiedy to młodą dziewczuchą, nieprzyuczoną do zbytku, a w ciężkiej pracy przy matce – wdowie, na komornym wychowaną, może i dla tej krztyny urody, co ją nosiła na twarzy, a może i dla hardości jeno, co mu się nijak na zbytki podać nie chciała, Franciszek, z sąsiednich Łozisk, niewiastą wprowadził ją do własnej chałupy, której też wiernie pół wieku przeszło strzegła od złego i z dumą oto rzec mogła – strzegła nie darmo.

Bo z tym jej Frankiem różnie bywało przed laty. Chłop był na swoim, młody, a butny i hulaka; wziął ci ją, skoro inaczej brać się nie dała, ale też wnet nacieszył, i bez dwa roki ciężki krzyż pański nosiła, ledwo i zniosła. Ani go syn, ni córka, co już dziewczuchą później pomarła, nijak do spamiętania nie zwiody: pił, hulał, groszem, jakoby plewą siał, aż ci se w końcu dziewczkę tam jakąś zmówił do chaty, niby na służbę, ot, na pokrywkę przed ludźmi.

I już mówiła, co i na dzieci, i na nią, i na zagrodę ostatnia przyszła godzina, gdy się Pan Jezus i Przenajświętsza Panienska musi płaczu jej i krzywdy ulitowali, a na wielki odpust w parafii w dzień św. Józefa zjechał z kazaniem ksiądz franciszkanin, co to moc luda od wódki ponoś wyprzysiągł. Franek z kościoła wrócił jak struty, do dziewczki ani zagadał, do karczmy nie poszedł nawet, ino się wele obejścia kręcił i wzdychał ciężko, a wzdychał. Musi go i księdzowe zmożyły słowa, bo zaraz z rana wysłuchał ci się nazajutrz, a po komunii świętej to i poprzysiągł, co póki życia do rąk nie chwyci nijak kieliszka. Jako i dziewczkę oną wygonił, i spokój ci miała odtąd, co się go i nadziękować Panu Jezusowi nie mogła.

Franka aniby poznał, tak się z miejsca odmienił, a domu ino pilnował, swojej i dzieci. Długi, co były już po sąsiadach i w karczmie u arendarza, a jeden to w Kazanowie u Żydów, do cna spłacili, i już się nawet trochę grosza zebrało, i dobytek zapomógł wszelaki, kiej mu ci na chorobę przyszło i śmierć niespodziewaną. Dziewucha coś w rok poszła za ojcem, i matka ostawała się na zagrodzie z synem, co że to jeszcze młodziak był, mdły do roboty, przyjęła wedle roli parobka i tak se już na babski rozum dawała radę. Raili ci jej niejednego a powiadali, co nijak gospodarka nie wybędzie przez chłopa; ano żadnego nie chciała, jak oto z pierwszym, a miała przecie za swoje, inszy zaś, to pijący, a z takim uchowaj, Boże. Pan Bóg pobłogosławił i chociaż baba, a przymnożyła chudoby, co jej nie w byle jakiej znajdzie chałupie, i syna odchowała, a jak do swoich lat przyszedł, dziewczuchę mu wybrała stateczną i pracowitą, coby darmo chleba nie jadła, a zębów nie szczerzącą, z krwi gospodarskiej, w chusty i przyobleczenie zasobną, i z wianem; parobka odprawiła, i tak we troje, a przynajmując w potrzebie, gospodarzyli w spokoju, zaś ona rękę miała najwyższą, jako że sama tyle lat wszystko to w porządku zachowała i od złego ustrzegła.

Ino że zawždy źli bywają ludzie na świecie, tak i Jakuba jeszcze chłopakiem buntować jeni, a przeciw niej podmawiać, coby się nikiem matce za nos wodzić nie dawał i gospodarzem se był, jak się patrzy, na swoim. I miała ci z tym zgłoby, miała niemało, nie raz i nie dwa do oczu ci jej skakał a wołał, co m, a nie kto inszy w zagrodzie cały gospodarz, co jemu się w chałupie, jako

zechce, rządzić należy. Ino że chłopak był miękki, a w bojaźni boskiej i ludzkiej chowany, to się i pomiarkował, i przed matką ukorzył, i wszystko po dawnemu ostało. Ano, nie krzywdy przecie pragnęła dziecka ani niewoli, ni jej tam znowu o rządy one chodziło w chacie albo i panowanie, chociaż z lat już rannych przywykła do niego, a ino w synu ojcowskich zbytków się bała okrutnie, co to na dzieci po ojcach zwyczajnie idą.

Zbytków się bała okrutnie ojcowskich w synu, i oto, na co jej przyszło!...

A tu i sił poczynało ubywać, i zdrowia. Po onej z Kasią przygodzie i z synem potem rozmowie, jakby ją coś złamało, a krzyża ani sprostować. W służbę ci jej na starość kazano iść do tamtej, i tak ją pochyliło. Zrazu, wzburzona, pogroźkę dawną wykonać chciała i sakwy upiąć żebracze, i w świat biały iść o kiju, hen, w świat przed siebie, żeby i słuchy o niej zaginęły, daleko. Ale co się na wnuczkę w żalu tym swoim, co się na Kasię spojrzała, gniew ja opadał, aż i ominął ją wszystek. Dziecka samego nie mogła zostawić przecie i snuła się po zagrodzie, snuła jak mara, z Kasią u boku, na własną zobojętniała dolę, chwila mi jak nieprzytomna, to znowu baczna na każde skinienie w chacie, niby ten żuraw baczna, zawsze z obroną gotowa biec jej w potrzebie, z pomocą w niebezpieczeństwie, ze zbytkiem zawsze do upadłego walczyć gotowa.

Gdy wbrew jej woli Wikta na służbę nastąpiła, ona dziewczuchę pod swoją wzięła opiekę, byle na próżno „kątów nie wycierała”, a bodaj najmem część kosztu swojego pokryła. Choć na odwieczarz na dworskie ją wyganiała, a kwity sprawdzała święcie, jako w porządku. Dawniej, gdy się trafiały, chowała je do swojej skrzynki i do wypłaty chodziła sama do dworu; teraz je sobie Jakub oddawać kazał, ano, przynajmniej, co szło na marne, wiedziała. Wszędzie zajrzała, wszystko dostrzegła. Tu z garnka ułała mleka, tam usypała kaszy, owdzie omasty ujęła, ilekroć hojne z cudzego ręce „przybłądy” za wiele ich wydawały. I odnosiła ukradkiem skrzętnie, rada z podstępem, jakoby skarby wielkie zdobyła.

Rządy Magdzine! Takie bo to i rządy, takie to panowanie!... Skoro ci się do niego nikiem zabrała, a ze śpiewaniem, to było ci go jakiś dzień cały, i tyle. A to na jarmark, a to do dworu, a to do karczmy, zawdy za domem, a jeśli i posiedziała, to „na pokojach”, kiejby dziedziczka: przy igle i pod zegarem.

I rozlegało się:

- Wikta!... a przynieś no mi garnuszek mleka!...
- Wikta!... a idź no urwij mi parę gruszek!...

Burzyło się w starowinie i podnosiło wszystko na widok onej „pańskości” i „zbytków”, a swobodę odzyskiwała jeno i spokój, gdy „tamtej” w chacie nie było; gdy z mężem wyjeżdżała gdzie z domu lub przesiadywała we dworze.

Dawne jej wtedy wracały czasy: ciche, pracowite, spokojne. Wiktę od rana wyprawiała na dworskie i z Kasią i Wickiem krzątała się po obejściu. Z nieopisaną w twarzy miłością śledziła wnuczkę tę swoją, co zwinna, sprytna, z dniem każdym rozwijała się w oczach i nie babce już tylko w domowej krzątaniu rzetelną była pomocą, ale i chłopakowi w niejednym na podwórzu przysłużyć się umiała skutecznie. Widok tych dwojga, co zawsze razem, a w zgodzie zaw-

sze, niby „rodzeni” lgnęli do siebie, niewysłowioną sprawiał staruszce pociechę. Boć to i Wicek, jej przecie wychowanie, jej własne, a chłopak dziwnie się udał; boć to i ona na wyrobku komornym wyrosła, a gospodynią była przecie tyle czasu niezgorszą.

– Ano, lepszego – dopowiadała rzecz w duchu – dziewczucha i na okolicę nie znajdzie...

I powracały jej dobre myśli, otucha wracała w duszę, i zapominała o „tamtej”, a gdy chłopaka na osobności gdzie zeszła, przypominała:

– Dziecka nie odstępuj!... pamiętaj!...

I tak, jak dawniej, w dniach onej gospodarki swobodnej, zawsze dla Kasi przysmak się znalazł na oku: to masło świeże, to jajecznica, to parę łyżek śmietany, bo dziecku swemu nie żałowała niczego. Kasia w jej myśli królową była zagrody, zaczarowaną w chacie księżniczką, panią w niej niepodzielną. Dla niej to wszystko! Dla niej pół wieku mozoliła się w pocie czoła, dla niej dobytku strzegła i roli, dla niej tam, w garnku zbierała rubel za rublem – dla niej, dla wnuczki. A chociaż syna sercem matki kochała, by i on także z zasobów tych miał korzystać, ani jej przyszło do głowy. Umową jej się to zdało, z dawna zawartą, świętą, nienaruszalną, porządkiem przyrodzonym rzeczy niejako, że im się praca, a dziecku pracy owoce należą. Gdy się więc Jakub upomniał o część swoją, gdy ją spożywać, i to z „tamtą”, z „tamtą” do spółki zaczął, w oczach starej karmił się krzywdą sieroty, kradzieżą prawie. Wszak dawniej jeszcze i za nieboszczki, gdy grosza ruszył na marne:

– Dziecko – burczała – dziecko okradasz rodzone!...

I zawsze, milcząc, uznawał winę swoją.

Tak było dawniej, czy wieprzka odkarmiono, czy uchowano ciołka, czy zboża sprzedano się więcej, zawsze część grosza, czasem i spora, do skrzynki szła między szmaty. Za życia męża i później mieniała ją Franciszkowa na złoto i srebro, potem na storubłówki, a tak zmieniona, tonęła cichaczem w dole, w skrytce, przez Franka jeszcze wycembrowanej w stodole, po lewej stronie od wejścia, het, w samym rogu od pola, popod kamieniem, co zrab budynku podpierał. Bez dwie niedziele miał chłop roboty nocami, a ona ziemię nosiła i baczność dawała wokół, zasie kto nie podziera. Później żeleźniak spuścili w skrytkę z pokrywą fest zamykaną, a w żeleźniaku pieniądze. Złoto i srebro leżało se w nim na wolnym, papierki w skórzanej torbie, co se ją sama z baraniej skórki uszyła.

Do skarbu tego nie zawsze przystęp był łatwy. Gdy na jesieni zbożem zaszyto saszki, chyba od zewnątrz, „na wiedzącego”, podkopać by się doń można, z wnętrza „to nijak”. Ale jesienią najmniej bywało potrzeby. Grosz się gromadził, bez zimę skapując zwolna, i aże z wiosną miary dochodził swojej, a na przednówku stodoła stała otworem.

Każdą wędrówkę do skrytki onej jak pamiętała staruszka!

Z Frankiem, ze swoim, a później z synem, odkopywali kryjówkę, składali milczkiem, co mieli z sobą, i zakopywali ją znowu. Jakub bo nawet nie wiedział

dobrze, ile tam mogło być w garnku, tak mu się zawsze z zakopywaniem matka pośpieszać kazała. Pokrywy podnieść nie pozwalała mu nigdy:

– Coby się chłopak – myślała w duchu – nie ozłakomił do grosza.

Raz jeden tylko w życiu, nie z groszem do niej, ale po pieniądź do skrytki zajrzała, gdy u Szarpaków działa robiono po ojcach, i pół bez mała przykupiła roli granicowej i łąki kawał w dodatku. Ręce jej drżały, a głos zamierał w piersiach, skoro przed wójtem pieniądze liczyć jej przyszło. Dziesięć ich było i pięć storublówek jak lodu, do dziś dnia miała je w oczach: jeden papierek z rogiem naddartym, drugi do połowy stłuszczony śmietaną, gdy nieostrożnie położyła go na poplamionym stole. Skoro ją zgarniać, tę jej krwawicę, zaczęli, mówiła, co ryknie płaczem, ale na świętą ziemię jak tu żałować, a zresztą i to przecie:

– La dziecka!...

Ziemia wiadomo, dobra to matka, wdzięczna, sypnęła groszem, i ot te dziesięć, a i pięć także, wróciły dawno z okładem. Zniosła je sama, złożyła w baraniej torbie, a tylko teraz, choć po przednówku i droga do garnka wolna, nie miała do niego z czym zajrzeć.

Że nie zazierał i Jakub, niestety, wiedziała dobrze. Od czasu, gdy „se galantą niewiastę na jarmarku lipskim zmówił”, marnego z roli nie oglądała szeląga: a to gościńce, a to wesele, a to „pokoje dla jaśnie pani” zabrały wszystko do grosza, a co zaś sama zebrać zdołała z trzody, gadziny i domowego obejścia poszło na opłacenie podatków i Bogu dzięki, co ci i na nie starczyło.

Gdy ostatniego ze skrzynki wydawała mu rubla:

– Jakub! – mówiła surowo, patrząc mu w oczy – dyć to rok pierwszy od śmierci nieboszczyka rodzica nic do stodoły zanieść nie mawa?...

Odparł markotny:

– Wydatki były, ano odbijewa się jeszcze...

Ale wydatki trwają, jak były, i końca temu nie widać. Na wiosnę parę sprzedano ciołków, i obszarpanych, do pługa zdatnych, a i co z tego, kiej ci zegary z malowankami kupują. A na podatki „tamta” pewnikiem, tym niby swoim, nie zbierze.

Co się tam w duszy staruszki działo na one zbytki w chałupie, jaka ją troska ku ziemi gnioła i pochylała z dniem każdym, Bóg jeden wiedział i Przenajświętsza, i one zmarszczki na twarzy, których ni dociec, skąd się doprawdy brało wciąż nowych, a brało. A tylko w wielkiej onej zgryzocie myśl aby ją pocieszała, że i te zbytki zasobne przecie strzyma obejście, że syn nie młokos i ustatkuje się może, że wreszcie dziecko dorośnie, a gdy się z Wickiem zmówią, to wszystko pójdzie inaczej, że choćby Jakub i szarpnął dobra, to tam, w stodole znajdzie Kasia czym łązę w potrzebie obetrzeć.

Żeby i „to tam” niepewne miało być w garnku, to Franciszkowej i przez sen nie zamajaczyło się nigdy. Święty to grosz, krwawica, grosz jakoby kościółowi na ofiarę złożony; poświęcony nie jako pieniądź, maszczony potem, na zebranie go wylanym, a poważny wiekiem długiego lat szeregu, co ponad nim spłynęły.

Takiego grosza, to i „tamta” tknąć by się nie ważyła, o to przynajmniej spokojną mogła być szczerze, i była też zupełnie.

Jakkolwiek gospodarka Magdzina, na dorywki prowadzona tylko, ciągłego wymagała ze strony Franciszkowej baczenia na tok spraw domowych i czynnego w nich udziału, to przecież i dorywki te, zwłaszcza po przyjęciu na służbę Wikty, zostawiały starowinie dużo wolnego czasu, który, jak mogła, starała się pracowicie wyzyskać. Wielki urodzaj na grzyby, rydze, bedłki różne i poziomki dawał jej sposobność do częstszych i długich wycieczek z Kasią po lesie, skąd obiedwie zawsze wracały objuczone połowem. Bedłki i mniej dorodne okazy grzybów krajano następnie na przyźbie, suszono na słońcu i na post składano w faski lub nawlekano na wianki. Świeże zaś rydze, a szczególnie poziomki, nosiła Kasia do dworu, gdzie wkrótce wyrobiła sobie stanowisko głównej dostawczyni. Zawiązana niebawem bliższa znajomość dziewczyny z panienkami sprawiła, że i płacono jej lepiej, i starano się jak najnowszych dobierać jej spod stempla złotych i czterdziestówek, bawiąc się niezmierną uciechą dziecka, graniczącą z osłupieniem, a objawianą pełnym podziwu wytrzeszczaniem oczu i otwieraniem ust na widok błyskotliwych pieniędzy. Odbierała je lękliwie, jakby z niedowierzaniem, zaciskała je w dłoni, aż jej się w nią paznokcie wpijały, i pędem biegła do babki, przed którą dopiero ostrożnie, jakby w niej motyla lub muchę trzymała, roztwierała rękę, sądząc o wysokości zapłaty nie z ilości odebranych pieniędzy, ale ze stopnia świeżości ich i połysku.

I rozpoczynało się nieskończone snucie projektów przy krajaniu grzybów na przyźbie, w jaki to sposób skarby znoszone ze dworu starczyć by miały na zakupno sklepów całych, łąk, pól i lasów, przy czym się zawsze i Wickowi część znaczna dostała nabytków. Franciszkowa słodkich tych rojeń nie burzyła słówkiem, pieniędzy nie zabierała dziecku od razu, i zwykle przesypiała Kasia z nimi noc całą, nazajutrz je dopiero do przechowania oddając babce. Szły tedy na dno do skrzynki, gdzie obecnością swoją, istnieniem, niemałe i staruszce sprawiały zadowolenie. A przybywało ich tak szybko, że wyprawy do lasu stały się źródłem wcale pokaźnego dochodu i coraz częściej ku wielkiej uciesze Kasi powtarzać się jeły.

W kilka dni po ostatniej wyprawie Jakuba do Zwolenia, z której, pozał się Boże, wrócił osmyczony ni to chart, albo półdiabie zamorskie, że się i ludziom w oczy spojrzeć nie śmiał, jakoś pod wieczór, zmęczona odbytą właśnie wycieczką za poziomkami, siedziała Franciszkowa w izbie na ławie, czekając na powrót wnuczki ze dworu, gdy w progu stanął Jukiel i pozdrowiwszy ją, jakby już dobrze znał drogę, prosto skierował się do komory, w której Magdzia rozmawiała właśnie z Jakubem. Po wejściu arendarza Musiała drzwi za nim zatrzasnął, i tak we trójkę; on, Żyd, i „tamta”, szachrowali ze sobą godzinę, podczas gdy ona, jak przykuta do ławy, głośniejsze słowa rozmowy chwytiała: „gorzałka”, „poczęstunek”, „Kajtaniakowa”, „Nowotnik”, to znowu: „gmina”, „pisarz”, „sołtys”, „Leśkiewicz”, aż ją na końcu jak gromem uderzył wykrzyk syna:

– Co dać, to dać, znajdzie się zawdy, co potrza!...

Za Juklem i Jakub wyszedł z komory, a po izbie jął chodzić zadowolony jakiś i wesół. Patrzała, jak na obcego. Ręce jej drżały, głowa na szyi odmawiała posłuchu; od owych przejść jeszcze z Frankiem Żyda nie widziała w chałupie, a Jukiel tak się w dodatku pewno po niej obracał... nie raz tu pierwszy był chyba?... I nad czym to tak radzili? Lęk potrząsnął ją mrowiem i strzymać dłużej w sobie nie mogąc ni dziwoty, ni strachu, ruchem ręki gwałtownym odsunawszy na bok właśnie co przybiegłą ze dworu Kasię, porwała się synowi pod nogi, bezładnym zatrzymując go w drodze pytaniem:

– Żyd?... Jukiel?...

A Jakub wziął się pod boki i hardo, a patrząc na wystraszoną, rzekł:

– A to się na sołtysostwo podaję, a przez Jukla nijak. – Poczem, przypomniawszy sobie, że się wbrew poleceniom żony przed czasem niepotrzebnie wygadał, dodał: – Ino niech matka języka z tym nie rozpuszczają przed ludźmi.

Na sołtysostwo się podaje?... Swojego mu dopilnować nijak, a rządowego chce patrzeć!... Honorów zapragnęło się „tamtej”, urzędów!...

Chociaż to jednak i nowa rzecz dla niej zupełnie, i niespodzianka, nie sołtysostwo jej syna w głowie, nie „tamta”, a ino Jukla widzi przed sobą jak zmorę, i lęk trzęsie nią zabobonny.

– Z Żydami się już, z Żydami wachają... – pomrukuje, leżąc w łóżku z otwartymi oczyma, ni spokoju, ni snu pochwycić niezdolna.

– Co dać, to dać, najdzie się zawdy, co potrza!... – złowrogo brzmi jej w uszach.

I zrywa się nagle, jak nieprzytomna, i boso w bieliźnie wybiega na podwórze.

– Najdzie się zawdy!... najdzie się zawdy!... – powtarza omackiem biegnąc ku stodole.

– Dyc może i szukał!... – mruczy, omackiem podkopując się do kryjówki, aż się i garnka dokopała nareszcie.

Odetchnęła swobodniej, w żeleźniaku grosz nieporuszony, krwawica...

A jednak, brzaskiem już wracając do chaty, z ciężką wracała myślą:

– Nie szukał jeszcze... nie szukał... ano, zna przecie drogę... to trafi!...



Na wewnętrznym podwórzu dworu wielickiego ruch panował niezwykły.

Dwie najsprytniejsze a dorodne dziewczki folwarczne, Franka i Józka, zwyczajnie do robót dworskich używane, z podkasanymi powyżej łokci rękawami koszul, naprzeciw siebie nad olbrzymią pochylone balią, pełną mydlin, ustawioną na dwóch ławkach w cieniu krzewów, obficie porastających dookoła dworu, kiwały się miarowo, z zawziętką „szorując” bieliznę „z pierwszego”, a wyżawszy ją następnie, sztuka po sztuce, niby motki przedziwa skręcone, do cebrzyka składały opodal, obok stołu, na którym „do wyparzania” sztuka po sztuce mydliła ją Magdzia. Środkiem podwórza, pomiędzy ukrytą skromnie w klombach drwalnią a głównym korpusem dworu, obwiedzonego w całej długości krytym krużgankiem, wiodącym z pralni do kuchni, w rodzaj murowanej baszty oprawiony, kipiał wrzątkiem i buchał parą kocioł, pełen także bielizny, do którego Magdzia zmydlone już dorzucała sztuki.

Od czasu do czasu wynurzała się ze dworu, w biały, ranny kaftanik przystrojona postać sztywna panny Pauliny, panny służącej, zbliżała się do kółka ostrożnie, zaglądała do balii, przystawała na chwilę obok stołu, zamieniając słów kilka z Magdzą, i powracała z przeglądu, z wdziękiem uchylając ponad strugami mydlin spódnicę. Z drwalni rozlegało się rąbanie drzewa, stękanie i klątwy stróża Jochymka, w nieprzejednanym bywającego zawsze humorze, ilekroć palić mu przyszło pod kotłem, całymi „naręczkami” chłonącym drzewo, co się powtarzać musiało przy każdym praniu.

Bo oto pranie wielkie odbywało się właśnie we dworze, ze względu na piękną pogodę letnią przeniesione w cień krzewów z zadusznej pralni na podwórze.

Godzina była wczesna, siódma za ledwie. W skrzydle dworu krótszym, przeciwległym kuchni i pralni, okno, wychodzące z pokoju gościnnego, na wschód zwrócone i na stół, przy którym kręciła się Magdzia, przysłaniała szczelnie zapuszczona firanka, co niecierpliwą snadź kobietę, raz wraz spoglądającą ku oknu, i chwilami, gdy powiew wiatru poruszał firankę poprzez otwarty lufcik, tak ruchem onym żywo zajęta, że ręka jej z kawałkiem mydła w dłoni zatrzymywała się w biegu ponad bielizną, jak gdyby nagle władzę straciła w sobie.

W białym, świeżym fartuszk z napierśnikiem, spod którego szafirowa, perkalikowa spódnica i takież wyzierał stanik, w bursztynach na szyi, które z chaty wyniosła w kieszeni, nie chcąc się narazić na złośliwą uwagę starej, że się do prania jak do kościoła stroi, w kolczykach koralowych w uszach, z różą we włosach, zerwana po drodze z dworskiej rabaty, sprawiała wrażenie zalotnej raczej dziewczuchy, zdobywszy łasej i podbojów, nie zaś gospodyni poważnej, rok przeszło poważnemu poślubionej godpodarzowi.

A wyglądała ponętnie, że się aż nad tym Józka zastanawiać poczęła. Od stołu Magdzinego oddalona o tyle, że półgłosem nie dochodzącą do niej mogła wleść rozmowę, korzystała własni z położenia:

- Franka!
- A co?
- Jak to się Jakubowa wystroili?

Zagadnięta rzuciła okiem w stronę stołu.

– A bo to nie ma w co?... – rzekła – Miała ci jeszcze we dworze tych szmacików, miała jak na sprzedaj, a przy Musiale to i ta pewnie nie ubyło.

Przez chwilę słychać było jeno bełkot mydlin, towarzyszący przebieraniu czterech rąk w balii. Aż rozmowniejsza Józka rzuciła znowu pytanie:

- Franka?
- A co?
- Jak się to w okno gościnne wpatrują, a że jej ręce przy robocie ustają.
- Ano, musi co i o onym słuchała, to i ciekawi; – odparła Franka, skłonna

do wypowiadania poważnych ogólników.

Ale Józka, przez którą przemawiało trochę zazdrości, wystąpiła z uwagą:

- Zawdyć to za chłopem nie pasuje niewieście...
- Nikiej co? Dyc ma oczy, to i patrzy! – zawyrokowała Franka, i tym jednak wyrokiem nie przekonała towarzyszki.

– A dyc patrzy, ino żeby se czego nie wypatrzyła!... – mruknęła. – Nie po próżnicy wystroiła się, kieby na odpust.

Tu wszakże zamilkła nagle i jakby zawstydzona, w balię spuściła oczy. Dłoń niewidzialnej zza firanki osoby z trzaskiem na ścieżaj roztworzyła okno gościnnego pokoju i za firanką znikła.

Józka szepnęła:

- Już ci się zerwał!... – i zerknęła w stronę Magdzi, poczem rzekła:
- Tera udaje, co nie widzi. Ano będzie ci tu heca.

Niebawem ta sama ręka, co przed chwilą roztworzyła okno, podniosła firankę, i ukazała się postać pana Karola, zaczesującego grzebieniem obfitą na głowie blond czuprynę. Dostrzegłszy Józkę, którą widocznie nie pierwszy już raz oglądał, dłonie przy ustach złożył, a wychylając się z okna, przytłumionym zawołał głosem:

- Śniłaś mi się dziś, Józefino!...

Zagadnięta ledwo wyszeptać zdążyła:

– Sprawiedliwie?... – i z wielkim chichotem opuściła głowę nad same mydliny.

Ale gdy ją podniosła, rumiana zadowoleniem, panicz ze ściągniętymi brwiami, jak ten, co pod światło przygląda się czemuś uważnie, wpatrywał się uparcie w nową postać Magdzi.

Zatruło to uciechę Józce.

- Już ci ją dojrzał! – burknęła – ino go patrzeć.

Przepowiednia nie ziściła się jednak. Białym fartuszkiem zaciekawiony i kwiatem we włosach, pan Karol, który nie poznał Magdzi, i w pierwszej chwili wziął ją za pannę służącą, a tej dla min jej, fochów i pretensyj nie lubił szczerze. Dostrzegłszy błąd swój, zamierzał wprawdzie rzecz zbadać bliżej, na miejscu.

ale go w drodze wstrzymały panie śniadaniem, a później znowu rozmową. Koło południa dopiero wymknął się na podwórze, że zaś w tych stronach łatwo mógł spotkać się z panią domu, co jakby za zadanie postawiła sobie, przy każdej sposobności do porządku go nawoływać, od ogrodu się zakradł ostrożnie i tuż za plecami Magdzinymi wynurzył się z klombów.

Markotna, po swojemu zmarszczona nad bielizną, przypuszczająca już, jako i tym razem daremnie wyglądała spotkania, nie dostrzegła go zrazu, ale go dojrzała Józka:

– Idzie!... jak Bożę kocham, idzie!... – szepnęła do Franki, pocierając bieliznę aż się wody ulało z balii.

A on szedł do niej i przyłożywszy ręce do serca zawołał:

– Ach, Józefino!... – gdy nagle odwrócone ku sobie spostrzegł oczy Magdzi.

– O proszę siadać!... – z ust mu wybiegło; poczem chwyciwszy zanoszącą się od śmiechu, a wyrywającą mu się Józkę pod ramię, jął deklamować z patosem:

„Gdy córa Ledy, jak poranek świeża
Stanie pośrodku dziewic swoich grona,

Tu na Frankę wskazał i Józkę:

„Kalchas...

– Niby ty, Józefino!...

...na stronę ujawszy pasterza...

– Niby mnie, Józefino!...

Wskażę ją, mówiąc: – to ona!...”

– Niby panienka, Józefino!... – i wskazał na Magdzię.

Magdzia w pierwszej chwili spojrzała na deklamującego, niepewna, zali obrazić jej się nie wypadało, zali drwin sobie z niej nie strojono; oczy jednak pana Karola uspokoiły ją zupełnie, i podczas gdy Franka z Józką śmiały się do rozpuku, ona mydląc bieliznę zawzięcie, przygryzała wargi, siląc się na powagę.

A Józka, przypomniawszy sobie „panienkę”, dziwnie jakoś do panicza śmiała, nowym wybuchnęła napadem śmiechu:

– Sprawiedliwie!... – chichotała się, usta przysłaniając dłonią. – Co też to panicz nie powiadają!... jaka tam znowuj panienka!... dyć to Musiałowa niewiasta... Jakubowa!...

Nie zdążył wszakże błędu naprawić, ze dworu bowiem, z wdziękiem uchylając spódnicy, a wyprostowana sztywnie, zwabiona śmiechem dziewczek, wynurzyła się panna służąca i jakby nie widząc panicza, jęła strofować je za opieszłość.

W balii zapieniło się mydlinami, śmiechy ustały, zabawa przepadła.

Pan Karol, w którym się zagotowało z gniewu, złośliwie teraz oczy zwrócił na nowoprzybyłą i uchylając kapelusza, z przesadną grzecnością rzekł do niej:

– Dzień dobry pannie Leokadii!...

Jakby go teraz dopiero dostrzegła, głowę podniosła dumnie i, wyniosłym obrzucając go spojrzeniem, odrzekła:

– Najpierw pannie Paulinie, a nie jakiejś tam Leokadii, a potem: dzień dobry panu!

Ale on nie poprzestał na tym, i podczas gdy Józka, dusząc się, aż przebie-
rała nogami, grzecznie zawsze zapytał:

– A co się pannie Eulalii śniło, bo mnie Józefina.

Wzruszyła pogardliwie ramionami i podeszła do stołu Magdzinego z mocnym postanowieniem odstraszenia obecnością swoją zuchwalca. Brzydka, niemłoda a pełna pretensji panna Paulina umizgać się pozwalała tylko do siebie, że zaś warszawiak zrozumieć tego nie mógł, a drwinami nawet jasno tłumaczył, że zrozumieć nie chciał, wroga też sobie nieprzejednanego w uroczystej pannie napytał. Nie gryzł się jednak tym zbyt, niecierpliwiła go tylko nieproszona opieka, i odpłacał się docinkami. Widząc, że najwyraźniej zawzięta się nie ustępować i rozmową zajęła Magdzię, zabrał się sam do odwrotu, odkładając na później dokończenie znajomości z „szykowną” praczką, a jak ją w myśli po warszawsku „facetką” nazywał. Nieznacznie jeno, z ręką na sercu, mrugnął ku niej wymownie, całusa przesłał Józce z daleka i znowu, uchylając z przesadnym wdziękiem kapelusza przed odwracającą się od niego panną służącą, rzekł:

– Do widzenia pani, panno Eufrozyno!

Odwróciła się niecierpliwie i burknęła:

– Najpierw, panno Paulino, a potem idź pan sobie już szczęśliwie!...

A on z ręką wyciągniętą przed siebie szedł, powtarzając ponuro:

„Tam pójdę, kędy czarnych skał krawędzie...”

Jak w żarcie każdym, tak i w żartach pana Karola częśćka prawdy tkwiła na dnie, a figle jego z Frankami, Józkami i Joaskami figlami bywały o tyle, o ile na nich musiał poprzestać; biały za to fartuszek Magdzi, czarne jej przepaściste oczy i usta przygryzane do krwi, a jak krew czerwone, już go zupełnie żartobliwie nie nastrajały.

– Pi... pi... pi... *ce ne sont pas* żarty! skąd oni tu takich dobierają praczek? – mruknął po drugiej stronie dworu, formułując odniesione wrażenie. – I to Jakubowa sobie zwyczajna... Musiały sobie jakiegoś niewiasta... Takiego sobie *mir nichts, dir nichts* Musiały niewiasta... A bodaj go kaczkę zdziobały, a skopały gęsi... a to się Parysowi wprost Kubą przechrzcić i basta!... Uuu... źle, panie Karolu... niedobrze, panie Karolu!... bardzo niedobrze!... Z tego coś może być, panie Karolu... a najgorzej, że nigdy nie można było wiedzieć co, panie Karolu!...

Teraz bo przypomniał już sobie, że to nie pierwszy raz spotyka ową *mir nichts, dir nichts* Jakubową, że w kościele już pod amboną zwróciła jego uwagę, że mruganiem dawał jej to do zrozumienia i do śmiechu ją w końcu pobudzał, że upatrywał jej nawet potem na cmentarzu, ale daremnie. Tylko dziś jeszcze mu się ładniejszą wydała, dziwnie świeżą, świeżą, niby ten klombów cień, w którym stała.

– Nigdy nie można było wiedzieć!... – zawyrokował i zanucił:

„Jam jest Kuba, co twój obraz...” – gdy zaś na złotą przyszło wsiadać gale-
rę, młynkiem dorzucił:

„Płyn do ogrodu... płyn do ogrodu... płyn do ogrodu...” – i wpadł na kuzyn-
ki, co go właśnie z książką szukały do czytania głośnego.

„Płyn do Cytery...” – poprawił się z miejsca, i całe towarzystwo w podsko-
kach pobiegło ku werendzie:

„Płyn do Cytery... płyn do Cytery... – śpiewając chórem.

Magdzia tymczasem, ze sprawionego sobie wrażenia zadowolona wielce, przednią układała sobie zabawę. Chudy, cienki warszawiak nie wydał jej się wcale z bliska wzorem piękności, i dawniej, dawniej, kiedy to świeciły jej oczy Jaśkowe tylko, na paniczu nie zatrzymałaby swoich, chyba w przelocie, tak dla zwyczaju, ot, pochwalić się nimi, podrażnić, a może prezent wyłudzić jaki. Dziś panicz ten ileż obiecywał uciechy jej wolnej, bo żadnymi niekrępowanej wzglę-
dami, znudzonej a zalotnej, tym swobodniejszej, że na zysk nawet własnym
dostatkiem zobojeźniałej.

Zabrała się też rażno do dzieła. Tego samego dnia zaraz w południe, korzy-
stając z przerwy w praniu, wypatrzyła panicza czytającego na werandzie, i za-
pragnęło jej się koniecznie oderwać go od książki:

– Ciekawość też – myślała sobie – polecą za mną czy nie polecą?

I pobiegła do ogrodowej furtki na oczach towarzystwa, a odemknąwszy ją
z trzaskiem, zanurzyła się w cienistej alei kasztanowej, która, przedzielając sobą
inspekta i ogród warzywny, długim, zacienionym tunelem do owocowego wio-
dła i do pastewnika, a w której połowie, w półkole rozszerzonej, stał na sztucz-
nym wzgórku, klombami krzewów obwiedziony i rabatą, dęb rosochaty. Wie-
działa, że panienki na widok jej przypuszczą, jako krótszą na obiad na wieś bie-
gła drogą; aby się jednak i panicz, drogi tej może świadom, tym samym nie za-
dowolnił przypuszczeniem, z alei już, nieznacznie, z zalotnym odwróciła się do
niego spojrzeniem, zaś dla pewności powtórzyła je o krok dalej, zalotniej jesz-
cze, poczem pierwszego dopadłszy krzewu, z ukrycia poczęła się werendzie
przyglądać ciekawie.

Jakoż niebawem, wobec wyraźnych oznak niezadowolenia kuzynek, pan
Karol odłożył książkę i szybko zbiegł po schodach między kwietnik, w przeciw-
na stronę dworu, ponad staw, ku inspektom zdążając.

– Idzie... sprawiedliwie idzie... – mruknęła Magdzia, rumiana uciechą.
Dla niepoznaki inspektami obleci... i szybko zaszyła się w klomby pod dębem.

Chwilę później od inspektu wynurzyła się w alei postać pana Karola. Szedł
z wolna, oglądając się trwożliwie ku dworowi, zasłoniętemu już z tego miejsca
drzewami, pilnie przy tym na prawo i lewo bacząc, a minę miał tak pocieszoną, iż
gdy, nie domyślając się jej, tuż obok mijał wzgórze i klomby, Magdzia z naj-
większym jeno wysiłkiem od śmiechu się powstrzymywała. Nie dostrzegłszy jej
w alei, do dębu puścił się szybko ku ogrodowi i, dochodząc już do niego, raz
jeszcze rzucił okiem poza siebie. Teraz dopiero pokazała mu się u wzgórza

i najspokojniej zwróciła się z powrotem. Nie zdążył już dopędzić jej i z podwórza widziała go z daleka, jak z zachowaniem tysięcznych ostrożności, znowu się przez inspekta przekradał i jak niepyszny do czytanej książki powrócił.

Jakże się dawno, jak dawno nie zabawiła w tym stopniu! A to się przecie ledwo zaczęło!... Zapomniała o domu, o swoich, o wszystkim. Bywało już, że w czasie prania nocowywała we dworze, tym razem jednak, jakby zamieszkała w pralni. Gdy ani we wtorek, ani we środę doczekać się jej nie mógł Jakub, z rana wybrał się do niej. Zajęta właśnie z Franką i Józką rozwieszaniem bielizny, przyjęła go jak najgorzej; owszem, słuchać nie chciała, nie miała czasu i czym prędzej odprawiła go z kwitkiem. Jeszcze tego brakowało, żeby się za nią pode dworem swendał!... Pranie pilne a „delikatne”, odejść nie sposób, a po niedzieli „delikatniejsze” jeszcze prasowanie. W sobotę jednak wieczorem na całą niedzielę wróci do domu, wcześniej nie może, bo i magła dopilnować jej trzeba. Świeży sobie tylko fartuszek kazała przysłać przez Wiknę, a Musiała sam wrócił.



– A to ci sprawiedliwie – mruknęła za nim w duchu – kołowate chłopisko. Niańczyć go może jeszcze abo co, dziada...

Ano oderwałby ją też kto od dworu teraz właśnie, kiedy się za nią, jak ta za światłem ćma, panicz wykręcał, kiedy i ona przylubiła sobie w nim jakoś. Nie żartem musiała mu wpaść w oko, bo chociaż go dwa razy jeszcze wyprowadziła w pole, biegał za nią jak najęty, gdy zaś za trzecim niby to przypadkiem spotkała go nareszcie, rozmawiać z nią zaczął wcale nie jak z Szarpaczką lub Józką z folwarku, ale chociaż wesoło, przecie inaczej. Niezmiernie jej się to podobało, a i jednało także. Pan Karol mimowolnie, a może trudnością pochwycenia jej i chętką ku temu wielką, jakby onieśmielony, najlepszą wybrał drogę: podbijał ją grzecznostkami. Dowodził, że tak ładnej gospodyni jak życie nie widział

jeszcze i że chyba takiej drugiej nie było, że nigdy by się w niej nie domyślił mężatki, że teraz nawet, gdy wie o tym, trudno mu w to uwierzyć; że miał już za tydzień wyjeżdżać, ale i miesiąc gotów jeszcze zabawić z Wielgiem, że będzie mu tęskno w Warszawie, że na Boże Narodzenie znów przyjedzie, że od samego patrzenia na nią błogo mu się na sercu robiło. Słuchała rumiana, niewymownie rada, dumna z siebie, a skromnie od czasu do czasu zapewnieniom panicza przecząca. Aż gdy ukołysawszy ją słowami, spróbował czynów i wpół ją chciał objąć, wysunęła mu się z rąk jednym rzutem i uciekła.

Nie obraziła się jednak bynajmniej, uciekła, sama nie widziała dlaczego, jakby ją kto wykręcił i odepchnął. Woląta, iżby się na nią panicz patrzył, niż żeby jej dotykał; woląta słuchać tego z daleka, co mówił, a co takim przejmowało ją zadowoleniem. Tyle się jej, pokojówki, naobejmowali panicze, że gdy się oto znalazł taki, co nie od całusów zaczynał, do całusów dopuścić go nie chciała. Coś się w niej sprzeciwiało temu jak wstrętem, odrzucało przemocą.

Gdy znowu spotkali się przed wieczorem, trzymała się z dala i na baczeniu: przystanąła u wejścia na pastewnik i krokiem nie posunęła dalej. „Śpiewka” jej się wspomniała, którą ją na podwórzu przywitał pan Karol, i prosiła o powtórzenie jej jeszcze, poczem:

– A co to za córa Ledy? – spytała.

Opowiedział jej pokrótce treść greckiej legendy, na wzmiankę jednak o łabędziu zawołała:

– A to niech pan głupstw nie plecie, bo sobie pójdę.

Mówiąc o porwaniu Heleny usprawiedliwiał Parysa, z umysłu rozwodząc się nad niedołęstwem Menelaja.

Uśmiechnęła się i odsunęła trochę, wraz jednak Musiała jej stanął na myśli, i sposepniała. A może panicz z niej się naśmiewał i wytykał jej męża niemłodego, w sukmanie. Rzuciła mu dobranoc i znowu szybko odeszła. Struł ją Musiała; i dopiero myśl, że kto by tam o chłopie jakimś co wiedział, że gdyby zresztą pokojówką tylko była, warszawiak pewnie tak by się z nią nie obchodził, pocieszyła ją trochę.

Do soboty spotykali się już co dnia w południe i wieczór; pan Karol zawsze się tak urządził, aby w tej porze myszkować w okolicach ogrodu, Magdzia zaś także, ot tak sobie, wybiegała na chwilę. Nigdy jednak na dłużej i nigdy dalej, jak do ogrodu, aż na odchodnym do domu, nie mogąc inaczej wyznaczyć schadzki, o którą się natarczywie panicz upominał, obiecała zajść w niedzielę po południu na pastewnik, ale i tym razem pożegnała się z nim jeszcze z daleka.

Późnym już zmrokiem powróciła do chaty. Musiały nie zastała w izbie, podejrzliwym ją tylko powitała spojrzeniem „stara”, zawiadomiona przez Karbośiankę o figlarnym paniczu. Nie obejrzała się nawet za nią; prosto wbiegła do komory i tu, jak stała, po ciemku, na łóżku siadła, ręce na kolanach spleciała i szepnęła:

– No i co ja teraz między tym chłopstwem pocznę...

XIII

Na próżno jednak pan Karol, ciężką migreną wymówiwszy się od wyjazdu z kuzynkami w sąsiedztwo, pół dnia prawie przebląkał po pastewniku, czujny na każdy szmer dokoła siebie, na każdy szelest w tarni, błysk słońca w olszynach. Prócz odparzonej klaczy fornalskiej, pasącej się na łące, prócz roju motyli, much i komarów nikt mu i nic nie przerwało samotności.

A przecież na sumie jeszcze z rana, gdy ją oczyma o to zapytał, Magdzia dała mu nieznacznie głową znak potakujący, wyraźnie odpowiadając nim:

– Przyjdę!...

I nie przyszła.

Z niecierpliwości wielkiej i gniewu naprawdę rozboleła go głowa i gdy wieczorem już późnym zdecydował się nareszcie opuścić pastewnik, kłął „Kubę”, na czym świat stoi, a oberwało się i Magdzi. Z całego zachowanie się jej dni uprzednich zupełnie miał prawo wierzyć, że nie zawiodła go z umysłu, że nie przyszła, bo przyjść nie mogła, czemu jednak nie przewidziała możliwości zawodu? Żał mu było przy tym okrutnie straconej sposobności, jako rzadko: nikogo we dworze, swoboda rozporządzania sobą i czasem. Zły, jak nigdy, wcześniej położył się do łóżka, obiecując sobie nazajutrz udaną obojętnością pomścić spędzone w samotności godziny, straconą u sąsiadów zabawę i ból głowy teraz już nieudany.

A jednak nie na dobrych chęciach zbywało Magdzi ani też z własnej woli chybiła schadzki, a tylko „chłopisko”, stęsknione za nią, jak ci się jej uczepiło oburącz, tak się go ani na chwilę pozbyć nie mogła. Nie próbowała mu się nawet wrywać z chałupy, czując, że na nic by się to nie przydało, że jak cię podążałby za nią wszędzie. Gdy wrócili z kościoła, krokiem jej nie odstąpił, a że przy tym, zwyczajnie w święto, i Franciszkowa, i Kasia, i parobek, i dziewczka, wszyscy kręcili się po izbie i podwórzu, bez zwrócenia uwagi wymknąć się nie miała sposobu.

Odwieczyrz cały przesiedziała na przyźbie, otoczona „chłopstwem”, roztrągniona, raz wraz ku zieleniejącemu się w dali pastewnikowi spoglądająca: a choć się w niej burzyło wszystko przymusem i gwałtem, na pozór spokojna przecie i wesoła. Tyle się Jakub z wieczora jeszcze na to pranie jej we dworze nawyrzekał, tyle i Franciszkowa nauśmiechała dwuznacznie, że ją nie żartem obawa zdjęła o zachowanie na przyszłość tej jedynej, nad wszystko cenionej uciechy, jakiej w otoczeniu ulubionego sobie życia dworskiego doznawała. Straciwszy ją, zagryzłaby się chyba w chałupie, zatęskniła i zapłakała; a tu, chociaż wiele w niej mogła i władzę swoją w niej czuła, i wpływy, które z „chłopstwem” jednak jutra był pewny? Słyszała nieraz o wypadkach przemocy i gwałtu, o gospodarzach katujących żony kułakiem i mimowolnie, bywało, lęk padał i na nią także. Wszakże niedawno Nachyła zbił tak swoją, że tydzień przeleżała w łóżku, a ksiądz mu to aż wymawiał z ambony.

– Kto go tam wie! – powtarzała sobie w duchu, z ukosa spoglądając na Musiałę. – Kto ci go wie, co tam w nim siedzi na dnie...

Za mało jeszcze zżyła się z chatą, by się w niej nie czuć obcą, za mało zżyć się starała, by się jej nie lękać czasem. Na boku żyła. Ot, tydzień zeszły spędziła cały we dworze, podczas gdy wszyscy w domu zajęci byli zbiorem siana na łąkach. Że mrucał Jakub, a dogryzała „stara”, jakże się im dziwić, toćże i po wsi gadano o tym szeroko. I tak Musiała z kośbą zapóźnił się niezwykle, „żonki pilnując młodej”, i zbierał siano po wszystkich, a tu w dodatku „żonki” tej na łące zabrakło.

– Dyć jak świat światem – dowodziła przy tej sposobności Wojtkowa: dwórki ci na gospodynię nie przerobi. Zawdy ci ją, nikiem wilka tego do lasu, ku dworowi ciągnąć będzie ino, a ciągnąć...

Stanowisko to swoje na boku, bywało, rozumiała Magdzia dokładnie, jak odczuwała je na przykład w tej chwili. Choć tedy duszą i myślą nie szukać jej tu było, wśród „chłopstwa” na przyźbie do samego wieczora przetrwała. Półtora rubla, przez panią wypłaconych jej na odchodnym we dworze, jako dwa złote dzień jej się liczył od prania, czego nigdy nie robiła przedtem, przy Franciszkowej Jakubowi oddała, czym nieco ułagodziła starą, a że Kasia pierwszy raz właśnie wystąpiła w fartuszkach, przez macochę jej zafundowanym, i wesołością swoją humoru dodawała babce, dzień spędzono w zgodzie pozornej i zadowoleniu ogólnym.

Gdy nazajutrz wczesnym rankiem znowu się wybierała do dworu, jako że rozpoczętej wypadało dokończyć roboty, żadnych jej nie czyniono trudności. Musiała tylko, markotny, drapał się po głowie a prosił, żeby chociaż wieczorem do chałupy wracała. Przyrzekła mu to, żądając w zamian, aby i on się od nachodzenia jej wstrzymał, i z uczuciem więźnia, na swobodę po długiej wydostającego się niewoli, wybiegła za wrota zagrody.

I lęk wczorajszy, i ponure nad stanowiskiem swoim w chałupie dumania pierzchły bez śladu. Śpieszyła krótszą drogą na pastewnik i ogród, jak na skrzydłach; do pralni niby do raju wpadła i do prasowania zabrała się, z oka nie spuszczać zastłoniętego jeszcze okna w gościnnym pokoju.

Niemieły jednak czekał ją zawód. Później nieco wprawdzie, ale jak zwykle, z trzaskiem podniosła się w nim firanka, i same otworzyło się okno: niebawem dobiegł ją nawet wyraźny śpiew panicza, osoby wszakże jego nie dostrzegła. A przecie wiedział, że prasować miała dziś w pralni, nie mógł jej zresztą nie widzieć w otwartym oknie, świeżej jak zawsze, z różą we włosach, a bez obsłonek raz wraz spoglądającej ku niemu. Aż oto i śpiew ucichł, cisza pokój zaległa, i zjawił się w nim po chwili do sprzątania lokajczyk, a panicz ani jej się pokazał, jednym nie powitał spojrzeniem.

Okrutnie zrobiło jej się przykro:

– Gniewny musi – szepnęła – o wczorajsze!...

I jakby się tym usprawiedliwić pragnęła, wybiegła z pralni i dwór obleciała dokoła, wypatrzeć go i samej mu się pokazać.

Siedział na werendzie przy śniadaniu, ale się nie obejrzał za nią. Wróciła do pralni zgryziona bardzo, nie mogąc na dłużej dusz i żelazka odchodzić, i jak na rozżarzonych węglach wyczekiwała południa, a z nim chwili wolniejszej.

Toć do ogrodu przyjdzie chyba, jak zwykle.

Serce jej biło, gdy furtkę otwierała w alei, gdy nie mając odwagi odwrócić się za siebie, wchodziła między cieniste poszycie kasztanów.

– Bo gdyby tak nie przyszedł, co ona, sprawiedliwie, poczęłaby ze sobą?...

I pewność siebie odbiegała ją wszystka, i zalotności zbyła cała, i pierwszy raz pomiarkowała wyraźnie, że ją ten panicz, z którym się jeno bawić chciała i drażnić, dalej pięknymi zaprowadził słówkami, niż zająć z nim zamierzała, niż zaszedłby zwykłą obcesowością paniczów. Nie wydałoby się to jej zresztą nie-szczęściem, gdyby i jemu także nie była obojętna, gdyby i on też przecie tak otwierał się do niej.

Niespokojna, wzruszona, jednym zapędem aż do ogrodu owocowego zabiegła i tu dopiero, w bok zeszedłszy ulicy, po kolana w wysokiej zanurzona trawie i cała w słońcu, pnem jabłoni zasłonięta, lęklwym rzuciła okiem za siebie.

W długim jednak, kasztanowym tunelu, ciemną odrzynającym się smugą – nikogo.

Czekać postanowiła, i tak czekając, machinalnie zdźbła traw jąta zrywać dokoła siebie i kwiaty. Pojawieniem się jej spłoszone zrazu koniki polne, chrzęstem się znowu rozgłośnym ozwały, na wiśni sąsiedniej topazowa zagrała wilga, a dwa motyle, czerwienią spódnicy jej zwabione, w zakrętej pogoni za sobą musnęły ją skrzydełkami.

Nic już nie myśląc, a jeno bicie krwi czując w skroniach i sercu, a szum w głowie, mieszający się z orkiestrą koników polnych, spojrziała znowu w aleję.

Nikogo!...

Uwagę jej zajął teraz szmaragdowy złotawiec, co z brzękim tuż przy niej opadłszy w trawę, niezgrabnie, z trudem w górę się po niej wspinał, niby klejnot jaki połyskując na słońcu, które hen, z płowego nieba lało na głowę jej i na jabłoń skwarne żarem południa promienie.

I znowu zza pnia rzuciła okiem na ulicę, i do jabłoni całą sobą przywarła, i oczy na bezwiednie skubany w palcach kwiatek spuściła i pobladła, i znów poczerwieniała, a nogi jakby jej w ziemię wrosły...

W dali zza dębu zbliżał się panicz...

Szedł, jak bez celu, ręce schował w kieszeniach i pogwizdując obojętny, rzekłbyś, kasztany liczył na drzewach. Szedł pomsty dokonać swojej. Że Magdzia była w pobliżu, nie wątpił wcale, ale nie szukał jej niby, obrazonego grał rolę, a grał z wyrachowania. Dość bo miał tych spacerów i pogawędek, aż nadto dość „flirtu” z jakąś tam Musiałową niewiastą, umizgów, w które ani wiedział, jak „popadł”, z których ani wiedział, jak wybrnąć! Już z rana, ukryty za firanka okna, z zachowania się Magdzinego zmiarkował, że na udawaniu nie straci, że się niepokoiła nie żartem, że się ta Kuby prostego żona, ta chłopka prawie, na wielu rozumiała się uczuciach, o jakie aniby ją posądzał, i oto korzystał z tego

Szedł tedy ani na prawo oglądając się, ani na lewo, ot tak, prosto przed siebie, aż się i znalazł pod pnem jabłoni, pod którym nieruchoma, a z kwiatkiem zawsze skubanym w palcach, ze spuszczonej oczyma stała Magdzia. Dostrzegłszy ją, a nie mógł jej nie zobaczyć, uśmiechnął się złośliwie i choć go aż podrywało do niej:

– Dzień dobry pani Jakubowej! – rzekł tylko i kapelusza dotknawszy podążył dalej.

Ale się po chwili obejrzał, ciekawy skutków komedii. Obejrzał się i zawrócił. Bo oto Magdzia stała pod jabłonią wciąż jeszcze, a tylko w rękach nie kwiatek, lecz róg trzymała fartuszka, a trzymała go przy oczach płacząc.

Wzruszony szczerze, podbiegł ku niej i wpół objął, i rękę od oczu odsunął. Nie broniła się, a uśmiechnęła tylko, więc milcząc w głąb ją poprowadził ogrodu.

I dwa dni znowu całe ani zajrzała Magdzia do chaty, aż się temu i sama pani dziwić zaczęła, i baczniej uważać na nią. Lampka się jednak w pralni do późnej nocy świeciła, a nad żelazkiem schylona prasowała Musiałowa pilnie. Snadź jej na prędszym wykończeniu roboty zależało, i tak się śpieszyła. Wydało się wprawdzie pani na razie, że młody gość jej coś się zanadto uwijał dokoła przystojnej praczki, ale oto od dni kilku ani się zbliżył do niej. Widocznie jedno i drugie natarcie uszu za niepotrzebne zaglądnienie do pralni poskutkowało, i panicz dał za wygraną. Uspokoila się tedy, pracowitości jeno dziwując się Magdzinej, i pamiętała o niej, jak nigdy, z pańskiego prawie żywiąc ją stołu.

A Magdzia za dwie pracowała istotnie, bo się lękała podejrzeń. Z tej to porady pan Karol, co czas jakiś wyłącznie nią zajęty, jak gdyby figłów zapomniał swoich, znów ją dziewczuchy najpocieszniej przezywać „z miemiecka”, a zwłaszcza Józkę, zazdrosną dwórkę, co się domyślała czegoś może. W pralni lub na podwórzu nie pokazywał się zupełnie, tylko nocami, co stróż zauważył, przechadzek zaczął używać codziennych, to papierosem, to nawet złotówką częstując go przy spotkaniu. Spotykać się też go starał Juchymek jak najczęściej, wyczekując na niego w pobliżu furtki ogrodowej, bo do ogrodu wychodził panicz zwyczajnie. Obdarowany, wracał do gumna, i ni to przez myśl mu przeszło, że od inspektów, het, ponad stawem, mógł się kto inny przechadzać. A choćby zresztą po pastewniku i włóczył się kto po nocy, toćże mu gumna pilniejsze przecie, a błoga i złotówczyna. I psy skwapliwie ścigał za sobą, i gwizdał, niby zajęty, krokiem do rana nie ruszając się spod stajen i stodół.

Tymczasem, choć ku utrapieniu Magdzi „wielkie” skończyło się prasowanie, i już we czwartek, bieliznę zdawszy pannie służącej, do domu wracać jej przyszło, po drodze jeszcze na pastewniku spotkać się miała z paniczem, a potem, potem ani wiedziała, kiedy znowu go zobaczy. Aby się mogła w tygodniu wyrwać, choćby na chwilę, nie przypuszczała; zresztą, jak porę oznaczyć? Wprawdzie pan Karol co dnia obiecywał wyjść poza ogród, a nawet czekać czas jakiś; to przecież, gdyby raz, drugi czekać mu przyszło na próżno, wychodzić by przestał może. Trapiło ją to okrutnie, cóż jednak poradzić mogła. Skoro się wyrwie, przyleci, przyleci pewnie, ale nie prędzej chyba raz pierwszy, jak z rana,

przede mszą w niedzielę. Wcześniej się niby na nabożeństwo wybierze i na pastewnik wpadnie po drodze, i może do dworu zajrzy. A potem, potem zobaczy, zawsze się przecie i znajdzie sposób, a tylko czuła mniej w sobie jakoś odwagi i mniej pewności siebie.

Dziw bo doprawdy! kiedy za Jaśkiem latała dawniej do dworu, latała bo w tajemnicy, ale i bez lęku latała, jakby się chłopak z prawa należał do niej. Nawet Jakuba zburczała nieraz za niepotrzebne pytania. A oto teraz idzie do chaty i aż jej się serce tłucze. Czyżby przewina większą być miała, czy też do złego przyłgnęła więcej i jaśniej je czuje w sobie? Czy o panicza jej tak chodziło może, czy tak odwykła od „chłopstwa”, że i przewagi zabyła nad nim i władzy? Do izby pokorna jakaś weszła i lękliwa, starą powitała uprzejmie i, nie pytana, sama z siebie tłumaczyć się przed nią jęła, że wrócić nie mogła wcześniej. Badawcze spojrzenie Franciszkowej, zdziwionej tą pokorą, zmieszało ją do reszty. Nie miała nawet odwagi zapytać się, gdzie Jakub, którego nie było w chacie.

Nadszedł niebawem i przywitał się z nią jak zwykle, ale pochmurnym jej się wydał i milczącym. I jemu opowiadać się zaczęła, dlaczego to, wbrew obietnicy, teraz dopiero po skończeniu roboty wraca:

– Śpieszyłam się, jak mogłam – mówiła; – inna by i przez tydzień bielizny tej nie odprasowała. Ale trza było robić po nocach i nijako wracać do domu.

On machnął ręką:

– Ano – rzekł – kiej się skończyło, to i dobrze, a tyło dosyć już onego pierania...

Dawniej byłaby mu za oświadczenie takie do oczu chyba skoczyła; teraz spojrzała tylko na niego z boku i lęk ją ogarnął nagły, czy aby nie domyślał się czego. Nie zdradził się jednak niczym, choć z różnych go stron zachodziła: w zachowaniu się wszakże jego wyraźną dostrzegła zmianę. Wyglądał tak, jak to bywało przy matce, gdy to niby ze swoją wolą występował przed nią, żonine spełniając życzenia.

– Nakręciła go musi znowu – zauważyła w duchu i postanowiła ostrożnie a oględnie przerobić go na swoją rękę.



I nie myliła się wcale. Pozostając całe dwa niemal tygodnie pod wyłącznym wpływem matki, wpływem tym nasiąknął Musiała na nowo. Gdy we wtorek wieczorem z łak wróciwszy, pustą jeszcze zastał komorę, czego, licząc na obietnicę Magdziną, nie spodziewał się zgoła, nie tając już swojej zgryzoty, jął, jak to było zwyczajem jego, chodzić po izbie, a drapać się po głowie, spluwać i postękiwać. Aż i Franciszkowa, nastawiająca wieczerzę, obruszyła się tym do żywego. Długo przypatrywała mu się milcząc, wreszcie z gniewem wybuchnęła prawie:

– Widziane to rzeczy, coby ci chłopisko takie łąził ino a stękał, a nijakiej se nie umiał dać zrady. Kiej ci przez baby wydolić nijak, to ci ją trzymać w chałupie.

– A ino? – odparł, wykrzyknikiem matki bardziej jeszcze zgnębiony. – Zamykał ją będę, abo co?

Ale Franciszkowa, ożywiona niezwykle, snadź rada sposobności wygadania się przecie, ująwszy się pod boki i stając przed synem, prawiała dalej swoje:

– A dyć nie twoja może przed Bogiem i ludźmi niewiasta, cobyś jej rozkazować nie miał prawa po woli, a skoro potrza, i pofolgował, i nie pożałował ręki? Dawno ci to Nachyła, kiej mu się baba gzić po wsi jena, a z chłopakami zmawiać po kątach, zmówił ci se ją do stodoły i takiego zadał moresu, że i za wrota nie wygoni jej tera...

Musiała jednak zachnął się, przerywając jej niecierpliwie:

– A to gadają matka, a sami co nie wiedzą. Kaj ci ta przyrównanie. Co to, to zasie moją z Nachyłową ci równać, abo i z jej lataniem. Moja inaksza, i ja to na nią nie podniosę ręki, i tyle.

– Dyć twoja wola – odparła, do garnków powracając Franciszkowa; – a co ci latanie zawdy lataniem, to i prawda. We dworze się tam ponoś panicz jakiś kręci z Warszawy, a figle z dziewczuchami wyprawia, co mi się o nich Wikta i nagadać nie może. Kiejś se gładką na gębie wziął babę, to ci ją lepiej trzymaj w chałupie, żeby ją zasie nie przytrzymał kto inszy; – i z garnkiem kartofli, buchającym parą, pobiegła nad cebrzyk odlać je z wody.

Tej samej chwili weszli do izby Kasia z Wickiem i Wikta po obrządku wieczornym, przerywając rozmowę matki z synem. Wobec widocznego niehumoru gospodarza, spożyto milcząc wieczerzę, po której Wicek spać poszedł przy koniach na stajnię, a Musiała z fajką w zębach skierował się ku stodołę. Nie zatrzymał się jednak w niej, a tylko przeszedł klepiskiem, wrota uchylił tylne i na drogę wydostał się, i pola. Słowa matki, jakkolwiek przypisywał je wrogemu jej dla Magdzi usposobieniu, głęboko mu w duszę zapadły i nurtowały tam w niej, w ruch wprowadzając nieskory do myślenia umysł. Posądzać ta swojej nie posądzał o nic złego, aniby też śmiał na nią podnieść ręki, ale z onym lataniem ciągłym do dworu wypadało porządek zrobić. Znadto mu już dojadło i obmowy obawiał się ludzkiej. Że gładka na gębie, to gładka, i jak jeszcze, a na taką zawdy oczy zwrócone, a i języki także. Mało ci to ją dziewczuchą jeszcze naobnosiły? A choć i z tym Jaśkiem, jak się okazało, wierutna bajka była tylko,

bo oto chłopak żenił się z inną, a Magdzi ani to w głowie, z ogrodnikiem zaś onym ten przytrafunek, co go tak spospolitowała przy ludziach, honorności ino w kobiecie, a nie czego innego był znakiem; to zawdy przecie złe języki się znajdują, co i na słońcu jasnym dopatrzą plamy. Żeby to jeszcze zarobku tego, co go przynosiła ze dwora, potrza było w chałupie, ale i to nie, Bogu dziękować; a i po wsi wiedzieli o tym ludzie i dziwowali się tylko, co miasto siano zbierać na łące, niewiasta ci mu po zarobkach lata. Powiadają matka, co latanie zawdy lataniem, ano i prawda, a zawdyć takiej, co lata, nieprzezpieczeństwo.

I długo jeszcze chodził Musiała i dumał, a fajkę pykał, zanim się przecie na postanowienie zdobył stanowcze. Przeczuwał opór ze strony Magdzi, której przywiązanie znał do dworu, a której się sprzeciwić żal mu było nawet trochę, no i strach. A jak się żadną miarą nie zgodzi, to co wtedy? Czuł, że do otwartej wojny nie posunąłby się z nią nigdy, a tym mniej zdobyłby się na użycie przemocy, aż wpadł nareszcie na myśl podstępu i zwalenia winy na matkę, i to go uspokoiło.

– Niech se ta już – mruzczał, ku stodole wracając na spoczynek – napoczętą skończy robotę, a potem ci pchnę matkę do dworu, coby dziedzicze za nią podziękowała, jako że sama nie śmie.

Załatwiwszy się z tym klinem zanim zasnął, powrócił teraz do ulubionej myśli, do sołtysostwa. I nijak mu było dać sobie rady bez żony. Chodził do karczmy niby to sprawę popierać i dobrze się parę razy spił z Nowotnikiem, ale „przez nijakiego skutku”. Co prawda, zasmakował w onych posiedzeniach przy kieliszku lub szklance, bo się to różniej jakoś i na powrót przy nich czekało Magdzi, i człek się do woli o tym i owym nagadał, a gajowy skoro języka rozpuścił, jako to bywalec po świecie, to i było czego posłuchać, ino że oto żałował potem jeszcze tych kilku przemarnowanych złotówczyn i matki się jakoś wstydził, a nie było nikogo, co by mu do zwalczania wyrzutów pomógł i w postępowaniu utwierdził.

Nie stało Magdzi, a bez niej coraz mu bardziej „nijak” bywało. Ona i jednym słowem na wszystko radę znaleźć umiała, przy niej i rublem nie żal mu było rzucić, i dwoma; przy niej na matkę nie oglądał się już nawet wcale. Bez niej nie wiedział, co z sobą począć, gdzie się obrócić, o co głowę, a bodaj serce zaczepić.

Wypadało mu, wypadało raz koniecznie porządek z tym lataniem jej zrobić, i tak się myślą tą i postanowieniem przejął, że ot na powitanie zaraz oświadczył jej bez ogródki:

– Dosyć już onego pierania!...

I własnej się też zaraz przeraził odwagi. Podczas więc tedy gdy Magdzia, z innych powodów niespokojna, zakazu tego nie podniosła, owszem, starała się niezwykłą w sobie uległością udobruchać go i przyciągnąć ku sobie, on długo jeszcze z niedowierzaniem, markotny, jakim bywał zawsze po każdym ze swej strony samodzielniejszym kroku, prawie że stronił od niej, prawie że się na nią boczył.

Następstwem tego było, że ani przez piątek, ani przez sobotę nie odważyła się Magdzia ruszyć z chałupy, że nie śmiała się nawet zamknąć w komorze i że w niedzielę dopiero rankiem, i to po długim wahaniu, oświadczywszy, jako różaniec odśpiewać pragnie przed sumą, odważyła się wyjść za wrota.

XIV

Wnet po wyjściu Magdzi z chaty Musiała, który się także z kolei zajął przystrojeniem odświętnym swojej osoby, ruchem, zwyczajnym mu od czasu postrzyżyn zwoleńskich, pociągnął dłonią po brodzie i policzkach i wyczuł pod palcami dobrze już brzytwy dopominający się zarost. Że jednocześnie przypomniały mu się i kwity, których Wikta i Wicek od najmu dworskiego sporą już znieśli paczkę, postanowił zatem zgłosić się do wypłaty i ogolić za jedną drogą.

Dla gospodarzy wielickich dwie czynności: wymiana kwitów i golenie się chodziły zawsze w parze, drugiego bowiem z przytoczonych aktów w porze wypłaty dokonywał na dziedzińcu dworskim Wojciech, zwany Przysiwkiem, kozak jeszcze dziedzicowego rodzica, żyjący przy dworze na łaskawym chlebie, a który wśród mnóstwa fachów, jakim się wedle upodobania oddawał, gdy mu chęć do tego przyszła, i fachem golibrody się trudnił.

Co niedziela tedy przed sumą dokoła letniej rezydencji Wojciecha, tak zwanej „komórki”, obrośniętej doszczętnie dzikim winem, z desek przybudowanej do oficyny, gromadziła się garstka gospodarzy i parobczaków o policzkach jak szczotki, którym, podczas gdy opodal w oknie jadalni dworskiej załatwiała się wymiana kwitów, Przysiwiek połysk nadawał i gładkość atłasu.

Operacja odbywała się *sub jove*, stojąco, w cieniu i jakby za parawanem obfitych kiści wina. Do klientów wychodził z komórki Wojciech, sapiąc, poważnie, w szaraczkowej kapocie z potrzebami, w rogatywce z daszkiem, z przewieszonym przez ramię podejrzanej białości niby ręcznikiem, niosąc w jednej ręce czerep potłuczonego wazonu, pełen mydlin, w których sterczał olbrzymich rozmiarów pędzel, w drugiej brzytwę głośną na wieś całą, „jangielską”. Milcząc przystępował do najbliższej z brzegu ofiary, i nie zważając na siedliska zmysłów, jednym zamachem twarz jej zamieniał w bryłę mydlanej piany, poczem, odstawiając na bok czerep wazonu, przeciągał „jangielską” na pasku, zawieszonym u guzika, chwycił lewą ręką klienta za wierzch głowy i wykręcając ją na wszystkie strony rozpoczynał golenie, a raczej nielitościwe skrobanie skóry, której chrzęst na dziesięć kroków słyszałeś. Spod białej piany wyłaniały się stopniowo fioletowe pasy, już zoperowane, a na nich drobna misterna siatka, tście podziwienia godnych, niesfornie splątanych cięć i ranek, których ślady „zgolony” długo potem jeszcze miał na twarzy.

Opłacało się to szóstakiem, a choć rękoczyn ów nie należał do najwymyślniejszych, to przecież, z uwagi na niekosztowność operacji, i w braku oględniej-

szego operatora, poddawano mu się bez szemrania, starając się jedynie odraczać go jak najdłużej.

Pan Karol, gdy po raz pierwszy po przyjeździe swoim na wieś, chrzęstem czyjegoś podbródka zwabiony, ujrzał ten wielicki „salon”, nacieszyć się nie mógł nowym dla siebie widokiem. Zrazu tylko co się nawet nie pozbył starannie pielęgnowanego młodziutkiego zarostu z wielkiej chętki zapisania się do grona Wojciechowych klientów. Odstraszyły go dopiero fioletowe smugi na policzkach gospodarzy i parobczaków, golenie zaś tatuowaniem się wydało; co niedziela jednak z niemałą uciechą przyglądał się tak operacji jak i zoperowanym, onym, jak ich zwał, „Irokezom” wielickim, co, po spotkaniu się z „jangielską” Przysiwką, z twarzami „w arabeski” spod dzikiego wina komórki na świat się wyłaniali. Co niedziela tedy snuł się po dziedzińcu z rana to klientelą Wojciecha zajęty, to wymieniającymi u okna jadalni kwity i bawił przy tym wyśmienicie, a oto dziś raz pierwszy zabrakło go na stanowisku.

Miał też co innego na głowie.

Kończył właśnie ubierać się i stał zwyczajem swoim w roztwartym oknie zaczesując obfitą czuprynę. Nad obiecaną schadzką zamyślony, niepewny, zali mu i tym razem wrzekomym bólem głowy nie wypadałoby swobody ruchów sobie wywalczyć, bo nuż suma przeciągnęłaby się nad miarę i do kościoła szukać by go jęły kuzynki; stał, zwolna decydując się już na migrenę, która go nadto w razie potrzeby i od zbyt długiego przy śniadaniu asystowania paniom uwolnić mogła, zgoła nie zwracając uwagi na uwijającą się po podwórzu Józkę, co, wyznaczona do pomocy kucharzowi, naręczkami z drwalni zносиła drzewo, a zerkaniem w stronę panicza, jakby zaczepki, a co najmniej powitania wyglądała:

– Śniłaś mi się, Józefino!...

Gdy oto z za węgła kuchni wysunęła się postać Magdzi. Szła od kładki, w tej stronie poprzez staw rzuconej, a łączącej dwór z zabudowaniami folwarcznymi na drugim brzegu, przy głównej ode wsi drodze leżącymi. Dostrzegła go od razu i podczas gdy panu Karolowi z uciechy grzebień skręcił się w rękę i zaplątał we włosach, a on szarpał nim, aż mu świeczki w oczach stanęły, ona pozdrowszy wesóło Józkę wykrzyknikiem:

– Stęskniłam się za tobą, Józka!... – i pytaniem:

– A gdzie panna Paulina?... – nie czekając odpowiedzi, szybko wpadła na krużganek, wiodący do garderoby, i nie spuszczać z oka panicza, jak gdyby mu tym spojrzeniem mówiła:

– Zaraz, zaraz wylecę!... – zniknęła w sieni.

Zamiast wprost z chaty na pastewnik podążyć, dłuższą, kościelną przybiegła drogą, widoku jego stęskniona, pragnąc upewnić panicza, że oto na próżne go tym razem nie narazi czekanie, że się wymknęła, że jest, że nie chybi. Znając zwyczaje dworu, wiedziała wychodząc z chaty, że się wybiera za wcześnie, że państwo, choćby już wstali, a i pan Karol z nimi, do śniadania sięść mieli jeszcze, zanim by ten ostatni do ogrodu mógł wybiec; ale później znów „chłopstwo”

czepiać się jej było gotowe lub przeszkoda jaka znalazła. Po drodze jeno „kawalek” ze spotkaną pogawędziła Wojtkową, a dalej przy kuźni już z Nastką, do której, choć zawsze czuła za Jaśka urazę, to przecie dla niepoznaki zachodziła czasami. Ale pilno jej było, pilno okrutnie, i pierwszą tedy, i drugą zbyła czym prędzej, i niby to zamówiła się do panny Pauliny wypytać, czy zadowolona z bielizny, i tu już na miejscu chwili doczekać stosownej i wymknąć się do ogrodu.

A udało jej się, udało: panicz ją dostrzegł, skoro zaś widział, to choćby i nie miał zamiaru wyjść, wyjdzie...

Tak mu wyraźnie dawała znać oczyma i tak wymownie:

– Zaraz, zaraz wylecę!...

Zrozumiał ją też pan Karol, dobrze zrozumiał; raz jeszcze grzebieniem szarpnął, aż w nim dwa zęby złamał, surdut narzucił i pomrukując:

– Co robić?... znów mam migrenę!... – na werendę wybiegł pośpiesznie, gdzie co dnia z rana w razie pogody śniadano.

Tu już jedna z „panienek”, panna Wuwa, na którą tydzień gospodarki domowej przypadł, kręciła się dokoła zastawionego stołu, podczas gdy lokaj wniesioną właśnie baterię kamiennych garnuszków ze śmietanką, calowymi pokrytych kożuchami, ostrożnie rozstawiał na podstawkach ceratowych przed miejscami osób, pijących z rana kawę.

Pan Karol, który także do nich należał, skorzystał z położenia, i w chwili gdy dla niego przeznaczoną śmietankę stawiał służący, rzekł z westchnieniem, bo za kożuchami przepadał:

– Jakubie, garnuszek mój dziś niepotrzebny. Herbaty się napiję – i wymownie ręką powiódł po czole.

– Cóż się to stało? – zapytała kuzynka. – Ty, taki amator kawy, drugą już z rzędu niedzielę skazujesz się na herbatkę?... Czy to ślub jaki, czy może znowu głowa cię boli?...

– Oj, boli, boli!... – jęknął pan Karol, ponownie za czoło się chwytając.

– Mamo! – zawołała panna Wuwa do wchodzącej na werendę matki. – Karola znowu głowa dziś boli. Niedzielne jakieś, od święta prześladowają go migreny.

– Niechże nie pije kawy, dajcie mu herbaty z cytryną! – zawyrokowała pani domu. – A po śniadaniu spróbujemy *migrenszyftu*. Broniłś mu się zeszłej niedzieli, ale dziś mu się nie wykręcisz. Powiadam ci, jak ręką odjął, zobaczysz...

Pan Karol i przeciw *migrenszyftowi* nic nie miał, byle się prędzej wyrwać na wolność, ale jak się tu wyrwać... Każdej kolejno wchodzącej na werendę osobie, ojcu i siostrom, Dodzie i Niuni recytowała panna Wuwa na wstępie:

– Karol ma znowu migrenę! – poczem kolejną każdą go częstowała herbatą z cytryną lub *migrenszyftem*, zaś panna Doda posunęła się aż do kompresów z zimnej wody.

– Wiesz co? palnij magnezji, a lepiej jeszcze kropnij hipekakuany!... – zaproponował pan domu. – Bo ci inaczej znowu dziś wint przepadnie. Te *migrenszyfty* Zosine dobre, ale dla dzieci chyba.

– Dla dzieci?!... – żywo podchwyciła pani Zofia. – Upierasz się, mój Tadiusiu, sam nie wiesz przy czym. Niunia! – dodała – przynieś no, kochanko, *migrensztyft*, przekonamy się zaraz.

– Przejdę się trochę, to może i ból ustąpi!... – wtrącił nieśmiało pan Karol, na gwałt dopijając herbaty, ale nim zdążył ruszyć się z miejsca, już Jakub na rozkaz pani świeżą mu podsunął filiżankę, a panna Wuwa zanurzyła w niej plasterki cytryny.

Westchnął tedy i został, a tylko patrząc się dalej, stanowczo w duchu wyprzysięgał się trzeciej dawki, co chwila ścigany pytaniami:

– Jak się czujesz?... – a niepokojony widokiem coraz liczniej napływających drogą ode wsi ludzi, co, jak zwyczajnie, z kwitami do wypłaty pod okno jadalnego pokoju zdążali na dziedziniec. Przybywało ich ciągle, a nużby który do ogrodu chciał zajrzeć ukradkiem.

Szli gromadkami, to w pojedynkę, już to wjazdową bramą z gościńca skręcając, już to kładką na stawie skracając sobie drogę. Jedni i drudzy przechodzić byli zmuszeni tuż pod werendą, co chwila się też rozlegało:

– Niech będzie pochwalony!... – a za nim z ganku:

– Na wieki wieków!

– Karolu!... Karolu... Joanna d'Arc idzie!... – zawołała panna Doda, dostrzegłszy zbliżającą się Szarpaczkę, która widocznie wykrzyknik ten dosłyszała, bo zarumieniona, róg chustki do ust podniosła i z chichotem przebiegła, o „pochwalonym” zapominając nawet.

Ale Pan Karol obojętnie zniósł uwagę kuzynki, a odwrócił się nagle, gdy zaraz potem, na nowe odpowiadając pozdrowienie, pan domu:

– Jak się macie, Musiała! – rzekł do przechodzącego poważnie gospodarza, odzianego w nową sukmanę, sztywną, dołem o cholewy objijającą się z łopotem, poczem ze znaczącym zwracając się do kuzyna uśmiechem. – To twój Menelaj, Parysie! – dodał – małżonek pięknej, jak nazywasz, Heleny, Magdzi.

– Tadiusiu!... – przeszywając męża surowym wzrokiem, burknęła pani Zofia.

Gospodarz umilkł, pan Karol za głowę się chwycił, a panna Doda zapytała:

– Może jeszcze herbaty?

Tego jednak było mu nadto. Zerwał się, jak mysz dwiema filiżankami wrzątku spocony, bliskiemu sąsiedztwu Musiały nierad, i bez oporu poddawszy się z rąk pani domu energicznemu natarciu *migrensztyftem*, wybiegł z werandy.

Spostrzegłszy go, gromadka dziewczuch, co odcinając się zaczepkom chłopaków, kołem obsiadła na trawniku marmurowy o lwich pazurach słup od kompasu, zamilkła nagle. Sznurując ust, a udaną powagą usiłując śmiech w sobie tłumić, czekały jeno, rychło do której zagada. Nachylanka, Szarpaczka, co to już niby bliższą miały z paniczem znajomość, spuściły oczy, inne, zerkając, trącały się nieznacznie łokciami. Wszystkie czekały, ale daremnie. Przystanął wprawdzie, w koło się rozejrzał, nie zagadał jednak do żadnej, a chwilę tylko patrzył

w stronę Przysiwkowej „komórki”, gdzie w gronie zgolonych i golonych Musiała czekał kolei swojej, poczem zaś szybko skręcił ku ogrodowi.

Zawiedzione dziewczyny tęsknymi odprowadziły go oczyma, a odprowadzał go i Musiała, aż mu zniecka Wojciech, milczący zwykle, pędzlem wrócił przytomność.

– We dworze się tam ponoś panicz jakiś kręci z Warszawy – ostrzegła go matka – zaczepliwy, przyszcypny... – chciał mu si przyjrzeć.

Oficyna wraz z „komórką” wprost na aleję kasztanową wychodziła, dziedzińcem jeno oddzielona od niej, do golenia się tedy ku alei ustawił, co stąd, jak strzelił, w części tylko pniem dębu przysłonięta, aż po sam ogród widniała. I patrzył, patrzył za posuwającą się wciąż głębiej szczupłą, wysmukłą postacią warszawiaka, a na myśl coraz inne przychodziły mu słowa matki:

– Kiejś se gładką na gębie wziął babę, to ci ją lepiej trzymaj w chałupie...

To znowu:

– Dyc twoja wola, a co ci latanie zawdy lataniem, to i prawda...

I Nachyłową wspomniał niewiastę, co „z chłopakami zmawiała się po kactach”, i niepokój ogarnął go, i splunął, aż się Przysiwek ozwał z uwagą:

– Mydło nie trutka...

Ale wraz przyszło ukojenie:

– Cherlaczyna ci to jakiś – pomyślał – ni to z pierza, ni to z mięsa – i na różańcu w kościele stanęła mu w oczach Magdzia.

Stanęła tak, jak oto rankiem wybiegła z chaty, sama ni to ranek lub zorza. Przyobleczona odświętnie: w czerwonej spódnicy, białym fartuszku, z „Ołtarzykiem złotym” na chustce złożonym w rękę, z gładko nad czołem przyczesanymi włosami i pękiem z tyłu warkoczy; świeża, czerstwa, rumiana, zdrowiem tryskająca i krasą, ta nad wszystko miła niewiasta „galanta”.



– Galanta!... – prawie w głos mruknął i nagle, jakby go podrzuciło, pochylił się niby do skoku, twarz do połowy zgolona krwią mu nabiegła:

– Kończta, Wojciechu, kończta!... – zawołał, sukmanę szarpiąc na pierśsiach.

– Kończta!... – powtarzał, podczas gdy w oknie jadalni dziedzic zjawił się z rządcą i z workiem do wypłaty drobnych, a kto żyw, ku oknu się temu garnął.

– Bedzieta na czas, bedzieta!... – odparł z flegmą Przysiwek, wypuszczając go z rąk nareszcie.

Porwał się z miejsca i na przełaj, przez trawnik, z wypatrzonymi ku ogrodowi oczyma, jak nieprzytomny rzucił się w aleję kasztanową.

Ale bo jaw to, czy omamienie? tam, w tej alei, przed chwilą spoza inspektu czerwona błysnęła mu spódnica, fartuszek biały, przysiągłbyś, ona, ta sama, nad wszystko miła niewiasta:

– Galanta!...

XV

I biegł oto, jak gdyby śpieszył z ratunkiem stojącej w płomieniach chacie, cały w oczach skupiony. Myśl, że go tak może gna złuda jeno próżna, ani powstała mu w głowie, jak również ani pomyślał, że uganiał po ogrodzie dworskim, niby po swoim. Przestrogi tylko i podejrzenia matczyne grały mu w uszach, i opętany nimi, mijał rzędem sadzone drzewa jedno za drugim dalej i dalej; dokąd biegł, sam ani wiedział, za błyskiem w oczach czerwonej spódnicy, ot tam, przed siebie, gdzieś, gdzie mu ją przed chwilą widziana postać panicza falą dojmującego niepokoju i lękiem przysłaniała.

I taką mu się koniecznością, a raczej oczywistością wydawało, jako idąc tak wciąż przed siebie, na tego panicza się natknie w końcu, na panicza i Magdzię, że się ani obejrzał na boki, że gdy, dochodząc już ogrodu, spostrzegł przed sobą najspokojniej przechadzającego się z papierosem w ustach warszawiaka, utknął w miejscu jak wryty i zmieszany pokłonił mu się nisko, a z ust tylko co nie wybiegło pytanie:

– A moja, kajże to?... Magdzia?... niewiasta?...

Ale panicz go minął, odkłoniwszy się grzecznie, i szedł dalej ku dworowi, z papierosem w ustach i rękoma teraz w kieszeniach, spokojny zawsze, krokiem miarowym, jak ten, któremu iść nie śpieszno. Półśmiechu, jaki na mgnienie błysnął w oczach przechodzącego, błysnął i znikł, przygryzieniem papierosa stłumiony, nie zauważył Musiała zgoła, a tylko miętosząc w rękach słomiany kapelusz, czerwoną obwiedziony harasówką, stał z odchylonymi dziwotą i osłupieniem wargami, aż mu się z wolna wargi te rozchyłać jeły więcej i więcej, i wyraz zadowolenia wielkiego, radości prawie, na twarz wypłynął.

Wyprostował się butnie, jakby tym niski pragnął odrobić ukłon, kapeluszem nakrył głowę i spoglądając za paniczem splunął.

– Tyczka ci to jakaś do chmielu... – mruknął pewniejszy siebie. – Za kim to oczy gubić...

Ale mu znowu stanęła w myśli czerwona spódnica, biały fartuszek i znowu go coś w sobie szarpnęło i niespokojnie powiódł okiem dokoła.

Panicz dochodził już dębu, powoli spuszczał się w dół wzgórza, niknął stopniowo i znikł, nie obejrzawszy się nawet. Już przed Musiałą sad leżał dworski, wynurzający się z gęstej, wysokiej trawy pniami drzew, a podszyty szpalami porzeczek i agrestu. Zza kępy malin widniała część parkanu, odgradzającego ogród od pola; dwie szerokie, na krzyż przebiegające go ulice wyraźnie płowymi znaczyły się smugami. Na prawo, na lewo śliwiną z rzadka upstrzone szpalery jarzyn: sadzona świeżo seledynowa rozsada, topazem kwiatem okwitłe już ogórki i dynie, na roju tyczek grochu szparagowego kiście, a obok piechotnego rabaty; młodych kartofli rozpoczęte sadzonki, zagony kalafiorów, rzodkwi, cebuli i szmat wczesnej dla pszczół tataraki. A dokoła nikogo; ponad kapustą jeno kłęby białowców i granie jeno koników polnych chrzęstliwe, przerywane skrzeczeniem sroki z kasztana.

Musiała, jakby nagle przypomniawszy sobie, gdzie jest, ruszył ścieżyną, co popod sadem a skrajem tatarczanego szmatu na lewo ku pastewnikowi wiodła. Powracać na dziedziniec nijako było mu teraz, i mniejsza tam o wypłatę, wymieniać za tydzień kwity Wicek i Wikta, a on pastewnikiem oto naokół na główną wydostanie się drogę i do kościoła zajrzy za Magdzą.

Miał bo się też czym truć znowu i niepokoić, i wiatru tego szukać, co wieje! Czerwona jakaś kiecka mignęła mu się, tak ci go oto rzuciło z miejsca, kieby omamem. Aż mu się i wstyd robiło tu, na tym pastwisku, wstyd przed sobą i ludźmi, co może i zauważyli nagłą jego ku ogrodowi wycieczkę. Szybko popod parkanem sadu w tarń sunął między topole, nierad, aby go tu kto zeszedł, a w duszy burzyć się jał na matkę, co próżnym jeno gadaniem na śmiech go wystawiała, i tyle. Potrzebnie bo mu paniczem głowę nabiła, latanie Magdzine wypominała, albo że gładka była na gębie, nie puszczać ci jej z chałupy przykazywała. Potrzebnie!... Niewiasta ci w kościele różaniec, jak się patrzy, odmawia, a on po pastewniku, kieby ten złodziej, ugania, i nijak mu nawet wyjrzyć na drogę, którą od Łazisk ludzie już walą na sumę. Upatrzył wreszcie chwilę i wy dostał się na nią.

A właśnie odezwały się pierwsze dzwony.

Biły z dzwonnicy, co opodal starego, pochylonego wiekiem, deskami szalowanego, modrzewiowego kościoła wznosiła się, modrzewiowa także, w kształcie wysokiej, krytej szpiczastym dachem czworograniastej baszty, szerszej spodem, jakby falbaną dachówek obwiedzioną, niby wiatrak bez skrzydeł, albolli starożytna z katapultami wieżyca. U szczytów popod dachem, na poziomie trzech zawieszonych w niej dzwonów, z których środkowy, rozmiarami potężny, tak wielki, że uderzano weń wprost sercem, cztery, na cztery strony

świata, widniały okna, a raczej puste otwory, jakimi hen za pola, łąki i lasy spizowe płynęły tony, hen o sąsiednie zawadzając parafie, z których żadna ni dzwonów, ani dzwonnicy tej miary nie posiadała.

Chlubą też były wieliczczan. Na odgłos tej od dzieciństwa dobrze znanej sobie orkiestry Musiała, na kościelnej już teraz drodze, jak gdyby mu kamień spadł z serca, odetchnął raźniej i pewny, że oto za chwilę widokiem Magdzi wszelki zażegna w sobie niepokój, spojrzął w otwór dzwonnicy, w którym wygodnie na framudze usadowiony Jędrak Orylak ciągnął za sznury jednego z dzwonów, całym ciałem poddając się to w tył, to naprzód, w takt poruszeniom ramion.

– We Stanisława bije! – mruknął, dokładnie wyróżniając głos tego dzwonu z chóru.

I dawne wspomniały mu się czasy, kiedy to, parobczakiem jeszcze, po karkołomnych schodach, tu i owdzie tylko po drabinach dzwonnicy, na ochotnika, wspinał się między jej belkowaniami pod same szczyty, aby, jak dziś Orylak, z pomocą staremu kościelnemu na sumę lub za procesję „we Stanisława bić, zasie Zygmunta”, bo się Wojciecha kościelny tykać nie dawał, jako sam tylko do serca jego nauczny. Biło to serce, biło jak młotem: w potężne uderzając ściany spizowe, zwolna, miarowo, aż się od bicia tego chwiała w posadach dzwonnica, a het, po świcie „boom, boom” grało poważne, na milę ponoś z wiatrem wyraźne i dalej.

A wtórowały mu jęku pełne, płaczliwe „baam, baam” Zygmunta, i dźwięcznie wesołe rzekłbyś „biim, biim” Stanisława. Gdy się tak chórem rozbiły wszystkie, a dołem jako na dłoni procesja święta kroczyła i „U drzwi Twoich...” z dźwiękami mieszało się dzwonów, ciarczki się tam na oknie zbierały onem, i trzęsło jako w ogrzędzie.

Tak, znał je wszystkie, głos miały prawie ludzki dla niego: i ten Stanisław, co mu ot wieczorami „Anioł Pański” wydzwaniał, i Zygmunt, podzwonnym śmierć parafianom jednego ze swoich zwiastujący, i Wojciech potężny, co z rzadka wprawdzie sam się odzywał, i raz go posłyszałeś, to na zawołanie brzmiał potem w duszy wspomnieniem, a w oczach stawiał obrazy, jako ów straszny ogniem zalanej wioski, z chłopięcych jeszcze lat zapamiętany.

Tak, znał je wszystkie, a skoro grały, coś się tam w nim jakoby odzywało wtórem i grało w duszy, błogością grało, zadowoleniem i zadumą. I oto aż przystanął, głowę wzniosł w górę, ręce zatknął w kieszeniach sukmany i kiedy spoglądał w przeświecające na przestrzał okna dzwonnicy, zdało mu się, że spoza śmigłej postaci Jędraka wyraźnie chwyta ruchy Wojciechowego serca. I stał wsłuchany, jako trafiło mu się nieraz, gdy w polu zapóźnionego dobiegał donośny dźwięk Stanisława, a on z odkrytą głową, o „Zwiastowaniu Pańskim” zapominając często, słuchał i słuchał, aż go pierwsze, po krótkiej przerwie, jedno tylko, jakby spoważniałe, nagle cucilo uderzenie dzwonu, i „Zdrowaś Maria...” szeptem rozchyłało mu usta.

– A cóżeście to, kumie, sowie dojrzeli gniazdo, co się tak w oną wpatrujecie dzwonnice, jakobyście ją po raz pierwszy widzieli?... – zagadnęła go zniecka Wojtkowa, zatrzymując się przed nim.

Szła do kościoła, a choć dzień był letni, pogodny, jak na stateczną przystawało niewiastę, otaczał jej ramiona niby powijak w dwoje złożony gruby, wełniany, w białe i szafirowe pasy szerokie kilimek, którego brzegi pod brodą niemal trzymała w dłoniach, wraz z okręconą dokoła palców koronką, podczas gdy łokciem podwinięte do piersi przyciskała końce. Spod sięgającej do kostek jeno spódnicy i wełnianego na niej zapaśnika szafirowe widniały ciżmy sukienne, czerwoną obszyte krajką, na nogach przyodzianych w wełniane o białych i szafirowych centkach pończochy. Ponad czerwoną, z lekka już zapoconą twarzą chusta kraciasta, w rodzaj turbanu zwinięta, jednym końcem, niby to szerokim war-koczem, opuszczała się na plecy, brzegiem, od czoła, tiulowym, misternie fałdowanym obramowana neżykiem.

W stroju tym odświętnym, rumiana, przysadzista a pulchna postać Wojtkowej robiła wrażenie księżycy w pełni, o roześmianej rozkosznie, pyzatej buzi, jak przedstawiać zwykli humoryści księżyc, zerkający z jasnego nieba na parę kochanków. Promieniała błogością, świeciła się weselem. Tyle ją co niedziela i święto zadowoleń czekało dusznych, tyle się nagadać mogła, tyle nasłuchać, że jej w dniu takim nikt, jako żywo, w złym jeszcze nie oglądał humorze. Od świtu uśmiechnięta, chodziła słodka, ku południowi coraz słodsza, w drodze zaś do kościoła najśłodszym urągająca miodom lipcowym. Wraz za wrotami chwyciła w objęcia każdą napotkaną „kumeczkę”, a pochwyciwszy, każdą obsypywała kilku w oba policzki głośnymi pocałunkami; do każdego przypytywała się kuma, każdemu mając coś do powiedzenia. Psy nawet zaczepiała po drodze.

– Niech będzie pochwalony! – dorzuciła oto, stojąc przed Musiałą, wygadawszy się naprzód o sowim gnieździe. – Spotkałam waszą, jak ci na różaniec szli do kościoła. Mieni wstąpić do Nastki, nikiem kowalczanki, ino kiej nie mówili, zasię przed, czyli po sumie.

Wspomnienie żony wraz ze wzmianką o różańcu do reszty rozchmurzyło Jakuba; podżartowując też sobie, ruszył dalej w towarzystwie Wojtkowej, której, wobec dobrego humoru kuma, stanął na myśl niedawny a niespodziewany poczęstunek w karczmie i możliwość powtórzenia się tych zaprosin:

– Ja do was, wy do mnie!... – załaskotało ją rozkosznie.

– Potrzeba, nie potrzeba, ale co wam nikiem rzekę, mój kumie, to ci i na parafię drugiej takiej, jak wasza, nie znajdzie na gębie. Ni to latawiec, ni swarliwa, ale i owszem, jak się patrzy, grzeczna.

Tu z przymileniem spojrzała w oczy kumowi:

– Sprawiedliwie, jakby ci was w korcu maku wybierał, tak ci jedno nikiem do drugiego, nie przymierzając, pasuje.

Ale Musiała, choć mu słowa Wojtkowej miodem w duszę spływały, do kościoła śpieszył i zaprosin nie powtórzył.

– Twardy czegosik! – dopowiedziała w duszy babina.

Dochodzili już misternego, ażurowego ogrodzenia cmentarza, z palonej cegły, to na sztorc układanej, to w poprzek, gdy z turkotem opodał wchodowej bramy zatrzymała się bryka wójta, w której prócz Majchrowskiego, wyprostowanego sztywnie a butnie, na głównym w tyle siedzeniu wójcina rozpieła się z synem, kilkoletnim chłopakiem, w kamlotowej kapocie, lakierowanym przepasanej pasem, i w dużym na konopiastej głowie, wciąż spadającym mu na oczy, na wyrost, kaszkiecie z daszkiem. Na koźle, obok parobka, przodem do wnętrza bryki zwrócony, przez świadomego władzy swej i godności wójta, krótko trzymany, siedział uśmiechnięty z przekąsem pisarz, z pliką papierów w tekturowej oprawie pod pachą. Pan wójt, z wielką powagą zgramoliwszy się z bryki, nie oglądając się na żonę i syna, w towarzystwie pisarza, w interesie snadź urzędowym, zwrócił się ku plebanii, a gdy szedł, zebrani już licznie dokoła cmentarza chłopcy kłaniali mu się uprzejmie, od czasu do czasu skinienie głowy odbierając w zamian.

Musiały widok ten dziwnie poruszył, coś jakby zazdrość szarpnęła go w sobie, posmutniał czy spowaźniał nagle i niby wójta naśladowując wyprostował się także, i nie uchylił kapelusza. Wojtkowa zmianę tę w twarzy i postawie gospodarza dostrzegła i zawsze jeszcze nie tracąc nadziei na poczęstunek:

– Widzita go, jak ci to dmie... Majchrowski!... rzekła, z naciskiem wymawiając to nazwisko. – A bo to mało ludzi we wsi, co go nikiem Majcherkiem pamiętają, jako że się rodzic, co po służbach chodzili dworskich, Majcherek, nie przymierzając, wołał; Majcher ci to był, Majcher, a nie pańskiego, ino swojego patrzył, to i na kolonistę wyszedł na starość, i nie obrzedni zostawił ponoś kęs chleba. Synalek zawdy nosa zadzierał, a odkiej wójtemostał, to i nie przystępuj przez kija.

Po małej przerwie, znacząco ku towarzyszowi zerknąwszy, ciągnęła dalej:

– Ano, powiadam, Majchrowski nie Majchrowski, a zawdy nie gospodarskie dziecko i nie takiemu u nas wójtować.

Musiałe krew buchnęła na twarz rumieńcem, i ze zdziwieniem spojrzął na babę:

– Kież lichy, czy myślał głośno, że mu tutaj myśl własną powtarzają.

Wójcina tymczasem, z kolei wydostawszy się z bryki, pomiętą, bombiastą na sobie strzepywała spódnice. W kaftaniku do stanu, ze stanem pod pachami prawie, widocznie do stroju z waszecia nie nawykła, mała przy tym i chuda, ze strzępiastym czepkiem na głowie, wyglądała jak kura nastroszona z czubem, pociesznie i niezgrabnie.

Nie uszło to uwagi Wojtkowej:

– Abo i ta! – szepnęła półgłosem. – Komu się to stuperczyć!... Dyć sprawiedliwie, potrza nie potrza, a powiadam, co z waszej, to by rychtyg wójcina była, jak się patrzy!...

I oto dopieła swego. Musiała nie strzymał dłużej i wszelakiej niechając dyplomacji:

– Może i nie?... – palnął od ucha, poczem zmiarkowawszy się nieco, już w bramie cmentarnej dorzucił:

– Dyc, kumo kochająca, zajdźta po sumie do Jukla, to i pogawędziewa.

– Wy do mnie, ja do was i skutek! – rzekła mu na pożegnanie rozpromieniona.

Rozeszli się: ona jęła wyczałowywać którąś z kum parafialnych, on śpieszył do kościoła na Magdzię popatrzeć swoją, do której po wszystkim, co oto przeszedł, jakże mu było pilno!

A toćże nie on przecie Wojtkową ciągnął za język ani ją brał na spytki, a samej, ino się na Majchrowską spojrzęła, zaraz Magdzia wójciną stanęła w myśli. Na Musiale uwaga przylipnej kumy, wyzyskującej zręcznie znane jego przywiązanie do żony, silne sprawiła wrażenie; w umyśle, przegotowanym już do tego, odbiła się niejako poczuciem rzeczywistości. Mijając szpaler cmentarny, krzewami sadzony, i nagrobki kolatorów w cieniu lip, szedł z samowiedzą nieledwie godności swojej, i dziwiło go prawie, że rozrzućeni po cmentarzu ludzie nie usuwają mu się oto z drogi i nie kłaniają, jak się przed chwilą Majchrowskiemu kłaniali, Majcherkowi!... Szedł, niby wieść niosąc żonie o własnym splendorze, ni to wójt do wójcinej z lekceważeniem już tylko o sołtysostwie myśląc, a wcale o paniczu, bo i kajże by się tam za paniczami wójcina oglądać miała!...

Przeżegnawszy się w kruchcie pobożnie, ukląkł zaraz na progu kościelnym i z głośnym, tradycyjnym w tych czasach westchnieniem ręce wznosił w górę ku ołtarzowi wielkiemu, spojrzęł i pochylił się, czołem i ustami dotykając podłogi. Przeżegnał się po raz drugi, podniósł i na lewo skierował od chóru ku ławkom, dla poważniejszych wiekiem i stanowiskiem gospodarzy przeznaczonym; nie w przedostatniej jednak zajął miejsce, jak zwykle, ale w drugiej usadowił się od przodu i teraz dopiero jał się za Magdzię po kościele rozglądać.

Było już po różańcu. Ten i ów, odmówiwszy go, w oczekiwaniu sumy wychodził na cmentarz, na pogawędkę ze znajomymi; grono zatem uczestników ранnego nabożeństwa, i tak szczupłe zwyczajnie, przerzedziło się jeszcze znacznie: a najpobożniejsi już tylko pod przewodem głośnego w parafii z pobożności Gawrysia, ławnika przy sadzie gminnym i zamożnego kolonisty z Antoniowa, w czasie nabożeństw osoby półduchownej prawie, śpiewali litanie do Matki Bożej.

Musięła mieć przegląd łatwy: wśród klęczących pod amboną niewiast Magdzi nie było, że jednak o tej porze mniej trzymano się zachowywanego podczas sumy porządku, zwrócił oczy popod chrzcielnicę, ale i tu jej w pośrodku dziewczuch nie znalazł. Ogarnęł okiem kościół cały od ołtarza do chóru, i znowu próżno!... W pierwszej chwili „na szczęt” mu się pomieszało w głowie, i tylko co nie tręcił łokciem odśpiewującego tuż przed nim, w pierwszej ławce, litanie Gawrysia i w głos go nie zapytał:

– A nie widzieliście mojej?...

W sam czas się jednak pomiarkował; przypomniał sobie słowa Wojtkowej, zapowiadające odwiedzin Magdy u Nastki. Snadź po różańcu wybiegła do kowalczanki, a ino jej patrzeć z powrotem.

– Ino jej patrzeć... – powtarzał w duchu i czekał, ale bodaj to czekanie takie. Ani mu było na czym myśli zaczepić, oczu zatrzymać. Utkwił ja zrazu w wielkim ołtarzu, w ciemnym, przypominającym flamandzkie malowidła, wizerunku rozpiętego na krzyżu Zbawiciela, i wnet bezwiednie, jakby je porównać chciał między sobą, jał oglądać dwa obrazy w bocznych ołtarzach: św. Józefa w lewym, a w prawym Matki Boskiej Częstochowskiej. A potem spojrzął po rozstawionych dokoła ławek chorągwiach, różnego kształtu i barwy, to opuszczonych niby sztandary na drzewcu, to rozpinanych, jako firanki w oknie: na zieloną ze św. Florianem w zbroi, niebieską św. Rozalii, białą Niepokalanego Poczęcia, czerwoną, suto srebrnym obszytą szychem, ze znakiem jeno w hafcie krzyża po jednej, a cyfrą Przenajświętszej po drugiej stronie. I przejrzał złożone popod ścianami przenośne ołtarzyki procesyjne, kwiatami sztucznymi strojne i „sukienkami”; i na mosiężny, od stropu opuszczający się przed wielkim ołtarzem świecznik popatrział, i na okna kościelne, kolorowymi szybkami w krzyż znaczone, i na upstrzony słońcem, księżycem i gwiazdami strop świątyni, i na rozesłane na stopniach ołtarzy kilimki i na skropioną świeżo przed zamiataniem podłogę, i rozsypany po niej tatarak, i na sznur sygnaturki, węzłami, ni to pas zakonnika, nabijany, i ku organom na chórze biało lakierowanym, z dwoma u szczytu w bęben bijącymi aniołkami zwrócił się, a co chwila przegląd ten wchodzące przerywały mu osoby, za którymi rzucał okiem łakomie, by znowu:

– Ino jej patrzeć!... – powtarzać i wzrokiem wodzić dalej.

Przed nim stojący w ławce, z roztwartą książką w ręku, Gawryś z namaszczeniem wielkim a pobożnością donośnym głosem rzucił:

– Gwiazdo zaranna!...

Wtórem zaś odśpiewano:

– Módl się za nami!

Do wtóru onego przyłączyć się spróbował, jednak „módl się za nami” mieszało mu się w myśli z „ino jej patrzeć”, i śpiewać przestał coraz niespokojniejszy.

Aż i skończono litanie. Chórem liczniejszych już znacznie głosów „Pod Twoją Obronę !...” rozległo się potężnie, a jednocześnie dziad w sygnaturkę uderzył, zwiastując bliskie rozpoczęcie sumy. Na odgłos dzwonka, kto żyw na cmentarzu i drodze, jał śpieszyć do kościoła. Tłoczono się prawie u wejścia i od zakrystii. Co chwila ktoś znajomy mijał Musiałę: przeszła i Wikta, trzymając za rękę oddaną sobie pod opiekę Kasię, i Wicek między chłopakami stanął po prawej ręce od chóru, a wśród niewiast klęczała już pod amboną Wojtkowa. Śpiewy umilkły, zewsząd westchnienia odzywały się głośnie pokłon oddających Stwórcy, tupot szybko, wstydliwie na miejsca swoje przebiegających dziewczuch, poważne, ciężkie gospodarzów kroki. Z mensy ołtarza zdejmował organista przed kurzem ochraniający ją obrus, snuli się już w komeżkach z kolorowymi na

nich pelerynami chłopcy, dziad do zapalania świec się zabierał, a po stromych schodkach chóru chłopaki pielili się do kalikowania. Snadź proboszcz był już w zakrystii.

Musiła duszą utkwili w oczach:

– Ino jej patrzeć... ino jej patrzeć...

Wtem do zakrystii państwo zjawili się ze dworu: szła najpierw pani, za nią panienki, za panienkami dziedzic, a za dziedzicem... nie było za dziedzicem panicza.

Panicza nie było i Magdzi!

Zabrzmiało „Kiedy ranne...”, chłopiec z mszałem stanął u dzwonka.

Musiła wszystka krew zbiegła do serca, kościół z ludźmi w nim, ołtarzami i światłem jął mu się w oczach kręcić; chwilę jeszcze przesiedział w ławce, jakby niemocą przykuty do niej, aż nagle, gdy przed wychodzącym ze mszą księdzem wszystkie głowy kornie się pochylały, zerwał się z miejsca i, utykając w tłoku, wybiegł z kościoła.

Przypuszczenie go wiodło, a chwycił się go oburącz, że oto unikając tłoku i zbytniego w samym kościele gorąca, Magdzia z wielu innymi w cieniu lip kłęczą, że tam szukać jej wypadło, że może choć panicza tam znajdzie. Odczucie położenia swego posiadał jeszcze, hamował też niepokój co sił starczyło i ze względny obojętności pozorem, jakby samemu sobie szukał tu miejsca, jął zwolna obchodzić kościół, a pilnie śledzić rozrzuconych dokoła pobożnych.

Po dwakroć odbył ten przegląd, i znów daremnie: ani Magdzi, ani panicza. Ale i kowalczanki nie dostrzegł nigdzie.

Pod wpływem tej myśli skierował się na drogę, w stronę kuźni, opodał, naprzeciw karczmy stojącej. W bramie cmentarza spotkał się oko w oko z Majchrowskim, co poważnie zawsze, z nieodłącznym obok, a ironicznie uśmiechniętym pisarzem, kroczył na sumę. Minał ich, nie widząc prawie, ani mu tam w głowie wójt teraz. Duma, co począć. Zajść do kowalów? Czymże się do nich zamówi? Pytać o Magdzię? A nużby z tego plotka urosła? Ot co, wstąpi do karczmy, araku sobie miarkę dać każe, jak przystało na robaka, którego niósł w sobie, i siądzie w oknie, wychodzącym wprost na czerwoną ceglami nietynkowaną kuźnię i na okno w niej mieszkalne kowalów, no i tam się doczeka, doczeka w końcu widoku swojej, spokoju doczeka i ukojenia.

Niczyje go już teraz nie śledziły oczy, poruszał się też swobodniej. Lipami po tej stronie kościoła sadzona droga leżała w cieniu chłodnym, z kapeluszem więc w ręku mijał dwoma rzędami ustawione bryki i wozy chłopskie, pozostawione na czas nabożeństwa bez żadnej opieki lub co najwyżej pod opieką psa, wylegującego się tu i tam na kilimku lub słomie. Konie, do postojów tych już nawykłe, ze łbami zanurzonymi w workach z obrokiem lub spuszczone nad stazką siana, nie ruszały się z miejsca, opędzając się muchom leniwie i czasem gdy się w wozie przed nimi zawieruszył kłaczek koniczyny czy źdźbło chwastki, zwolna się ku niemu zbliżały, łakomie je wyskubując. Rej wiodły tu oraganiścine, dla których postój niedzielny fur przed kościołem gratkę co

się zowie stanowił. Pod wodzą też olbrzymiego złotocielistego koguta uwijały się skrzątnie, włączając nieledwie w worki z obrokiem.

Musiąła dochodził właśnie do karczmy, gdy oto w świątecznych strojach, z książkami do nabożeństwa w rękach kował, żona jego i córka ruszyli z kuźni. I znowu, jak tam przed paniczem w ogrodzie, stanął jak wryty, ale tym razem nie strzymał i ku idącym poskoczył, i wysilając się na spokój sił ostatkiem, zapytał:

– A nie było to u was mojej?...

Odpowiedź dała mu Nastka:

– Była, i rankiem jeszcze, musi koło dziewiątej. Wpadła na chwilę, bo jej tam o coś śpieszyło się do dworu.

Kował tymczasem z żoną, już i tak do kościoła spóźnieni, szli dalej szybko, i Nastka biegiem skoczyła z rodzicami, Musiąłę samego zostawiając na środku drogi.

Była we dworze!... Znowu do dworu latała!... A może tam i jest jeszcze?... Może z paniczem?... Błysk w oczach czerwonej spódnicy nie był złudzeniem, widział ją, widział niewiastę, widział galantą!... A panicz?... Panicz spłoszony przechadzkę udawał jeno...

I poczuł w sobie żar, i duszenie jakieś, i pustkę, i rozpacz, i oburącz sukmanę jął drzeć na piersiach, a potem jak pijany zatoczył się ku dworowi i znów zatrzymał, i ku wsi ni to zawrócił, i przystanął, i we drzwi karczmy uderzył.

– Do dworu?... A kajżeby na pokojach szukał panicza?... Do chaty?... Ano swoim na pośmiewisko?

– Jukiel!... psiakrew!... – zawołał, uderzając w stół pięścią, aż na szynkwasię blaszane naczynia z brzękiem podskoczyły. – Jukiel!... jaraku, ino mocnego, psiakrew powiadam!...

XVI

Sygnaturka ostatnią zapowiadała Ewangelię, gdy z za parkanu, otaczającego ogród plebanii, na drogę kościelną wychyliła się Magdzia, a rozejrzawszy się po niej, przebiegła ją w poprzek ukosem i między opłotki wpadła, poza wieś w pola i ku lasowi wiodące.

I ona, jak Musiąła przed chwilą, od ogrodu szła dworskiego i pastewnika, ale nie do kościoła ani też do chaty wracała. Za opłotkami raz jeszcze obejrzała się bacznie i podkasawszy oburącz wierzchnią spódnicę, do pasa ją podniosła prawie, w podołku książkę złożyła do nabożeństwa wraz z chustką i nie oglądając się już więcej, ruszyła drogą „księżą”, przerzynającą ongi grunta proboszczowskie – skąd nazwa.

Zewsząd otaczała ją teraz różnobarwna szachownica pól chłopskich, u nieboskłonu, hen, w dali, zakończona, jak murem, ścianą lasu ciemnego. Do lasu

śpiesząc, to żółte już mijała na dojrzeniu żyta poletki, to wykłoszone świeżo seledynowe smugi pszenicowe; owsy mijała siwe i szmaragdowe jęczmiona; rude redlonki kielkujących z rzadka ziemniaków, puszyste koniczyny, na różowo skwitłe zagony i po ramiona zanurzała się w żytach, po pas jeno zapadła w pszenicę, całą wychylała się postacią ponad jęczmiona, owsy i koniczynę, a spod miarowo a sprężyste bijących w drogę stóp jej i wysokich obcasów lotne raz wraz podnosiły się za nią pyłu obłoki.

Po lewej stronie, tuż przy drodze, a w znacznym między sobą oddaleniu, trzy rzędem wznosiły się zagrody, księżymi uwłaszczone gruntami. Świeżo względnie pobudowane, niewykończone nawet dokładnie, bez ogrodzeń i sadów, w szczerym polu widniały z dala na słońcu żółtymi plamami drobne okna przed siebie, niby ciekawe na drogę wypatrujące oczy. Magdzia biegiem mijała je prawie, mijając odwracała głowę a minawszy, wznosiła ramiona, jakby się nimi osłonić chciała. Drażniły ją te trzy okna, drażniła chat obecność, nerwowym ruchem ręki odgarniała od czasu znad zmarszczonego, a potem pokrywającego się czoła pęk włosów, przysłaniających jej oczy, i łakomie chwytając we wpół otwarte usta podmuch lekkiego, ponad zbożami płynącego wiatru, posuwała się dalej, aby do lasu.

Rzekłbyś, że oto gonił ją ktoś uparcie, a ona, ile tchu, zbiec mu pragnęła.

Dopadłszy lasu, który się tu rozpoczął smugą wysokopiennego porostu, zasłany dołem miękkim, puszystym kobiercem wrzosów, upstrzony gęsto pękami czernic, mchów i paproci, nie drogą już, lecz w bok wrzosami kilkadziesiąt jeszcze przebiegła kroków, aż pod rosochatym zatrzymała się sklepieniem leciwej sosny, całą piersią wdychając w siebie powietrze. Po chwili rozejrzała się w koło, dobytą z podołka chustką pot z czoła i twarzy starła i wygodnie się pod chojakiem ułożyła, zasłonięta pniem jego.

Nareszcie zastanowić się mogła; w tym co się stało, rozejrzeć, przewidzieć, co się stać miało, i przygotować, i postanowić coś przecie. Boć się tu oto w lesie tym i na wrzosach znalazła, nie wiedząc prawie jak ani czemu. Nogi ją tu przyniosły, to pewna, ale bodaj czy jasna kierowała nią wola. Jednak dobrze się stało, a zresztą, czy inaczej stać się mogło, skoro, zapomniawszy o wszystkim, widokiem Musiały w ogrodzie dworskim wylękała, a nawiścią i zalotnością pani-cza wabiona, straciła na razie głowę i zamiast do kościoła wymknąć się śladem męża, choć w niepokoju wielkim i trwodze, jakby już nic do stracenia nie miała, nawet pozorów, na schadzce cały czas mszy spędziła i na żądanie dopiero wyraźne pana Karola, trzeźwiej patrzącego na rzeczy, rozstała się z nim przed chwilą.

Tylko że gdy się oto sama na pastewniku znalazła, gdy na łąziską przyszło wejść drogę, u płota zatrzymała się nagle, a w myśli jej stanęło pytanie: dokąd idzie?

Dokąd idzie? Nie do kościoła przecie, skoro nabożeństwo kończyło się właśnie. A więc do domu? Czemże się jednak wytłumaczy z nieobecności na sumie? A tu na byle jakim wybiegu poprzestać dziś nie mogła. Musiała być we

dworze, nie uwiadomiwszy jej o tym, on, co się krokiem nigdzie bez wiedzy jej nie ruszał. Mówił pan Karol, że go przy Wojciechowej widział komórce, być zatem mogło, że golić się jeno wyszedł i zmienić kwity; co jednak robił w ogrodzie?... On, gospodarz, zwyczajem gospodarzy głównymi tylko chodzący drogami, z wielką się tylko powagą zbliżający do dworu, ubocznych, niewieścich ścieżek, jakby przeciwnych powadze tej, unikający zawsze? W gęstwinie porzeczkowego szpaleru ukryta, nie spuszczała go z oka, i wahanie się jego, i niepewność przy spotkaniu się z warszawiakiem dostrzegła. Wyraźnie nie o krótszą mu jeno chodziło drogę, skoro stał chwilę i rozglądał się w koło, i po namyśle dopiero ku pastewnikowi ruszył. A jeżeli za śladem jej szedł właśnie, popchnięty podejrzliwością „starej”, lub może wypadkiem tylko wycieczkę jej ku dworowi wypatrzył? I oto szukał jej teraz, choć obecnością i spokojem panicza stropiony, nie śmiał kręcić się po ogrodzie dworskim, ale w kościele był i w chałupie, i ani tu, ani tam jej nie zastał? Jeżeli szukając dalej, pobudzony zazdrością, niepokojem i gniewem znowu ku ogrodowi zawróci?

Tu, blada, pełna instynktowego lęku przed nieokrzesaną chłopstwa naturą, poczuła jasno, że oto wyciągnęła strunę zanadto. Rozejrzała się trwożnie, mimowiednie się w tarń od płotu cofnęła i z dreszczem prawie szepnęła:

– No i co ja teraz pocznę?...

Póki była w ogrodzie, tam przy swoim paniczu, ani jej się tak niebezpieczeństwo groźnym wydało, ani go tak brała na rozum.

– Jakoś to tam i będzie!... – myślała, a gdy pan Karol, spłoszony zjawieniem się Jakuba, znowu po chwili do niej powrócił, przyjęła go wesołym żartem, na koszt „głupiego chłopca”. Tylko że teraz chłop nie „głupim”, ale wprost „straszny” wydawać się jej zaczął, i znów bezradna powtórzyła:

– No i co ja teraz pocznę?...

A radzić wypadało bez zwłoki, z pułapki, w której się zatrzasnęła, wydobyć, zanim się ludzie nie wysypią z kościoła i zewsząd swobodnego nie zamkną jej odwrotu.

Poprzez lęk zniecierpliwienie wybijało się z niej z kolei; nie mogła przecie tak oto w tarni wiekować! i brwi po swojemu zmarszczyła.

– Żebym tak chociaż wiedziała – szepnęła – po co on chodził do dworu?

Ale czas naglił, z krzaków poza płot wyjrzała chyłkiem na drogę; pustą była zupełnie, ostatnia sposobność mogła minąć. Mgnienie oka wahała się jeszcze, co począć, i jakby pod wpływem nagle powziętego postanowienia, poza płot na drogę wybiegła.

Zbawienna jej oto strzeliła myśl do głowy.

– Trza iść do ojca!...

Odetchnęła swobodniej. Trza iść do ojca, no, a potem zobaczy. I ruszyła, zajęta myślą zręcznego przemknięcia się za opłotki, bo gdyby tak Jakub nagle zjawił się przed nią!?...

I lęk ją ogarnął znowu, i choć na pola wydostała się ukradkiem szczęśliwie, dwie wiorsty przeszło, jakie ją od lasu dzieliły, w trwodze przebyła, niby po rozżarzonych węglach stając i pragnąc za sobą zatrzeć ślady.

Na wrzosach dopiero miękkich, pod osłoną rosochatej sosny odzyskała swobodę, a nawet pewność siebie. Nie pierwszy to raz z trudnego położenia przychodziło jej się wykręcić i uśmiechnęła się do siebie zadowolona, i rozmarszczyła czoło. Niechby się teraz kto chciał dowiadywał, gdzie była – była u ojca; a gdy ją i we dworze widziano – chodziła pytać, zali z raportem miał być u rządcy.

Tu zawahała się znowu.

Jeżeli bo Nowotnik z raportem tygodniowym chodził istotnie i zminął się z nią tylko? jeżeli w karczmie zabarłoczy się potem lub, grosza potrzebując, w chacie jej szukać zechce? I zamyśliła się chwilę, lecz nie na długo. Lasów wielickich dwóch pilnowało gajowych; Nowotnik miał kolegę, z którym na przemian co tydzień zdawali sprawę. Zeszłej niedzieli widziała ojca w kościele, a więc z raportem nie on dziś chyba stawał. Zresztą niebawem znajdzie się na Borowcu i na miejscu rzecz sprawdzi, a gdyby ojca nie było, od głupiej Jantki, co go od lat kilku obsługiwała stale, dowie się, czego jej trzeba: gdzie poszedł i kiedy wróci, i zawsze wymówkę znajdzie.

I rozchmurzyła się ponownie, i poprawiła na wrzosach. Nic bo jej teraz nie nagliło tak bardzo. Raz wybieg mając, pewna już swojego, z przekąsem o niepokojach męża myślała, przedłużyć je nawet rada. Bo i czego jej spokoju nie dawało chamisko? Czego się włóczył, czego śledził, po piętach deptał i wstrętnym prześladował kochaniem? Czy po to wyszła za niego, żeby się oto niby ten wilk kryć po lasach, krokiem się nie móc ruszyć swobodnie, pożartować, pośmiać, zabawić?

– Ubędzie mu to, czy co? – zauważyła, zgodnie z osobistym na sprawę widzeniem rzeczy.

Lękiem przebytym wzburzonej, zniecierpliwionej ciągłymi w zachceniach swoich przeszkodami, a do żywego dotkniętej znęcaniem się nad nią wrzekomym „chłopstwa”, ani jej przez myśl przeszło do własnej przyznać się winy. Gniew w niej i nienawiść wzbierały tylko, aż wybuchnęła:

– Albo i rzucę wszystko i tyle!... Mnie tam dwa razy o to nie prosić!... Co mi zaś za niewola na chamów się ino oglądać, a oglądać!...

I wróciła do ulubionej od kilku dni myśli, w samotnych przeżuwanej dumaniach.

– Do Warszawy pójdę – mruknęła – w służbę... I bez dobytku się przy swobodzie obejdę!...

Do tej Warszawy, teraz z paniczem, ciągnęło bo ją też żywnie, a tylko doświadczenie jej dwórki, które paniczom nie bardzo ufać uczyło, i odwyknienie na swoim od obowiązków służby, niby ją zimną wodą w zapędach tych zlewały. Raz bo nawet wspomniała coś panu Karolowi o tym, ale się zachnął; mówił, że sam przyjedzie, a gospodyni, co to jest panią we własnej zagrodzie w służbę iść

nie radził. No i miał słuszość, przyznawała to sama, a jednak, gdyby tak zechciał... Czowała, że i w Warszawie z oczami by swoimi nie zginęła, że, kto wie, może by jej tam i lżej było, niż tu z „chłopstwem” ujadać, i w samotności w komorze zamknięta swojej snuła projekty różne, do snucia ich od dzieciństwa, jak do wędrówek ciągłych za służbą, przywykła.

Dziś tu, jutro tam, tak bo jej dotąd splotywało życie.

W komorze tej jednak swojej była ot dziś u siebie; gospodarska zasobność biła z niej zewsząd, spokój, wygody. O ściany też jej zaciszne rozbijały się zwykle rojenia, a tylko kiedy jej „chłopstwo” znów czym dojadło, budziły się wnet odgrózką:

– W świat pójdę!... – która obecnie, pod wpływem znajomości z paniczem, na odmienną się nieco zmieniła zwrotkę:

– Do Warszawy pójdę na służbę!... mnie tam dwa razy o to nie prosić!...

Zanim by jednak do tego przyszło, z kolei, co ojcu powie, zastanawiać się ją. Czymś bo się przecie, choć dla pozorów, zamówić jej trzeba było.

– Wszystkiego im tam – postanowiła – gadać nie myślą, na co im to wiedzieć... Ano, powiem, jako za domem zabawiłam się dłużej i nierażno mi wracać... Nich idą ze mną...

I rozjaśniła się nagle, znalazła na wszystko radę.

– Niech idą ze mną! – powtórzyła.

Obecność ojca wszystko zażegna, i mimowolnie dzień ślubu stanął w myśli, i w tarni przygoda z Jaśkiem.

– Pójdą! – mruknęła – ani się czego i wypytywać będą tak bardzo... byle ich zastać!...

Zerwała się spod chojaka i otrzepawszy się z mchu i igieł, znowu na drogę wybiegła. Znała ją dobrze. Minawszy warstwę wysokopiennego lasu, na młodą weszła porębę, zalaną słońcem, jak złotem, zasłaną kwieciem, jak tęczą, poziomkami, niby rumieńcem, usianą, gdzieniegdzie tylko, hen, od wierzchołka śmigłych nasienników, splamioną cieniem zielonych kiści, co niby czapki nakrywały je z góry, a pod którymi młodziutka puchem dobywała się z gruntu sośnina. Mogła być tego włóka i więcej. Idąc, spragniona, poziomki rwała po drodze, aż się i w ciemny, zwarty zapuściła zagajnik, niby parkanem, starego lasu ściana zamknięty.

I zaraz łąki. Szerokie na stajań kilka, w dwa wyniesienia gruntu wtłoczone, ni to wąwozem toczyły się zielenią, z zachodu ku wschodowi cały przecinając widnokrag. Środkiem Iłzanka, która tu, jakby kanałem, ręką ludzką rzniętym, w prostych, pod katem załamywanych liniach płynęła, gdzieniegdzie ponad płytkie przebłyskiwała brzegi, czystym wartkim strumieniem. Tu i owdzie po jednostajnej rozrzucone łące, porostem wierzb znaczone ciemniały rudem podłożem torfu dawne koryta rzeki, rybne dziś doły, w czasie przyborów jeno z głównym zlewające się prądem. Pas ten zieleni, niby klamrami spinał na południowym jej skraju, hen, od lewej Kazanów, świetlistą widny ponad kościołem kopułą, bliżej Kroczewy, Wielki i Mały, rozturkotane kół młyńskich gwarem,

czerwone dalej, w kępie topoli, stodoły Banachowskie na wzgórzu, za nimi zaś, jak zając wsuty w jałowce, Pcin szary, wreszcie Ciepeliów tam, hen, od prawej pękami olszyn spowity. A od północy lasy i lasy, tylko na wzgórzu drobnym, na Kroczew Wielki i Mały, wypatrzona nikła leśniczówka Borowiec.

Dwie składały ją chaty wraz z obejściami: Nowotnik zajmował jedną, druga stała pustkami, odkąd w niej zmarła samotna na wyrobnym, od dworu wynajmująca ją komornica. Tyłami od ściany lasu przywarta, kawałkiem pola z łąki wykrajanego w łąkę wrzynająca się klinem, tuż nad „kroczewskim” leżała dołem, z progów chat dwojga cały obejmując nieboskłon.

Z pytaniem w oczach wybiegłszy z lasu, Magdzia zatrzymała się u drzwi ojcowskich, ale ją sama tylko przyjęła Jantka. Nowotnik do dworu wprowadzenie nie wychodził, jeno po tytoń do Kazanowa, i nad wieczorem nadszedł dopiero trochę podcięty. Już samotna wracać myślała, ciężko zawodem zgryziona, gdy się nareszcie zjawiał. Do córki ni to ucieszył się ogromnie, zgłodniałą chlebem częstował i przyniesioną świeżo z miasta wędzonką, a nawet pół kieliszka wódki w nią wmusił. Na bałamutne jej objaśnienia, domyślny, wpadając w ton od razu, jął wykrzykiwać:

– A cóż to? dziecku do ojca zajrzeć nie wolno?... Pójdziewa, córuś, pójdziewa razem, a niech ino by mi co rzekli!...

Choć zniecierpliwiona długim czekaniem, zaniepokojona spóźnioną porą, a głodem zmożona i znużeniem Magdzia nie mogła się od śmiechu powstrzymać na wybuch ten przemyślny rodzica, co to nie tylko sam od niej żadnego tłumaczenia nie żądał, ale je zręcznie podsuwał jeszcze:

– Dycieć to, córuś, bez rok już chyba i raziczku nie była u mnie, to cię i tęskność zmogła, córeczko, i przyleciałaś starego ojca odwiedzić... – prawil poważnie, do słowa jej przyjść nie dając.

Na słońce spojrział, co ponad lasem ku zachodowi się miało, i jakby córkę od rana gościł u siebie, zawsze domyślny, do drogi jął się zabierać.

– Chodźwa, córeczko, pójdziewa razem, a niech mi ino co rzekną...

Toć pośpieszając, do Jukla mógł zdążyć jeszcze, a i Musiałę na poczęstunek wyciągnąć, zresztą i od Magdzi czegoś się za pomoc spodziewał, a czuł przez skórę, że jej oddaje niemąłą usługę, że się tam znowu coś wedle dworu święciło albo i wedle warszawiaka. A chociaż go te dworskie wybryki córki drażniły, i rad by jej zwrócił uwagę, jako to „chłopstwo” dzisiejsze niechętnie temu, i ot bezpieczniej na wsi się jej zabawiać, wśród swoich, ze względu jednak właśnie na pustki w kieszeni uwagi schował na potem, a z innej rozpoczął beczki.

– Hej!... hej!... – zawołał, kawałek dębowego mijając lasu – żeby ci tak prosiaka abo i ze dwóch skupić, byłoby ci grosza jesienią, byłoby!... Na żołądź okrutnie ci wysypało i wypasłaby mi je Jantka, jak zanim by się i czego rządca dowąchał...

Do handelków bo takich żyłkę miał nadzwyczajną i dla nich to, choć wdowiec, swobody kawalerskiej amator, ordynariami chodził po dworach, byle ką

własny, byle, jak mówił, „warsztat” mieć jaki pod ręką. Że się tam pańskie na warsztacie tym przerabiało zwyczajnie, cóż to za troska? Toćże wiadomo:

– Pan zawdy panem ostanie, a niechby i chudziakowi co tam kapnęło przy tym.

– Hej!... hej!... – westchnął ponownie – byłoby ci grosza, jak lodu!...

Aż się i Magdzia westchnieniem tym ocknęła:

– Pewnikiem ojciec – rzekła – choć po kwartalnym, i grosika znowu nie mają?...

Sumitować się jął z zapalem: a skądże by się brać miało! I buty kupować musiał, i trzewiki zelować Jantce, i kapocinę podszyć odświętną, i czapczynę sprawić na lato, a wszystko ino z onego kwartalnego i tyle! Na co bo tu i parzyć, a choćby i z ordynarią!... I żeby tak nie zajęczyna czasem marna, a lis wzięty na wnyki, żeby nie chojaczyna jaka, dębczak, alboli brzózka, na szczęt skapieć by przyszło człowiekowi w tej służbie...

Ale wychodzili już z za lasu. W ostatnich blaskach zachodzącego słońca, wieś cała długim sznurem chat, sadów i zabudowań gospodarskich legła przed nimi, przesiana światłem, zwolna zapadająca w cień dołem, po szczytach jeszcze jakby w ogniu skąpana. Magdzia bezwiednie zatrzymała się oczyma na własnej chacie, z której komina kłęb oto fioletowego, purpurą bramowanego dobył się dymu.

– Wieczerzę nastawia stara! – rzekła do siebie, i obraz dnia całego, poza progami spędzonego tej chaty, stanął jej w duszy:

– Co się tam dzieje?... Jak ją tam przyjmą?...

Zniecierpliwiona stękanem ojca:

– A niechże już – zawołała – ojciec nie płaczą, jeszcze się tam w komorze i na prosiaki znajdzie.

Jął jej dziękować, przyznając, że dobrym była zawsze dla „starego” dzieckiem, że przy nim włos jej z głowy nie spadnie, że, no... zobaczy!...

Nie słyszała go jednak; mimo hardego wmawiania w siebie słuszności, tchu prawie zabrakło jej w piersiach, gdy się zatrzymała w wrót zagrody.

– Matula idą!... – wrzasnęła na cale gardło uganiająca po podwórzu Kasia. – Matula przyszli!... i zanim sama nowinę tę zdążyła ponieść do chaty, już w progu jej, o framugę drzwi zawadzając z pośpiechu, widocznie pijany, stanął Musiała, a za nim wstrzymująca go za sukmanę Franciszkowa.

Na widok bladej, jak chusta, Magdzi ściśniętą kurczowo w kułak podniósł dłoń w górę, i wyrwijając się z rąk matce z kłątwą:

– Psia ścierwo!... – już się miał ku niej stoczyć w podwórze, gdy, szybko wysuwając się naprzód, tuż przed nim stanął Nowotnik:

– Ano – rzekł za ramię go chwytając wzniesione – ino mi od dziecka wara!...

I nastąpiła chwila milczenia, w czasie której Musiała, znów o framugę wsparty, jakby ze snu zbudzony, błędnym wzrokiem po Nowotniku i żonie wodził, aż odwracając się do matki, wymówił:

– Matka!... a dyć to ona z rodzicem?...

– Ano a z kim by?... – swobodniej już wtrącił gajowy. – Bez rok ci u starego nie była chyba, toć ją i zmogło...

A tymczasem rumieniec oblewał Magdzię, a oczy iskrzyć się jeły gniewem. Hardo, wyzywająco ku drzwiom chaty ruszyła, gdy zaś po drodze, zbity już z tropu, chciał ją zatrzymać Musiała, odepchnęła go ze wstrętem i obelgą i rzuciła mu:

– Pijanica!...

Teraz jednak i kułak pieścizotą mu się wydał serdeczną, i obelga karesem. – Była w domu, wróciła, wróciła jak się patrzy, z rodzicem, jest tam, w chacie, za drzwiami. – Uradowanie wybiło mu się na twarzy bezmiernie:

– Wicek!... – huknął na parobczaka, co z za obórki trwożliwie z Wiktą wyglądał końca. – Wicek!... psi synu!... a machaj ino, hyclu, duchem do Jukła i przynieś tu flaszkę mocnej!...

Poczem, zwracając się do Nowotnika:

– Wy do mnie, kumie, ja do was, ot i po krzyku!...

XVII

– Rękę ci podniósł na mnie!... rękę ci podniósł!..

Ambitnej dwórcy, z góry na „chłopstwo” przywykłej patrzeć, w kułak zwinęta pięść męża nie schodziła z pamięci.

– Psia ściervo!... – brzmiało jej w uszach, raz wraz pokrywając jej twarz rumieńcem oburzenia i wstydu.

I śladu nie szukać było w niej teraz lęku lub skruchy, i śladu poczucia winy. Schadzki jej z Jaśkiem, schadzki z paniczem błahostką jej się tylko wydawały mizerną, bodaj czy karygodną rozrywką – lekkim sercem, lekką zbywała je uwagą:

– Ubyło mu to, czy co, chamowi?...

Ale żeby zaś rękę on, cham, śmiał na nią podnieść, ale żeby jej w oczy, przy ludziach, śmiał rzucać klątwę, tego ni strawić, ni zapomnieć nie mogła.

Ba! wiedziała, i dobrze, jako to z „chłoptwem” nie przelewki, że się to po nim wszystkiego spodziewać można. Samej, niedawno trwożliwie powracającej z dworu do chaty, biło serce jak młotem, a strach odejmował mowę. Jak złodziej, zakradała się do niej, cicha, pokorna, w mimowolnym poczuciu winy najgorsze przewidująca przyjęcie, prawie że na wszystko gotowa, tak z tropu zbity i onieśmielona. A jednak, gdy się oto ręka Musiały podniosła na nią, skoro się przekonała, że gdyby jej był w drodze nie wstrzymał ojciec, ręka ta byłaby na nią spadła, wydało jej się, że niesłychana miała ją spotkać krzywda, krzywda, równa pogwałceniu wszelkich praw bożych i ludzkich.

– Rękę ci podniósł na mnie!... rękę ci podniósł!... – nie schodziło jej z myśli. Zamierzył się na nią ten cham, na nią, dla której państwo bywali nawet grzeczni we dworze, na nią, z którą oto pan Karol niby się z równą sobie obchodził, i pąsem oblewała się na wspomnienie o paniczku, jakby wobec niego podniesioną pięścią Musiały upokorzona.

Nigdy bo ona sobie z tego chama wielkich rzeczy nie robiła, a tylko ją tym kochaniem swoim niewolił, nawiścią, poddania pełną i uległości, dostatkami, jakimi ją otoczył, i wygodą, tak że bywało tkliwsze dla „dziada” budziły się w jej duszy przebłyski, a czasem, czasem i wyrzut pojawiał się w niej jaki na widok tej pogodnej, obecnością jej samą, jak zorzą, rozjaśnionej twarzy, wobec tego jak tur silnego chłopca, co niby dziecko znosił jej kaprysy, zachcianki i dąsy.

Ale się oto teraz skończyło między nimi i wszystko!... Niedoczekanie jego!... A toćże to i „stara” nawet, której przecie o względy ani posądzać mogła dla siebie, a tam, we drzwiach, za sukmanę go jednak chwyciła i powstrzymać usiłowała, i opamiętać. Że w tym wypadku głównie o ludzkie języki jej chodziło, o pośmiewisko i gadki, domyślała się snadnie; że w chacie, przy drzwiach zamkniętych nie byłaby się może z pomocą dla niej kwapiła, czuła aż nadto, wszakże i za tę chęć oszczędzenia jej wstydu była jej wdzięczną.

A on, ten niby dziad potulny, on, gdyby nie ojciec, na oczach wsi całej, bo na podwórzu, na drodze prawie, gotów był ją skatować, skłąć, sponiewierać...

– Chamskie nasienie!...

I była chwila, że zaraz z miejsca, wzburzona do reszty dochodzącym ją z izby wesołym pokrzykiwaniem „chłopa”, jakoby na urągawisko jej, nową pod bokiem wyprawiającym pijatykę, drażniona zachowaniem się ojca, co dla kieliszka wszystko puściwszy w niepamięć, zabył podniesionej na córkę pięści i z chamami się kumał, i śmiał, i dowcipkował w najlepsze; była chwila, że już, już wybiec miała z komory i na nic nie zważając, rzucić raz chałupę tę i chłopstwo, i na świeże, na wolne wydostać się powietrze, gdy odgłos bijącego zegara jakby ją od drzwi cofnął. Powiodła okiem po oświetlonej jasno blaszaną lampką komorze, po rozstawionych po niej sprzętach, po miękko, schludnie zaślany łóżku, po rozwieszonym pękami na ścianach przyodziewku, po tym dobytku, nagromadzonym tu hojną ręką Musiały, i odstąpiła od zamiaru. Z obawy tylko przed możliwym zjawieniem się w komorze „pijaka” podskoczyła do ciężkiego w rogu pod ścianą kufra i, chwyciwszy go oburącz za ucho, z wysiłkiem zasuwała nim wejście, z lekka, jeno na skobel, zamykane od wewnątrz. Wyraz złośliwego zadowolenia odbił jej się na twarzy: siadła na kufrze, jakby mu sobą ciężaru dodać chciała, i mruknęła:

– Naskamlesz ty się, pijaku!... naskamlesz pod tymi drzwiami!...

Opanowała ją chęć zemsty i odwetu za upokorzenie doznane, zaciekle chęć zemsty. Znowu powiodła okiem wokoło i uśmiechnęła się z przekąsem.

Ot, głupia by też była rzucać to wszystko! Na poniewierkę iść między ludzi i wysługi!... A toćże nie po co innego wychodziła za chłopca, jako dla dobrobytu

onego i wygod. Miała je w rękę i nie popuści, a z chłopem da sobie radę, skoro wie teraz, jaki to z niego ptaszek.

– Tylko go z góry!... tylko go krótko!... – obiecywała sobie w duchu – a potańcuje jeszcze... zobaczy... Zachciało się dziadowi żony ze dworu, żony z lepszego, ano pokażę mu, że to nie z chamką sprawa...

– Niedoczekanie jego!...

Zmęczona całodziennymi przejściami, do snu się już zabierała gdy, poczęstunkiem gościa do reszty spity, Musiała dobijać się jał do niej żądając, aby na izbę wyszła. Nie odpowiadała mu zrazu wcale, skoro się jednak i podchmielony Nowotnik odezwał także, zwymyślała ich od pijaków, tak że się za nią aż Franciszkowa ujęła, w obawie przed awanturą.

Tylko ich krótko, tylko ich z góry!... Wiedziała teraz, jak sobie z chamstwem poczynać. Na nic uległość, na nic pokora, cham zawsze chamem. Ostatka postanowiła wyzbyć się względów i wstydziała się teraz prawie śmiesznych napadów lęku i śmieszniejszych jeszcze wyrzutów.

Kładła się z myślą, że oto zaraz nazajutrz z rana na złość wybierze się do dworu, i niechby jej się kto śmiał sprzeciwić! Postanowienie to uspokoiło ją nawet, i skołatana zasnęła snem twardym, nie doczekawszy się końca poczęstunku w izbie, pewna jednak, iż po danej „pijacom” odprawie, nikt jej więcej spokoju nie zamąci.

Dzień już był jasny, a Wikta naczynia zmywała po śniadaniu, kiedy, odsuwający kufer pod ścianę i drzwi uchyliwszy na izbę, zawołała dziewczki do siebie. Znakiem głowy nieme jej zadała zapytanie, zali tam był kto obok, i odebrawszy odpowiedź: jako gospodarz płot grodzą ode drogi, Wicek, któremu się do nawracania sprzężaju wprosiła Kasia, redli ziemniaki, a Franciszkowa, kawałek już, w nowym wełniaku, nie wiadomo kaj wyszli, podać sobie kazała grzanego mleka i posiliwszy się po całodziennym poście wczorajszym, przyodziewać się jęła, a przyodziewać starannie, niby od święta.

Zamiaru bowiem wybrania się, jak mówiła, na złość, do dworu nie wyrzekła się jeszcze, choć po rozwadze śmielszym jej się wydał, niż zrazu sądziła. Pójdzie jednak, o pójdzie, po to się przecie i stroi właśnie, ale na dwór za rano! żeby się zaś swobodnie obracać i na pewno, wypadało się jakoś wprzód zwiedzieć, co się tu pod nieobecność jej działo w chacie, i czy Musiała na domysł jeno takim zapłonął „jankorem” czy też do gniewu głębsze miał jakie i bliższe prawdy pobudki.

I przyciszonym nieco głosem, jak gdyby się tego tam na podwórzu wystrzeżała „dziada”, znowu wezwała Wikte:

– A co się tu – zapytała – działo wczoraj w chałupie, co się tak spił gospodarz?

Dziewka, trzymana zwykle przez gospodynię z daleka, dwa razy pytania powtórzyć sobie nie dała. Drzwi od komory przymknęła jeszcze i trzepać jęła, jak kołowrotkiem:

A dyć sądny dzień, sprawiedliwie!... Gospodarz jak ci się z rana golić do Przysiwka wyszli z chałupy i z kwitami, tak aże na odwieczyrz przyprowadzili ich z karczmy Wojtkowa, co i sami z ledwością trzymali się na nogach, a wykrzykiwać jeni po izbie, a hukać se i podśpiewywać, a rozpowiadać, jako to wasz, nikiem gospodarz, komu żyw stawiali wczoraj w karczmie, a stawiali, a powtarzali precz ciągiem: pijta, co wlezie, skorom ci dobry i stawiam. A gospodarz nic, ino słuchają. Aże dopiero jak ci Wicek powiedli Wojtkową spać do chałupy, i Franciszkowa spytali ich nikiem o Jakubową, to ci mówiłam, co i na wszystkich koniec chyba już, abo co, nastał. A to porwali się z pięściami i na matkę, i na nas, i na dziecko, i odgrażali, co wszystkich nikiem uśmiercą i siebie, i z dymem puszcza, a najwięcej, to ci odkazowali na nich, bez to – tu głos pofale zniżyła – co się nikiem Jakubowa z onym paniczem z Warszawy mieni zadawać...

– Zwariowało dziadzisko!... – odcięła się zmieszana, ale nadrabiająca miłą Magdzia. – Wiadomo przecie, zem na Borowiec chodziła do ojca...

– Dyć tak! – odparła dziewczka, uśmiechając się przy tym dwuznacznie – ino powiadali gospodarz, co nikiem widzieli Jakubową w ogrodzie dworskim. Po prawdzie, musi, ino z daleka poznali ich po kiece, jako że rychtyk golili się u Przysiwka i samego już ino nadybali panicza, ano szukali ich i w kościele, i w kuźni, i dowiedzieli się od Nastki, jako to, nie przymierzając, zara z rana chodzili gospodyni do dworu.

Magdzia odetchnęła swobodniej.

– Po prawdzie musi ino z daleka poznali ich po kiece... – więc było się czym zasłonić.

– I nie głupi to stary!... – rzekła, z politowaniem kiwając głową – nie głupi!... Byłam we dworze wywiedzieć się o ojca, na pastewnik wracałam i na opłotki, bo bliżej. A i panicza widziałam tego z Warszawy, jak z papierosem chodził po kasztanowej alei. I żeby zaś tak zaraz co niebądź wyssać z palca!?... i po ludziach obnosić, i po wsi!...

– Idź no mi wody przynieś we dzbanek! – dorzuciła, zmieniając ton nagle, tak niby oburzona i gniewna, że dziewczka, z tropu zbита, jak na sprężynie spełniła rozkaz i do zmywanych naczyń milczkiem wróciła.

Nie sama zatem tylko wycieczka na Borowiec spowodowała zajście, Musiała być na śladzie panicza, a ślepy nie dojrzałby chyba, że nie on to „dziadzisko” na ślad ten własnym trafił rozumem, ale że kierowała nim „stara”, jako i z Jaśkiem. Wzburzyło się znów w niej wszystko, jako wczoraj, a nienawiścią nie chama już tylko obejmowała głupiego, ale i tę chłopkę przebiegłą, co krytym idąc sztychem istotnym była w jej chacie wrogiem. Jej tylko strzec się wypadało, i przed nią bronić, bo ona jedna niebezpieczeństwem groziła. Ale nie z nią to sprawa, Magdzą; i z synem poradzi sobie, i z matką. Wobec objaśnień Wikty zamierzona wyprawa do dworu stawała się niepodobieństwem, znaczyłoby to broń w rękę dawać wrogowi, potępiać się otwarcie, boć przecie niewiastą była Musiały i pozór zachować winna. Kiedy jednak wojna, to wojna, a skoro

trzeba, to i panicza wyrzecz się i dworu, ale nie daruje swojego, nie upokorzy się, nie podda.

Śpiesznie kończyła się ubierać, a w zamyśle snuł jej się plan kampanii: chama starym, wypróbowanym weźmie sposobem, dąsami, ale go już z rąk nie wypuści na pastwę „starej” i całymi tygodniami nie zostawi samego. Potrafi go ona tak nakręcić, jak zechce, a na zabawę znajdzie sobie i na wsi, tylko, że teraz niczego nie pożałuje na nią. Dwór ich kłut w oczy, za paniczami, powiadali, latała; no to im się odmieni, ale aby nie odmieniło na gorsze. Za dworem, panem Karolem żal bo ją chwycił jeszcze, dworu się jednak nie wyrzekała na zawsze – już samo pranie łączyło ją z nim na przyszłość; a zaś z paniczem, kto wie, co się stać mogło? tam, w głębi duszy żywiła zawsze nadzieję, że przecie jakoś potrafi się z nim zobaczyć. Zresztą, czy to pierwszy raz panicza tracić jej przyszłość? wszyscy się oni zjawiali, jak na popasie, błysnęli chwilę i przepadali bez śladu. Los pokojówki już ją do tego nałożył a choć się czasem i odezwało w niej serce, to jednak głównie grała w niej tylko zalotność, żadna rozrywki i zmiany. Jaśka to niby wielkim kochaniem umiłowiała, a gdy czas przeszedł, porzuciła bez żalu, a jeno się w niej burzyła miłość własna, że oto się Nastką pocieszył i sam ode-rwał od niej. Z paniczem inna bo sprawa, a i pan Karol lada dzień miała wyje-chać, i słuchu po nim nie zostanie, wspomnienia. Rwała ci się, co prawda, do niego, rwała okrutnie; wiedziała jednak, że nie na długo, i dziś czy jutro i tak wypadłoby go się wyrzec. Ano zobaczy, ale tymczasem weźmie się po swojemu do „chłopstwa”. Ot, do dworu nie pójdzie, a z szyciem pójdzie do Nastki; tego jej przecie nikt zabronić nie może, i choćby się pytali, nic nie odpowie; niech śledzą, wolna ich wola, ale i ona miała też swoją.

Dworski zawsze naśladowca „manier”, jak to u panny Pauliny widziała, przepasała się zawieszonymi na harasówce nożyczkami; świeżo skrojoną wzięła do szycia koszulę i namarszczywszy brwi, z dąsem wyszła do izby. Tu sama jeszcze się tylko kręciła Wikta. Przystanęła na chwilę:

– A długo to tak wczoraj wykrzykiwali po chałupie? – spytała

– Ano bez godzinę, a może i bez dwie! – brzmiała odpowiedź – aże ich wyżenęli Franciszkowa. Musi co potem na tańce jeszcze poszli do karczmy.

Jeśliby na południe nie wróciła i na obiad, to mi go schowasz! – z progu już rozkaz krótki wydała i znikła w sieni.

Teraz wypadło jej przechodzić obok Musiały. Chłop, przejściami wczoraj-szymi i niezwykają, jak na niego, pijatyką stroskany, wstydem przejęty i lę-kiem prawie na myśl o swoich względem niej wybrykach, na oczy jej się nie śmiał pokazać, ale też i od chałupy oddalić się nie miał siły. Płot, który mu się w podwórzu walić jął ode drogi, nowymi postanowił wzmocnić żerdziami i wła-śnie jedną z nich na świeże nabijał kołki, gdy na podwórzu pojawiła się Mag-dzia. Udawała, że go nie widzi, wprost odwracała się od niego, szybko do wrót zmierzając. A jego jakby zdławiło, stał pokorny jakiś, potulny, wpatrzony w nią jak w tęczę, krasą jej jak olśniony i dopiero gdy za wrota już wychodziła, nagle

na myśl, że mu się oto gdzieś znowu z chałupy na świat wymyka, do dworu może, może do panicza, buchnęło mu pytaniem z piersi:

– Magduś! A kaj ta?...

Ale się nawet nie obejrzała za nim i na drogę skręciła, na kościół i ku dworowi.

Wtedy, nie wiedząc już, co począć, pod wpływem rozbudzonych podejrzeń, byle ją wstrzymać, wydał jej tajemnicę uknutą z matką i, wychyliwszy się na drogę, zawołał:

– Magduś, matka tam są we dworze.

Zawahała się mgnienie i poszła dalej, a tylko uśmiechnęła się przekąsem, na myśl, że „stara” tropi ją pewnie za śladem wczorajszym.

– Ano – mruknęła – dużo się dowie!... – i rada z okazanej chłopu przewagi, wzruszyła mu jeno w odpowiedzi ramionami.

A jednak korciło ją to, korciło bardzo, za czym właściwie myszkowała „stara” po dworze? Bo że jej Jakub nie straszył, jeno szczerą powiedział prawdę, przekonała się sama niebawem. Siedząc na ławce w cieniu przed kuźnią z szyciem przy Nastce, widziała Franciszkową powracającą na wieś. Od złośliwej się nawet nie powstrzymała zaczepki i krzyknęła za nią ze śmiechem:

– A cóżeście tak do dnia z grzybami byli we dworze?

I zaczepką, i widokiem niespodziewanym Magdzi przed kuźnią wstrzymana, stara aż dłonią pomogła oczom, by jej się przyjrzeć, ale potem zgarbiona powlokła się dalej, nie zważając na chichot synowej, i tajemnica tajemnicą dla niej została.

A była nią przez tydzień cały, w którym, wierna postanowieniu, ni słowem nie odezwała się do Musiały, coraz to nowe wymyślając sobie wycieczki, od dworu stroniąc z umysłu. Aż w czasie sumy zastanowiło ją to w niedzielę, że pani, co miała zwyczaj przyjaznym zawsze witać ją skinieniem głowy, jakby jej nie widziała tym razem. Panienki tylko uśmiechnęły się do niej jak dawniej, ale co pani, widocznie była zgniewana. Nie było także pana Karola, zaś między dziewczuchami na przedzie nowa jakaś w parafii zajęła miejsce dziewczyna, a do kościoła weszła za państwem, niby to która ze służby.

I kiedy tak zamyślona nad tym wszystkim, po mszy przyodziewała się w komorze, wsunęła się do niej cichaczem Wikta, którą z kwitami wysłał Jakub do dworu, i w tajemnicy, półgłosem rozwiązanie jej oto dała zagadki:

– A wiedzą to – mówiła, coraz lękliwie oglądając się na drzwi – gdzie to ci tak bez tydzień temu chodzili Franciszkowa?

– Wiem, byli we dworze...

– Ino musi nie wiedzą za czym?

– Ano?... – wyrwało się Magdzie ciekawie.

– Zaś do dziedziczki, powiadała Józka z folwarku, chodzili prosić, coby ich nikiej nie najmowali do prania, jako że panicz się wedle nich wodził z Warszawy. Pani się ponoś, mówiła Józka, wielkim uniosła gniewem, panicza sklena,

co go już ani słycho we dworze, a zaś dziewczucha, co ci to na mszy wedle chrzcielnicy klęczała, to nikiiej Zosia, praczka i do pokojów...

Zarumieniona po białka oczu Magdzia wysłuchiwała opowiadania dziewczki, ale usta zacięła i długą jeszcze chwilę, tak jak ją Wikta przeglądającą się w lustrze zastała, milcząc w lustro to się wpatrywała zmarszczona, bezmyślnie gładząc przyczesywane grzebieniem włosy. Aż jej się zwolna twarz złośliwym mienić poczęła śmiechem, brwi na czole rozsuwać, zalotnym obrzuciła się spojzeniem i, zanurzywszy grzebień w szczotkę, wyszła do izby.

Tu, nie spuszczać oka z Franciszkowej, jakby wyzywając ją wzrokiem, pierwszy raz po tygodniu odezwała się do Musiały:

– Słuchaj no, dziadu, a to do karczmy pójdziemy dziś wieczorem na tańce!...

XVIII

I zrobiła Magdzia odkrycie: oto na tańcach zabawiała się w karczmie, jak nie bawiła się nigdy: ani na weselu ekonomówny w Bąkowie jeszcze, ani później już w Wielgiem, na tańce do organistów proszona, ani zresztą i na weselu własnym, co tyle kosztowało ją niepokoju i zgryzoty. Choć bowiem wszędzie urodą i oczyma na pierwszy plan umiała się wybić i nigdzie chłopaków jej nie brakło, tu wszakże, w karczmie z góry i jednogłośnie przyznano jej przodownictwo.

Skoro weszła na izbę strojna, świeża, wbrew przyjętemu zwyczajowi wśród chłopstwa, przed mężem pierwsza, po chwilowym zdziwieniu kompanii, nieprzywykłej oglądać jej między sobą, witania się rozpoczęły wnet i umizgi, z Juklem na czele, który aż cmoknął na widok nowego gościa i „panią” Jakubową zatytułował, czym ci ją z miejsca na czoło same wysunął.

Jakkolwiek od roku przeszło zaślubiona Musiale, liczyła się do grona „prawowiernych” gospodyń, a jako taka, pełne w ich gronie posiadała obywatelstwo, z praw jednak swoich dotąd nie korzystała. Zawsze ku dworowi zwrócona, oddana mu duszą i ciałem, dworskim przejęta obyczajem, a lekceważąca wieś i chłopstwo, od karczmy, o ile mogła, stroniła, za dnia w niej tylko, i to na krótko, bywając. Z jedną się to tej pory bliżej zaznajomiła Wojtkową, z resztą sąsiadek żadnych nie utrzymując stosunków. Część ich na weselu swoim widziała, spotykała je to tu, to tam, na pozdrowienie odpowiadała pozdrowieniem, odpowiedzią na pytanie, i na tym koniec. Zalotność jednak, nie opuszczająca jej nigdy, chęć ustawiczna przypodobania się k' demu, wyrobiły w niej gładką uprzejmość, która z pozoru przystępną czyniła ją dla wszystkich, niczym więc sobie nowego nie zraziła otoczenia i nie obruszyła nieufnego z natury obcym chłopstwa. Odosobnienie wszakże, w jakim żyła rok przeszło, ciekawość zaostrzało sąsiedzką, i już się dokoła niej bajki tworzyć jęły i gadki, gdy oto w porę, publicznie zjawiała się na tańcach w karczmie.

Przyjęto ją zwyczajnie, jak swoją. Nieśmiało zrazu kumoszki wnet przygarnęły się do niej, ciekawie ją od stóp do głów rozpatrując. Zachwyty pełne, topiły bystre spojrzenia w nieoglądanych do tej pory z bliska głośnych bursztynach, we wpiętych w uszy, prawdziwych ponoś koralach, w szpilki, naśladowujące szyldkret, na obfitym warkoczu, w spinane na guziki o lakierowanych kapkach trzewiki, w świeży na niej a barwny przyodziewek: aksamitkami dołem obszyty kaftanik i spódnicę, biały, falbanką „dookolusieńka” bramowany, fartuszek i przyznawały wszystkie bezsprzecznie, że ot, Musiała, choć jak mówiono: „na szczęt w babską zaprzedał się niewole”, zawdy ci się nie zaprzedawał w nią po omacku, ano musi ją w jasny obierał dzionek, skoro se taką, „jak malowanie”, obrał.

– Co ci się od samego nikiem na nią patrzania – słowa były Wojtkowej – okeż mrużyły oczy.

Jako bliżej znajoma Magdzi, znajomością tą dumna, honory jej czyniła karczmy, udzielając przy tym objaśnień kumoszkom:

– Dyc ino pociągnijta, moiściewy! – prawila do Małaczkowej z Marianek – jakie ci to od onej idą wonności!... Ano na własne oczy widziałam u nich, jako i u was tu oto oglądam, mydełko nikiem pachnące, co się od niego aże rozchodziło po izbie, a we flaszczech zasie maluśkiej pachnidło takie, co jak ci się nim krzynkę pokropią, to nikiem macierzanką abo i rozmarynem precz zalatuje od nich... ino krztę pociągnijta, kumeczko!...

Małaczkowa posłuszna, „pociągnęła” silnie w stronę Magdzi:

– Aści bo prawda, zalatuje!... – odparła – zalatuje kieby rumiankiem.

I potoczyła się rozmowa dalej o różnych w komorze Jakubowej różnościach: o zegarze na ścianie, wybijającym godziny, o bogactwach nagromadzonego tam przyodziewku, o łóżku, nieprzymierzając z pańska usłanym, o ołtarzyku nad nim i o „obrazikach”, pozawieszanych dokoła, o wielkim kufrze na moc okutym, zamczystym; aż ciekawością do ostatniego Małaczkowa zmożona, nie przestając już na kiwaniu wspartą na dłoni głową, zbliżyła się do grona otaczających Magdzię niewiast, podczas gdy, rada z wywołanego wrażenia, Kajtaniakowa świeżą napoczywała sąsiadkę:

– Ino krztę pociągnijta, kumeczko!...

Z nadejściem też Musiałów ruch zdwojony zapanował w izbie tanecznej. Po uśmierzeniu się pierwszych wybuchów ciekawości i przełamaniu pierwszych lodów ze strony parobczaków, gdy z nich najśmielszy, „okrutnie do dziewuch i niewiast skory”, Jędrak Orylak, z fantazją poprawiając kapelusza, w pawie pióra strojnego, poprowadził Magdzię do tańca, rozhulano się „na zawziętkę”. Musiała, którego już zesłoniędzielną hojność, po całej wsi wnet rozgłoszona, spodziewać się pozwalała i na dziś poczęstunku nie lada, oczekiwań nie zawiódł. Rozochocony, nie tyle jeszcze Magdzi przyjęciem i ogólnie składanym jej hołdem, przewidywał go bowiem już z góry, co łaskawym przypuszczeniem go nareszcie do względów, tak uporczywie odmawianych mu tydzień cały, zaraz

na wstępie garścią sypnął drobnych muzyce, później zaś do szynkwasu to tego ciągnął, to ową, sam jednak, pomny na przydomek „pijaka”, ostrożnie zachowując miarę. Podochocony jeno, a przyśpiewkami „bab” podbudzany, ku wielkiej onych uciecze, puścił się wreszcie „zawijanego” ze swoją, z Wojtkową zaś „drobionego” kilka razy wokoło obrócił.

Że na rachunku Juklowym obficie przybyło mu kresek, a wymienione z rana przez Wiknę kwity tyle że mu się przewinęły przez ręce, ani się troszczył, niewiastę mając pod bokiem; przy niej i dla niej na każdy zawsze „ekspens” gotów bez żalu; a tu „wyraźnie” bawiła mu się Magdzia „na umór”.

Wedle ściśle przestrzeganej przez proboszcza reguły, który w razie uchybień osobiście zjawiał się w karczmie, tańce niedzielne kończyły się o północy. O północy też cała na drogę wysypała się kompania i przy śpiewkach a hukaniu wesołym, z muzykantami na czele, ruszono ku wsi z powrotem. Magdzia, rumiana, uweselona, ni to przekonana do chłopstwa, i tu jeszcze królowała wyłącznie. Otoczono ją kołem i kołem pod same wrota zagrody odprowadzono; ci nawet, którym się droga kończyła bliżej, nie opuścili gromady. Ostatnie słowo, jak zwykle, przypadło Kajtaniakowej, co na rozchodnym „o przyciskaniu onego, co się i przyśni”, gdy zanuciła, chóralnym odpowiedziano jej śmiechem, podczas gdy rozbudzone psy po wsi do wtóru skomleniem ozwały się i wyciem.

I odmieniona, rzekłbyś, na nicę, zbudziła się Magdzia nazajutrz, cała powodem dnia wczorajszego przejęta. Do karczmy poszła, pragnąc tym dokuczyć „starej”, wiedząc, jak bardzo przed karczmą strzegła Jakuba. Poszła z zawziątki i nie do „chamów” już tylko, ale do dworu, do pani rozzalona okrutnie za gniew jej i przyjęcie pokojówki. Przez sam już ambit i nogą nie postąpiła na dworskim, ano urody ani młodości w komorze tracić nie głupia.

Poszła do karczmy, na tańce poszła „z chamami”, i ot, nazajutrz o przyszłych już myśli tańcach. Zawziątka, która utratę dworu znieść jej ułatwiła, z poczuciem oto pewności zlała się w niej, że i bez niego życia i krasy nie przemarnuje na próżno. Pogodziła się z losem, a co dziwniejsza, i do Jakuba, do Franciszkowej nawet straciła prawie urazę. Mniejsza tam o nich, skoro zawady nie stanowili już żadnej, i o panicza z Warszawy mniejsza, skoro go już nie zwabi. Ot, pawie piórka u Jędrkowego kapelusza mignęły jej przed oczyma, to znowu z za warg rumianych błysnęły jej białe zęby Siwca. Dziewuch gromadka, jakby spłoszonych jej przyjściem, stanęła jej w myśli, a za nią głowę przebiegło:

– Ano, jak zechcę, żadna ci nie utrzyma swojego...

Było się czym pocieszyć!...

A tymczasem zakrzętnęła się około urządzenia sobie nowego życia. Zwolna, potrochu, o ile chęci starczyło i woli, jęła brać udział w gospodarskich zajęciach. Jak dla zabawy, po kilka razy ze sierpem w żniwa wybierała się w pole, zwłaszcza gdy przynajętych miewał ludzi Musiała, a słońce nie przypiekało zbyt. I do potrawu grabić chodziła na łąki, i u kopania kartofli widziano ją dwa czy trzy razy. A bo też znowu do tej lub owej sąsiadki zalaatywała z szy-

ciem, to kaftan sfastrygowała jednej, to koszule innej skrajała, to tę lub ową przyjmując w zamian u siebie, szklanką herbaty częstując je nawet od czasu do czasu, której z jarmarku lipskiego przywiozła sobie wraz z paczką cukru. We wsi znaczenie jej rosło i powaga, bo tu wśród chłopstwa, na oczach ludziom, starała się pilnie o jej utrzymanie. Nawet w zabawie zalotność miała na wodzy. Za coś się przecie lepszego uważając od Jędrków, w innej się cenie, niż z paniczem trzymała; rada podbijać, hołdów i nadszkakiwań pragnęła.

Tak jej spłynęły, jak z bicza, lato i jesień. Później w adwencie, gdy cnić jej się poczynało w komorze, a tańców nigdzie ani zabawy pod ręką nie było żadnej, raz się od Węgra w sennik „egipski” zaopatrzyła. Wzbudziło to w niej chęć do czytania, i już co Węgier coś jej zostawiał w komorze; to „Alibabę”, to „Genowefę”, ot, co popadło. Zrazu z trudnością, palcem litery wskazując sobie, w głos prawie rozczytywała się sama, na jednym dotąd znając się „Ołtarzyku złotym”; z czasem jednak wprawniejsza, domowym czytywała niekiedy. Słuchano chętnie, ba, nawet Franciszkowa słuchała, a zaś Musiała cały się w słuch zamieniał.

Jemu to, jemu dni jasne nastały, tak jasne, jakich przy boku Magdzi swojej nie zaznał jeszcze. Kobietę jakby coś odmieniło omanem. Ni dąsów, ni sumowania, ni płaczu, ino do rany przyłożyć. Od ranka ci się do wieczora po izbie uwijała i po zagrodzie, ze śpiewką często na ustach, rozmowna, wesola, uprzejma, a co już najważniejsza, od dworu ci ją na szczęt odrzuciło i od latania.

Przypisywał do wysłaniu Franciszkowej do pani, co praniom kres położyło dworskim, i rad był sprytowi swemu.

Gdy, ośmielony przystępnością jej i dobrocią, odważył się po pierwszych w karczmie tańcach dotknąć nurtującej go jeszcze wyprawy na Borowiec, poprzedzonej dwójznaną bytnością w ogrodzie dworskim, sprawy nie dość mu jasnej i zrozumiałej, odparła mu ze śmiechem, swobodnie, aże mu się w duszy od onej rozjaśniło swobody:

– A to za warszawiakiem latałam, dziadu, boś mi się już uprzykrzył, stary!...

I ciągiem, drażniąc go, na wszelkie pytania odpowiadała:

– Za warszawiakiem latałam!...

Aż poważniejąc:

– Oj, głupi, głupi!... – rzekła mu wreszcie. – A to, że na różaniec idę, mówiłam, to ci już tak koniecznie do kościoła iść miałam? Właśnie, że mi się zapragnęło pójść na Borowiec, a nie wiedziałam, czy ojciec będą z raportem, to i zapytać się chodziłam, i w garderobie zeszło mi kawałek u panny. Na pastewnik wracałam potem, bo bliżej, prost za opłotki i musi widziałeś mnie w ogrodzie, jak i ja panicza, co z papierosem spacerował po alei, widziałam. Oj, stary, stary, a głupi!...

I kto by temu nie miał dać wiary!... Mówiła ci se tak z prosta, przez nijakiego prześpiegu. Uwierzył też, uwierzył, bo jakże mu było chwytać one błyski

w jej oczach, które kłam zadawały swobodzie języka, przelotne ust zacięcia, znamionujące zniecierpliwienie i nudę? Te niepochwytne dla niego znaki jedna chwyciła Franciszkowa, ona też jedna w niczym sądu swojego o synowej nie odmieniła, a zaś Nowotnik, pojawiający się drugi raz w samą porę z ratunkiem córce, zaostrzył tylko i wzmocnił nieufność do niej. Toteż gdy Jakub, próbując przemóc w niej uporną niechęć dla Magdzi, zwracał uwagę na zaszłą w niej na lepsze odmianę, zbywała go zawsze krótko:

– Patrz końca!...

Ot, upierali się matka, kieby ten kozioł, przy swoim, zwyczajnie, babskim uporem. Bo i gdzie było, gdzie patrzeć końca: i lato minęło złote, i koralowa spłynęła jesień, i wysrebrzaną przebyto mrozami zimę, i oto się szarugi wietrzne wszczęły marcowe, a ona zawdy nikiem miód słodka, ino do rany przyłożyć. Sporo po prawdzie poszło i grosza, bo się to i Szymonowi zmarło Leśkiewiczowi, zara z jesieni, i onego sołtysostwa przypilnowac trza było, i z Magdzą na weselu, jak się patrzy, wystąpić Nastczynym, co to w ostatki pobrali się z Jaśkiem furmańczykiem, i tu rzucić, i tam sypnąć, jako to z młodą, skorą do zabawy niewiastą; ale też za to spokój był święty i zgłoby ci z nią nijakiej. Wprawdzie, jak na tę porę, do połowy sąsiek wypróżniony w stodole, sąsiek, co to bywało i na przednówku nie świecił dawniej pustkami, niemile kłuł go w oczy, zwłaszcza, że i podatków coś się tam uzbierało zaległych, a rachunek u Jukła aże się mienił od kresek; ale po pierwsze: i do wymłotu garść spora czekała jeszcze; po wtóre: i na przychówek było się z czym obejrzeć; po trzecie... a no, po trzecie: zapasowego nie brakło grosza.

– Kajże tu patrzeć końca?...

Jeżeli była zgłoba, to ci z matką, co ci ją ode świąt już okrutnie chylic poczynało, a chylic. A nijak ci się z Magdzą godzić nie chcieli, a do rąk mu za każdym wglądali groszem. Bywało na przypiecku siedzą a drzemią lub przy Kasi kądziel se przędą w ciepłe, aż tu ci nagle, jakby ze snu:

– Jakub! – rzekną. – Byli tu – mówią – Sulima; wójt o podatki nakazał!...

Tu znowuj zasie:

– Kajżeś to – mówią – Wikcin zadział zarobek? Było ci tego – powiadają – ode żniw samych półpięta rubla?...

A zawdy ino:

– Jakub, patrz końca!...

Skaranie boże!... Nie mogliby to dziecka pilnować i zdrowia a na przypiecku siedzieć i w ciepłe, miasto ci komu ciągiem zaś wziierać, kaj nie trza...

A oni swoje i swoje:

– Po to się – mówią – po świecie onym kołaczę, cobym rozpusty strzegła w chałupie i zbytku, a dobra dziecięciowego.

Skaranie boże!...

Bez tydzień temu, jako że mu się Jukiel trzy korce żyta naparł w procencie, a pilno, dobrze z wieczora wiał ci se na klepisku po dnie zmłócone ziarno. Mie-

siąc przyświecał kieby to słonko, od mrozu okeż ci gonty na plebanii strzelały, aż ci tu patrzy zza węgła, cosik mu, nikiem cień babski, jak poczerniało na śniegu.

– Magduś? – zapyta. – A to ty, Magduś?... – ale ci ino chrupnęło śniegiem i cicho.

– Wikta! – zawoła, i znowuj ani zipnęło.

Tak on za wrota, a pod stodołą stoją ci matka, a zamróż nimi, kieby osiną, trzęsie.

– W imię Ojca i Syna!... a wy tu czego na mrozie takim ziębniecie?...

Ona zaś:

– Stodoła ci po nocy otwarta, a sąsiek od żeleźniaka wolny, to i przepa-trzeć wyszłam, i tyle.

Skaranie boże!... wszędy ci zajrzą i wolny dojrzeli sąsiek!...

A tu bo właśnie o żeleźniaku plątało mu się po głowie, plątało Magdzi. Póki na wszystko starczyło Jakubowi gotówki, grosza nie chciwa, ani pytała skąd bierze, ani się o zasoby jego troszczyła. Kiedy się jednak jesienią jeszcze o nowe upomniała trzewiki, a on raz pierwszy bezradnym odpowiedział jej na to drapaniem głowy, wprost, bez ogródki o tym tam wspomniała mu z przekąsem „skarbie” w stodole.

Ale się zachnął, aże podskoczył. Myśl ta ani go się ujęła, ani się nad nią nie zastanowił i chwili. Dwa korce zboża pomimo oporu matki na jarmark do Kazanowa wywiózł, trzewiki kupił i dobra, ale tamtego, ale krwawicy nie tknąłby nawet dla Magdzi.

A jednak... jednak, gdy mu o każdy snopek z zapola wydobywany przebojem iść z matką przyszło, gdy po te snopki coraz mu częściej wyciągać wypadało rękę, traf to był tylko? wypadek był jeno prosty, że je z sąsieka na lewo od wrót wybierał zawsze? Że oto zwolna snopek za snopkiem i dobił się samego węgła stodoły i skrytki, kamieniem już przyłożonej tylko, dla niepoznaki ubitą pokrytej ziemią?

Gdy ostatniego sponad niej usuwał snopka, gdy ino ręką sięgnąć, odsłonięta legła mu przed oczyma, jakby go dreszczem strzęsło, to znowu przejęło żarem. i lękliwie obejrzał się dookoła, zali tam matki poza plecami nie dojrzy, i czym prędzej z sąsiedniej warstwy zboża zarzucił węgiel snopkami, byle go przykryć. byle tak nagi nie czernił mu się w stodole, nie wabił i na pokusę nie wodził.

Jak struty dzień cały chodził, aż się wreszcie i wygadał przed Magdzą. Byle jej wyznać, jak dawniej matce, a i najcięższa mijąca go zawdy troska.

Dodała mu też otuchy:

– I sprawiedliwie!... widział kto to – mówiła – żeby ci tak grosz dusić w garnku bez nijakiego użytku. Ani to sobie, ani to komu, zwyczajnie chłopskie sposoby! Niechby i zgniło, ino nie ruszyć! Adyc to, głupi, co dzisiaj weźmiesz. to ci się jutro powróci, a co wygoda jest, to wygoda, a i pożytek. Miasto że zboże po byle jakiej cenie na sprzedaż wywozić, nie lepiej to se i z gotowego uładzić, a zaś chudoby za bezcen nie marnować i ziarna?...

I przyznawał jej słuszność. Zawdy bo na przednówku cena na zboże insza i na chudobę, a co dziś weźmie, no to by jutro i zwrócił.

Tylko odwagi zacząć mu jakoś nie stało.

Widząc ten jego frasunek, Magdzia ozwała się już weselej, jak od niechcienia:

– Abo i prawda – rzekła po chwili – pokazałbyś mi te skarby!...

Jemu się jednak wydało teraz, że oto kraść ci go wiodą. Tyle bo czasu nikt, ino matka o skrytce onej wiedzieli!... Maryś to nawet i nie pytała się o nią!...

– Kaj to... – odburknął i zamilkł zakłopotany.

Ona zaś gniewem i oburzeniem uniosła się wielkim: A cóż to, żoną może nie była jego, niewiastą, że się jak przed złodziejem krył przed nią?... To tamta „stara” mogła wiedzieć o wszystkim, a przed nią tajemnice mają być jakieś?... Nic jej tam z oglądania tych głupich groszy nie przyjdzie, ale kiedy się niby przed wrogiem strzegą, to właśnie do żeleźniaka zaprowadzić ją musi, i wszystko, co tam w nim jest, pokazać!...

Póty męczyła, póty dręczyła, aż postawiła na swoim. I obejrzała wszystko dokładnie: i srebro, i złoto, i sturublówki w baranym worku i ledwo oczom wierzyła swoim, że „skarby” te, lekceważeniem zbywane przez nią, własnością były Musiały, tego ot chłopca, chłopca zwyczajnego sobie, nic więcej. A toćże we śnie nie byłoby jej przez myśl przeszło, że tam, w tym garnku taki się mieścił majątek, taki huk grosza, taka zasobność. Płomieniem aże ci jej na twarz buchnęło i dopiero głos męża, co niecierpliwie w czasie oględzin, a lęku pełen przed matką czatował we wrotach stodoły, oderwał ją od widoku tak niespodziewanego dla niej.

Zrazu chętna ją brała choć rubla zachować przecie albo nawet dukata, co oto niby medalik święty, z Matką Boską na sobie, na samym leżał wierzchu żółciutki i palce wabił, i oczy. Ale gdy rękę już wyciągała ku niemu, żal się w niej jakiś odezwał i zgroza i nic nie tknąwszy w milczeniu wyszła ze stodoły.

Jak odurzona z oględzin wróciła do komory swojej i długo, długo potem, na widok męża lub Franciszkowej, dziwocie opędzić się nie umiała, a na usta wykrzyknik napływał jej prawie głosem:

– I kto by się to był po nich, kto by się był spodziewał!...

Pierwsze jednak wrażenie minęło, a zostały się po nim: w oczach obraz mieniącego się skarbem garnka, w duszy zadowolenie i dumy jakiejś poczucie, że oto skarb ten i jej własnością był także, i coraz częściej falą do głowy napływająca myśl, aby użyciem tej własności pewność posiadania jej utwierdzić w sobie.

Musiała, który, raz zdradziwszy tajemnicę skrytki, jakby ją tym naruszył już i napoczął, sam zwolna zaczął się z istotnym naruszeniem jej oswajać, wahał się jednak i zawsze jeszcze za świętość uważał; zgroza zaś matki i przerażenie, gdy, spostrzegła wolną do niej ścieżkę, gwałtem gdzie indziej żeleźniak przenosić

chciała, takim go na czas jakiś niepokojem i trwogą zdjęły, że już na nowo założyć ją miał pod szczyty, i ledwo go od zamiaru tego odwieść zdołała Magdzia.

– Matka i matka, wciąż się ino składasz na matkę – prawila sfrasowanemu.
– Ano, nie widzisz, co już i dziecinnieją na starość i sami nie wiedzą, czego pragną. Niby, że to pod zbożem, to ci i grosz pewniejszy?... Jakby to o nim kto wiedział!... Ruszysz, nie ruszysz, a nie bądź głupi, lepiej, że masz pod ręką!...

Lepiej, że miał pod ręką... dyć może lepiej, ino że mu z tym garnkiem na podorędziu zaczyna już być ni do snu, ni do jadła; ino bywało, że go pokusa okeż nie spali. Broni się oto jeszcze, jak może, procentom Juklowym opędza zbożem, chudobą, z podatkiem zwłóczy i zwłóczy, a strach mu ino większy a większy...

Ruszy... nie ruszy?... Strzyma... nie strzyma?...

I był jako to pełne po brzeg naczynie, co ino kropla, a skipi!

Aż i skipiało!

Do chałupy przyszli Sulima z pokłonem prosić Jakubową w kumy do chłopca na chrzestną. Chrzest się miał odbyć nazajutrz, zaś na chrzestnego przyobiecali mu się już kowal, jako że najgodniejszy.

Odmawiać podsołtysiemu, gdy szło o sołtysostwo, nijako, i zaprosiny przyjęto. Magdzia się nawet i ucieszyła nimi, z kowalem rada do pary, a tylko wystąpić chciała choćby na pokaz. Gościniec jej trza było obmyślić chrzestniakowi, a znów nie byle jaki. Czepka szyć albo co z przyodziewku, jak to po wsi było zwyczajem, ni czasu nie miała, ni chęci, niby ta baba występować zwyczajna. Wyróżnić się przecie pragnęła, zabłysnąć!...

I zamyślona głęboko chodziła po komorze, podczas gdy Jakub pykając fajkę, a nowy przewidując wydatek, markotny siedział na kufrze i milczał.

– Pani, kiedy rok temu – ozwała się jakby do siebie – do chrztu trzymała organistowego chłopca, na szczęście dała mu dukata z Matką Boską, co ci go proboszcz na Trzech Króli na kadzidle święcił i kredzie...

I po chwili dodała:

– Żeby tak i mojemu... a księdza o poświęcenie prosić!...

Zatrzymała się nagle z rumieńcem zadowolenia na twarzy:

– Abo i tak – z mocnym postanowieniem już rzekła – dukata damy, dukata z Matką Boską, i tyle.

– Dukata? – nie domyślając się niczego, mruknął Musiała. – A skądże ci go weźmiewa?...

– Ej, sprawiedliwie!... – burknęła zniecierpliwiona. – Głupiego to, czy co znowu udajecie? Nie leży to z Matką Boską, taki ci sam w żeleźniaku, na wierzchu?...

XIX

Po świecie tumańło się wichrem, zamiecią sypało w oczy i wyło, a mroźny zrazu marzec zwyczajną rozpoczynał pochulanę wiosenną, gdy pod wieczór już szary Franciszkowa, sama jedna w chałupie, odłożyła beczynnę trzymaną w ręku kądziel, z ławy pod oknem, z której ją snadź bijącą w szyby fala spędziła, zwolna a z trudem, na przypiecek przesunęła się, drżąca, zgarbiona, postępująca za każdym niemal krokiem.

Tu, na podmurowaniu obiema wsparłszy się dłońmi, jakby z pomocą nogom, posłuszeństwo już wypowiadającym, z jękiem prawie, a nielada wysiłkiem usadowiła się nareszcie tuż pod kominem, a z zaciśniętych, posiniałych warg szeptem wybiegło:

– O Jezu Nazareński, Panienko święta!... a dyć by ino Kasię mi odchować, dzieciątko... – i zakaszła ciężko a długo.

Głowę pochyliła na piersi, ręce bezwładnie opadły jej na kolana, i niby ciemna plama bezkształtna w mroku zalegającym izbę zadumała się nieruchoma.

Ode świąt już kaszel ci ją męczył, a męczył, a zimnem trzęsło. Jak mogła jednak, choroby nie pokazywała po sobie, sama ją zresztą, tyle lat zdrowa i silna, zbywając niczym. Dyć oko jej w chałupie, wierzyła temu, znaczyło zawsze i sporo, i niech Bóg broni, a ręka Przenajświętszego strzeże, co by się bez niej z zagrodą oną stać mogło, z dzieckiem, z krwawicą! To też chorować ni czasu nie miała, ni woli, a że tam duszność ciężka na piersi jej spadła, ano po kościach i krzyżu zimnem chodziło, zwyczajnie starość, a z wiosną odejdzie wszystko.

Tylko że po dniu owym, co to na mrozie pod stodołę za Jakubem śledzić wybrała się, ścisnęło ci ją okrutnie, okeż i rady se dać nie mogła. A jakże tu jej nie śledzić, jak nie pilnować, skoro ci groszem sypią jak plewą, a ino pohulanka im w głowie, a zbytkowanie. Jak ci raz pierwszy dojrzała wolne przejście do skrytki, zara ją tknęło, co i niedobre święcić się w tym musiało, i byłaby żeleźniak przechowała kaj idziej, ino że kaj nie miała. Jakub powiadał, co i tak pewny, ano odkryty, bo mu bez zmyłkę Wicek podręczne w złej stronie założył zboże. Może i prawda, a może ino prześpieg i tyle. Kto ją tam widział, „oną ze dwora”, zasię to nie jej w tym ręka?...

Upraszała bo syna, na wszystkie go zaklinała świętości, coby niewieście ani nie wspomniał o garnku; mówił, co zmilknę, ale kaj mu tam wierzyć przy takim „latawcu!”... Musi i gadał, ano przynajmniej, że ona była na straży!...

– Ino co ruszać, to chyba grosza nie ruszą!...

I zakaszła ciężko, boleśnie, za głowę się chwytając i piersi, zwinięta w kłębek, a podrzucało starowiną, jak piłką. Aż zwolna uspokajając ją jęła, prostować i zadyszana a bez tchu prawie mruknęła:

– O Matko Przenajświętsza!... a dyć już, musi, koniec na mnie, sierotę!... – i pot z czoła zimny rękawem starła.

Postanowiła sobie na noc zwarzyć kwiatu lipowego, a okryć się pierzyną ciepło, bo ciepła, ciepła skostniałej prawie pragnęło się nade wszystko. Czekala jeno na Wikte z dzieckiem, co wyszły do kościoła przyjrzeć się chrzcinom Sulimowego chłopaka, bo samej i ognia na kominie nijak rozpalić było.

Ze źle z nią, że to i koniec był bliski może, zaczynała bo teraz przypuszczać z lękiem, a myśl o zapewnieniu wnuczce przyszłości, myśl o „krwawicy” ścisnęła ją kleszczami.

Plan to już z dawna gotowy miała: pójść do proboszcza, wyznać mu wszystko i na opiekę zdać mu grosz uzbierany. Jeno sądziła, że i bez tego obejdzie się może przecie, że oto Kasię wyda za Wicka i wywianuje ją sama. Tak nigdy chorób, słabości żadnej nie znała!

Ano Pan Jezus sądził inaczej, a święte Jego sądenie. Żyła bo dosyć i życia nie żałowała i chwili, tylko o dziecko, tylko o wnuczkę krajało się w niej, co żyło. Zmieniła przy tym zamiar pierwotny. Jeśli do jutra nie wydobrzeje i krztyny, pójdzie do dworu, do samej pani, do której od czasu ostatniej wycieczki Magdzinej i wysłuchania jej żądań wielkiego nabrała zaufania i wiary.

– Dobra pani – mówiła – a pamiętliwa, złego nie ścierpi, to i na dziecko wejrzy łaskawie, i na krwawicę, a krzywdy nie dopuści nijakiej.

Proboszcz, których w parafii trzech się za życia jej odmieniło, mniej pewnym wydał się jej opiekunem; pójdzie do pani i z panią sprawę załatwi albo z dziedzicem.

Wesołe naszczekiwanie w podwórzu Kruczka zwiastowało powrót jej Kasi, i uśmiechnęła się mimowolnie na myśl o dziecku.

Weszły wraz z Wiktą, otulone zapaśnikami przed falą, płatami świeżego śniegu oblepione, przemokłe, przeziębłe, lecz rade. W kościele napatrzyły się tyle!

– Babulu, a kajście są? – z progu pytała Kasia, z trudem w ciemnej rozglądając się izbie.

Stłumiony kaszel zastąpił jej odpowiedź, i podczas gdy Wikta zajęła się zapalaniem lampki i rozniecaniem ognia, ona prawić jęła z przejęciem i, co widziała, opowiadać:

A dziecko, co to je nikiem kowal do chrztu trzymali – kończyła już zadyszana – piszczało ci i piszczało, kieby to kocie, aże ci go matula wzięli na ręce. A dali ci mu, nikiem na szczęście, medalik taki złocisty z Matką Boską na sobie, co mu się wszyscy i nadziwować nie mogli.

Tu wmieszała się Wikta:

– Jaki tam znów, powiada Kasia, medalik! – wtrąciła, przerywając sobie dmuchanie na węgle, świeżo z popiołu wygarnięte na komin. – Dyc nie medalik był ci to żaden, ino ze złota szczerego dukat, coby takiego, mówili kowal, i za dziesięć rubli nie dostał.

– Może się to tam i dukat taki nazywa! – odparła Kasia – ano zawdy medalik, kiej z Matką Boską!...

– A widziała Kasia u niego uszko? – broniła swego Wikta. – Każdy medalik zasie je z uszkiem.

Ale oto milcząca od tej pory, a dziwnie poruszona odezwała się Franciszkowa:

– He? Jak powiadasz? – mówiła, nachylając się uchem do stojącej obok przy kominie dziewczki. – Jak powiadasz?... Dukata ci dali z Matką Boską na szczęście?...

– A dyć mówili kowal, co dukat. Ja bo ta nie wiem. Nikiej czterdziestka abo i mniejszy, a pozłocisty i z Matką Boską na wierzchu... Gadali ludzie, co to takiego nie łącno dzisiaj i dostać... Ja bo ta nie wiem...

– A Matkę Boską widziałas na nim? – pytała dalej, bystro wpatrując się w Wikte, stara. – Widziałas sama?

– Juści widziałam, skoro mi ci go na pokazanie do ręki dali!...

Do izby Wicek wszedł po obrzędku. Kasia wnet mu na nowo rozpoczęła długą o chrzcie opowieść, Wikta zaś zabrała się do nastawiania wieczery. Franciszkowa z wypiekami teraz na twarzy, niespokojna, zsunęła się z przypiecka, a kręcąc się to tu, to tam bez celu, pomrukiwała wciąż do siebie półgłosem, o wydawanie kolacji nagląc dziewczkę, bo późno, a do roboty trza było wstawać nazajutrz świtem.

Aż się Witka pomiarkowała w końcu na niezwyčajnym ożywieniu staruszki; coś ci ją znów nosiło, jako i nieraz, ino mocniej. Późno nie było, noc bo i ledwo zapadła, ale pośpieszała jak mogła, rada zawsze i sama wysypiać się na zawołanie. Z Jakubową w komorze i do północks „kocołować” wypadało jej często, dobrze się więc, gdy można, przy sposobności „odłapać”, skoro na chrzcinach pewnikiem gospodyni zabawią do ranka.

Ledwo jednak ostatnią łyżkę strawy spożyto, a Franciszkowa, którą jedzenia ani się tknęła i tylko wody świeżej napiła się z cebrzyka:

– Spać!... spać!... – jęła powtarzać w kółko, zabierając się do siania łóżka sobie i Kasi.

Wicek też na zwyczajne wyniósł się do stajni legowisko przy koniach, a z nim, dotrzymujący mu towarzystwa po nocach, Kruczek. Wikta, niezmyte złożywszy na bok naczynia i ogień na kominie zarzuciwszy popiołem, z zapiecka siennik wyniosła i poduszkę, i na przypiecku rozkładać je sobie jęła. Kasia, klęcząc przed łóżkiem, pacierz odmawiała codzienny. A Franciszkowa snuła się dalej, wodę łakomie popijając co chwila, a powtarzając zgoła bezmyślnie:

– Spać!... spać!... bo późno, a do roboty trza wstawać dzionkiem...

Coś ci ją znów nosiło, ino że mocniej.

Nareszcie uspokoiło się w izbie. Chrapanie dziewczki, z lżejszym oddechem dziecka zmieszane, raz wraz w jękliwym tonęły wyciu wichury, co kłębami biła w szyby zadymką, po strzesze wyprawiając taniec piekielny, aż się od niego krokwie uginały i łaty.

A starowina wciąż z wypiekami chodziła jeszcze. Rzekłbyś, moc jakaś wstąpiła ci w nią cudowna. Ni kaszlu, ni zięboty, jak ręką odjął, pragnienie tylko i żar paliły ci ją we wnętrzu. Od czasu do czasu, jakby się o śnie Wikty upewnić chciała, w oddech się wsłuchiwała śpiącej, od czasu do czasu blaszanką wody zaczerpnęła z cebrzyka i znów po izbie snuć się poczyniała bez celu, w głos niemal teraz rozmawiając z sobą:

– Nie może być... nie może być... ino ci ten sam musi. Kajżeby znowu takiego we wsi dostała.

Na wieść o podarunku chrzcinowym Magdzi Bóg wie co się oto z nią stało! Dyćże to przecie dukat ten chyba, ten z żeleźniaka!... Najdroższa sztuka ze wszystkich, jakie w nim były... Sztuka jedyna, najpierwsza ze złożonych w garnku. Dawno to, dawno, jeszcze za Franka, kiedy to Jukiel wnet po nastaniu w karczmie częstować ci ją zaczął dukatem, jak mówił, danym mu w mieście do wymiany. Ona bo właśnie pierwszą ci wtedy na bok odłożyła dziesiątkę, na srebro zasie, a i na złoto łasa okrutnie. Dukat, kieby medalik, miał Matkę Przenajświętsza na sobie, jej zaś mówiło, co od takiego to i najlepszy początek. Ino że Jukiel drożył się wielce, a nijak ustąpić nie chciał; dziesięć i dziesięć, mówił, papierków, aż go za siedem dostała. I na Trzech Króli w kadzidle ci go i kredzie święcić nosiła, a skoro w garnku z Frankiem po nocy pierwsze składali pieniądze, ona dukata, jako że świętość, na samym wierzchu złożyła, coby to nikiem dukat święcony krwawicy strzegł i przymnażał.

Ano trzydziestkę abo i więcej przeleżał tak w żeleźniaku i strzegł, i mnożył, jako święcony, aż ci go „tamta!...”.

I buchnęło krwią na starowinę, poczerwieniała płomieniem, raz jeszcze nad śpiącą pochyliła się Wikta i drząc niecierpliwością już tylko, latarkę z kołka zdjęła nad drzwiami, i klucz z nią od stodoły, świeżą w niej świeczkę oprawiła łojową, siarniczkiem ją zapaliła i, przygasiwszy lampkę w kominie, do sieni wyszła.

– Nie mogło być... nie mogło być, ino ci ten sam był, musi!...

I przypomniała sobie, jak wczoraj o tę porę Jakub wychodził z latarką, jak go pytała, gdzie się wybierał po nocy, a on rzekł, co do Wiśniochy, jako że krowa na ocieleniu, a Wicek zasypiał twardo. Kiedy powrócił, nie pamiętała, ziębotą i snem znużona.

Myśl ta cięła ją biczem; rzuciła się do drzwi wchodowych, ale wichura dęła, jak wściekła, i nijak jedną ręką nie mogła otworzyć. Latarkę postawiła w kącie za ścianą, aby jej wiatr nie zgasił, i co sił stało o drzwi się sparła. Skrzypnęły wreszcie, śnieg bryznął w oczy, i omal ci jej falą nie powaliło na ziemię. Ale się zmogła, latarkę pod zapaśnikiem ukryła i, o ścianę chałupy utykając, ruszyła śmiało.

Popod obórką warknął ci na nią Kruczek, znadź poznał jednak, bo i wnet przycichł. Zatrzymała się chwilę, snu Wickowego niepewna, i znowu ruszyła naprzód.

Szła dalej, po kostki brnąc w miękkim śniegu, falą o płot rzucona, jak nieprzytomna, z jedną już tylko myślą pod czaszką, z jednym w piersiach pragnieniem: tam, do stodoły dobić się, garnka, dukata zobaczyć swego...

I tyle jeszcze mocy znalazła w sobie, że ciężkie uchyliła wrota stodoły, że z niezgaszonym u celu stanęła światłem; gdy jednak w górze, na belce ustawisz latarkę pochyliła się do zasypanej słomą kryjówki, w oczach płatki ognia migotać jej jęły, jak gwiazdy, w głowie się niby wichru ozwało wycie, kaszel chrypliwy z piersi uderzył, i z jękiem szepnąwszy:

– O Jezu! Jezu! – osunęła się na klepisko.

Po świetle tumańło się wichrem, zamiecią sypało w oczy i wyło, a mroźny zrazu marzec zwyczajną wiódł pohulankę wiosenną, gdy nazajutrz z południa, z założonymi na podołku rękoma stanęła na środku izby Wojtkowa, od kum i świata wichrem i falą odcięta.

– Hej! hej... – mruknęła – a skończy ci się to nikiem, skończy to wianie! Dyc, sprawiedliwie, ni człowiekowi wyjrzyć z chałupy.

Od wczoraj trzymało już ci ją tak na uwięzi, ano i jutro nie obiecywało poprawy. Markotna, do towarzystwa chłopca swojego ograniczona, co ci od rana na cepy młócił w stodole, do kądzieli zabierała się właśnie, gdy w kłębkach wiatru, jakby go na wieś niosło, poważny odezwał się głos dzwonu.

„Baam... baam...” przelatywało z wichrem po strzechach, to przygłuszone, to jasne, czyste, donośne, rzekłbyś tuż nad samem uchem wybijane.

Kajtaniakową aż podrzucało to bicie:

Musi podzwonne... biją w Zygmunta... – szepnęła mocno wzruszona. – Ktosik w parafii pomarł ci znowuj.

I ciekawością żarta, zapaśnik zarzuciła na głowę i na podwórze, nie bacząc na zadymkę, wybiegła.

Oczy na drogę wypatrzyła łakomie, zali się przecie kto z objaśnieniem nie znajdzie, w umyśle zaś czyniła sobie przegląd chorych w parafii, ale daremnie odgadnąć zmarłego chciała.

– W Łaziskach bo ci podobno Banaś zapadli ciężko – myślała – ino chłop młody, kajżeby znowu takiemu na śmierć przyjść miało?... Ano chorują ci od zimy w Czerwonej Gawrysiakowa, tylko co jej się na beztygodniu poprawiło nikiem ze wszystkim... We wsi to nijakiej nie słychała przecie słabości!...

I zachodziła w głowę, a tu naokół ani żywego ducha, a ino bicie grało i grało, żałośliwe bicie Zygmunta...

Już bo się zamierzała przedrzeć do najbliższej chałupy Siwców, aby choć krztynę o biciu onym pogadać, gdy workiem z głową nakryty, a snadź od kuźni, z dyszlem pod pachą, Nachyła jej się pojawił. Na drogę wybiegła pędem: szedł od kościoła, musiał zatem coś wiedzieć.

– A komu to tak, nie słyszeliśta, kumie, biją podzwonne?... – spytała.

Nachyła, chłop z powolności znany okrutnej, co to, jak babę prać mieli nawet, na osobności prali ci ją w stodole, worka znad twarzy uchylił zwolna, wąsy

przymokłe obtarł rękawem, dyszel z jednej pachy pod drugą przełożył i po namyśle rzekł basem:

– Powiadali, co Franciszkowej zmarło się do dnia.

Ale Wojtkowa nie zrozumiała na razie:

– Co wy gadacie, jakiej to znów Franciszkowej?...

– Ano nie wieta? – brzmiała odpowiedź. – Dyc ino jedna je we wsi, a Musialina... – i pobnął dalej.

Kajtaniakową jakby z nóg ścięto, a język stanął jej kołkiem. Za odchodzącym Nachylą spoglądała bez ruchu, bez słowa... Aż ci po chwili rękę do czoła podniosła nagle:

– W imię Ojca i Syna!... A światłość wiekuista niechaj im świeci... – i o prawdzie słów kuma skoczyła się przekonać, a duchem.



Część trzecia

XX

Gdy późną nocą, nad ranem prawie, Wicek, zbudzony nagle przez wracającego ze chrztu Sulimowego chłopaka Musiałę, wylęknionego światłem w stodole, uzbroiwszy się w widły żelazne na przypadek złodzieja, wpadł do niej za gospodarzem, dziwny, niezrozumiały dlań w pierwszej chwili przedstawił się zaspanym jeszcze oczom jego widok.

Co mogli o tej godzinie w stodole robić Franciszkowa? co w niej robili?

Świeczka ci się w latarce nad nimi dopalała na belce, oni zaś na klepisku, w kuczki zwinięci, mamrotali cosik do siebie, a mamrotali, a słomę na nim przebierali w rogu poruszoną od wejścia, jak te grabie, nie przymierzając, w młocarni, a trzęsło nimi nikiem osikowym liściem.

– W imię Ojca i Syna!...

Gospodarz do nich powiadają:

– Dyc sprawiedliwie, sfiksowali to matka abo co, żeby zasie po nocy i na ziąb tyli po stodole ci utykali, nikiem ta mara?...

A oni swoje... Mamroczą ino i mamroczą, a przebierają słomę palcami i tyle.

– Chodźta, matka, do izby – mówią gospodarz i biorą ci ich podnosić, co-by szli z nimi, a oni nijak, ni to widzą, ni to słyszą...

Tak i pomiarkowali gospodarz, co musi ci ich niezdrowie chwyciło jakieś niedobre, aże tu nocą do stodoły zawiodło. I wzieni ci ich staruszczkę, nikiem to dziecięcuzko, na ręce i do izby ponieśli, a jemu kazali se po drodze świecić latarką.

Ino co mu z żałości latarka ona okeż i nie wypadła z garści...

I rwetes ci w chałupie powstał, i lament, jako się to im nikiem i w ciepłe, i pod pierzyną nijak nie wybierało na lepsze, a ino co-by ich trzęsło, to ci gorącość spadła na nich okrutna i na szczęt wzieni oto gadać od rzeczy.

„Wicek” wołali, to znowuj „Kasia”, a „krwawicę” spominali jakaściś i zło-
cistego z Matką Boską na nim dukata.

Ano musi ostatnia przyszła na nich godzina!...

Samym świtaniem chodził na plebanie po księdza i konie już do Ciepiewa
po felczera zakładał, kiej mu gospodarz, co nie trza, wyszli powiadać, a zaś po
deski na trumnę do kasanowskiego tartaka jechać kazali.

Ryknął jak w organ i do izby poskoczył z płaczem a do nóg przypadł onej
dobrodziejce swojej a matce, a obłapił je, a całował, a ryczał...

W łóżeczku leżała ci, jako ten kwiatek, staruszcza bieluchna, a taka nikię
maluśka, coby ją, nie przymierzając, i w orzechu laskowym zmieścił.

Cichusieńko leżała sobie, właśnie kiej śpiąca...

Ano po deski trza było duchem, to i pojechał, a zaś bez drogę, kieby to ży-
wą, miał ci ją przed oczyma nieboszczkę, a od żałości mówił, co nie strzyma.

Pochowali ci ją, staruszczkę, z wielką paradą, aże się o to gospodarz
przymówili z gospodynią, jako co Jakubowa na ekspens krzywo patrzali.

Ino gospodarz ostał na swoim.

– Jedną ci ją – powiada – matkę miałem rodzoną i raz ci ją chowam, to
i pochówek sprawię nieboszcze regularny.

Caluśka, ano wylęła wieś za trumną, co to ja stelmach dworski pięknie
pomalowali na czarno, z białym nikię bez wieko krzyżem, a proboszcz i na
sam cmentarz ją odprowadził, i mowę miał nad nią na grobie, że to, powiada,
zawdy stateczną byli Franciszkowa niewiastą. Pochowali ją w rogu, od pola;
zase gospodarz sprosili ci do karczmy wieś całą, ino co on, wedle żałości, do
chałupy wrócił prosto i na przyźbie ci z dzieckiem, jako to i nieboszczka przy-
siadywali, przysiadł i rozmyślał se o niej, nikię o nieboszcze, aże do wieczor-
nego obrządku.

Pomarli najukochańsza, pomarli mu nie mówiący dobrodziejka; trzeci to
rok z okładem, jak się tam nad nią ziemia zieleni w rogu od pola, ano gospodarz
mu się na pociechę ostali, kieby ten ojciec; dziecko ostało, Kasia, jako ta siostra,
co ci jej nijak nie opuszczać obiecował nieboszcze; ano szmat roli na pociechę
mu się ostał kieby rodzonej i jako dawniej, swojak ten niby, za dobrem gospodarza
tego, dziecka i roli chodzi rzetelnie.

Chodzi rzetelnie, a tylko że „chodzenie” mu to już nie szło, jak „po dawno-
ści”, oj, nie szło wcale.

Nie tak bo za Franciszkowej bywało!...

W tygodniu zaraz, jeszcze ci nad nią, nieboszczką, musi i ziemia nie obe-
schła, przy wywózce nawozu szarpnęła mu ci odsiebna kobyła, okeż i kóło że-
lazne pękło przy orczyku. Jak mógł postronkiem orczyk „wyładził” i do połu-
dnia dotrwał z wywózką. Zjechawszy z pola o wypadku doniósł gospodarzowi,
pewny, że jako dawniej, baczny na gospodarskie porządki dobędzie kilku groszy
i wyśle go do sklepania kółka do kuźni, tak pewny, że stawił się z orczykiem
zerwanym, gotów poskoczyć duchem, byle z południa mitręgi nie było żadnej.

Ano gospodarz miasto do kuźni „odesłali ci go licha, jako im próżno głowę zawracał, a wiązać orczyk kazali”.

I zafrasował się oto szczerze, a raczej go „dziwota zjęna okrutna”; bo jak świat światem, łataniej ci nie używał uprzęży, a w uszach ni to głosem słowa odezwały się Franciszkowej:

– Kiej masz co do naprawy, nie żałuj grosza, żebyś zaś potem i rublem nie trza nadłożyć.

Tak bo ci za nieboszczki bywało zawdy, ano cosik i odmieniło się musi!...

Nawykły do wzorowego zawsze porządku, ze wstydem prawie wylatał uprząż postronkiem, skoro mu jednak pękł raz i drugi, nic już gospodarzowi nie mówiąc, poniósł orczyk do kuźni i na własny koszt dał sklepać kółko zerwane.

Zwłokę w naprawie przypłacić przyszło postronkiem, oszczędność grosza – stratą złotówki.

Miała bo słuszność nieboszczka!...

A tu nie zawsze o marne chodziło kółko, nie zawsze radzić był w stanie własnym przemysłem. Gdy w rok coś latem „na szcęt” rozsypywać się jęły wrota w stodole, a zaś jesienią strzecha od sadu ze wszystkim na chałupie zapaść, cóż bo miał robić skoro „ciągiem” gospodarz naprawkę ci odkładają do jutra, ani na krokwie, ani na deski nie dają grosza.

A jeszcze coby pomogli, to przeszkadzają. Odkąd ci to po Leśkiewiczu zara z wiosną sołtysem nikiem ostali, to i za rolę, i za chudobą mało co patrzą, właśnie kiejby cudza. Łońskiego roku ziemniaki oto kieby ten gaj ruszyły, redlic by je trza duchem a redlic, a tu się szkapy ani doprosić do radła. To ci na jarmark, to do powiatu, to kaj na odpust albo i chrzciny, a zawdy paradą, z pańską, wasągiem, a ty cierp ino, jako i możesz.

Nie na ujme ci on ta powiada gospodarzową, broń Boże, dyć to gospodarz jako gospodarz, wiadomo, wolna mu wola, ino co nie tak za Franciszkowej bywało!...

W chałupie zasię abo nie lepiej!...

Wikta, latawiec dziewczka a próżniak, na dworskiej strefiona służbie, gospodyni ino przypochebiać się umie, a na odpusty ino wypraszać i tańce. Strawę ci zwarzy, naczynie spłucze i tyle ta z niej pociechy. I na zarobek mało co kiedy wyjdzie jak dawniej, a jeśli, to na odwieczyrz, na dopołudnie w obsługach u gospodyni lubo prześpiegach. A dyć za chłopa rada by, musi, bo to i czas dziewczusze wielki, ino go znaleźć nie może.

Jakubowa se pani, mało co doma i o najmniejszą ci nie zaczepią robotę. Kiecki ci szyją różne a szmaty, a zabawiają na książce albo i gorzej, choć grzech spominać, a zawdy nikiem i prawda.

Jedna ot Kasia za wszystkich starczy a wszędy zajrzy i dopilnuje wszystkiego. Jak raz dziewczyna wdała się w babkę, a taki ci u niej rozum, pomiarkowanie, co i staremu a nie daj Boże lepszego.

Jemu i na sam tylko „spominek” Kasi błogością zalewała się dusza i lżej bywało w strapieniu onym. Nie opuszczać ci mu przykazywała dziecka nieboszczka a strzec od złego. Dyć nie opuści, ino to dziecko inaksze jakoweś mu-

si, ano i samo inszego by ustrzec mogło. Skoro się po obejściu uwijać weźmie cichutko, składnie, to nijakiej ci gospodyni jaka stateczna, Franciszkowa nikiem a Franciszkowa!

Aże się oczy śmieją do niej od pocieszenia wielkiego!...

Bo i zaradne to, prześpiegliwe, nie przymierzając, kto stary, na swoim zawdy, jako i zechce, postawi, a niepozornie.

Kiej się onych wrót do stodoły nijak doprosić mu było, a od zbijania ciągiem zmurszałych okeż przykrzyło się życie, wziena i radzić na własny rozum i wyradziła ci nowe.

– A to się wrota znów rozleciały na szczęt w stodole – rzeknie pierwszy raz, ni to od śliny, do gospodarza na izbie.

Gospodarz ino bąknęli mrukiem i koniec na tym.

Ona zaś swoje, a przy trefunku mówi:

– Bez pół dnia Wicek wrota zbijał w stodole...

I znowuj cicho.

Aż oto wraca kiejściś z kościoła i opowiada:

– Mówili ludzie, co się bez naszą nikiem stodołę, na wylot przejrzy, kieby to oknem.

No i wygrała. Musi gospodarz pomiarkowali, co i przed ludźmi nie ładnie, ano po deski posłali duchem i wrota wstawili nowe.

Tak i ze strzechą, tak i ze wszystkim, jako i z ziemniakami.

Radła wołają, okeż nie głosem, a szkap ni słychu, po drogach zawdy a drogach.

– A to – powiada – bierzwa motyki i okopiewa samotrzeć.

Ino się ośmiał, bo choć i z Wiktą, jakże tu, ludzie, tyli szmat pola na gołe brać było ręce.

Ale dziewczyna nijak od swego.

– Chodźwa i chodźwa...

I poszli.

A tu pod wieczór stójka ci idzie pilno od gminy, jako to do sołtysa, a zapowiada coby się Jakub duchem raniutko stawili aż do powiatu. Jak pojechali, tak i na trzecią wrócili dobę, bo i drogi huk, ze trzy mile, a i w powiecie mitręga, a zaś poletko dyć na ręce a okopane przez mała.

Franciszkowa nikiem a Franciszkowa!...

A pamiętna ci o nim, kieby rodzona. I na stodołę zajrzy, do stajni i w pole, skoro bliżej robota, i przemówi, i pośmieje się, i doradzi. I o strawie ciepłej pomyśli, i często gęsto wyniesie kromkę chleba z serem a masłem, i opierunku dopilnuje i szmacin, zaś przy niedzieli a święcie to ci z nim zawdy. Do kościoła se pójdzie, z Górajczanką pogada, nikiem Marysią, w podle z podwórza, jako se do niej przylubiła okrutnie, i wraz do niego idzie już potem ni to rodzona.

Siostra nikiem a siostra.

Ale największa jemu uciecha, skoro to rankiem strawę w dwojakach w pole mu niesie, a siądzie sobie obok na miedzy, pod lasem lubo i gruszą. Co ma rzec, bywa, to se i rzeknie alboli, nie mówiący, głowę se ino wesprze na ręce a siedzi.

On se pojada z garnków wolniuśko, ona zaś patrzy!...

Na cmentarz patrzy, co jak na dłoni widać go z kościółkiem murowanym św. Wojciecha w środku, w zieleni; na folwark dworski. Nowy Dwór, z wielką pod olszynami stodołą; na wiatrak zasie wele cmentarza na górze; na Marianki, Kosów, przysiółki od „Gawrysiowej choiny”. Na jezioro patrzy se księżę, co się pode wsią połyskuje w słonku kiej szkiełko; na łąki dworskie i torfowiska; na łąziską w topolach drogę; na dąbrowę „Obórki” i rzeczkę od niej spływającą do stawu. Na wieś patrzy, co jej się dołem rozwija, kieby różaniec; na plebanię patrzy, na kościół, na ogród dworski i stawy; na gumienne słupy murowane, stodoły i ług „kozakowy” wele nich, co to się nad nim kamienny na wyniesieniu krzyż bieli.

Cichutko siedzi, głowę ino wesprze na ręce; on se pojada z garnków wolniuśko, ona zaś patrzy.

Albo i znowuj powiada:

– Wicek, a dyć to wele cmentarza Małaczek musi jadać z Marianek; w siwego jadać i łysą, co od źrebięcia?...

– Aści – odrzeknie – Małaczek, musi, abo i nie kto, do Kazanowa ze mlewem.

– Na workach siedzą.

– Aści na workach.

I tyle rozmowy całej.

On se pojada z garnków wolniuśko, ona zaś patrzy.

Inakszym razem polem ci idzie, a idzie kieby to insza. On bo ta migiem pozna po rysie, co jej się znaczy bez czoło, jako pomarłej, nikiem matuli, niewieście gospodarzowej. Przyjdzie, pozdrowi, dwojak podaje, chleba z podołka wyjmując kromkę i nie czekając powiada:

– A dyć się znowuj spili i głowę se rozcieni nad okiem, a nijak se jej nie pozwalali przewiązać. Cięgiem się ino precz do komory darli a darli. Ażem ci to ułożyła ich na łóżku babczynym w izbie i śpią ci jeszcze, kieby to drewno.

On bo ją wtedy, jak mógł, pocieszał:

– Musi z kompanią wdali się jaką, a nikiem przebrali miary... Skoro się wyśpią, to ich odeńdzie...

Onej się ino rysa pogłębia, a głową strząsa.

– Z macochą byli – powiada.

Alboli rzeknie:

– Mówili babka, co od kieliszka złe ino idzie, i tyle.

Kiej mu tak rzeknie to i przycicha, a on pojada z garnków wolniuśko, ona zaś kijkiem grzebie ci w piasku albo to skubie murawę.

A zawdy błogo mu ino czegoś, co se tak przy nim siedziała.

Siostra nikiem a siostra!...

Błogo mu było i lżej na sercu, inoć to sołtysianka, jedynaczka na roli okrutnej, gospodarskie na zasiedziałym gospodarstwie dziecko, a on sierota, z łaski przygarnięta sierota. Krewniak nikiem, bo krewniak, ino co ta krewieństwo znać było takie!... Dyć parobek i tyle, z dziesięcioma u rąk palcami, to mu się z Ka-

się i podufalić nijak nie patrzy. Póki to dzieckiem była, to i jak z dzieckiem, śmiałości mu nie zbywało do niej, aż że tu w oczach w dziewczuchę obracała mu się jak łania, co nie wiadomo jak tu i do niej przemawiać.

Ino że sama nijakiego musi pomiarkowania o tym nie miała, a po dawności, jak go lubiła, tak lubi.

– Babka – raz rzekła – kazali mi się Wicka pilnować!...

Miłował ją też, miłował, jako rodzoną, a tylko skoro podrosła, „podufalić” się przestał, przestał bezwolnie, parobek ze sołtysianką!

– Na szczęście bo ci go oprzezśmieliło!...

Bywało do stajni wpadnie, zaś na stodołę, a do śmiechu jej czegoś niby i żartów. Bryczna jako i rzadko. Zgrzebło mu ci z rąk chyci albo i cepy, a zagaduje nikię wesoło, a pośpiewuje, a na niego precz ognie idą gorące od onej w nim nieśmiałości okrutnej.

Stoi oto i stoi, patrzy ino a słucha, kieby ten kołek...

Na to zaś gniewna i zgrzebło rzuci, i cepy, a fuknie ci na odchodnym:

– Dyć sprawiedliwie, z Wickiem to nijakiego pośmiania!...

I do chałupy wraca markotna, a jego okeż nie skreć, coby iść za nią, a nijak mu ruszyć z miejsca.

Aż dnia jednego, jakoś przed świętym Janem, przed samym, poletko ci po rzepaku orał pod lasem, gdy z dwojakami przybiegła smutna, z rysą bez czoło, smutniejsza niżli zwyczajnie, a mimo smutku, wbrew zwyczajowi, milcząca. Przyniosła mu dnia tego barszczu na kapuście zaprawnego śmietaną, a zaprawnego suto, łyżkę mu bowiem ukradkiem dodała jej po drodze, i „szperką” okraszonych ziemniaków. Biegła szybko i strawę przysłonięta starannie drewnianą o dwóch denkach pokrywą świeżą doniosła mu i ciepłą.

Ale choć smaczna, spożywał ją bez smaku, bijącym z dziewczyny smutkiem zafrasowany, troską w tajemnicy trzymaną, bo wciąż milczała.

– Spili się musi – myślał – gospodarz albo i co takiego?... – i pytać nie śmiał.

Dojadał już śniadania i dwojak oddawać jej miał ze zwykłym „Bóg zapłać”, gdy, najwidoczniej przemagając się wolą a oczu nie odwracając od kępy macierzanki, którą upornie z liścia za liściem oskubywała:

– Jakże to będzie? – ozwała się nareszcie, a zmarszczka bruzdą czoło jej przecięła głęboką, – Mówili babka, co Wicek nijak nie odejdzie z chałupy, a powiadają macocha, jako się z Wiką pobierze naszą? na ordynarię do dwora!...

I po chwili dodała, nie odrywając oczu od ziemi:

– Jakże to będzie?...

Zaskoczony zniecka zgoła niezrozumiałą dla siebie sprawą, Wicek wzrok w niej utopił, zdziwienia pełny i niepokoju, i na pytanie odpowiadając pytaniem. – Powiada Kasia, co Jakubowa mówili? – rzekł, mimowolnie odstawiając na bok dwojaki: A dziewczyna, we własne wsłuchana myśli, powtórzyła raz jeszcze:

– Mówili babka, co Wicek nijak... – i jakby nagle głos w niej zaparło, skończyła szeptem: – Nijak...

– W imię Ojca i Syna!... – zachnął się chłopak. – Co ma być znowuj!... Dyc ja o niczym nie słycał, nic nie wiedzący!...

On rzucać chatę!... pobrać się z Wikta!... na ordynarię iść dworską!...

– W imię Ojca i Syna!...

Że się ta Wikta dokoła niego swędała czegoś a śmiała, abo i prawda; ślepy by dojrzał, skoro ją wczoraj jeszcze ze stajni szczerzącą zęby z kwitkiem odprawił, a do roboty swojej odesłał dziewczkę, jak zmytą. Juści ta musi cosik dziewczucha i upatrzyła do niego, musi na chłopca go se raiła, co go to znaleźć nie może, ale on zasie nijak, a nijak...

Kaj tu do swatów!...

– Nic nie wiedzący... nic nie wiedzący... – powtarzał chwilę.

I dopytywać się jął łakomie, jak, co i kiedy?

Dziwotą i niepokojem chłopaka widocznie pocieszona nieco, wszczęła mu Kasia tłumaczyć teraz wszystko szeroko: A to se wczoraj już na odwieczyrz w izbie zapaśnik obszywała tasiemką, a Wikta wyszła za chwastem, kiej do macochy wpadli Wojtkowa a wzieni ci po swojemu przymawiać a powiadali, co nkiej Wikta u Nachylanki i Szarpaczki dopraszała się na sobótkę o Wicka i obiecowwała im sprawić za to obraziki na Matkę Boską Szkaplerzną na odpustowym straganie. Zasie macocha rzekli im na to, co się to jego, dyc nkiej Wicka, i przyniewalać nie patrzy; co oni wiedzą, jako się Wikta do niego miała a i on ku niej, a w razie czego wolna mu wola. I powiadali nkiej macocha, co kiejby się i pobrali – a to Wicek nie przymierzając z Wikta – na ordynarię poszliby dworską, służyć kaj razem.

Ale tłumaczyć dawno przestała, a chłopak milczał i milczał, „nic niewiedzący”.

I znów niepewność zdjęła dziewczynę, zbrzdziła czoło i, przebierając palcami trawę, ciszej dodała:

– Ino Wojtkowa to powiadali, co nijak Wikta nie pasowała Wickowi...

Aż i po chwili, bez tchu prawie, rzekła:

– Ano i babka przykazowali ci inak!...

XXI

– Ano i babka przykazowali ci inak... rzekła i dwojak chwyciwszy z ziemi, rumiana, wpadła w zboża; mignęła mu się ot na jarzynie i znów zaszyła, i znów mignęła, aż się pode wsią na czystej drodze podle stodoły „oparła”. I obejrzała ni to na pola, oczy zakryła od słońca, a snadź dostrzegła, jako się za nią

„ciągiem” wpatrywał, bo ci na przelaz skoczyła „duchem” i na podwórzu znikła za tarnią.

I żeby nie murawa, co się to po niej i nie podniosła jeszcze pod gruszą, a nie listeczki macierzankowe, co ci ich naproszyła „w kole”, aniby poznał zasię tu była, tak bo się zwinęła migiem i niespodzianie.

Ino mu brzmiały w uszach ostatnie jej słowa, ino niepokój bił ci z niego ze słów tych jakiś, biła gorącość.

Grało mu oto weselem wielkim, grało błogością, to znowu lękiem go nikięj zdejmowało a trwogą, aże się na szczęt wszystko pomieszało w nim razem i za głowę pochwycił się obiema garściami, i potrząsać nią jał i targać, i zawodzić:

– Oj!... rety!... – i za batem oglądać się porzuconym pod gruszą i za końmi, co w las się przed robakami schroniły, i tak musi i niewiedzący orać począł omackiem, a pług mu chodził w rękach kieby nie swoich.

A co ostatnie słowa Kasine spomni, to ci na niego idzie płomieniem, aże mu szkapy mienią się w oczach, a skiby het podrygują, kiej w tańcu.

Abo i prawda... abo i prawda... inak to przykazowali nieboszczka, a tylko jemu z tej nieśmiałości nijak i wymiarkować co było.

Kaj mu ci teraz i Wikta w głowie, kaj one swaty abo i babskie gadanie! Dziewka samochcąc wstydu się naje, a jemu radość i tyle.

I zalewało go oto falą i ćmiło od jasności wewnętrznych, co mu się nagle i w piersiach rozpały, i w głowie, co je dziewczucha jednym spominkiem roztlęła w duszy i sercu, a mrowiem znowu ścinało zasię na myśl i samą, że się to może przesłuchał ino, a wcale i nie zrozumiał.

I coraz spoglądał ku między onej, gdzie to pod gruszą siedziała i sfrasowana, z bruzdą bez czoło, skubała macierzankowe kiście, a ino się tak migiem zerwała, kiejby ją wstydem rzuciło.

Dyć on parobek... dyć on sierota, ano inaksze przykazowanie nieboszczki. Inaksze musi, skoro mu dziecko nikięj w opiekę zdawali, a przed skonaniem jego i Kasię wzywali ino a ciągiem. I nie od rzeczy, jako se mówił, wzywanie znaczyło ono, a tylko z lepszym pomiarkowaniem dziewczucha, jako i było, pojęła, ano i jemu, jako to ma być, rzekła.

I to poganiał szkapy bez celu, to je bez celu wstrzymywał, a pług mu w rękach chodził jak nie swój, a skiby precz podrygały.

Aż i poletko zorał jak niebądź i na południe zawrócił. W podwórzu patrzy – ani jej słuchu, Wikta się ino napatoczyła z zębami, jako że obiad. Zbył ci ją fukiem, ano z umysłu, a szedł do izby, kieby ten złodziej.

Na ławie oto przed oknem siedzą gospodarz z gospodynią, jako zwyczajnie, a kluski ci pojadają na mleku, ona zaś rychtyk miskę dla niego niesie z komina.

– Niech będzie pochwalony... – rzekł od proga.

– Na wieki wieków – odpowiedzieli gospodarz, a on w samym rogu przyśiadł se cicho, od nieśmiałości trzęsący.

Ale co ci na nią pojrzy od miski, to dziewczyna mu się mieni, kieby ten płomyk, a ciągiem oczy odwraca.

– Źle – mówi sobie – gniewna ci musi – i siedział kiej na zarzewiu.

Na południe nie wyszła także, nie wyszła i na odwieczyrz, a rankiem, rety, a to ci w pole dwojaki niesie mu Wikta.

– Dobryś!... – powiada – no i co będzie?...

Aże i struchlał.

Wziął ci dwojaki i ani siędzie; kapelusz ino zdjął z głowy, jako z nakrytą daru boskiego nijak brać w siebie; pojadł se trochę, mało niewiele.

– Bóg zapłać... – rzeknie i od roboty.

Dziewusze dziwno, co ci takiego, i dalej pytać:

– Dyc – prawi – kasza kiej wybierana, a zaś Wickowi i nie w smak?...;

– Ano Bóg zapłać... – i swoje robi, aż się zabrała i poszła.

I już tak widział, co nikiej wszystko pójdzie na marne, a żalność ci go okeż nie zmogła, jak tu trzeciego dnia na odwieczyrz wpadła do stajni, mówi, za miotłą.

A jego jak ci nie porwie.

– Ja ta z chałupy nijak – rzeknie – a Wikta ino se zmyśla...

Na nią padło, nikiej rzuć łunę, on jej zaś do nóg.

– Kasiu – powiada – i jakże będzie?... – i z kapeluszem stanął na boku i stoi...

Po niej to ognie idą za ogniem, fartuchem palce okręca, aż się i ozwie:

– Jako ci babka chcieli, tak będzie... – i smyrg ze stajni.

I z kapeluszem ostał się w ręku, i ani z miejsca.

A więcej to i nijak nie było o tym rozmowy, a ino co raz po sobie spojrzą, to nikiej by im mówiło:

– Ano tak będzie!...

I czasu swego czekają.

Nic bo na oko w stosunku się ich nie odmieniło wzajemnym. Zawsze na boku i zawsze razem, ot brat i siostra, pamiętne jedno o drugim, a zaś oboje „wele obejścia” pamiętne, które ich wspólnym wiązało celem i troską wspólną. Rzekłbyś nieboszczka kierowała nimi wciąż jeszcze, w Kasi się zwłaszcza ni to odradzając na nowo. Stateczna, skrzętna, zaradna, dziś już uporna a „rezolutna”, a „prześpiegliwa”, a nieskora na próżny wydatek grosza, zaś o zagrodę dbała nad wszystko, w oczach chłopaka, bywały chwile, stawała się jak żywa.

– Franciszkowa nikiej, a Franciszkowa...

Ale i w chacie znaczenie miała, a wpływ jej wzrastał, wzrastał bezwiednie. Cicha z pozoru, nie rzucająca się w oczy, kierowana wrodzonym sprytem, nigdy nie nasuwała się na drogę Magdzi, co, raz zbywszy się „starej”, pewna panowania w chałupie, ledwo że na nią spojrziała czasem, ot, jak na dziecko. Od śmierci babki, zwolna, nieznacznie, co ją „matulą” zwała uprzednio, „macochą” jęła zwać teraz i jak ta babka w gruncie rzeczy mieniła ją tylko „obieżyświatem”, „przybłądą”, którą znosiła przez wzgląd na ojca, ale znosiła do czasu.

Czuła się sama panią w chałupie, i to praw swych panią świadomą. Nie raz bowiem i nie dwa przecie babka, jakby jej w pamięć wdroyć to chciała, z naci-
skiem mówiła:

– Wszystko tu, wnusiu, wszystko tu twoje... Boskie, a potem twoje!...

A jeno kiedy, zwyczajnie dziecko, chciała z miejsca dzielić się tym z Wickiem, mówiła:

– A dyć poczekaj, poczekaj, dziecko, aż i lat dojdiesz, to się ta z Wickiem podzielisz...

Ona zaś każde słowo nieboszczki nosiła w sobie jak żywe, dzielić się gotowa zawsze z Wickiem, ale nie z tamtą, z „przybłądą”. Ino tatula bała się czegoś, jako z macochą trzymali, i lat czekała, ano tymczasem i tak w potrzebie umiała sobie poradzić.

Aż się i Wikta pomiarkowała w tym pierwsza.

Podwójnie bo jej zawadzać jęła dziewczucha.

Ilekroć sobie w błogim nastroju czy na przypiecku siadła, czy na przyźbie, ano wywczasu użyć lub drzemki, wnet ci jej Kasia „niby od śliny” wypominała robotę pilniejszą albo i sama brała się do niej, jakby na przekór a „na dogryzkę”. I nijak było przecie jej, w służbie, patrzeć z założonymi rękoma, jako to córka gospodarska uwija się, ona zaś siedzi. I podniosła się, „zła jak nieszczęście”, ale się ruszyć musiała.

Zrazu czas długi nie posądzała Kasi o rozmysł.

– Tak ci to z niej – mawiała sobie – skrzętliwa, jako i babka, nijak na miejscu i nie usiedzi – zasje los tylko winiła „sprzeczny”, co to po starej taką ci „rychtyk” zesłał i młodą.

– Na utrapienie człowieka!...

Choć jej z tym nie ku wygodzie bywało, los swój zносиła, nieźle się mając nawet i z Kasią, przy widocznych na nią łaskach Magdzi, „a tylko co jej dziewczyna na inszej wadziła drodze”.

Dziewka niemłoda, służbami bo i chodziła do syta; nieźle jej było przy Jakubowej, abo i prawda; a zawdyć lepiej na swoim.

– Żeby tak chłopa! a choć na dworskiej osiąść ordynarii!...

Grosza po latach uzbierało się trochę, co go se złożyć uprosiła u gardzienickiego dziedzica, jako że pewne, i na krowinę starczyłoby ci niezgorszą, i na początek byłoby o co ręce zaczepić. Przy łasce boskiej na starość nikię przyku-
pić by kaj choć gruntu niewiele, a z chałupiną ta jaką, a przysiewkami chodzić do czasu lubo przychówkiem kaj niebądź...

– Ino o chłopa, o tego zawdy najtrudniej...

Póki to pierwszej była młodości, przy ojcu karbowym dworskim, stangretów ci se raiła nieco abo lokajów, co to po korcu abo i więcej pszenicy ci mają w ordynarii. Różnie raiła!... Ano ojcowie dziewczyną odumarli ją jeszcze, trza było w służbę i poniechać myśli o lokajach abo stangretach, a zaś parobków raić se jeno, co gdzie którego.

Ale i z tymi nie szło bo jakoś!...

Co „przyszczypniejszy”, to i dziewczuchy szukał „wianiastej”, a byle czego sama nie chciała, jako że dziewczka była urodna, co to i rządcom wpadała w oko, a raz i dziedzicowi bo właśnie.

I tak ci zeszło, a czas był wielki; aż do Musiałów nastąpiła.

Zrazu po dworskich służbach nie bardzo jej się zdawało u chłopstwa, a póki stara byli przy życiu, to i mówiła nie strzyma. Haruj ino a haruj, a zaś nijakiego odetchu. Ano pomarli zara na wstępie i wnetki ci jej zeleżało. Przy Jakubowej se na obsługach roboty mało co wiele, aże i chodzić wele niej znała, a przypodchlebiać się lubo przymówić, a niejednego właśnie nie dojrzyć umiała, nieźle jej było i nie ganiła też sobie, jako ci nie mówiący o Wicku.

Chłopak jej bowiem z brzegu wpadł w oko i „przylubiła do niego”. Cichy, nieśmiały, a pracowity, ni urwis ani latawiec, a z groszem też swoim, musi u gospodarza, wydał jej się jak ułał na chłopca, bo to i zdrów był w sobie, jak krzemień, a i na gębie niczego.

– Tego se – mówi – a nie inszego, żeby to jako i zraić!...

I jęła go też zewsząd obchodzić, a śmiać się, a szczerzyć zęby, aż się i sama rozmiłowała na dobre, i tak na swoim bądź nie bądź postanowiła dokazać.

Ale na przekór szło jak z kamienia, jak i z „miniastymi”.

– Wzdraga się nikiej – myślała w duszy – zwyczajnie, niedoświarczony – i pewna „doświarczeniu” własnemu, ani wątpiła o zwycięstwie.

Wadziła bo jej trochę ta Kasia, jako że dziecko wele chłopaka wisiąło ciągiem, a przystępu jej nie dawało wolnego. Ino że razem się to chowało, nikiej przy starej, i nie dziwota. Kiej ci podrośnie, to i ustanie, dyć bo dziewczucha nie dla parobka, ni też on dla niej.



Pewna swojego, z boku się nawet i gospodyni zwierzać poczęła, chcąc wymiarkować, zali do smaku jej swaty, jako że Wicek krewniak ta jakiś pono Musiałów, a wśród tych zwierzeń, natrącać z lekka o wzajemności chłopaka, nijak bo przecie było dziewczusze raić się samej.

Ano czas schodził „a skutku nijakiego”. Daremnie rzucając bierny sposób zalotnych z dala podjazdów, wprost przeszła do zaczepiek otwartych; z chłopakiem ani dojść ładu, wzdraga się ino albo i gorzej, odprawia ci ją ze wstydem.

Ona do niego, jak co dobrego, powiada:

– Wicek, chodźwa na tańce, to obróciewa skoczno...

– Niech se ta Wikta – rzeknie – obraca, ja ta obracać nie będę!...

Wpadnie do stajni lubo stodoły, a pożartować by rada, on ci zaś na nią fuknie:

– A to se iść do roboty, do swojej!...

Żeby to chociaż chodził za inną „inszą se raił”, to by wiedziała, ale wcale. Kamieniem ino siedzi w zagrodzie i ani go z niej wyciągnąć.

– Z Kasią ci zawdy ino a z Kasią. Skaranie boskie z tym dzieckiem!... Nie dość wadzi w chałupie dziewczyna, ano i z Wickiem! Kiejby wiedząca.

Dziewczyca jednak w dziewczuchę „obracała się” w oczach, a zawdy ino przy Wicku, i Wikta, co już na „urok” poczyniała składać zawód swój serdeczny i myśleć po trochu o „odczynieniu”, zaś na sobótkę, z niemałym wstydem, sama o Wicka przymawiać jęła, zwróciła wreszcie uwagę w stronę istotnej przyczyny klęski.

– Kiejby wiedząca!... A bo i prawda?... Musi bo i wiedziała!...

W chałupie to ci pełno jej teraz, rządzi se po niej, kiejby ta pani, ni człowiekowi „odzipu”. W pole dwojaków i nie da ruszyć, a chłopakowi nosi je sama, a zawdy mu co do smaku nikiem dorzuci.

– Z Wickiem ino, a z Wickiem!...

Gdy raz na trop wpadła, wciąż bo się nowe budziły w niej podejrzenia. I jej bo także stawały na pamięć ostatnie chwile starej i majaczenie ni to bez związku, a przecie nie bez znaczenia. Dyc o krwawicy plotła nieboszczka, o jakimś plotła dukacie, ano wiedziała musi, co plecie, wiedziała dobrze. Skoro ci temu rok bo już przeszło, posłyszawszy brzęk w komorze, skradła się milczkiem i chyłkiem pod okno i podejrzwała od sadu, to jej się w oczach aż mienić jęno z samego nikiem patrzenia. I zobaczyła ano krwawice, skarb zobaczyła okrutny! Dukat nie jeden, garść a dwie może, a srebra, a znów papierków, co gospodyni brali je z kufra, a rozkładali se w rzędach.

A dyc wiedziała stara, co plecie, wiedziała dobrze, jako i z Wickiem plotła, i z Kasią. Toć i dziewczucha wiedząca musi, wiedzący chłopak, a cosik się ta i święci z nimi niedobrego. Żeby tak jako podpatrzeć można a wymiarkować, a rzec staremu, to by się może i co wygrało, bo ci to inak, jako świat światem, ze sołtysianką nie skóra.

I rozpoczęła tedy „miarkować”, a śledzić i podpatrywać. Zejdą ci się to nikiem w stodole, a ona w krzaki, w tarń się zaszywa, a podsłuchuje, patrzy bez szpary, a oni zasię, o ciołkach prawią lub o „gadzinie”, o wrotach albo i strze-

sze, a jedno w jednej, a drugie w drugiej stoi ci stronie, kiejby i obcy. Kiedy Kasia strawę w dwojakach poniesię w pole, to Wikta i za drogę leci we zboża, a jako może podchodzi. A widzi ino, co ci pod gruszą siedną na miedzy, on se pojada z garnków wolniuško, ona se patrzy i tyle. Żeby tak w krzaki kiej ta a w zboże, nijak a nijak, a na widoku se zawdy ino, na wolnym. Skoro on podje, ona i wraca, nikiem ta rodna, a siostra.

Aż ci przed świętym Janem, przed samym, jakoby coś i postrzegła. Bo ci zerkać jeni po sobie nikiem przedziwnie a popatrywać, okeż i na nią poszło zaś ogniem od onych na się patrzania.

Ale dzień przeszedł jeden i drugi i „po próznicy” śledziła.

– Dyc, sprawiedliwie, skaranie boskie, ani co pomiarkować!...

A tu sobótka oto za pasem i świętojańskie swatanie; a Nachylanka i Szarpaczka, co to dziewczuchom przewodzić miały, wyśpiewać obiecowały chłopaka.

Chwila się dla niej zbliżała ważna!...

Wszakci wiadomo, nie raz i nie dwa przecie święty Jan sprawił, co się i zawiść kończyła nawiścią duszną, a wstręt kochaniem. Znany był po wsi przykład Kosiora, co się to nijak z Jagną Majówną pobrać nie chcieli, że jej na głowie, mówią, rosły konopie mędlone, takie ci włosy miała to na niej żółciótke. A tu dziewczucha rychtyk upatrzyła go sobie kiejby omanem i aże od onego kochania wyschła. Ano przez skutku! I na mszę świętą bo ci dawała do Przemienienia Pańskiego, i na odpust ofiarowała się do Wysokiego Koła, i musi chodziła i do odczynienia, i zamawiania, a oni, niby to Kosiór, nijak a nijak. Aże się oto poleciała świętemu Janowi i na sobótce wyśpiewały jej dziewczuchy chłopaka. Sierdzili się oto, nikiem Kosiór, okrutnie, a tu bez tydzień już ci za Jagną łążą kiej mara, a o konopiach mędlonych ani i spomną. Zaś na jesieni, a po siewach, sprawili gody i żyją z babą, co ich aże ksiądz na ambonie wele przykładu wystawiał. Ino że dzieci to im się wszystkie precz konopiaste rodziły.



Ale dziewczusze wielce stroskanej nie dzieci były ta w głowie, chociaż na swojej ni to len warkocz płowy nosiła. Wicka se oto, nikiem ta Jagna, rychtyk zrała, a chłopak zasie, nikiem ten Kosiór, ciągiem oporny. A dyć co tamtym święty Jan sprawił i sobótkowe swatanie, może da Pan Bóg sprawi i dla niej – zawiść nawiścią odmieni.

I przesuszyla dwie środy z rzędu, ano dwa piątki i do wieczora w sam dzień sobótki nie tknęła strawy nijakiej.

XXII

Wieczór był ciepły, pogodny...

Tam, na zachodzie, od kolonii Czerwieńskich i „Gawrysiowej choiny” już tylko lekki przebłysk szafranu znaczył ślad słońca jak zorzą; zaś od Borowca nad ścianą lasów, rogami zwrócony w górę, wąski, ni to oprawa hostii w monstrancji, spłynął sierp srebrny księżyca, w którego wnętrzu, jako w oprawie, część tarczy pokryta cieniem widniała z mroków świetlistym kręgiem, jak hostia właśnie widna zza kłębów kadzideł.

I płynął w niebo jasny i czysty sponad koronki konarów, aż się dokoła jedna i druga zatliły gwiazdy...

Miało się pod noc ciepłą, pogodną, pod noc świętego Jana.

W cyplu dworskiego lasu, porośłym z rzadka dębina i krzakami jałowcu, wrzynającym się klinem w pola chłopskie, pokrytym niską, puszystą darnią, a przeciętym ciepielowską drogą, na skraju samym wznosił się wysoki kopiec chrustów, otoczony jakoby wałem zapasowego paliwa, wałem gałęzi suchych i zbiórki, których rój chłopaków wśród nawoływań, krzyków i śmiechu wciąż jeszcze świeże znosił zapasy z głębi kniei.

W cyplu tym lasu wielkiego wrzało, jak w ulu...

– Matusiek!... – wołał płaczkliwym głosem na opodal myszkującego towarzysza sześćioletni Jędrus Sulimczak, w gronie licznej podsołtysa rodziny oczko w matczynej głowie, chłopak jak gałka, ale skory do płaczu na zawołanie.

– Matusiek!... – piszczał żałośnie. – O lo Boga!... lo Boga!... – jęczał, mocując się z suchą gałęzią dużych rozmiarów, co uwikłana w kępie jałowcu ani ruszyć z niego się dała.

W tył wyprężony, brzuszynę wypinając jak bańkę, oburącz ciągnął ku sobie zdobycz nie lada, rozmiarami gałęzi olśniony, a zrozpaczony oporem.

„Tylaśnej” żaden bo jeszcze nie znalazł dotąd z chłopaków, byle jej dostać!...

– O lo Boga!... lo Boga!... – zawodził, raz wraz poślizgując się bosymi nogami na miękkiej darni, aż i szarpnąwszy się mocniej, nagle z wyrwaną z krzaków gałęzią gruchnął na ziemię.

Zerwał się jednak w te pędy, bo z pomocą nadbiegający mu właśnie, kono-
piasty jak przedza Matusiek Kosiorów wyciągnął rękę po gałąź, niby po swoją.

– Matusiek!... nie rusz... Matusiek!... moja... – wrzeszczał teraz chłopczyzna,
jakby go ze skóry obdzierali. – Pódziesz, Matusiek!... to ja znalazłem!... – powta-
rzał, czepiając się zdobyczy, wleczonej przez Kosiora ku zapasowemu wałowi.

Został się wreszcie sam przy gałęzi, bo oto z głębi lasu ozwał się krzyk
Antka Nachylaka:

– Kot!... kot!... a nie daj!... a nie daj... – i sypnęło się całe grono chłop-
ków. Matusiek podążył też z nimi w ślad głosu Antka za ruszonym przez niego
z krzaków zającem.

Po kniei aż zahuczało... Szarak, zbudzony z drzemki, jak strzała pomknął na
pola, gnany przez dzieciaków, tylko co w biegu nie utknąwszy na Nowotnika,
wyciągniętego z fajką w zębach na trawie, tuż obok kopca.

Legł tu na straży, a leżał już od zachodu. Baczył, aby chłopaki nie obłamy-
wali świeżych gałęzi, poprzestając na uciążliwszej zbiórce i chrustach.

Cypel ten lasu, z dawien dawna przeznaczony na obchód sobótki, bo mniej
porosły, a bliżej wsi położony, służył obchodowi temu i nadal, mimo zawartej
z dworem ugody o służebności. Wieliczanie, choć dziś już swój wyłączny las
posiadali, pragnąc jednak mieć jak największe korzyści, wybrali sobie część
jego z dala ode wsi, aż do granicy łaziskiej, o zwartym, niby ściana, młodym
jeszcze poroście. Palić sobótki nie sposób było w tej gęstwi; pierwszego tedy
roku zaraz po przeprowadzonym układzie, na tydzień przed świętym Janem
stanęło przed dziedzicem poselstwo dziewczuch wielickich i po długich wzdraga-
niach się, sromaniach a odwracaniach, przez przysłonięte zapaśnikiem usta
Szarpaczki, wychichotało prośbę mniej więcej taką:

– Coby się nikiem wele sobótki ostało i po dawnemu...

Znaczyć to miało, a czego w końcu domyślił się i dziedzic, że oto proszą
dziewuchy „pięknie”, aby jak dawniej dwór nie odmawiał placu i zbiórki na
obchód.

I po dawnemu nadal ostało, i tak jak dawniej wigilijny wieczór świętego
Jana jeden z gajowych spędzał w cyplu lasu od ciepiewskiej drogi, strzegąc
skrawek ten, dębina i jałowcami porosły, przed ogniem i obłamywaniem gałęzi.

Wrzaskiem chłopaków i nagłym zwrotem kota wyrwany z zadumy, Nowot-
nik podniósł się żywo i, jakby osobą swoją osłonić pragnął zajęcia zaszytego już
w runi, huknął z pogroźką:

– Ano tam, smyki!... Ja was tu, raki zatracone, nauczę zwierzynę płoszyć
po lesie!... – i ruszył, suchą gałąź chwytając w rękę, ku zgrai chłopaków, wycią-
gniętej przed nim sznurem, niby naganka, a głosem jego wstrzymanej w miej-
scu.

Z wielkim przejęciem, zdyszany, jął rozpowiadać Nachylak na ukojenie
rozniewanego niby ciekawą rzecz niesłychanie:

– Smyrgnął mi ci bestyja spod krzaka, ano chlust w pole... – gdy, nie łatwy
do rozbrowienia, gajowy przerwał:

– Ja ci tu smyrnę... – i krokiem posunął naprzód, co w okamgnieniu rozbiło gromadę na wszystkie strony.

– Nie było ci i przez tego z chłopstwem kłopotu – zrzędził, powracając na dawne stanowisko Nowotnik – a jeszcze i tych szczeniaków pilnować mi trza po nocy. Psia para, koty płoszą ci po jałowcach, a ino patrzeć, rychło i lasu kawał podsmalą, i będzie ci dziedzicowi sobótka.

Z fajki, uderzając nią po cholewie, wytrząsnął popiół, a nałożywszy świeżą, jął dumać dalej.

A pomrukiwał co chwila, chmurny, a spluwał, zły czegoś najwidoczniej i nieswój.

Ba! niewesołe przyżuwał myśli.

Na szczęt bo mu ci Magdzia „schłopiała”, a i do ładu ani z nią trafić. Za Franciszkowej oglądała się jeszcze na ojca, jako opieki trza jej to było musi przed starą; ano bez te trzy roki, co od pochówku onej minęło na wiosnę, jakby i uciał, ledwo co za nim i spojrzy...

Zaś on nie tego zgoła przecie po Jakubowej wyglądał.

– Cała ci już z niej pani – bąknął – i ani przystap przez kija...

Zwłaszcza od chwili, gdy Musiała został sołtysem na wyborach, jęła go sobie zbywać niczym.

– Dyc sołtysowa!... – mruknął i splunął.

Ano od dworu odrzuciło ci ją bo także, i dworu żałował teraz, z którym, dopóki stała w bliższym stosunku, jakoś mogli się łącniej porozumiewać, a i wspólnego nie brakło im interesu. Skoro się jednak, a radził jej to, sam przecie radził, zaczęła „zabawiać” z chłopstwem, jakby się ot wymknęła z ręki, żadnego ci z niej pożytku. Gdyby nie Jakub, co coraz częściej zaglądał na dno kieliszka, a lubił go mieć do kompanii, nic bo nie miałby ci z tego.

Ilekroć dzisiaj, jako to dawniej, skarżył się jej na pustki w kieszeni, miasto jak dawniej rzec „znajdzie się tam”, mówiła:

– Źle ojciec trafili oto, i my też właśnie przez grosza...

Sołtysostwo, powiada, pochówek starej, zjadły wszystką gotówkę, nawet u Jukła zadłużyć się ot musieli, a co tam ludzie o jakimś znowu skarbie gadali, o wielkich jakichś po Franciszkowej pieniądzech, bajka i tyla; stara nie zostawiła i na owinięcie palca. Ino co ziemi szmat był i spory, ale jak ziemia – dyc nie ugryzie jej przecie.

Rad nie rad poprzestać musiał na tłumaczeniu onym, umiał je już na pamięć, choć mu się jakoś nie bardzo mieściło w głowie. Magdzia, jak dawniej, stroiła się a hulala, a żadnego nie przepuściła jarmarku ani odpustu, chrzcin żadnych ani wesela; zaś Jakub towarzyszył jej wszędzie i wszędzie huczno wele nich było a dworno. Musiała podochocony sypał groszem jak plewą, i on to przecie, gdy pałkę zalał a dobrze, on, nie kto inny, skarbem się jakimś przechwalał głośno, chwalił pieniędzmi po starej, fundując butnie, gdzie i popadło.

Magdzia bo ino śmiała się z bajek, a na kieliszek składała, ale go musi i do kieliszka, nie kto, wodziła, coby wolniejsze mieć ręce. Ledwoć chłopisko spoilo

się kajściś, co i bożym zapomniało ci świecie, wnet go kaj niebądź i ostawiała, do domu wracała sama.

Tu fajkę strząsnął znów po cholewie, splunął i burknął:

– A tylko?... Sama!... – poczem się z gniewem rzucił na trawie.

Sama... Gadali już o tym ludzie, co się to wonzas nawijał zawdy Orylak, a na wasagu widziano go też z nią razem, jako se, nikiem baba, z uprzężą i nie umieli dać rady. Siadywali ci z nimi, prawda, Wojtkowa, ano i przez Wojtkowej widywano ich równie. Mówiły baby, jako i dobrze, co chłopą trzymała krótko, a kiej się spijał, to mu i zdrowo piechtą powracać. A dyć powracał, kajże bo nie miał, za opiekuństwo dziękował...

– Galante ci opiekuństwo!...

Już to tak będzie rok, abo więcej, wodziła Jędrka za sobą, a chłopakowi w to graj, i nie dziw. Chocia u ojców siedział na roli, syn gospodarski, nie było tam za co i brykać. Łukasz se Oryl zamożni, prawda, na gospodarce, na całej, ale i dzieci było pięcioro, wszystko krom Jędrka podloty same, co ino wołają dawać. A chłopak nie skory do roboty albo i znoju, tyle co z musu. Za dziewuchami jeno by latał, co, że to gładki, jako te muchy laży do miodu.

Wiedział, że słodki, wiedział psia para, a zasie czubem wstrząsał, kiej grzywą, a zęby jako wilk szczyrzył, a ino patrzył, kaj która. Aże i oną ci poruszyło, co wszystkie za nim łyskały, i dawaj że go sobie odbijać, musi bez ambit.

Hulają oto zawdy a razem, a jemu ino oskoma, ano jakaś bo ci w tym pociecha, że to z jesienią i popis, a zaś chłopaka, co to rok temu powrócił się z wolnym losem, przychyci czy nie, może w końcu i raz go się przecie pozbędzie.

Ale znów splunął, rzucił się znowu, boć to i marna pociecha!...

– A dyć to – mruknął – w lesie im dalej, tym ci, wiadomo, drew więcej... a i chłopaków onej nie zbraknie, skoro to zechce...

Tymczasem zaś noc zapadła głucha. Przepiórki ucichły w zbożach, garść nietoperzy snuła się milczkiem, to wzlatując na jasności blade miesiąca, to niknąc w mrokach. Od łąk płynęło granie derkaczów, niekiedy tłumione szumem wiatru, co zrywał się w głębi kniei w pola raz wraz kłębami. A co z kłębów tych który pochylił konara w lesie, jakoby rojem gwiazd rozpalonych sypało z nieba.

Chłopaki zaprzestały już zbiórki w ciemni, ten i ów po jałowcach łowił świetliki, reszta, zbita w gromadkę, przysiadła na skraju lasu i, wiodąc przyciszoną rozmowę, łakomie zwracała oczy ku wsi, od której to skrzyp żurawia, to dochodziło urywane psów szczekanie.

A dyć bo z przejściem zwlekają dziwnie, czekać markotno...

Aż się Sulimczak porwał najpierwszy i krzyknął:

– Idą!...

W gromadce szepty zmiłkły, jak uciał, zmiłkła rozmowa; podniósł się z trawy Nowotnik.

– Aści że idą... – potwierdził teraz Nachylak.

Ode wsi zaś szумы były dalekie, które po lesie tonęły w kłębach wiatru, to znów wyraźnie zwiastowały ruch w niej niezwykły. Psy jeły naszczekiwać częściej a głośniej, aż i zawyły chórem, bo oto nagle od karczmy, het, od kościoła, odezwał się głos skrzypiec i bębna i zwolna mijał chałupę za chałupą, zagrodę po zagrodzie, zbliżając się wciąż ku drodze ciepielowskiej i ku lasowi. Bystre oczy chłopaków wypatrzyły już nawet trzech wyprzedzających gromadę parobczaków, co biegiem prawie przekonać się spieszyli o stanie kopca i zapasach paliwa, przygotowanego na obchód.

– Jędrak Orylak leca... – zauważył głośny Matusiek.

– Ze Stachem Majem – dorzucił Antek.

Co do trzeciego sprzeczano się chwilę żywo.

Matusiek twierdził, jako Józek szedł w kompanii Leśkiewiczów. Antek zaś utrzymywał, że leci Wojtek Małaczków, aż ich pogodził pucołowaty Jędrus, który, w zamiarze jak najprędszego pochwalenia się parobczakom „tylaśną”, pobiegł naprzeciwko i wrzasnął z drogi:

– Dyc Wojtek idą, Wojtek Małaczków!...

– Widzita... a nie mówiłem? – ozwał się Antek, butnie mierząc Matuska.

Ale na spory nie było czasu, bo granie skrzypiec, huk bębna zbliżały się wciąż, zbliżały... Sobótka zapowiadała się liczna. Coraz głośniejsze dobiegały od wsi gwary. Słyszałeś chichot dziewczuch i pokrzykiwania chłopaków: tamte przodem, owi w trop z tyłu postępowali w dwóch oddzielnych gromadkach, widnych już na płowej drodze. Z boku nieco i z dala sunęła garstka co najciekawszych obchodu niewiast, na których czele toczyła się Wojtkowa, sapiąc z rozmachem. Kilku poważnych gospodarzy, z rękoma w kieszeniach sukman, zamykało ten pochód, wiedziony przez parę muzykantów, przygrywających na ochotnika na bębnie i skrzypcach.

Skory zawsze do figłów Orylak żywo ułożył z zapasowego chrustu niewielki kopczyk i siarnikiem go zatlił. Strzeliły ogniem suche drzazgi a jednocześnie powstał krzyk i zamieszanie w szeregach dziewczuch, co w przypuszczeniu, że oto bez nich rozpalono sobótkę, pędem rzuciły się ku lasowi, w ślad zaś chłopaki, korzystając z okazji, uderzyły w rozprysłą gromadę, niosąc z sobą ogólny popłoch.

A Jędrak, rad ze sztuczki, wołał:

– Dyc wlekło się to kieby ślimaki, tom ci im skrzesał ognia na prędkość.

Zdyszane, po lesie, niby stado kuropatw, rozbite strzałem, opędzając się chłopakom, jak mogły, w pojedynkę już teraz, każda z napastnikiem na piętach, jedna za drugą zbierać się jeły dziewczuchy wreszcie pod kopcem, gotując się do ostatecznej przedobchodowej narady. A już nie figle miały bo w głowie. Zadanie czekało je nie lada, zgoła poważne: połączyć w pary wszystko, co we wsi powiązane być mogło stułą, i pary te za chwilę świętemu Janowi, niby swatowi, zlecić w opiekę. Do zadania tego brały się nie żartem i biada chłopakowi, który by żartem narady chciał im przerywać albo przed czasem podstępnie treść ich pochwycić. W odosobnieniu też, o kilkadziesiąt kroków od kopca najmłodsze

dziewczęta, jak strażą odgrodzone kołem, a pod doświadczonym przewodem Szarpaczki Nachylanki, rały szeptem a z namaszczeniem, bo nie bez wiary w czar sobótczanych „wyśpiewek”, zwykle same spragnione ich spełnienia.

A miały i nad czym radzić... Zwyczajnie łączono pary bodaj że chętne one-mu ich łączeniu, często bo nawet i bez sobótki złączone dawno, tylko że dzisiaj nie brakło im ciężkiej sprawy. Wikta Karbowianka napraszała się oto dziewczuchom Wicka Siwca, a kłopot i z Orylakiem: Siwec, choć z Wiktą służył w jednej zagrodzie, „musi ta do niej nie miał się wcale, jako to po wsi wiadomo”, zacie Orylak śmiał się do wszystkich, a wszystkie śmiały się do niego. Z pierwszym pół biedy, skoro upatrowała go se dziewczucha na chłopca, to niechby jej tam święty Jan i pomogli, ino co z Jędrkiem, to insza sprawa. Wszystkie mu rade, a chłopak ci tu sam jeden, no i co począć?...

Aż i Szarpaczka, co głównie z Nachylanką na niego kroila, znalazła sposób.

– Dajwa mu – rzeknie – do pary Kasię, dyć Musialankę... – i przyklasnęły jej wszystkie.

Kasia ci podlot ino dziewczycyca, lat swoich się nie ma, i swatanie przez skutku.

– Dajwa mu Kasię – szepnęły chórem, i na tym „raić” przestano.

I już dwójkami, wpół się ujmując, starsze na czele, para za para stawały w rzędzie, jak do pochodu, kiedy nadbiegła spóźniona Magdzia. Szli za nią Wikta z Kasią i Wickiem, ale Jakuba nie było. Wezwany pilno rankiem do gminy, nie wrócił jeszcze; bez „dziada” zatem, co się jej rzadko trafiało, podwójnie rada, zatrzymała się w gronie niewiast, strojna, swobodna, podczas gdy Wikta, a za nią Kasia ku dwójkom dziewczuch podeszły. Pierwsza stanęła w rzędzie dorosłych, druga nieśmiało wsunęła się między „dziewczyce” w szarym końcu i, wyszukawszy sobie Górajkę, rówieśnicę z sąsiedniego podwórza, a przyjaciółkę od serca, wpół ją objęła, poważna jakaś, jakby smutna.

Czas był ostatni!... Z zapaśnikami, które od żaru chronić je miały, przesu-niętymi na ramię, a namarszczone zawsze, przejęte, ruszyły dziewczuchy z miej-sca i „pochwalonym” powitawszy obecnych, zwolna jęły okrażać kopiec, co, jednocześnie z czterech stron podpalony, dymem kłębił się cały, pryskając od spodu skrami.

Aż i pod niebo buchnął słupem płomieni, a wraz po lesie spłynęła chórem pierwsza zwrotka śpiewu:

Powiedzże nam, święty Janie,

Kiedy twoje narodzenie.

O! święty Janie!...

*W koło, w koło, kole ognia
Będziemy tu dzisiaj do dnia.
O! święty Janie!...*

Wolnym, miarowym krokiem, przez Nachylankę prowadzone w pierwszej parze z Szarpaczką krążyły dziewczuchy śpiewając, zróżowione słupem ognia, jak zorzą. Gdy mimo zapaśników, którymi przysłaniały twarze od strony kopca, śpieczone żarem, znieść go nie były w stanie dłużej, na miejscu, ni to wyćwiczone sprawnie szeregi, a zawsze śladem pierwszej, przewodniej pary, zawracały się wężem, co jako pierścień migotał: ciemny, ruchomy, na tle barwnego płomienia.

Obręcz ta otaczała cały niemal kopiec, zostawiając niewielką jeno przestrzeń wolną, pomiędzy pierwszą parą a końcowymi. Tedy to duchem chłopaki „smyrgały” żywo, dorzucać chrustu, to nadpalone głównie zgartywać w głąb ognia, wreszcie przez figle, jakoby się przygotować pragnęli do skoków przez ogień, objętych obyczajem sobótkowym. Skłębiony wiatrem słup żaru kładł się chwilami po ziemi, zasypując dymem i skrami obecnych, to wzbijał się znów pod niebo, czysty, jasny, spokojny, obkładając wszystko i wszystkich kolorowymi łyskami.

A dziewczęta śpiewały, poważne, przejęte, po każdej zatrzymując się zwrotce, jakby czekały na pierwsze z góry od Nachylanki i Szarpaczki hasło, rodzaj wezwania, wstępne wygłaszając strofy.

Zwrotki te w otoczeniu mniej zajęcia budziły; znano je dobrze, powtarzały się przecie co rok, wśród niewiast tedy, gospodarzy i parobczaków rozmowa szła i sypały się żarty. Wysunięta na czoło stała Magdzia z Wojtkową w umizgach do niej pod bokiem, a Nowotnikiem tuż za nią pykającym fajkę, rada im snadź niewiele, twarz rumianą przysłaniając od czasu do czasu dłonią, spod której coraz strzelała wzrokiem ku Jędrkowi, rozprawiającemu coś żywo w gronie chłopaków. Przytyła znacznie, o rozlanych już nieco rysach, okolonych bujnym zawsze porostem włosów, czarnych jak kruki, z czarnymi, szeroko jak węglem znaczonymi brwiami, w kaftaniku białym i takiejże spódnicy, przepasanej czerwonym fartuszkim, iście niby królowa dokoła królowała poddanych, wabiąc oczy ich ku sobie bezwiednie.

Zwolna twarz jej, zrazu rozjaśniona nadzieją, sępić się jęła. Wymowne ponad oczyma brwi uniosły się nieco w górę, spływając się niemal razem, w rogu zaś ust wiśniowych uśmiech się ni to błąkać począł przekąsny. I coraz rzadziej strzelając wzrokiem na boki, zbywając półsłówkiem gadatliwą Kajtaniakową, a ojca wzruszeniem ramion, oczy utkwiała w płomieniu jak odrętwiała, rzekłbyś ni śpiewu nie słysząc, ni ludzi nie widząc przed sobą.

Oj! miała bo już tego wszystkiego dosyć, miała do syta!...

I Kajtaniakowej dosyć zawsze pod bokiem, i ojca tego z wiecznie pustą kieszenią, i Kasi dosyć, i Wikty, i Wicka; dosyć nawet bywało Jędrka; chałupy dosyć, chrzcin, wesel i odpustów, chłopstwa dosyć, a zwłaszcza dosyć, oj, dosyć „dziada”!...

Uczucie nudy, nudy okropnej, pustki jakiejś i nieokreślonej za czymś tęsknoty opanowały ją więcej i więcej, „dur” czepiał się jej.

– Dur, sprawiedliwie!...

A napadało ją to, jak teraz, raptem, znienacka; w chwilach najmniej z pozoru temu dostępnych.

Wybierała się na sobótkę ochoczo, rada, rada oto nieobecnością Musiały, obiecując sobie zabawę szczerą, nie krępowaną niczym, a podniesiona towarzystwem Jędrka, z którym „politykowała” wprawdzie czas jakiś właśnie, którego lubiła jednak, od roku przeszło lubiła poność. Nie w tym już stopniu, jako przed rokiem, kiedy to po swojemu a „rezolutnie”, krasą jej i zalotnością zwabiony, zalecać się do niej jął „na zawziętkę”, tak rezolutnie, że choć jej tylko o „zalecanki”, choć o zabawę tylko, nic więcej, polubiła go w końcu i lubi chyba, bo z myślą o nim tu biegła. Ano gdy co do czego przyszło, gdy sobótką się oto przed nią tliła żarem koralu, zawodziły śpiewem dziewczuchy, gdy Jędrak, nie spuszczaający jej z oka, opodal, ruchem sobie zwyczajnym hardo potrząsał głową, błyskając białymi zębami spod ciemnych wąsów, a wesoło, jak nigdy, dogadywała Wojtkowa – ona stała, w ogień wpatrzona bezmyślnie, z żalem jakimś w sobie, bólem prawie i śmiecią – kto by dał wiarę? – jej śmiecią płaczu...

Ale bo dosyć miała tego, dosyć wszystkiego!...

Zaczynała ot nawet stan swój rozumieć, a tylko pewności brakło jeszcze, co tam w niej grało, ku czemu rwała się dusza, rwała ni to się z niej na wolność, tęskna, w świat dosyć szeroki.

Samowiedza przychodziła jej nagle, błyskami jeno; spadała dusznym objawianą pragnieniem, które się w niej aż fizycznym odbijało uczuciem, tchu brakiem i żarem jakimś, z piersi na twarz idącym.

Dworu, musi, to dworu... nie stało jej, niby dżdżu kani!... Ludzi brakło jej dworskich, dworskiego obyczaju nie stało!...

Gdy trzy lata temu, „wziąwszy na ambit”, zerwała wszelkie z dworem stosunki, rozżalona na panią i żalem rzucona w objęcia chłopstwa, zerwanie to zniosła jakoś spokojnie, a nawet, zdało jej się na razie, i żałować nie miała czego. Wyróżnienie, z jakim ją między swoich chłopstwo przyjęło, widoki dostojęństw przez Musiałę dla siebie samej połącztały miłość jej własną rozkosznie; zalotność znalazła pole do popisu szerokie, nadspodziewanie szerokie, skarb zaś w stodole, skarb ten, żartami i lekceważeniem zbywany, a jak się okazało, skarb rzeczywisty, podniósł ją w mniemaniu własnym, coraz nowymi myśl jej, kołysząc urojeniami na przyszłość. Śmierć wreszcie starej, zwalniając ją od koniecznego na zawsze przymusu, poważnej nad sobą groźby, życie roztwierała przed nią swobodne, jako ptak wolne, które bo całą wchłaniając piersią, o dwo-

rze ani wspomniała, któremu tylko jeden jedyny, coraz wstrętniejszy, samym istnieniem swoim „dziad” wadził.

Samym istnieniem, osobą zasię niewiele...

Odkąd w Zwoleniu przekonała go miarką miodu do wąsów i postrzyżyn, miarką przekonywała go zwykle, ilekroć w „niestosownej” narzucał się godzinie. I ot, nie wolność tylko zdobywała za jednym zamachem, ale obracała na swoją stronę języki kumoszek, co się poczynały dziwować opilstwem Jakuba, niewieście na pociechę „w rumel” kiwając głowami:

– Nikiej – mawiały – tak ci go, musi, i sołtysostwo zdurzyło...

Środek był pewny, kosztowny jeno okrutnie. Musiała, gdy raz pić zaczął, na umór pijał, a wtedy grosz mu bez ręce płynął jak woda, płynął strumieniem. To zaś ją gryzło, boć, nie do wiary, na grosz się oto łakomą stawała ona, ona, co dotąd nigdy się za nim nie oglądała zbyt. Ale bo go też i nie miewała do zbytku, i patrzeć za czym nie było. Dziś co innego, dziś w kufrze, kufrze jej własnym, stał garnek grosza, nie byle jakiego grosza. Po śmierci starej, jątrzony drwinami z chamskiego obyczaju, co ci to pieniądz wtykał po mysich dziurach, Musiała dobył garnek z kryjówki i przeniósł go kufra w komorze, pod klucz jej oddając, pod jej klucz własny. Marudził z tym, bo marudził, a ociągał się, a zwlekał, a po głowie drapał, a stękał.

– Kajże bo ci tu – powtarzając – grosz taki nikiem wielgaśny trzymać w chałupie – ale go drwiny babskie przemogły, przemogła chętka użycia i skarb się znalazł w komorze.

– Nikiej na oczach, a w kufrze oto zamczystym...

Miała go teraz, miała pod ręką, niby rodzony, i jak z rodzonym obchodzić się z nim jęła – ostrożnie.

Nie chłop jej dzisiaj grosza udzielał, marnego grosza, co jak przychodził, tak ci go i zbywała bez troski, oglądając się na chłopca za nowym, ale go przecie z kufra czerpała dziś swego, jak dobro swoje, rada, by go nie zabrakło. Gdy po wyborach padło spłacać dług Jukłowi, jako że dłużej Żyda się zwlec nie dało, i po raz pierwszy przyszło i jej wymienić pierwszą stówkę, tak zawsze skora w wysyłaniu przedtem dziada do garnka, zawahała się czegoś, szukając innego wyjścia, i ku wielkiemu chłopca zdziwieniu, obces na niego, wyrzucając mu „nikiej nieboszczka”, rozrzutność i brak zapobiegliwości.

– Ino się właśnie na garnek oglądaj zawdy, a tylko patrzeć, jak dnem ci zęby wyszczerzy – mówiła, zamykając kufer zamczysty i klucz do kieszeni chowając.

W ostatniej chwili spłaciła ledwie połowę długu, zaś Jakubowi, zwracającemu jej uwagę na ciężar lichwy żydowskiej, zamknęła usta twierdzeniem, jako przed ludźmi lepiej się było nie zdradzać z gotowym groszem.

– Niech się tam z Żydem – dodała w duchu – chłop z gospodarki ujada... Nie moja głowa; a co mam w kufrze, tegom i pewna.

– Nie po to – zwyczajną kończyła zwrotkę – za chama prostego wyszłam, żeby mu jeszcze za dziewczkę służyć może...

I takie ją do garnka schwyciło skapstwo, garnka „swojego”, że nawet ojcu, któremu przecie nie żałowała dawniej, coraz to rzadziej przychodziła z pomocą w potrzebie, coraz się częściej wykręcając przed nim brakiem gotówki, ba! o składaniu przemyśliwając już nawet, markotna jeno, że oto dziada od kufra nijak odsunąć.

I było jej w chacie długo, długo niezgorzej. Drażniła ją wprawdzie obecnością swoją Kasia, to jakby odbicie starej, to dziwnie nad wiek poważne dziecko, co, ciche a pracowite, snuło się po zagrodzie dnie całe, do pary z Wickiem, rzekłbyś, „nie swoi”, tak na uboczu, zawsze i razem. Drażniła ją ta przyszła dziedziczka chaty, z którą się bodaj liczyć jej przyjdzie, skoro jej losy snadź odmówiły własnego potomstwa; ale się dotąd nie frasowała tym zbytnio, pani dziś sama i gospodyni bezsporna, lepiej że wolna, nie skrępowana rodziną, ano na wszelki ze skarbem wypadek. Kasia? ot dziecko, a że spokojne, i nie widziała go prawie.

I dobrze było jej długo, długo niezgorzej, aż na jesieni, rok już dobiegał, do Lipska wybrała się na jarmark, jak zawsze z dziadem, jak często, zabrawszy na wasąg w drodze w przód zmówionego Jędrka. Od dnia oświadczyn, kiedy to Jakub, a pamiętała to głównie, raczył ją w najpierwszej restauracji miasteczka, w katolickim zajeździe przy ulicy Iłżeckiej, Mosiek Koper zaś po raz pierwszy nazwał ją panią gospodynią, nie była tam ni razu. W lesie bo jej się przypomniał tylko zając przebiegający im drogę i pośpiech Wicka, i prysznic okiści śnieżnej; w miasteczku opanowało ją wspomnienie dzierżawcy z Jasieńca, a rumieniec oblał ją pąsem, gdy, dziwnym trafem, spostrzegła go w oknie tego samego zajazdu na rogu ulicy Iłżeckiej. Snadź ją pamiętał, bo żywo od okna się cofnął, a chwilę później cały w podrygach Koper witać ją począł z wielkim zapalem.

Paplał i paplał, a mrugał do niej znacząco, to na Musiałę krzywiąc się, to na Orylaka. Udała, że nic nie widzi, nic nie domyśla się zgoła, nijako było przecie, jej, gospodyni, nijako sołtysowej, w otwarte z Żydem wchodzić konszachty. Szła więc przy mężu obojętna z pozoru, a lękiem jakimś i ciekawością aż drżąca.

Tak bo już dawno okazji nie miała takiej!...

Wreszcie się Jakub zabarłoczył gdzieś z Jędrkiem, Żyd zaś z kopyta pośpiesznie prawić jej zaczął, jako to prędzej „wół do karety” niżli „cham” jakiś do takiej „godnej” nadawał się, „pod chajrem, osoby”; że w pałacach jej mieszkać a karetami jeździć, cugami; że „na jego sumienie”, spostrzegł on to od razu a i fajn spostrzegł pan jasieniecki, co to w zajeździe pod czwartym numerem „stoi”, a że na kupców czeka z Radomia, kupców na rzepak, to i stać będzie może dzień cały, może do jutra, w takim numerze, co to do niego od tyłu ino dwa kroki...

Tu jednak zżymnęła się, brwi marszcząc, ale jak ongi Jakubem nie zagroziła Żydowi.

– Niech sobie Mosiek – rzekła mu tylko – innej gdzie szuka, bo, sprawiedliwie, zwymyślam... i nie spojrzawszy nawet na niego, ruszyła przodem.

Wzburzona wprawdzie śmiałością Żyda, co to ją obces, patrzcie, na drodze, numerem częstował jakimś... – podszeptami jednak faktora poruszona, a z rozdmuchaną, niby żar pod popiołem, zalotnością w duszy odrzuciła zaproszenie na „arbatę”, z którym, pomny ostatniego w Lipsku pobytu, a dziś byle się poza domem znalazł rozrzutny Musiała wystąpił z naleganiem. Na dziada spojrziała z góry, wzgardliwie, z lekceważeniem na Jędrka; „wół do karety” stanął jej w myśli i za nic w świecie nie byłaby się chciała pokazać z chłopem u boku jasienieckiemu dzierżawcy. Sukmany znowu, do której zdawało się już przywykła, wstydzic się oto jęła, jak dawniej, i na chwilę znów chętką zdjęła ją dawna, zastąpić ją kapotą kolonisty, baranią „czapę” zamienić na kaszkiet, a wełnianym pasem przepasać dziada, jak kolonistę. Tylko że teraz, ze skarbem w kufrze, po co jej tego? „Ekspensu” szkoda, próżnego szkoda zachodu, „cham zawdy chammem”, w sukmanie jak i w kapocie, ano bez niego obeszlaby się też przecie, jako już o tym, z groszem na pocieszenie pewniejsza jutra i siebie, myślała nieraz, a oto myśli bo właśnie.

Koper wypaplał, co wiedzieć chciała, zabawy nastęrczała jej się sposobność, dawno wśród chłopstwa nienapotykana okazja zabawy z panem ze dworu, i nie opuści jej pewnie. Tak, na herbatę pójdzie, lecz sama, bez dziada i Orylaka, pójdzie się bawić, oczyma błysnąć, urodą, pośmiać się i pożartować, ano na sali i głównym na salę wejściem, bawić się tylko, jak się bawiła po dworach. Fałą uderzyły na nią wspomnienia lat dawnych, aż pokraśniała. I zamyślona, z chłopstwem na piętach, obchodzić jęła stragany po rynku, chłopstwa się pozbyć rada jak nigdy, gdy niespodzianie, jak wywołana stanęła przed nią Wojtkowa.

Z prosiakiem przyszła „nikiej na sprzedaj”, a zbywszy się towaru, zadowolona z siebie, swobodna, łowiła po jarmarku kumów i kumy, to tu, to ówdzie chwytając bajkę lub poczęstunek. Spadła jej właśnie, spadła jak z nieba, ona bo chłopów zająć potrafi, i nie zwlekając, niby spragniona, wstąpiła do najbliższego szynku, skąd się niebawem znowu na miasto wymknęła sama.

Gdy dobrze już z południa wróciła, Kajtaniakowa, otoczona kołem „somsiadów”, wyśpiewywała sobie w najlepsze, rumiana, jak piwonia, na nogach słaniająca się z lekka, ale przytomna, podczas gdy Jędrak, wodząc po izbie ponurym spode łba wzrokiem, z głową opuszczoną na piersi, mrucał coś niewyraźnie do siebie, na ławie za stołem wsparty, a obok niego ścięty z nóg zupełnie leżał jak martwy Musiała.

I nie zdołano się go dobudzić. Radziła Kajtaniakowa, by go na wasąg wprost z szynku wynieść, ale i słyszeć nie chciała!... Wystawiać się na pośmiewisko gawiedzi jarmarcznej! A nużby ją w tej chwili wypatrzył dzierżawca jasieniecki, który ot świeżo tyle jej naprawił różnych różności, a gospodynią chciał mieć u siebie, panią we dworze, o spotkanie w Lipsku „na wstępy” koniecznie prosił, a mówił do niej grzecznie a z dworska, jako „do lepszej”. Zresztą bo nigdy takiej zawiści do chama tego nie czuła, chama, co świat jej zawiązał sobą i niby kulą ciążył u nogi, wstydem przejmował i wstrętem.

– Spił się jak bela – rzuciła jeno Wojtkowa – jak to nieboskie, nie przy-
mierzając, stworzenie, to niech i leży, kaj sobie posłał, a mnie co za niewola!...

Z Kajtaniakową i Jędrkiem siadła na Wasąg i niby ta noc ponura odjechała
do domu „przez chłopą”.

Pierwszy to raz w ten sposób porzucała Jakuba pod ławą, lecz nie ostatni,
od dnia onego odrywając się coraz więcej od chaty, dziada i chamów, a ku dwo-
rowi odwracając i dworskim. Z jasienieckim panem spotkanie, niby w głąb du-
szy rzucone ziarno, kiełkowało w niej pędem, zacierając ją sobą zwolna, jak
gąszczem, wszystkie uśpione budząc w niej prądy, wszystkie pragnienia.
I dziwne zaczęły ją napadać myśli, zachcianki dziwne; czyż nie marzyła bo na-
wet, że z gospodyni tylko w Jasińcu, zwyczajnej gospodyni, nic więcej, prze-
dzierzgnęła się w panią istotną i dzierzawczynią została sobie, dziedziczką, jako
to przecie trafiało się i sługom. Tak rojąc, zapomniała o dziadu, o świecie bo-
żym; z wypiekami na twarzy, w komorze zamknięta szczelnie, przebywała tak
długie godziny, a biada temu, kto ją wyrywał z zadumy onej, dziadowi biada,
gdy się na oczy nasunął!... Do życia nagle zbudzona, do smutnej rzeczywistości
budziła się zwyczajnie niewesoła i niewesoło bywało w chwilach onych w cha-
łupie.

– Handryczy – mawiała Wikta, Wicek zaś z Kasią milcząc spoglądali jeno
po sobie.

Nie zawsze jednak w marzeniach sięgała równie wysokich szczytów; widok
topoli dworskich, ogrodu, widok szczególniej mieszkańców dworu, w kościele
spotykanych dziś tylko, a między nimi miejsce jej dawne zajmującej popod
chrzcielnicą pokojówki Zosi, wszelką w niej truły swobodę ducha, napawając na
długo tęsknotą.

Zmożona nareszcie, zrzucając pychę z serca, dnia pewnego wybrała się do
garderoby swojej, do panny Pauliny, ot tak, po starej znajomości, co słyhać?

Nie miała już kogo strzec się w zagrodzie, z chłopem zawojowanym na
oślepie, szła więc bez lęku, zdobywszy się raz na ofiarę z „ambitu”, rozradowana
niewymownie. Szła pastewnikiem, jak dawniej, na każdym kroku o nowe potra-
cająca wspomnienia, wzruszona a uśmiechnięta, wesoła a roztkliwiona, nie-
swoja, inna, rażniejsza.

Na wzgórzu topolowym przystanęła na skraju tarniny i rzuciła okiem po za-
słanej kwieciem, zalanej słońcem łące.

Wszystko jak dawniej!...

Tam przed nią w trawie utykał zołzami nękany źrebak, zamotyliczona pała
się owca, zaś w cieniu dwóch grusz zadumanych „Jadam” świeży i „Jewa”
świeża kłapaniem warg muchom się opędzały. I łątek rój ponad strumieniem,
i pliszek, a ponad kwieciem motyli i wilga nagle z dworskiego odezwała się
sadu...

Wszystko jak dawniej!...

Zbiegła ze wzgórza, płosząc po drodze zamotyliczoną owcę, zołzującego
źrebaka; minęła „Jadama” z „Jewą”, co , ślepe, łbami zwróciły się na odgłos jej

kroków, obwisłe prostując uszy, i pod ogrodem, przełazem wszyła się w zagony jarzyn, aż i w aleję kasztanów wpadła i ku dębowi ruszyła.

Biegła wzruszona a uśmiechnięta, wesola a roztkliwiona, nieswoja, inna, raźniejsza – i zawód spotkał ją w zamian, zawód okrutny.

Przyjęto ją jak obcą, zimno, ze zdziwieniem. Gośćmi zajęte, pani i panienki nie pokazały się nawet; i podczas gdy onieśmielona, zbywana półgębkiem panny, zbita z tropu a rozżalona do płaczu, siliła się na utrzymanie rozmowy, pokojówka tuż obok, ciekawym a złośliwym obrzucając ją spojrzeniem, prasowała bieliznę stołową, raz wraz wymykając się po dusze do czeladnej, gdzie dwóch z okolicy furmanów raczyło się wedle zwyczaju podwieczorkiem, dowcipkując z dziewczyną, za każdym pojawieniem się jej z żelazkiem.

Wszystko jak dawniej!... Kiedy to Jaśka jeszcze w Bąkowej cygarem poczęstowała przekąsnie i figą z makiem; wszystko jak dawniej, tylko już z inną dowcipkowali furmani...

Na domiar niepowodzenia, ona, od trzech lat prawie na chłopskim wyłącznie poprzestająca towarzystwie, ona, dwórka, dopuściła się wyrażen chamskich. „Kaj” wyrwało jej się, „dyć” potem, a gdy wspomniała o długiej niebytności we dworze:

– „Bez” trzy „roki”, panniūciu, nie byłam... – rzekła.

„Panniūcia” co i „kaj” zniosła milcząco, i „dyć” skrzywieniem tylko przyjęła nieznacznym, tych „bez” i „roków” nie puściła jej płazem.

– „Na szczęt” – odparła – schłopiała na tej wsi Jakubowa!...

Jak z krzyża zdjęta wróciła do chaty, ale za dworem nie pozbyła tęsknoty, jeno do chłopstwa rozgoryczyła się więcej. Na Jędrka nawet długo niby na wroga patrzała, jemu to głównie przypisując schłopienie swoje. Z odwiedzin garderoby wyleczona na zawsze, nie przestawała o stałym w niej przebywaniu marzyć, do chłopstwa jedynym dziś tylko skarbem w kufrze wiązana. Żyła z dnia na dzień, rozrywki żadna, coraz ją rzadziej znajdując dokoła siebie, nudą trawiona, pragnieniem zmiany, w popisach zalotności ukojenie znajdując, hołdów łasa, jak zawsze, czuła na nie, jak dawniej, a szukająca ich, gdzie mogła.

I z Orylakiem oto chciała uczynić zgodę, po długim się nań boczeniu, długą samotnością w chacie znużona, urojonej zbywszy urazy, a o chłopaka przez miłość własną zazdrosna; i wesola, jako i rzadko, nieobecnością dziada zadowolona, w nadziei rozerwania się przecie i ubawienia wybrała się na sobótkę ochoczo, gdy oto znowu ścisnęło ją tęsknotą i żalem, gdy oto znowu wstrętem do otoczenia zdjęło i niby krew ścięło w żyłach, jak odrętwieniem.

A właśnie uwaga się obecnych ku śpiewającym zwracała. Po strofach wstępnych właściwe rozpoczynały się swaty:

Z tamtej strony wiatru zimnego,

Wybierze nam, Boże, którego,

O! święty Janie!...

– Słuchajta!... słuchajta!... ozwało się tu i owdzie.

A dziewczuchy śpiewały:

Którego by tu takiego?

Wojtka Małaczka, to jego,

O! święty Janie!...

– Wojtek ci na pierwszego!... Słuchajta!... słuchajta!...

Dziewuchy zaś kończyły:

A którą by mu darować?...

Jantkę Rosiaczkę temu dać...

O! święty Janie!...

– Jantka!... Wojtek!... – huknęła Kajtaniakowa – no, do pacierza... a w dyrdy!...

I podczas gdy Rosiaczka, w parze postępująca z Małaczkówną, siostrą przeznaczonego jej właśnie Wojtka, o mało z wielkiego wstydu w kłębek się pod zapaśnikiem nie zwinęła, chłopak, jak na galanta przystało, podejmując wyzwanie Wojtkowej, szamotać się jął z dziewczuchą, niby to ją do księdza chcąc zaprowadzić na pacierz.

– Pódzi, Jantka – powtarzał – kiej nam już tak popadło. Pódzi, Jantka, do księdza.

I posypały się żarty.

– Ino cobyś w lesie nie zbłądził, Wojtek!... – wołali jedni.

– Poduczyłaby ci go Jantka pacierza!... – twierdzili inni.

Powoli ład wracał wśród rozbawionych. Wojtek porzucił Jantkę, dziewczęta ruszyły kołem i znów rozległa się zwrotka:

Z tamtej strony wiatru zimnego,

Wybierze nam, Boże, którego,

O! święty Janie...

Na nową parę przychodziła kolej i ponownie na wezwanie słuchajta! cisza zalegała makiem, gdy nagle od skraju lasu, u ujścia ścieżki polnej, na przełaj od kościoła i dworu wiodącej, śmiechy odezwały się echem i głosy, niebawem zaś z za ciemni, w krąg koralowych błysków płomienia wstąpiła rozchichotana Zosia, za nią lokajczyk, za nimi Józka z folwarku z Franką, co gdy się państwo już spać pokładło, polem, na przełaj, na obchód wybiegli razem.

Józka z Franką, nie tracąc czasu, w parę się ujęły i w szeregi dziewczuch wsunęły, pokojówka zaś z lokajczykiem, niedawno do służby przyjętym, na boku przystanęli, na widza.

Jednocześnie, jakby przywołana do życia z zadumy, ocknęła się i Magdzia. Zrazu świecące przy piaskowej liberyjnej kurtce lokajczyka metalowe guziki i biały jego krawat pociągnęły jej oczy, wnet je wszakże na pokojówkę zwróciła, a raz zwróciwszy, przekąsne, zawistne prawie, trzymała na niej.

Tutaj bo panią była u siebie, tamta przybłądą!...

Ale dziewczyna, mniej od niej wprawdzie, urodziwa jednak i młoda, rada również szczyrzyć zęby, a po dwuletnim pobycie w Wielgiem i po wsi znana, nie traciła fantazji ani też w kaszy zjeść się dała. Ten i ów z parobczaków znalazł się przy niej, a śmiechami ich zwabiony z kolei, gdy oto próżno strzelał dotąd wzrokiem w inną stronę, przysunął się i Orylak, gotów biec zawsze, gdzie śmiech postyszał, i dalejże dziewczynie, potrząsając czupryną, po swojemu zaglądać w oczy, obces a rezolutnie.

Magdzia, co nigdy spokojnie znieść nie mogła widoku następczyni swojej u dworu i którą sam tylko ten widok o żal przyprawiał, gniew i tęsknotę, widząc ją umizgami otoczoną chłopaków i Jędrka nawet, przycięła usta i odzyskując, rzekłbyś, swobodę w wesołą wdała się rozmowę z Wojtkową, zaczepiając obok siebie jedną i drugą niewiastę, coraz szerszy jednając sobie krąg słuchaczy. Usiłowała pochwycić z rąk wypuszczone pierwszeństwo; współzawodnictwem pobudzona dziewczyny, rozrurieniona, powołując do walki wszystkie zasoby wdzięków swych i zalotności mieniła się oto w świetle płomienia, jak iskra sama, urodą biło aż od niej, biło jednak daremnie!...

Nowość ciągnęła ku sobie więcej i z pokojówką stroiły żarty chłopaki, Jędrak je stroił.

Przy niej zebrało się trochę niewiast i gospodarzy, przysunął się zwolna i lokajczyk.

Dziewuchy, pragnąc uczcić gości ze dwora, po krótkiej naradzie Szarpaczki z Nachylanką, rzuciły chórem:

Którego by tu takiego?...
Dyć lokajczyka, to jego,
O! święty Janie!...

Poczem wśród ciszy, wywołanej zaciekawieniem ogólnym, odśpiewka rozbrzmiała lasem:

A którą by mu darować?...
Zosię ze dwora temu dać,
O! święty Janie!...

I dalej śmiechy i żarty, lokajczyk wrócił do Zosi.

Wprowadzenie to w grę pokojówki, do reszty szyki pomieszało Magdzi. Młodsza zwyciężyła i nowa!...

Coraz chmurniejsza, chmurniejszym w stronę współzawodnicy rzucała wzrokiem, ostatnim jeno wysiłkiem zmuszając się na spokój i panowanie nad

sobą. Sztucznie pobudzana wesołość przystygła jej na twarzy i rozdrażniona, nie wiedząc prawie, co ze sobą począć, buchnęła wreszcie, jak burza.

Dziewuchy oto Kasię jej zaswatały z Jędrkiem, a chłopak, co dla niej, Magdzi, i oczu od pokojówki nie zwrócił, do dziewczyny skoczył jak z procy i zawstydzonej, niespodziewanym ogłuszonej wywołaniem, kryjącej się za Górajkę i zapaśnik, przypochlebiać się zaczął siarczyście, ze swatów onych ze „sołtysianką” rad najwidoczniej. Zrazu przyjęła wszystko żartami, z dzieckiem bo stroił figle Orylak, do figłów skory, gdy podniecony chrustami kopiec strzelił płomieniem i w łunie światła, niby zjawienie, wyrosła, kształtna, z pionową na czole zmarszczką, poważną, oj, nie dziecko już wcale i nie „dziewczyca”, składna, dorodna, zarysowała jej się w oczach „dziewucha” Kasia!...

– Ino do swatów!...

Żarem się spiekło i, pod wrażeniem zjawiska tego, rzuciło jak omamioną:

– Kasia!... – krzyknęła – do domu, smarkula jakaś!... – i wobec wahania się dziewczyny, nie pojmującej, co się stało, i zwlekającej ze spełnieniem rozkazu, zupełnie już z równowagi wyprowadzona, skoczyła do niej i za rękę chwyciwszy ją, płaczu bliską, pociągnęła za sobą w głąb lasu.

Nie ochłonięto jeszcze ze zdziwienia, wywołanego niespodziewanym wybrykiem Jakubowej, gdy do nowej „dziwoty” niebawem nastąpiła okazja.

Dziewuchy Wicka „zza wiatru wywołały zimnego” i „darowały” mu Wikte, próżno się jednak, zwinięta w kłębek, sromała Karbowianka, przysłaniając zapaśnikiem twarz i oczy.

– Wicka ni słyhu...

Przepadł, jak kamień w wodę!...



Ponad rozległą polaną, ujętą dokoła w zwartą ścianę łąckich i bąkowych lasów, ponad zwałem opalowym zalegających ją mgieł i oparów, het, od bąkowskiej i wielickiej za nią granicy spłynęło słońce, a wzbiwszy się na półtora chłopca, już wyłoczone, spędzając znad kniej chłódów nocnych ostatki, w mgły i opary raz, drugi rzuciło wiatrem.

Wiatrem rzuciło, wpiło w nie kiść spragnionych promieni i ssało... ssało... aż się tumanić jęły w strzępach po niebie, rozbijać, czeznąć, aż na polanie, wśród żytnich łąków zamajaczyły kolonie czerwieńskie: dołem Antoniów, bliżej Helenów, środkiem zaś samym, widna nad nimi młynem parowym, beczynnym dzisiaj, wioska Czerwona.

A gdy spiło ostatnie mgieł kłęby, buchnęło światłem i padło na czworobok budynków gminnych w Czerwonej, i na podwórze, i zajrzało drzwiami w odemkniętą budę więzienną, i ległszy w poprzek niej złotym pasem, błysnęło w oczy śpiącemu w budzie Musiale.

Leżał w barłogu, z rozrzuconymi w krzyż ramionami, z blachą sołtysią, połyskującą na piersiach, snem zdjęty twardym, bo zmrużonych na słońcu nie otworzył oczu, na bok się jeno przed najściem światła przewrócił.

Pas wszakże złoty, wędrując dalej po płowym barłogu, z lewej płynął ku prawej stronie, jasny, strzelisty i, przepłynąwszy przez ramię śpiącego, znowu mu się na twarzy i na powiekach ułożył. Musiała, niby natrętną spędzając muchę, ręką machnął w powietrzu i, przewróciwszy się raz jeszcze, stoczył się w sam środek smugi świetlanej.

Zbudzony blaskiem, odemknął oczy, znowu je zmrużył, odemknął znowu, aż i uniósłszy się na barłogu jął je przecierać i ziewnął.

– Galantom zasnął! – mruknął i chciał się podnieść, gdy ostry ból głowy jakby go wstrzymał w miejscu, zza uchylonych zaś drzwi komory doleciał chichot głosów dziecięcych i wyraz:

– Bela!...

Spojrzał zdziwiony, dłonią powiódł po czole, niepokój jakiś ścisnął go w sobie, a snadź snem przytłumiona pamięć wracała, bo chwycił za kapelusz porzucony w barłogu, na równe porwał się nogi, i z ust spieczonych chrypką wybiegło:

– A słowo stało się ciałem!?!...

Co on tu robił?...

Ku drzwiom się ruszył, ale się w miejscu potknął, zatoczył, o ścianę pochwycił ręką, podczas gdy znowu, dalej już nieco, chórem z podwórza pisnęły dzieci:

– Sołtys!... a bela!...

Na twarz chłopca wybił się wyraz goryczy i wstydu, usta skrzywiły się bólem, zgrzytnął zębami, na ścianę opadł i nieruchomy, z głową spuszczoną długą stał chwilę, bezmyślnie w barłóg wpatrzony.

Co on tu robił?... w gminnej budzie więziennej?... teraz bo wiedział...

Ano spał się, i tyle!... spał się z panem pisarzem, aż ci go, musi, z karczmy na barłóg spać wyrzucili!...

– Psia cię kość taka!...

Wczoraj go jeszcze stójką wezwano duchem a duchem, wedle papierów nikiiej z powiatu; ale z pisarzem widział się tylko, wójta nie trafił. W papierach onych stało to ponoś pismo do niego, jako sołtysa, co z podatkami ze wsi zalegał, ano pod karą przykazywano ściągnąć zaległe. Tak nikiiej stało. Pisarz się nito sierdził okrutnie, krzyczał a groził, a zapowiadał ci mu odstawką, jako że, mówił, w osadzie Wielgie i nieporządki też „wielgie”. Jakie ta znowuj i nieporządki?... Jeden Sulima zalegał ci oto nikiiej w gruntowym, drugi zaś Oryl, to na bez tydzień obiecowali podymne, tyle wszystkiego. Oryl odniosą, skoro i rzekli, a za Sulimę podsołtysiego założy, dyć i po krzyku!... A pisarz ino swoje a swoje, skamlą, a dymisją precz grożą. Tylo takiego kto ta zmiarkuje, gotów wygrozić, a wstydu ci przed gromadą zadać człękowi. Potrzebne bo mu ci było i sołtysostwa owe, potrzebne!... Że to przy sobie miał trochę grosza, mało niewiele, tak za Sulimę chciał oto z miejsca płacić gruntowy, ino co pisarz jak ci nie zmiękna, a powiadają, co nikiiej krzyczą wele porządku, ale ta znowuj takiej pilności wielkiej nie było. Z powiatu piszą, bo im się patrzy, ano i tyle, zasie Sulima abo i Oryl odpowiedziani, to i zapłacą. Tak i poszli na świętą zgodę napić się do karczmy, a jak i poszli, tak i ostali, a grali musi ci w „chlusta...”

Tutaj Musiała sięgał w zanadrze, w węzeł zwiniętą wydobył szmatę i jął rozwijać.

– Było ci – mruczał – trzy w złotówkowych, dwie czterdziestkowe, zaś papierkami trzy ruble...

Ale przewrócił szmatę raz, drugi, ani w niej grosza!...

– Psia cię treść! – burknął – to za Sulimę nie dawał płacić, „chlusta” miarkował... I wymiarkował, pieniądze zabrał, a na przespanie, to choć w stodole, żałował siana!...

– Psia cię kość taka!...

Splunął, porzucił szmatę, ściągnął rozmamłaną na piersiach koszulę, poprawił pasa, strzepał sukmanę i ku drzwiom ruszył.

W progu przystanął, wyjrzał ostrożnie, snadź ustrzec się pragnął przed napaścią dzieciaków, a nie dostrzegłszy już ich w podwórzu, choć mu się nogi plątały jeszcze, a w oczach ćmiło, kapelusz spuścił na czoło i szybkim krokiem prosto ku drodze podążył. Jeno przechodząc pod oknem pisarzowego mieszkania, okiennicami przymkniętym, splunął ponownie i z zaciśniętych ust rzucił klątwę:

– Psia cię kość jedna!...

Wyszedł na drogę, wykręcił w prawo i nadrabiając, jako mógł, miną, ręce w kieszenie zasunął twardo i szedł wyprostowany, poważny, zaś o cholewy, nito skrzydłami, łopotał dołem sukmany.

A miał przed sobą spory szmat drogi – milę z okładem. Za Helenowem lasy bąkowskie i szmaty pola, i wieś w pośrodku, a dalej znowu pola i lasy, i „Gawrysiową” w końcu choinę, aż do granicy wielickiej, skąd przysiółkami: Kosów, Marianki, wzdłuż łąk torfiastych, poza którymi minąć trza było dwór, folwark, stawy, karczmę i kościół, by wreszcie za ogrodem plebanii dobrać się do wsi.

Gminę, na samym skraju Czerwonej, piaszczysta wydma jeno z wiatrakiem dzieliła od Helenowa. Przebył ją szybko i za kolonią zaszył się w żytach. Tu lżej odetchnął poza oczyma. Palić go tylko jęło „na wnętrzu” zgagą okrutną, a w ustach piekło, a w głowie biło jak młotem. Byle się znaleźć w lesie bąkowskim, wypocznie w chłodzie, a u źródłiska, co sączyło się w przydrożnym rowie, wodą pokrzepi, no i opłucze. Sponiewierany dyć się ot taki i nie pokazałby swoim w chacie, abo i Magdzi.

Magdzi?...

I spochmurniał, i pochylił się, i na ustach osiadł mu wyraz goryczy, rzekłbyś postarzał. Na twarz, spyloną prochem barłogu, niewygoloną, na której tu i owdzie pot się kroplami perlic poczynął, ponad wąsami ciętymi w szczotkę wszczęły się wybijać bruzdy ciemne zmarszczek głębokich; na głowie zarost siwy już prawie widniał, spadając spod kapelusza na przygarbione plecy, w żywych zaś ongi, przygasłych teraz oczach ni błysku ochoty dawnej.

Magdzia?!... I miasto przyśpieszyć kroku, zwolnił go oto, włókł się już tylko. Magdzia?!... i miast polami duchem na przełaj bieć do chałupy, w zieleń się lasu wpatrywał tęskny, chłodu spragniony jeno, wytchnienia.

Ano cham prosty, dwórki ci trefnej zniewolić nijak nie umiał sobie, i na matczynym stanęło. Ani dobrocią, ani kochaniem, nijak a nijak... Ptasiego mleka brakło ci ino, musi, niewieście, a zawdy nic to... Fochy se oto stroiła, a miny, przymówki ino a zwady, zaś wypominki, jako ci chamstwem dolę se oto na szcęt zbrzydziła. Dyć to i jemu bo nie wesele, abo i gorzej... Odkąd ci go tak Magduś ta jego rzuciła w Lipsku, na wyśmiewisko rzuciła ludzkie w szynku pod ławą, coś się w nim na nią skarżyło ciągiem, ciągiem jadziło. Miłował ci ją, bo i miłował, patrzył jak w obraz, ino co onej nie miał tkliwości, jako to pierwej, i nie miał serca. Maryś mu oto stawała w myśli, Maryś nieboszczka, stawali matka, a zaś bywało, gdy się sfrasował, szedł z fajką w pole i żałośliwie dumał se o nich: Marysi, matce; a zaś bywało, kiej go i zmogło, szedł pić do karczmy i pił na umór.

Na żalność pijał i na robaka, i z przylubienia pił zasie!... Bo do gorzałki to ci go teraz ciągnęło siłą, kieby co złego wiodło przemocą. Zaczął bo nikiem tak na odwagę, od „janimuszu”, jako po miarce zawdy mu śmielej bywało z Magdzą, różniej bywało. Na sołtysostwo pijał też swoje, wele wyboru, na uciechę, skoro z niewiastą kaj się na jarmark trafiło razem, abo i w domu. Dyć to mu nieraz i sama podała miarkę, zasie przepiła, ino co potem, kiej i przylubił, pomstować jena, lubo i z fochów. Aż ci go oto rzuciła w Lipsku, znów w Ciepielowie i znowuj w Iłży, co i na żalność pijał już teraz, kaj i popadło.

Na żalność pijał i z przylubienia, skoro w chałupie nie dała mu dobrego słowa; na żalność pijał i z przylubienia, kiej go rzucała na pośmiech ludzki, jako

i z Jędrkiem; na żalność pijał i z przylubienia, że to z niewiastą nijak mu było woli mieć własnej, nijak a nijak...

Na żalność pijał i na robaka, i z przylubienia pił zasia.

– Psia treść sobacza!...

Skoro na niego spojrziała oto, a rzekła słowo, wraz go i rezon odchodził cały, opadał „jankur”, a coby ino miłować chciała, skamlał i tyle... zaś po próżnicy...

To i na żalność i z przylubienia pijał, kaj padło!... Jako i wczoraj!...

I machnął ręką...

Do lasu zwolna dobił się wreszcie i do źródlika. Sukmanę zrzucił, za nią kapelusz; poszedł do rowu, wyciągnął się nad płytkim brzegiem i, z prochów wodę zdmuchnąwszy wierzchem, pił ze strumienia długo a chciwie, aż mu się po nim włosy rozwiały spływając z prądem. Wstał pokrzepiony, obmył twarz zapyłoną i głowę i w odwinięty otarł je rękaw, a przegarnawszy palcami włosy, dobył z sukmany kapciuch z tytoniem, z cholewy fajkę i pod dębaczkiem, z dala od drogi, legł na murawie.

Dyć do chałupy zawdy mu na czas Magdzinych fochów!...

Liściasty w koło las szumiał z lekka, śpiewały kosy, wiewiórkę opadły skrzekiem kraski, bił w korę dzieciół; poprzez zwarte sklepienie konarów, ukosem, szparą szedł promień słońca. Wąski od góry, coraz szerszą opuszczał smugę, krąg na murawie znacząc złocisty, kieby i lejkiem. Roje się po nim snuło much różnych, śkamr i owadu; Musiała oczy utkwiał w promieniu, głowę bolącą oparł na pniaku i pykał fajkę.

Pykał a pykał, w światło się wpatrywał, aż mu i ręka opadła z fajką, zwały się oczy, a na promieniu, nikiem to żywe, Maryś spłynęła, spłynęli matka. I wraz bieluśkie stanęły obie w kole złocistym, kieby i w lejku, a Maryś rysę miała bez czoło, jako za życia, zaś matce spod czepca spadały siwiusieńkie włosy. W lesie ucichło, kieby omanem, i pociemniało, lęk go zdjął straszny, ino że siła ci go okrutna trzymała w miejscu. A owe nikiem bieluśkie obie stoją a stoją, jakoby w ogniu, a spozierają.

Tak ci on do nich:

– Wszelki duch, a to Boga chwalący!... po cośta zeszły?...

Owe po sobie pojrzały ino, i nic... cichają...

Zimnym go aże oblało potem, okeż nie zmartwiał, ano do kolan im się pochylał, a do nóg samych i znów powiada:

– Aści duszyczki! – powiada do nich – czego wam potra?...

One zaś na się pojrzały migiem, i rzekną matka:

– Córúś, ty gadaj!...

A wraz od onej po lesie mowy, kiej po kościele poszło organem.

Maryś powiada:

– Kajżeś to – mówi – zadział mi dziecko?... Takiś to ojciec?...

– A dyć w chałupie, w zdrowiu i dobrym dziecko je nasze...

Matka zaś rzekną:

– Kajżeś to – mówią – zadział krwawicę?... Takiś opiekun?...

– A dyć w komorze, w kufrze zamczystym krwawica wasza...

One głowami wraz potrząsają:

– Oj, nie! – powiada Maryś – nie w zdrowiu dziecko i dobrym!...

– Oj nie! – mówią ci matka – nie kufrze krwawica moja!...

Tak i on do nich:

– Aści, duszyczki, kajże ich szukać?...

One zaś na się pojrzały migiem i odleciały, a jako leżał, tak ci go senność zjena okrutna, okeż i zdrętwiał...

Słońce już dobrze ku zachodowi chylić się poczynało na „Gawrysiową” choinę, w złocistą czerwień barwiło ziemię, siejąc powietrzem różowe pyły, gdy na granicy oto wielickiej stanął Musiała.

Droga stąd z góry, wierzwą sadzona, wiodła w kotlinę, w której dokoła, jak wiankiem przysiołków bramowane, leżało Wielgie. Tuż od granicy Kosów, z ruiną starej gorzelni, dalej Marianki i łąk torfiastych szerokie smugi, i gaj olszowy u gumien dworskich, i ogród dworski, i dworskie stawy, wszystko zbite w pęk bujnej zieleni, co jak zasłoną przed okiem kryła kościół, plebanię i wieś za nimi. Na lewo jeno, hen za kotliną, od Kazanowa, wśród łąków dworskich niby samotną na wzgórzu wyspą czernił się cmentarz, a zaś w krzewinie, rumiany w słońcu, nietynkowaną widniał ponad nim ceglą „kościółek”.

Musiała snem swym na wskroś przejęty, szedł teraz szybko, a skoro z lasu wyszedł na wolne, oczy utkwiał w „kościółku” cmentarnym i odkrył głowę.

Maryś jego przecie tam leżała, leżeli matka w rogu od pola, i zaczął „Wieczny im odpoczynek” odmawiać z cicha.

Gdy się przebudził w bąkowskim lesie, kawał z południa, a na sen wspomniał, mrowiem go ścięło, bo, jako żywo, jeszcze mu się tak i nie przyśniły razem, wyraźnie „duszyczki” obie, ni to na jawie. Matkę bo już ci widywał we śnie, widywał nieraz, ano i skoro garnka ze stodoły wyniósł do kufra, widział nazajutrz, jako ci w rogu stanęli izby, wele przypiecka, a po chałupie przeszli raz, drugi i wyszli sienią; ino co Maryś, to ni raziczku nie zeszła jeszcze. A dzisiaj obie zleciały razem, bieluśkie obie, jako na jawie.

Minął Bąkowę i las, i pola jak stumaniony. Hulanką nocną jak poderwany, „mdły”, wygłodniały, a zabobonny z natury, opędzić się nie umiał doznanemu wrażeniu, znaczeniem snu zamyślony, a żarty niepokojem wewnętrznym.

Krwawicę mu ci wypominali matka, a dziecko Maryś!... Aści krwawica leżąca w kufrze zamczystym, to i prześpieczna; pewniejsza, niżli w stodole. Ani jej matka strzegli za życia, jako strzeżona, co to i jemu przecie do garnka dostęp niełacny. Ano i lepiej!... Wzięło bo się tam, wzięło i trochę na różne spląty, mało co wiele, zaś coby pewność była na resztę, a nie skapiało, to ci se na nią i pomyślenie wykalkulował galante. Ino to Magdzi nie mówił jeszcze, bo i niepewne.

Po Leśkiewiczu a to synowie żarli się z sobą, a wojowali, zasie i baby, co ich trzy razem w jednej chałupie siedzi z dziewczkami, tak i najmłodszy ponoś, a Matus, gadali w karczmie, jakoby działu swego odsprzedał komu dla świętej zgody. Wszystkiego morgów z piętnaścioro byłoby w kupie, lasu i łąki, ano

i grunta a somsiadzkiego. Żeby tak na to Matus a chcieli, to on to zara do gotowego. Ziemia se ziemia zawdy a święta, i byłby spokój. Ino co jeszcze nie wiedzieć dobrze jak i co Matus.

Z kolei myśli zwrócił na córkę, na dziecko – Kasię.

Ano dyć krwie by swojej rodzanej pokrzywdzić nie dał, jako światem, ojciec bo przecie. Ino co krzywdy nie ma nijakiej, zasie najmniejszej. A bo i prawda!... Odkiej ci babka ją odumarli, będzie trzy roki, to se z macochą żyje, a w zgodzie oto najlepszej, kieby i rodna. Swara ta między nimi nijakowego, ni przymówienia, ale bo dziecko i to kiej trusia, a roztropliwe. Maryś a Maryś, jako u matki z rysą bez czoło.

I jął z lubością dumać o córce, i miał ją w oczach.

Na urodziwą mu się zbierała dziewuchę, gładką, jako to babka mawiali zawdy, w dziadka się wdała a to na sobie, zasie i w matkę nikiem na wnętrzu abo i babkę. Dyć na szesnasty jej obracało, a musi więcej, to ci i swatów ino nie patrzeć, że to się o co było pokłonić, było nie żartem. Na parafię drugiej niewiasty takiej nie znaleźć, a okolicę. Tylo co dziecka a jedyne, to by za oczy chyba i nie dał. Kto ta mógł wiedzieć, na co i trafi?... Jest ci dostatku dość i na zięcia, to niechby se ta w kupie siedzieli, ano przy ojcach. Żeby tak oto z Matusem zładzić o ten dział gruntu, a chałupinę przystawić jaką, byłoby ci im i na początek o co zaczepić, byłoby niezgorzej, a zawdy swoim na oczach. On bo by se tam z Wickiem i babą na roli siedział, a gospodarzył jeszcze do czasu, pokąd by się co i chłopakowi nie przytrafiło wele ożenku. Swojak to przecie, nikiem syn prawie, a przy chałupie od maleńkości, toć się i jego godzi też nikiem zapomóc jako, a wywianować...

I z myśli onych wyrwał go nagle widok „kościółka”. Pamięć snu znowu wstrząsnęła sobą, i odmawiał „Wieczny odpoczynek”... trzykroć dla Maryś, trzykroć dla matki, mijając Kosów po prawej ręce, zasie po lewej Marianki. A gdy i „Zdrowaś...” odmówił w końcu, wchodząc na łąki, i głowę nakrył, krwawicę wspomniął jeszcze i dziecko:

– Dyć nie co – mruknął, biorąc na rozum – ino nieboszczkom dusznej ze swiata potrza pociechy abo mszy świętej... – a że probostwo mijać miał właśnie, więc postanowił wstąpić po drodze i mszę zamówić.

I dziwnie teraz uspokojony i łąki minął, i dwór, i stawy; na karczmę „bo ta ni spojrzal”, i pod kościołem odkrył się znowu, i na plebanię zawrócił z miejsca, a zdało mu się „nikom na jawie, co to i Maryś szła z nim do spółki, szli z nimi matka, i było mu coś jakoś i raźniej, poręczniej było, jakoby zhardział...”

Na noc i dobrze już pociemniało, gdy od proboszcza, który miał gości i nie odprawił go zaraz, ruszył do domu. Zgłodniały bardzo i umęczony, wprost do chałupy śpieszył, a żywo, skoro na skřęcie łaziskiej drogi gromadę dojrzał ludzi przed sobą, „co to z grabiami od koniczyny musi szli dworskiej”.

Aż przetaił oczy, bo wraz z innymi obok Górajki spostrzegł i Kasię.

A nigdy jeszcze dziecka swego nie słał za najmem.

I zdwoił kroku.

czucie zdjęło ją jasne, że dzisiaj w chacie, jako za „starej”, dwie ich znów głowy, a miejsca dla dwóch za mało.

I ludzić bo się nie było czego znaczeniem powagi własnej, skoro dziewczucha okoniem wnet ci stanęła do niej. Ino za oczy zeszli gromadzie, z rąk się wyrwała; ścieżką na przelaj pobiegła przodem, skargą groziła jej przed „tatulem” i... „Jakubową” nazwała.

– Z Kasią – powiadał do niej Musiała, gdy ją brał jeszcze – nikić zgłoby, dziecko kiej trusia...

Ano kiej trusia!... W izbie i światła nie zapaliła, a zaś na łóżku legła, a duchem i ani mru-mru!... Gdy za nią przyszła, omackiem ledwo i co znalazła.

– Nic, ino trusia!...

Na udry, musi, chciała iść głupia, abo co znowu... „Tatulem” ci jej, patrzcie, groziła, i sprawiedliwie.

– Chamskie chowanie!...

To się jej nawet i zniecierpliwic dziś już nie wolno, przy jedynacze, a „sołtysiance”.

– Smarkula jedna!

Podniecona własnymi myślami, zbyła z pamięci pokojówki. Jędrka, sobótki i niewczesnego zbyła napadu, jeno dziewczynę tę miała w oczach, śmigłą, dorodną, a hardą później i namarszczoną, „na udry musi idącą”, „chamskie chowanie”, chowanie „starej”, co jak spod ziemi wyrosła ci jej wczoraj w płomieniu współzawodnicą!...

I aż się z łóżka porwała.

Pilno jej było, pilno okrutnie, władzą popisać się w chacie, pokazać z miejsca „smarkuli jednej”, kogo jej straszyć „tatulem”! Że ci się do niej „ośmiał” Orylak, głupie chłopczysko, straciła głowę, ano i nad nią jeszcze by musi przewodzić chciała!...

Tylko że z nią, to nie tak „zaraz” – „do gotowego”... Dość już wszystkiego przeszła ze „starą”, żeby się „młodej” panoszyć dała, a stawiać może... Jak ona zechce, tak oto będzie... ano „tatula” ci jej pokaże a „Jakubową”, zaszę chłopaków!...

Teraz wspomnienie i Orylaka kłuć ją poczęło, drażnić niemile; w oczach jej znowu mignęła postać dziewczuchy krasnej, współzawodnicy, i mimo gniewu, mimo zawiści aż i ciekawość zdjęła ją w końcu, na dniu ot białym, na jasnym słońcu przyjrzeć się onej.

Zali o wiano to sołtysianki chodziło jemu czy o dziewczuchę?...

Przyodziewała się gorączkowo, różne snując zamysły, niepewna jeszcze, czym do posłuchu zmusić oporną, czym upokorzyć, skruszyć dziewczynę. Czula bowiem, że jeśli z miejsca góry nie weźmie, może i później nie wziąć jej scale. W najgorszym razie wyżenie z chaty!... W Kroczewie pono, słyszała właśnie, państwo szukali sługi do dzieci, w sam raz jak dla niej; bo to służba lepsza w pokojach i na jej lata. Żeby zaś „dziad” miał trudności stawiać, ani

myślała, z dawna się z niczym zgoła nie oglądając na „chłopa”. W razie bo czego, spoi i tyle; nie tak, to owak, a swoje zrobi!...

Toć nie pierwszyczna!... Skoro ze „starą” poradziła sobie i dobrze, poradzi i z młodą; ano w chałupie, póki jej stanie, musi być panią.

I dziw, z otuchą pewną już teraz, opadłym gniewem, myślała o całej sprawie; bodaj, czy oto zadowolenia nie czuła nawet, mając czym przerwać zwyczajne nudy, nudy codzienne. Na chwilę jeno, ale na chwilę, gdy spod drzwi kufer odsuwać przyszło, zamek przed „dziadem”, i skarb wspomniała wewnątrz ukryty, dumać poczęła, zali nie lepiej, miast się borykać znowu, ujadać, rzucić precz wszystko, i z groszem w rękę zażyć swobody. Odkąd pieniądze miała w schowaniu, odkąd tęsknota za innym życiem gryźć ją znów jeła, zapędy one rzucenia „chłopstwa”, co już ją dawniej chwytaly czasem, w stałą się niemal zmieniły troskę, jak w opętanie. Boć to i było z czym wędrować, na czym się oprzeć, czym „łzę obetrzeć!...”

A nużby rozstać się przyszło ze skarbem?... nużby nim dzielić skarbem tym swoim?...

Juści, że grosza tego, okupu za zmarnowaną przy „chamach” dolę, z rąk nie popuści, żeby zaś może na starość jeszcze, gdy „dziada” zbraknie, u pasierbicy osiąść na łasce, a gęsi pasać!... Juści, że grosza tego, okupu z rąk nie popuści, ale jak z groszem, to i ostrożniej radzić trza było. Rozejrzeć przedtem chciała się dobrze, wszystko ułożyć, by, gdy na wolność raz się dostanie, pewną być swego.

Niechby tak Jakub w długi się jeszcze zaszargał większe, niechby się po wsi zwiedziano o tym, a poszedł rozgłos, któż by mu wtedy bo i dał wiarę, że go niewiasta odeszła z groszem, a zaś po „starej”, jako się chwalił, skarby zostały? Ba, w razie czego, wyprze się wtedy, i któż dowiedzie, skoro ich dwoje tylko rzetelną wiedziało prawdę?...

I tak zwlekała, skarbu pilnując, zawszeć w dobytek wzrastając przecie: w chusty, odziewek, a tylko oto, jak dziś, bywało, gdy nowa trudność stawała przed nią lub się czym zgryzła, gdy obrzydzenie zdjęło do „dziada” lub nudy w chacie, chętka ją nagle zbierała wielka, duszne pragnienie, zamysły wreszcie przywieść do skutku, rzec się możliwych jeszcze korzyści i rzucić wszystko...

Chętka ją nagle zbierała wielka, i dziś zebrała, ale na mgnienie. Miałaby ustąpić głupiej „chamce”, głupiej dziewusze? Jędrkowi może do „sołtysianki” ułatwić drogę?

– Niedoczekanie!...

Choćby przez ambit, ano zawziętkę, a nie ustąpi; pójdzie gdy zechce!...

I podniecona znowu a gniewna, kufer na miejsce spod drzwi zsunęła i otwierając je nagłym ruchem, krzyknęła:

– Kasia!...

Umyśliła bo w ostatniej chwili do posług sobie zmusić dziewczynę i tym sposobem zaraz jej, „z brzega”, dać się we znaki; zanim jej zatem dziewczka, jak

co dnia, przyniesie mleka, dziewczusze chciała kazać je podać, i powtórzyła głośniej:

– Kasia!... Ano tam!...

Lecz do komory z garnkiem i szklanką podeszła Wikta...

I ona po wczorajszej odprawie wobec wsi całej, po utracie ostatniej w świętojańskie swatanie wiary nie najweselsze miała przebudzenie, żalu pełna i wstydu, pomsty już tylko za krzywdę swoją i zesromanie pragnąca. Z mocnym postanowieniem wstała dziś oto wygadania się przed gospodynią raz przecie; otworzenia jej oczu na „onych” sprawki, na ciągłe ich zmawianie się po kątach, na przewodzenie Kasi w chałupie, Wicka w obejściu, a chociaż samej niewiele bo i rzec stało, i ani dobrze, co rzec, wiedziała, liczyła jednak na podrażnioną wczorajszym Magdzą, na spryt swój własny i na zawziętkę, co się w nienawiść prawie do „onych” w niej rozpałała.

Czekała tylko chwili stosownej; skoro więc Kasia z dwojakiem w łąki poszła za Wickiem, a gospodyni wciąż spała jeszcze, jęła po izbie wyprawiać harce i stuki, aż ci ją wreszcie, Magdzą, jak chciała, ze snu wybiła.

I oto z garnkiem stanęła przed nią chmurna, żałobna i na pytanie:

– Kaj znowu tamta?... – ramiona wzniosła w górę z przekąsem, mleko podała i obojętnie, ni to z pozoru, rzekła po przerwie:

– A kajżeby ta, jak nie przy swoim...

Magdzi Orylak stanął na myśli, poczerwieniała.

A dziewczka dalej:

– Dyc to nakarmić poszła w łąki swego Wicusia... nie darmo za nią wczoraj po nocy skoczył, a w dyrdy, zasie opiekun!... to się ta na co razem i zmówią, jako zwyczajnie!...

I wybuchnęła. Niby czyniąc obrządek w komorze, kręcić się po niej jęła, jak błędna, to ten, to tamten sprzęt potracając, a z ust jej skarga spłynęła gorzka, skarga od dawna noszona w sobie, która się wreszcie jak z za upustu poląła strugą przerwanej grobli:

– Jej bo ta przecie, wiadomo, słudze, i nic do tego; ano nieładnie jakoś przed ludźmi, coby dziewczyna, choć i nieletnia, wele chłopaka wisiała ciągiem, a precz się ino po kątach zasie i umawiała. Dyc to i w polu, i na obejściu, w stajni, w stodole, kaj ino pojrzeć, zawdy ci razem, musi chłop z babą, abo i gorzej!... Jej bo ta przecie, wiadomo, słudze, i nic do tego, ano i po wsi gadali o tym, gadali ludzie, jako na dziecko, nikiem na oną, nie było oka; co ci ją chłopak, jako chce, wodzi, aż i zawiedzie...

Stołkiem smyrnęła, na gospodynię spojrzała z boku i prawi dalej:

– Jej bo ta przecie, wiadomo, słudze, i nic do tego, ano kiej oko było ci zawdy i opiekuństwo, ino kajże tu ustrzec dziewczuchy a dopilnować, co i na swego, nikiem na wroga, tylo przewodzić, a zaś w chałupie, jako i niebądź, rządzić a rządzić...

Trafiła w sedno, chmurna twarz Magdzi schmurniała jeszcze, ona zaś teraz, stając tuż przed nią, w płacz uderzyła:

– Dyc sprawiedliwie... ni to oddechu, ani odzipci, haruj a haruj ino od świtu, a zawdy nie to... Ledwo ci oni, dyc gospodyni, kaj bo za wrota lubo w komorze, jako zwyczajnie, siądną zamknięci, a ona swoje... A przygaduje, a przypowiada, a chłopak za nią...

Aż tu i zdjęta żalem okrutnym, do nóg się Magdzi schyliła nagle, i w głos ryknęła:

– A to dopraszam się łaski nikiej a gospodyni, ja się ta do nich, a nie do kogo w służbę godziła, coby nade mną ci, nad sierotą, kto miał przewodzić!... Skoro Kasine tu tera rządy abo Wickowe, to ja ta nie chcę, ano za wszystko, i złe, i dobre, pięknie dziękuję!...

Raz jeszcze nogi objęła Magdzi i zaszlochana, lecz spokojniejsza, bokiem pod ścianą tuż przystanąwszy, wapno z niej palcem skrobać poczęła, wstrząsana łkaniem.

A jednocześnie i drzwi na izbę skrzypnęły z sieni. Magdzia przybladła: „dziad” może oto powrócił z gminy, a w porę wracał!...i przyciszonym spytała głosem:

– Wikta!... a kto tam?...

Dziewka na izbę rzuciła okiem:

– A dyc – burknęła – jesteś już z łąki!... – i łzy otarłszy, słać się zabrała łóżko w komorze, jako i co dnia.

Ale Magdzia zwróciła ją z drogi:

– Nie potrza!... – rzekła – bierz się za obiad!...

A potem jeszcze dodała krótko:

– Wołaj mi tamtej!...

– Nic, ino trusia!... – mruknęła teraz, podczas gdy z izby głośnie dobiegło:

– Do gospodyni!...

W progu komory stanęła Kasia.

Miała ją przecie w słońcu i na dniu; miała przed sobą, jak tam, w płomieniu, przyjrzyć się mogła:

Dziewczyna stała sztywna, poważna, spod krasnej na głowie chusty bokami znaczyły się dwa pęki warkoczy płowych; pierś, paciorkami pokryta suto, spinał na białej, cienkiej, czystej koszuli gorset codzienny wiśniowy, a od paciorków i od gorsetu dwie harasówki spadały w węzłach. Miała na sobie ciemną spódnicę, zapaśnik na niej, którego końce bezmyślnym ruchem w palcach zwijała. Oczy niebieskie, spokojne, duże, a snadź splakane, utkwiła w Magdzi i stała oto hoża i świeża, w pełni dojrzałych kształtów dziewczuchy, śmigła, dorodna, z rysą przez czoło, aż i spytała:

– A czego potrza?...

Magdzię pytanie cięło jak biczem: spokój dziewczyny i pewność siebie aż poderwały. Skoczyła do niej i, stojąc przed nią, jęła przedrzeźniać:

– A czego potrza?... a czego potrza?... A to, żebyś mi, smarkulo jedna, krokiem za wrota się nie ważyła... rozumiesz?... krokiem!... dość tej latawki za chłopakami, dosyc zgorszenia!... – i w przekonaniu, że się dziewczyna obruszy

może, a nie chcąc kłótni, szybko z komory wyszła na izbę, rozkaz już tylko zwięzły wydając:

– Zasać mi łóżko!... wymieść podłogę!... dość tej próżniaczki!...

Przebiegła izbę, sień i na przyźbie przysiadła w cieniu. Zimne, spokojne spojrzenie Kasi, jakby w niej tkwiło, czuła je w sobie. W oczach urodną postać dziewczuchy miała, jak żywą – hardą, zmarszczoną.

Burzyło się w niej.

Przewodzi w chacie, zmawia z chłopakiem, ano dość przecie spojrzeć ci na nią, taka i trusia!... ino się, musi, i przyczała od małego, chamskie chowanie!...

– Chowanie „starej!...”

W szmery izby wsłuchiwać się jęła i rada szepnęła:

– A dyć zamiata, ani ci mrukie...

Tylko że posłuch dziewczuchy wydała się jej podstępny:

Na „dziada”, musi, czeka pewnikiem... czeka ze skargą...

– Smarkula jedna!...

Za mało widać dała ci się jej we znaki jeszcze, to i dołoży:

– Kasia!... – krzyknęła.

Gdy zaś dziewczyna, jak przedtem, niemal stanęła przed nią:

– A do południa – rzekła przez ramię – pójdiesz na dworskie, to się wy-latasz!...

Ale i teraz bo słówkiem jednym się nie ozwała. Rumieniec jeno oblał ją krwawy, usta przycięła, czoło głęboko zorała zmarszczka, i jako stała, milcząc, w drzwiach sieni znikła spokojna...

Ano dyć z Wickiem oto na łąkach uradzili: czekać tatula.



– A zapowiadaj ino pewnikiem; w południe to ich zastaniesz!... – z proga chałupy wołała Magdzia za objuczoną obiadem Wiktą, co go dziewczucha niosła, ot, w łąki dla gospodarza, Kasi i Wicka, grabiących siano.

– Dyc nie zabaczę, bądźta spokojne!... – z porozumieniem w ruchu i głosie odparła dziewczka już spod stodoły, podczas gdy Magdzia drzwi poza sobą zwiierała z sieni.

Zasuwę z wnętrza przetknęła kołkiem, jak dla pewności dłonią przybiła, i zamyślona, z głową spuszczoną weszła do izby.

Poprzez otwarte okno niewielkie, wazonikami kwiatów zacienione, skąpo się jeno do niej półmrokiem sączyło światło; wokoło naczyń po świeżej strawie, w koło komina zwarte roje much uwijały się z brzękiem, natrętne; nad oknem, w strzesze szerszeń zbłąkany burknął raz, drugi...

A zresztą cisza...

Nagle z komory zegar skwapliwym jął bić łoskotem na jedenastą. Magdzą wstrząsnęło, podniosła oczy, oburącz dłońmi uszy zatkała i na brzeg ławki opadła ciężko.

Wszystko ją teraz, wszystko w chałupie drażniło sobą; nawet ten zegar.

– Klekot – mruknęła – skrzypi a skrzypi!...

Skoczyła z ławy:

– Ano niedługo!...

Izbę przebiegła tam i z powrotem, tumanem płosząc muchy znad garnków, i do cebrzyka podeszła z wodą. Ze wstrętem blaszankę, splukawszy przedtem, wypita całą. Usta otarła i chodzić jęła dalej wokółko szybko, w garączce.

– Ano niedługo!...

Nito ją nagle zdjęło weselem.

Jeszcze dni kilka, kilka dni tylko, a rzuci wszystko, rzuci raz przecie, wolną odetchnie piersią, po tylu latach, sześciu z okładem z „chamstwem” niewoli.

– Sześciu z okładem!...

I nienawistnym powiodła wzrokiem po ciemnej izbie, jak po więzieniu.

Ale już teraz rzuci na pewno „chałupę”, „dziada”, rzuci niewolę!...

Lżej odetchnęła.

A czas był wielki, czas był ostatni!... Oto kazała dziewce po drodze wpaść na Borowiec i wezwać ojca, wezwać go pilno. Sama nie dałaby sobie rady, z nim rzecz uładzi; z ojcem i Wiktą w porozumieniu pójdzie jak z płatka!...

– Ani chłopisko się obejrzy, kaj się podziała!...

Ręce zatarła.

Dla niepoznaki wyjść obiecała, choć na odwieczyrz, z grabiami w łąkę. W śmiech uderzyła:

– Wyjdę ci, wyjdę z grabiami w łąkę!... Wyjdę, a jakże...

I spochmurniała.

– Niedoczekanie!...

Myśl o „dziadu” ściśnęła ją sobą.

Kto by dał wiarę, toć to „chamisko” rządzić wziął w chacie, a rozkazywać, a stroić dąsy, nawet i do niej!... Z gminy ci wrócił, niby odmieniec, ani go poznać!...

Siedziała sobie właśnie na przyźbie w chłodzie wieczorem, gdy się we wrotach spotkał z dziewczuchą, co szła z dworskiego. Coś tam rzekł do niej, co, nie słyszała, ano widziała jeno „smarkulę”, jak mu to kwity wtykała z najmu, aż i wetknęła, a zaraz z bekiem w nogi w podwórze.

Chłop ci koło niej przeszedł markotny, ledwo pozdrowił, a po chałupie łąził, a stękał, zaś przy kolacji dalej dziewczuchę głaskać po głowie i zapowiadać, jako więcej zakazuje chodzić za najmem.

Aż ja porwało!... Do niej pił przecie, do niej wyraźnie!... Od miski oto skoczyła prosto i do komory!... Myślała sobie, że jak i zawsze, ruszy się za nią, a skoro przyjdzie, to ci mu z nosa muchy wyciągnie, i jak było z Kasią, przedstawi, i co to o niej wiedziała Wikta. Ale nic, wcale!... Spać na stodołę poszedł z chłopakiem, że choćby chciała, a nijak za nim. Zresztą nie chciała, choć niepokojna, tak mu się „z brzega” zaraz poddawać. Dobrze to było kiedyś za „starej”, ale nie dzisiaj, w wojnie ze „smarkulą” jej, gospodyni, łasić się jeszcze, komu?... „dziadowi?”... Niech mu tam Wicek co bądź nagada, ona przerobi. Toć nie pierwszyczna!...

Czekała skutku.

Że to już nazajutrz była niedziela, wybrał ci się rankiem dziadzisko wraz na różaniec, i znowu żadnej z chłopem rozmowy. Czy go znów słuchy dobiegły jakie, czy co takiego, bo żeby zasie tak o dziewczuchę miał i markocić, nie zdało jej się.

Na sumę poszła za nim, w nadziei, że spotka ojca, to i pogada, ano do karczmy wyśle ich może. Wzięła ci nawet na przeprosiny w chustkę trzy ruble, jako że dawno marnej złotówki od niej nie widział i złość miał o to. Ale nie było ojca w kościele ni na cmentarzu, zaś po kazaniu, jako zwyczajnie, słyszy, a proboszcz na poniedziałek cichą w „kościółku” mszę zapowiada, a Musiałową; za duszę, czyta, Marii i Zofii, że to Marianna było na imię pierwszej nieboszczce, a Zofia matce.

Tknęło ci ją to niby olśnieniem. Co mu się stało? Matkę, jak matkę, bo i wspominał, wspominał często, ale co tamtej pierwszej nieboszczki jeszcze ni razu.

I z nabożeństwa wprost do chałupy wrócił ci „sznurkiem”, a chodził po niej, a pomrukiwał, na ową zasie smarkulę jedną spoglądał ciągiem.

– Córúś!... – powiada – dyć ta z grabiami na bezpołudnie toś się nie zmogła?...

Dziewucha mądra, za nogi chłopca:

– Ej nie, tatulu!... – rzeknie smarkula – com się i miała...

Musi go bekiem wczorajszym wzięło, ano wiedziała, „dziad” bo ci do niej:

– A dyciem ojciec!... – i dalej głaskać, a zapowiadać:

– Nie pójdziesz więcej!...

Jeszcze go takim nie znała „chama”! Ni to wydziwiał, ani pomstował, a całą oto straciła śmiałość.

Czekała skutku.

Obiad kazała se dać w komorze, wciąż niby gniewna od wczorajszego, a po obiedzie przysiadła w oknie, aż tu i wchodzi. Łazi i łazi, jako zwyczajnie, a fajkę pyka, ano na kufer raz wraz spogląda.

Okeż pocierpła!...

I gniewu zbyła i rozzalenia, a zgadywać ją, jak mogła:

– Cóżes to – rzekła – na nabożeństwo dał za pomarłe?...

– Aści – odrzeknie – bez sen ci na mnie zesły, kiej żywe, duszyczki obie, musi, pomocy pragnące ludzkiej abo i czego; tak i mówiłem, na mszę dać potrza ku wspomózeniu.

Tylko się z tego roześmiała w sobie, ale powiada:

– Dobrześ i zrobił.

Myśli zaś w duszy:

– Skoro do karczmy po mszy kumów ci sprosi dziadzisko, będzie i skutek.

Ale on fajkę pyka, a łazi, a na kufer patrzy:

– Dyc ta – powiada – dałem jak dałem; nie było z czego, inom zamówił.

Trza by srebrnego księdzu, albo co?...

Nareszcie przyszła chwila i na nią, chłop był strapiony. Że brał do gminy z sobą trzy ruble, wiedziała o tym, widać je przepił. Miała go w ręku i brwi zmarszczyła, a niby gniewna zaczęła:

– Kajżeś to znowu, dziadu...

Gdy chłop wraz do niej, aż poczerwieniał:

– A to niech Magdzia i nie „dziaduje”, a klucza dawać!...

Od czasu, jak to z ojcem z Borowca po przeciągniętej wróciła schadzce, kiedy pijany, z klątwą na ustach od przyźby z pięścią rzucił się do niej, gniewu takiego w nim nie widziała ni oczu takich. A na obronę nie stało ojca, choćby i „starej”.

Na szczęt struchlała.

Że jednak trzeźwe było chłopisko, tak i zmiarkował, a mruknął tylko:

– Bo ta i prózne ino gadanie; msza zapisana, mus i zapłacić...

Jakoż odwagi nabrała trochę, dobyła z chustki owe trzy ruble, co to dla ojca je zawięła, i powiada:

– Naści, będzie na wszystko.

– Juści że będzie, ino co z tamtem – tu się na kufer znowu obejrzał – czas wielki radzić.

Dech w niej zaparło, odjęło mowę.

On ci zaś z fajką łazi a mruczy:

– Grosz ta i groszem, jest abo nie ma, zawdy niepewne, a ziemia ziemią...

Pot jej na czoło wystąpił zimny:

– Co ten znów plecie?...

– Matus Leśkiewicz dział swój – powiada – na sprzedaż mają, jako że babom ciasno na kupie, a baby sprzeczne. Morgów z piętnaście a somsiedzkiego, grzech bo i nie brać. Żeby tak ino starczyło z garnka?... Trza i zrachować...

Sama nie wiedząc, co mówi, spytała wreszcie:

– A jakże się tu poznać na złocie albo i srebrze, kiej nie wiadomo?...

Chłop się po głowie poskrobał tylko.

– Ino po sprzęcie siana – powiada – a wolnym czasem, pójdziwa z garnkiem do księdza i uprosiewa.

Zmilkła do reszty. Jeszcze bo tego brakowało jej właśnie, żeby o skarbie zwiedział się proboszcz. Traciła głowę. Chłop się, jak łaził, wyniósł na izbę, a potem z Wickiem zmówił na pola. Drzwi od komory zamknęła za nim, siadła na kufrze i do wieczora siedziała niema, w trosce, bezradna.

Ani jej teraz dziewczucha w głowie, ni państwo w chałupie; ani też, co się „dziadowi” stało, pytała teraz. Ostatnia oto przyszła godzina, trza było radzić.

Grunt Leśkiewiczów kęs bo łakomy, wiedziała o tym, i ani myśli odwodzić chłopca, a zwłaszcza dzisiaj, gdy go wyraźnie ktoś i buntował. Lada chwila wygadać się może, choć przed Matusem; ludzie o groszu zwiedzą się lotem i po wszystkim. Zmarnieć jej przyjdzie z chłopstwem na wieki albo i gorzej: w świat z dziesięcioma znów iść palcami.

Póki czas jeszcze, trza było radzić, ale co począć?...

Jużci grosz zabrać i rzucić chamów, z dawna noszonej dogodzić chęćce, tak, rzucić chamów!... Tylko gdy oto stanęło na tym, ani wiedziała, jak się obrócić. Skarb sam cichaczem zabrać z sobą i w świat, a żywo?... Tak bo najłacniej. Miałażby jednak chudobę całą, szmaty i pościel, i przyodzievek, pełną komorę na łup zostawić?... Tyle zasobów, zbieranych skrzętnie, zmarnować próżno? Na toż latami je gromadziła, by je zatracić?...

A jeśli zechce zabrać je z sobą, nie zładzi sama. Ojca trza będzie przyzwać z pomocą albo i Wikte. Opłacać wszystkich, do tajemnicy przypuścić z groszem, zdać się na łaskę. Ojca bo zwłaszcza nie zwiedzie w pole byle wymysłem. Gdyby mu rzekła, że oto chłopstwo rzuca dla fochów i z nudów jeno, aniby sobie mówić dał o tym, aniby słuchał. Nie po to przecie swatał ją z chamem, by znów wracała na służbę dworską, na poniewierkę; bo choć to od niej miał dziś niewiele, zawsze to córka prawie na roli, a gospodyni zamożna we wsi, jest za czym spojrzeć. Inna rzecz ze skarbem, z majątkiem w ręku; na to przystanie, przystanie chętnie, ale do spółki wnet się przypyta, zechce korzystać.

Co począć tedy?...

Późnym wieczorem, dla niepoznaki, wyszła na izbę, ano udawać jęła, jakoby nic nie zaszło. „Dziad” z pola wrócił jakiś raźniejszy, że mu to Wicek, choć na swój rozum, a gospodarzę utrzymał w ładzie, uprawił, obsiał, jako się patrzy; sprzęt siana zaczął.

– Przez gospodarskiej wydolił ręki.

I coraz ino to na chłopaka, to na „smarkulę” a popatrywał, aż się całkiem rozweselił.

– A to – powiada – trza nam się będzie jutro z południa chwycić za łąki, Magduś, niewiasto!...

Nie zaprzeczyła, w duchu się jednak roześmiała tylko z tej tam ochoty, co się w karczmie pewnikiem po mszy skończy pod ławą.

– Niech się z kumami zwącha – myślała – abo z Wojtkową Kaj-ta-ni-jaczką – jak ją drwinami zwała za oczy – a będzie łąka.

Tylko że z chłopem zaś w tej gminie stało się coś dziwnego, ni go zmiarkować...

– Ten sam ci niby, ano inakszy.

Po nocy, prawie że i nieprzespanej, bo to i kury słyszała trzecie, rankiem się jednak zerwała wczesnym i do „kościółka” poszła z innymi dla „ciekawości”. Ludzi się ze wsi zebrało trochę, na poczęstunek „co najchytrzejszych”: Oryl, Wojtkowa, Kosiół, Nachyła, same pijaki.

– Oj, będą ci to – myślała – łąki, będą u Jukła!... – aż tu i patrzy, a ksiądz z zakrystii wychodzi w albie samej i stule, za nim chłopisko. Proboszcz siadł oto w konfesjonale i słucha „dziada”.

Teraz dopiero wspomniała sobie, że chłop był na czczo i przy śniadaniu nie brał nic w usta. Co mu się stało? Toć wielkanocną odbywał spowiedź, odbył niedawno i znów się słuchał. A zaś o niczym ani jej pisał.

Zaraz po „sanctus”, jako i klęczał z boku pod chórem, tak i zwyczajem, wiadomo, chłopskim buchnął ci krzyżem, a wraz dziewczucha ode chrzcielnicy jak i nie ryknie!...

– Głupie dziewczysko!...

Ledwo do końca i dosiedziała w onym kościele, skoro zaś po mszy chłop, jak patrzyło, spraszał do karczmy, wpadła na chwilę zmiarkować jako, co to i będzie?...

Pierwsza spłakana nito okrutnie nad pomarłymi, że to nad groby chodziła onych, weszła Wojtkowa, a za nią inni. Wzdychać ci jęła baba okrutnie, aż i do „dziada”:

– Hej, hej!... kumeczku – rzeknie – złocisty!... – a w szynkwias patrzy, niby to w ołtarz. – Dyc i pomarło się niebożątkom, zmarło obiema!... ano co robić?... wszystkie pomrzewa!...

Ale on ci jej jakby nie słyszał, zasie na karczmę powiada:

– Pijta, somsiedzi mili, pięknie was proszę, ja pił nie będę, jako że wyprzysięgniętym...

– Wyprzysięgnięty!... wyprzysięgnięty!...

Żeby jej był kto grunt pod nogami usunął nagle, dach ponad głową zwałił i słońce, nie byłaby się tak wylękała ni zdziwiła.

– Wyprzysięgnięty!... „Dziad” się wyprzysięgnął!...

Jakby ją oto gnało przed siebie, gnało przemocą, wprost do chałupy pobiegła pędem i do komory wpadła, do swojej; drzwi znowu kufrem zaparła szczel-

nie i jedno tylko wiedziała teraz, jedno jedynie, że jej w świat było, w świat jak najprędzej, w świat choćby zaraz.

Jeżeli jeszcze ludzić się mogła, jeżeli jeszcze... to i przestała. Losy jej w myśli stanęły ojca Jakubowego, Franka, hulaki, co to, jak po wsi szły o tym słuchy, wraz po kazaniu wyprzysiągł się także, jako to chłopu niewiele trzeba, i „zmiarkowała”.

Ano nie bunty czyjeś posronne, nie podmawiania; ano nie gadki były to ludzkie, ludzkie wymysły, „ino się oto przyśniły chłopu duszyczki obie”!...

– Głupie chamisko!...

Teraz wiedziała.

– Nie co innego... nie co innego... – jęła powtarzać, chodząc w gorączce, a gniew ją znowu chwycił i zawiść.

Przepadło wszystko!... Jeśli nie zładzi, „na szczęć” przepadło!... „Dziad” pójdzie z pieniędzmi na plebanię, już go nie wstrzyma; dział Leśkiewiczów zakupi święcie, skoro na trzeźwo.

– Niedoczekanie!...

I jak za zwykłych fochów i dąsów, na obiad nawet nie odemknęła, zaś po obiedzie, gdy się „chłopisko” wybierał w łąki z całym domem, jak to obiecał, przez drzwi do niej wszczął zagadywać:

– Daj mi ta spokój!... – burknęła tylko, czując, że oto z „dziadem”, z chałupą, z chłopstwem, z chamami raz i skończyła.

Wiknę jej nawet zabrali z sobą, sama się tedy została w domu na całe pół dnia, sama z myślami. Ano nie darmo!... „Skalkulowała wszystko galanto”, humor jej nawet wrócił, swoboda, a uśpić pragnąc „dziada” i innych, z łąk ich wieczszą przyjęła oto, zwarzoną przez się, a chłopą odtąd zwała „Jakubem”.

Tylko że dzisiaj nie dała Wikcie wychodzić z rana krokiem z chałupy, by jak mówiła, obiad z kim miała zgotować wczesny, a zgotowany wysłać na łąki, tyli szmat drogi. Sama bo także przyjść obiecała na popołudnie, pomóc w robocie, że się dziadzisko, widząc ją taką, aż rozochocił:

– Magduś! – powiada – kiej ci tak padnie, toś kieby z miodu, Magduś, niewiasto!...

– Głupie chamisko!...

Z Wikną jej poszło z miejsca, jak z płatka, ledwo coś z boku jej napomknęła, a dziewczka zaraz:

– Ja się, ta do nich, a nie do kogo w służbę godziła, to i za nimi... – ale że, musi, chyba pieniądze i przewąchała, a prześpiegliwa:

– Ino pod kufer – rzekła nieznacznie – trza fury tęgiej, bo nikiem ciężki...

I poleciała oto z obiadem, i do wieczora zostać już miała w łąkach z grabiami, ale po drodze wpaść na Borowiec, ojca tu do niej wyprawić duchem.

Zegar tymczasem wybił w komorze dwunastą, pierwszą; juści na drugą dobrze wskazówka zbiegła po tarczy, gdy się z zadumy ocknęła Magdzia. Jakby coś nagle wspomniała sobie, szybko do kufra pobiegła z kluczem, a ciężkie w górę uniósłszy wieko, z dna, spod bielizny, szmat i rupieci spory dobyła

z niego żelaźniak, z pokrywą na nim, wieko zamknęła, przysiadła obok i jak na stole, na kufrze jąta składać pieniądze.

Więc wyjęła z baraniego worka, co leżał na wierzchu, zwitek banknotów i rozwiązała: stówkami jeno sztuk było dziewięć i dwie dziesiątki. Więc dalej srebro składała z garnka w rzędy, po dziesięć sztuk licząc w każdym rzędzie, rzędów dwanaście, równo jak obszył. Aż i ze spodu jedna za drugą, zwolna, ostrożnie, po pięć już tylko do rzędu biorąc, dostawać jąta sztuka po sztuce mniejsze i większe, miarą z osobna, jako je zwała wszystkie, nie znając „dukaty” same: większych piętnaście, dwadzieścia mniejszych.

Zarumieniona, siedziała teraz przed skarbem onym, a bez tchu prawie.

Jakżeby ona, mając to wszystko w ręku, w kieszeni, ot tu przed sobą, na zawołanie, jeno brać w dłonie, bogactwo tyle, tyli majątek, taką moc grosza, skarb, skarb prawdziwy; jakżeby ona myśl zniosła bodaj, że jej to wydrzeć mogliby ludzie, „smarkula” może, „dziad” czy ktokolwiek?!...

Ba! ojcu przecie, a rodzonemu, skoro się rzeczy tak już złożyły, że mu zataić prawdy niesposób, że gdy ni rusz bez jego pomocy rzucić jej chłopstwa; ba! ojcu przecie, a rodzonemu, przyzna się, przyzna, ale w połowie.

W worek barani zgarniać poczęła: pięć storublówek, srebra połowę, „dukaty” większe, a zawinawszy go szmatą w koło, taśmą związała i pod pościelą ukryła w łóżku.

To dla niej samej, dla niej wyłącznie, za zmarnowaną z chamami dolę okup, zapłata; resztę pokaże, skoro tak trzeba.

– I za połowę – mruknęła teraz – pójdą kaj niebądź.

Aby uniknąć głośnych uderzeń o ściany garnka, jąta kolejają, naprzód banknoty złożywszy na dnie, sztuka po sztuce srebro i złoto zbierać w żeleźniak. Zegar wskazówką dochodził drugiej, gdy ją do krzyku wylękło pukanie w okno.

Stał w nim Nowotnik, ręką od światła zasłaniał oczy i w głąb komory patrzył półmroczej.

Do drzwi się próżno dobijał z sieni, zaszedł do okna.

Dzień był sobotni z południa.

Na chłopskich łąkach wielickich, w ramę lasów Iłżanki i Borowca ujętych, rojno i gwarno.

– Luda, jak mrowia!...

Kto żyw, wyruszył do sprzętu siana, a sprzątał „duchem”, od wczoraj jeszcze bowiem z wieczora młyny kroczewskie głośnym niezwykle „na wiatr dudnieniem” zmianę znaczyły.

I wyznaczyły.

Słońce paliło się wprawdzie na niebie, czystym dotąd, jak łąza pogodnym, lecz od zachodu ławą, a siną ciągnęły chmury, ciągnęły zwolna, nie dojrzec

okiem, ale płynęły, płynęły zwarte, ciemne, ponure, już ponad zieloną smugą lasów widne, jak murem.

– Szła ot, planeta!...

Na działach łąki, równo kołkami znaczonej w poprzek, wrzało pośpiechem. Słota i święto, groźba podwójna!... Zwijano się też... Gdy opóźnieni w kopki pokosy niedosuszone bodaj zgrabiali, inni je w stogi ściągali końmi, brali na wozy, spychali ręcznie, byle przed deszczem.

Dział Jakubowy jeno wśród łąki stał uprzątnięty, dzięki Wickowi i wczesnej koźbie.

Dwa na nim stogi spore, już uwieńczone, widniały, a zaś Musiała świeżo zwieńczony ograbiał właśnie, podczas gdy chłopak z Kasią opodal ostatki siana na wóz zbierali.

Wikty nie było. Próżno z obiadem jej dziś, jak zwykle, wyczekiwano, nie przyszła wcale. Nowotnik także, co na gawędkę podchodził do nich w porze obiednej, nie zajrzał dzisiaj. Jakub „markocił”. Zły był, bo głodny i niespokojny, ano i wstydem go zdejmowało przed sąsiadami, gdy na kawałku chleba ze śniadania w oczach gromady poprzestać musiał.

– Taki ci u nich i ład w chałupie!... – pomyślą sobie.

Wprawdzie, pytany o powód postu, rzekł, iż nie kazał przynosić stawy, jako że wcześniej skończyć miał z sianem i wrócić do domu; sam jednak z rana nie wiedział przecie, czy do wieczora nie zejdzie w łące, a i w chałupie nic nie „powiadał”. Przeciwnie, Magdzia i dziś, jak co dnia, z południa przyjsć mu obiecywała, choćby dla oka, ale jak co dnia, nie przyszła znowu; ba, stawy „musi” i nie zwarzyła „widać” codziennej, skoro się dziewczka nawet na łące nie pojawiła!

– A ludzie patrzą, widzą, miarkują, ano i gadają.

Zaś na dobitkę językiem oto wojować sobie po wsi zaczyna, ludziom na przekór. Toćże mu wczoraj Kajtaniakowa a wypominać ją przy świadkach, całej gromadzie, że ci nią sobie niewiasta jego „zęby wyciera”.

– Kaj-ta-nijaczka ano przeżywa – wrzeszczała baba – dyć sprawiedliwie!... Kaj-ta-nijaczka, widzita ludzie!... Mnie, osiedziałą na wsi z pradziadów, Kaj-ta-nijaczka. Ja ta nie żadna – wołała – taka! nie coby mi zaś kto od nijaczków miał i wydziwiać. Kaj-ta-nijaczka, słychane rzeczy dyć, moiściewy!...

Ledwo że babę i uspokoił, ale dziś za to widział wyraźnie, jak się w południe kręciła z „gębą”, oczyma w jego wodziła stronę, mełła językiem:

– Nikiej te młyny...

– Potrzebne im to, abo niewieście?... Dyćby i lepiej siedziała cicho, miasto wojować, coby jej zasie niepotrzebnego kto nie rzekł...

Rad był i ludziom zejść już z widoku i ograbiwszy stóg dookoła, siano zgrabione w wiązkę zgarnawszy, podszedł do wozu, co, wyżej drabin pełny, do drogi stał w pogotowiu.

A chmury zwarte, sine, ponure płynęły wałem.

Tam, poza rzeką, świat bo się ciągnął jeszcze; Kroczewy oba, Pcin i Banachów pławiły się w słońcu; od lasu jednak i od Borowca „szło, kieby nocą”.

Gdy z wozem w knieje wjechali wreszcie, ciemń ich opadła, obległo mrokiem. Ciszą zalało. Stado im jeno kawek ponad głowami przebiegło, wrzaskliwe, z szumem; łańcuchy jeno u naszelników pobrzakiwały, a parem biło na nich, zaduchą, jakoby z pieca.

Lejcami z ziemi konie prowadził Wicek przy furze, Kasia szła obok, z dala za nimi idąc za wozem, ćmił fajkę Jakub.

Ćmił fajkę idąc, a na chłopaka raz wraz spoglądał.

Śmigły, barczysty, pół głowy jeszcze przerósł dziewczynę. W koszuli tylko, spuszczonej wierzchem i przepasanej, nogi u kolan w rzemyki spięte, bose, swobodnie stawiał, lekko, miarowo, „nikiej w tańcu”. Spod kapelusza o pawich piórach jasne spadały w kędziorach włosy, a co do Kasi jeno zwrócił głowę i zagadał, to mu się białe świeciły zęby, a siwe oczy.

– Chłopak jak rzepa!... – mruknął Musiała już swobodniejszy i na dziewczynę spojrzął z kolei.

– Ano – dorzucił, rad coraz więcej – dyć i dziewucha ale niczego.

Aż i wesoło skończył w głos prawie:

– Będzie i para!...

Bo że się, musi, mieli do siebie, ślepy by dojrzał. Ino co z nimi pobył na łące tydzień cały, a wnet zmiarkował. Dziewucha za nim gubiła oczy, on zasie do niej, a gdzieżby mu to chłopca nad Wicka szukać dla córki?...

Teraz, gdy oto wyprzysięgnięty lżej patrzył w koło, ano po domu spojrzął na trzeźwo, to i zobaczył, jaką to chłopak był mu pomocą a „wysłuzeniem”.

– Syn i nie lepszy...

Mówiła Magdzia, co się z dziewuchą wodzą po kątach, świadczyła Wikta, to i zgorszenie. Żeby się ino tak jak one wodzili insze, albo i dziewczka. Chłopaka, musi, se uraiła i sprzeczna o to. Widział on, widział wodzenie to ich na własne oczy. Dziewucha śmielsza, a prześpiegliwa, to bo i prawda, łazi za nim, ano stateczna, „chowanie babki”; zasie on przy niej, kieby ta trusia, nie coby wodził.

– Dyć i powiedzie, a do ołtarza, kiej wola boska...

– A zaś babczyna była też nikiej... – dodał po chwili, jako że mu to dziewczyna sama rzekła niedawno.

We wtorek jeszcze zaraz na łące „wziął” coś miarkować; kaj bo się ino chłopak obrócił, dziewucha za nim. Tak i dla śmiechu na osobności powiada do niej:

– Kasiu, trzymaj, dziewucha, bo ci ucieknie!...

Stanęła w ogniu, kieby ta wiśnia, a ino hardo podniosła głowę; zaś nie do śmiechu wcale ni żartu, jako i stała:

– Babula – rzeknie – kazali mi się Wicka pilnować, to i pilnuję... – ano grabiami jak ci nie zajmie, tak i dwa zęby ostały w trawie.

Nic już jej więcej nie mówił na to, a tylko w sobie rozważać począł i „kalkulować”.

– Była, dyć była wola babczyna... – wykalkulował.

A dziś to ino spojrzysz se po nich, wraz mu i raźniej.

Mijali oto właśnie porębę, gdy głuche z dala rozbrzmiewały grzmoty. Łasem złowróżbna jeszcze przed burzą leżała cisza, chwilami jednak woń ni to wiatru, ni to wilgoci szła już powietrzem.

– Wicek, a w konie!... – dał rozkaz Jakub.

Ruszono zwawiej. Truchtem się prawie dobito pola, a jednocześnie pierwsza wichury nadbiegła fala.

Aż ich przygięło.

Wsi tam przed nimi ani i dojrzyć w kłębach kurzawy. Hen jeno od Bąkowy Czerwonej niebo sine ogniem się krwawiło, huczało grzmotem, gnało wichurą.

Ciemń zaś, jak nocą.

– Włażta na furę!... – rozkazał Jakub, i wóz po drodze „księżej” niebawem pomknął a pędem.

Gdy się od pola popod stodołę zatrzymał wreszcie, lało jak z cebra. Kasia, odziana w sukmanę Wicka, podjęta z wozu, pobiegła z wnętrza otworzyć wrota; za nią przełazem ruszył Musiała wprost do chałupy.

Ledwo pod falę dobił się do niej, stała otworem.

– Kiż lichu znowu!...

Ale do środka drzwi z sieni także a odemknięte.

– Pofiksowały!...

– Wikta!... – zawołał, wchodząc omackiem do ciemnej izby.

– Toż sprawiedliwie, ognia ci nikiej i nie zatliły!...

– Wikta! – powtórzył.

Grzmot jeden, drugi zgłuszył wołanie.

– Żywego ducha!...

Zdjęło go lękiem.

Teraz przy świetle już błyskawicy wpadł do komory, wołając:

– Magduś!...

I tu nikogo.

Ciarczki go przeszły.

– Dyć w imię Ojca!...

Aż i łysnęło znowu, jak łuną, a w łunie onej objął komorę...

– Jezus!... Maryja!...

Łóżko się jeno nagie bielilo, stół, stołków para. Na ścianie zegar klekotał jeno, ni szmat, ni czego, a tylko w rogu samym, miast kufra, żeleźniak leżał bokiem, bez wieka, żeleźniak pusty...

... – Józefie święty!...

I stanął środkiem na głaz zdrętwiały, stał chwile niemy; a potem z cicha:

– Magduś!... oj, Magduś, niewiasto!... – zawodził chwilę, a potem dłońmi oburącz głowę chwycił, jak w kleszcze, skrzył na izbę, a utykając, dziecku się oto, dziewczusze swej, musi, skarżyć biegł, bo ryknął:

– Kasia!...

Część czwarta

Po długich słotach i zimnie wyjrzało wreszcie wiosenne słońce, i z końcem kwietnia, w sam dzień świętego Wojciecha, patronującego „kościółkowi” cmentarnemu, w dzień odpustu w parafii wielickiej pierwszy raz na czyste spłynęło niebo, dogrzewać jeło, przypiekać a suszyć pola i drogi, a ruń zieloną wabić ku sobie, a soki pędzić drzewami, a świecić, świecić, że się od onych po ziemi światła, jak śmiechem po ludzkiej twarzy, weselem tliło.

Wiosna i odpust ruszyły ludźmi, jak mrowiem, i zaroilo się nimi. Na kazańskiej, w opłotki ujętej, drodze, od karczmy, mimo wiatraka i rozsochatej lipy ze świętym na niej obrazkiem, środkiem już tylko wśród fur, straganów i precisnąć się było można; od wsi zaś samej Łazisk, Bąkowy, lipskim i ciepiewskim gościńcem, jak zajrzeć okiem, sznurem gromady ciągnęły nowe: pieszo, wozami, strojne, odświętne i wiośnie rade, i słońcu, i odpustowi.

Dwie już z sąsiednich parafii kompanie: ciepiewska i kazańska, witane biciem wszystkich trzech dzwonów na głównej przy kościele dzwonnicy – „kościółek” bowiem, krom sygnaturki, dzwonów nie posiadał osobnych – dwie już kompanie przy huku kotłów, poprzedzających krzyże z chorągwiami, wśród chóru śpiewów spłynęły się ni to dwie rzeki, z tłumem pobożnych, a „Wojciech” z „Zygmuntem” i „Stanisławem” na sumę teraz grać jeły znowu, gdy od karczmy, z rojowiska ludzkiego, wsparty na kijku, z lekka lewą powłócząc nogą, ku wsi na drogę wybił się Jakub.

A starzec to był siwusieńki.

Wydostawszy się pod lipy, otaczające kościół parafialny, co, choć bezlistne, gęstwianą konarów cieniły słońce, zdjął czapkę ciężką, gospodarską, baranią, i pobrząkując zawieszonym na piersiach różańcem przyspieszył kroku. Czysto było koło niego, schludnie, dostatnio. Na szaraczkowej, szerokim pasem spiętej sukmanie, szeroką czarną bramowanej taśmą ni śladu blachy sołtysiej. Twarz pomarszczoną a wygoloną znowu, jak dawniej do cna z wąsami, słońcy włosy

w grzywę na czole po oczy ciętą, białe jak mleko, obfite jednak jeszcze bokami aż po ramiona.

„Pochwalonym” witany raz wraz przez przechodniów, „Na wieki!”... nie zatrzymując się odpowiadał, i tak zgarbiony, nogą powłócząc, stukając kijem a pobrzękując różańcem, do wsi dotarł i, pierwszych kilka minąwszy chałup, stanął wreszcie u wrót zagrody i skrzypnął nimi.

Na skrzyp ten z chaty, jakby na niego czekała tylko, wybiegła Kasia. Stojnie ubrana, na lewej ręce białą, zwieszoną trzymała płachtę, na prawej chłopaka, jak ćwik, rocznego, co jednym tylko pękiem włóczkowym na szczycie czepka płeć swoją znaczył.

– Chodźta – wołała – ojciec, a żywo!... Z pacierz, jak dzwony na sumę biły... czas, musi, wielgi... bierzta se Franka!... Wicek!... – dodała, zwracając głowę ku wnętrzu chaty – tatulo przyszli, wyłaż z komory!...

Na sumę i nieszpór wybierała się z „chłopem”, Wickiem, co się w komorze „oblóczył” właśnie, przy dziecku zaś zastąpić ją miał Musiała, z rannej w tym celu powracając wotywy.

Zbiegła do ojca, złożyła mu ostrożnie na ręce wnuka, i obwijając go płachtą we dwoje, ni to pasem słuckim, podczas gdy Jakub w miejscu się zwracał, jęła go z Frankiem okręcać na „moc”, a okręciwszy, końce dziecku pod nogi wsunęła.

– Odpust galanty!... luda, jak mrowia, wałą, a wałą... mówiłam co się tatulo i nie przecisną!... – rzekła, szybkim, sprawnym ruchem zagarniając pod chustę, zdobną neżykiem, osuwające się jej znad skroni dwa pęki włosów, już teraz nie w warkocze plecionych, ale, jako zamężnej „niewieście” kazał obyczaj, skręconych wolno.

I podczas gdy Musiała, cały wnukiem zajęty, że i na słowa córki nie zważał, napadom Franka na nos swój i oczy opędzał się, ona uśmiechnięta, z pogodą na twarzy wielką, spokojem a powagą, stała tam chwilę, wpatrzona w ojca i syna, aż się ku chacie zwróciła nagle, czoło znamienne zbruzdziwszy rysą:

– Dyc, sprawiedliwie... nie ślamazarne to ci chłopisko z mego?... mruknęła – stroi się, nikiem baba na jarmark!...

Plasnęła w ręce.

– Wicek, a wyłaż!...

Do drzwi pobiegła, zniknęła w sieni i wyszła przyodziana w kilimek, a za nią Siwiec.

Jako gospodarz dzisiaj na roli i człek „żeniaty”, czapkę baranią przywdział wysoką, spinaną we wstążki, że w drzwiach głowę pochylić musiał. Ręce wsunął w kieszenie sukmany i szedł ku wrotom, minąwszy Kasię, która przy ojcu jeszcze i dziecku zabawiała chwilę:

– Strawę ta ojciec mają w kominie... – mówiła jeszcze – a zaś dla dziecka flaszka na oknie... ostajta z Bogiem!... – skinęła głową i śladem męża wyszła za wrota.

Kroczyli teraz drogą poważnie: on zawsze przodem, sztywny, barczysty, ona zaś z tyłu, krok w krok za „chłopem”, świeża, pogodna. Urodą od nich było i zdrowiem. Jakub za nimi sunął do płota wyjrzyć na „swoich”; wnuka na razie zapomniał nawet, co podrzucając nogami w płachcie, pochwycił dziadka pięścią za palec i całą siłą do ust go ciągnął, aż poczerwieniał.

Z kolei jednak, gdy sztuka z palcem nie szła mu jakoś, i już miał wrzasnąć, skierował Franek oczy zmrużone skurczem pyzatej twarzy na różaniec, twarz wypogodził, piętami wierzgnął, wypuścił palec i nową zdobycz chwytając garścią, szarpnął nią silnie. Brzęk medalików ocknął Musiałę. Od płota z wolna zwrócił w podwórze, dzieckiem zajęty znowu wyłącznie, próbując mu ostrożnie dobyć z uścisku koronkę, poważnym zagrożoną niebezpieczeństwem.

– A puszczaj, smyku!... puszczaj, niecnoto!... – powtarzał w kółko, ale daremnie. Dzieciak się nowej czepiał zdobyczy, ani chciał puszcząć. Już bo ponownie twarz mu się jęła kurczyć do płaczu, gdy za wygraną dając chwilowo, Jakub z kieszeni dobył piernika, świeżo z odpustu przyniesionego, i z dala błysnął nim chłopakowi:

– A puścisz, raku?!...

Franek aż skraśniał.

– Ghaa!... ghaa!... – bełkotać zaczął wymownie, oczy w pierniku utkwiał, jak w tęczy, garstki wyciągnął obie różowe i nożynami trzepać jął w płachcie, a bębnić nimi w dziadka, jak w bęben.

– Puściłeś, bąku?... – drażnił go Jakub.

– Ghaa!... – wrzasnął chłopak na całe gardło i wierzgnął przy tym z takim rozmachem, że się o mało z rąk nie wysunął.

– A dyć wylecisz, smyku, na ziemię!... – krzyknął Musiała. – Naści, już naści!... jak ci to hultaj poznał piernika!... ani go wstrzymać!...

Płachtę pod dziecko podwinął mocniej, różaniec wsunął głębiej w zanadrze i korzystając z ciepła i słońca wędrował dalej.

Do chlewa zajrzał, zajrzał do stajni, wszystko w porządku. Spojrzał na strzechę, świeżo z jesieni szytą „galanto”, i na podwórko czyste, jak wymiótł; na tok u studni spojrzawszy nowiutki; na ułożone pod płotem drzazgi, zapas paliwa, ujęte w kołki niby sąg jaki, schludnie, pod miarę; spojrzawszy na „fest” zamkniętą stodołę, przez której wrota dziurami w deskach sterczały jeno dyszle dwóch wozów, świeżych okuciem błyszczące na dniu.

Gdzie rzucić okiem, ład i staranność.

– I poźrzeć miło...

Musiale błogość wzbierała w piersiach, lekkość na duszę padała dziwna, aż i na pola zapragnął wyjrzyć, pola i lasy.

Ku przełazowi podszedł i darni, w której gęstwinie wolny, jak oknem, płynął stąd widok. Runi dokoła zielonej szmaty, het, po las siny. Wiatr tu i owdzie falą biegł po niej, ciepły, wiosenny, drżał na źdźbłach skrami, gdzie je zaś ławą chylił ku ziemi, tam, jakby cienie kładł polem czarne i gnał przed sobą. Bliżej po drodze marszczył zwierciadła kałuż światliste, szumem wypełniał grusze po

miedzach, aż na „jeziorko” opadał „księżę”, niby „planetą”, gasząc w nim słońce. Z nieba dzwoniło skowronków granie, czyste, donośne, a tylko gwarem tłumione głuchym, co się chwilami podnosił z tłumów, tam, od „kościółka”, i szedł powietrzem.

Nagle jękliwym przebił się hasłem głos sygnaturki, wszystkie wraz za nim ozwały się dzwony; śpiew spłynął falą, wzgórzem kościelnym „kieby ci wstrząsnął”, a zaś ponad nim dostrzegł Musiała trzepot chorągwi.

– Dyc procesyja...

Jakub zdjął czapkę i „U drzwi Twoich”... zanucił z cicha.

I tak z odkrytą dalej stał głową na ciepłym wietrze, w słońcu, na wiośnie, aż go powtórnie dobiegł wyraźny głos sygnaturki.

– Ewangelia, musi, abo co ?...

Spojrzał na Franka. Chłopak, przysmaków syt i zabawy, umorusany, z czepkiem po uszy zsuniętym z głowy, z resztką piernika w garści przy ustach, spał wyciągnięty w płachcie wygodnie.

– Trza go w kołyskę... – mruknął Musiała, nałożył czapkę i ku chałupie zawrócił z dzieckiem.

Franek zaspany ani się ocknął, gdy go ostrożnie dziadek układał w pościeli czystej, pierzyną w koło otulił szczelnie, i zakołysał raz, drugi z lekka, ot, dla zwyczaju.

– Musi go słońce i rozebrało, niech ta śpi z Bogiem!...

Teraz po łyżkę sięgnął na półki, spluknął w cebrzyku i na przypiecku siadł z garnkiem klusków, które mu córka w ciepłym popiele w komin wstawiła.

– Coby staremu i nie wyziębło!...

I dumać jął o „pocziwym” dziecku, co to w chałupie rządziła nynie, „nikiej ta babka” ongi „nieboszczka”, składnie a mądrze, jako się patrzy. Pojadał zwolna, po wierzchu mleko zbierając z klusków, podczas gdy wiekiem zrudziały Kruczek, zapachem jadła zwabiony z przyzby, gdzie się od rana wygrzewał w słońcu, przez niedomknięte drzwi się przesunął, i u nóg pana przysiadłszy skromnie, zwracał ku jedzącemu łakome, bielmem starości zaszłe spojrzenia i pomrukując łapą go trącał.

Poza Musiałą, górą „na chłopca” przybity zegar, ten sam, zwoleński, co wisiał „na pokojach przybłądy”, łuki błyskliwe wahadłem wodził po ścianie białej i nagle zgrzytnął, syknął i umilkł. Wybić miał właśnie pierwszą z południa i tchu mu zbrakło.

Jakub odwrócił za siebie głowę:

– Waga opadła!...

Żywo się podniósł; z garnka na miskę zlał resztę klusków, podsunął ją psu, poczem z wysiłkiem, ni to w pośpiechu, o komin wspierając obie ręce, wlaź na przypiecek.

Stał przed zegarem.

On ci go jeden nastawiać umiał i sam nastawiał; nigdy go Kasia albo i Wicek nie dotykali:

– Że to po „tamtej”.

Z uwagą ujął kółko łańcuszka i w dół pociągnął. Zgrzytnęło znowu, znowu syknęło, wybiła pierwsza.

– Pierwsza!... – półgłosem szepnął, jak echem.

Magduś go jeszcze uczyła ongi godziny poznawać, Magduś, niewiasta!...

Błogość mu z twarzy starło wzruszenie. Stał oto, pilnie wpatrzony w zdobny malunkiem zegar w róże po rogach barwne, jaskrawe, wieńcami kwiatów ujęte w ramę. Pokost tu i owdzie z blaszanej płyty opadł łuskami, rudawe znacząc tu i owdzie skazy. Skaz tych dotykał palcem kolejno, niby ran żywych, a i dostrzegł świeżą:

– Furt ci opada!...

Rogiem sukmany, ostrożnie, z lekka, by o skazówki nie trącić przy tym, otarł pył z płyty, zdmuchnął raz, drugi, i chwilę jeszcze w zegar wpatrzony, nie ruszał się z miejsca. Wreszcie z westchnieniem, zwolna już teraz, jak z sił opadły, zeszedł z przypiecka i przy kołysce na ławie przysiadł pod oknem, chmurny.

Ano kiej oto nijak mu było i wspominać „onej”, coby go nikiem wraz i żalością nie zdjeno wielką. Żalem za oną, po której mu się, ot, zegar ci ten ostał, i tyle. Niedobra była, musi, niewiasta, „nieprzynależna”, złem wiało od niej; wstydem mu, krzywdą spłaciła nawiść, duszne kochanie, a zasie skoro w myśli stanęła Magduś ta jego, to ci jak żywą nosił ją w oczach i „okeż durniał”. Jedno za drugim dyć na prześcigi wspominkiem mu się po głowie wiodło, i zła, i dobra.

Kiej bo handryczna:

– Głupie chłopisko!... – rzekła mu w złości.

Alboli kiedy ni ten miód słodka:

– Oj, dziadu, dziadu!... – mówiła rada.

Różnie wspominał, ino co zawdy „jankor” miał do niej, a hardość w sobie, żeby go zasie na pośmiewisko tak wydać ludzkie i ze czci obrać, i obrać z grosza, ano po świecie sromotę nosić swoją i cudzą.

Skoro go w oną chwilę przed roki, kiej ci od kośby powracał w burzę z Kasią i Wickiem a pustą ujrzał komorę w ciemni, a rozum stracił, okeż go w progu chałupy o ziem zważyło w błocko, kieby tę kłodę, to i po żniwa leżał kiej kłoda, nic nie wiedzący, że to i mowę mu nikiem zrazu odjęło wszystką, a władzę w sobie. Aż i wziął dobrzeć, ano z jesienią wydobrał jakoś, ino mu w nogę wlało a lewą, że ci powłóczył oną z ledwością, kieby kikutem, a zaś na głowie, to siwiusieńki ostał, kiej gołąb.

– Ot dziad... i tyle!...

I na „dziadówkę” rwał się a duchem, rwał się koniecznie, jako to z żalu i sromoty nijak mu było.

Ino że córka słysząc nie chciała:

– A to – powiada – złe i minęło, a przyjdzie dobre, nie coby ojciec chałupę rzucać mieni lub rolę. Niech się ta sroma, kto i zawinił, a wam co zasie?...

– A bo i rychtyk!... – powiadał Wicek.

Kajże tu ale miało przyjść dobre, skoro się tyla zważyło złego, jako się strzymać. Onej krwawicy, co to ją matka jeszcze i rodzic, Maryś nieboszczka sporzyli cięgiem, to i wspominać nie śmiał nikomu, że to ją wydał samochcąc, nie rzekł i córce, a tylko w sobie nosił robaka, a gryzł się onym, kieby tą zmorą.

Jak ci zabrała, tak i przepadła, kaj czego szukać. Wyniół się za nią wprędce Nowotnik, musi i w znowie, chociaż na oko wywodził żale, jako to zmiję se odhodował miasto by dziecka, a zaś odchodzi, że to powiadał:

– Wstydem go okeż nie spali w sobie.

Kwartału ino na święty Michał dobył swojego, tyleś go widział!...

– Kaj czego szukać!...

Tak i minęła jesień i zima, nastąpiła wiosna. Ludzie się po wsi ruszyli w pola, ruszył i Wicek, ruszyła Kasia, co się to w zapust zmówili jeszcze, zaś na po żniwach i pobrać mieli, ano i jego napadło w pola z ludźmi, jako na boską wolę udał się już z onym dopustem, zbył sołtysostwa i do różańca zapisał się właśnie, aż tu pod wieczór, jakoś na Świątki, patrzy, do izby wpadli Wojtkowa a powiadają, że ci niewiastę widzieli pono Oryl w Zwoleniu, jako na bryce z pańska na jarmark zjechała dworno aż z Jasieńca, kaj to, mówili, rządzi we dworze, kieby ta pani.

Baba za oną „Kajtanijaczkę” złość do niej, musi, miała i rzeknie:

– Dyc, moiściewy, a na ten przykład i nie nowina: zawdy bo wilka ciągnie do lasu.

Jego zaś okeż i nie zważyło. Gorącość padła na niego wielka, i duchem do niej, Magdzi, niewiasty.

Ino że onych nijak zniewolić: Kasi i Wicka.

– Mało się ojciec – powiada – krzywdy najedli, wstydu a poniewierki?... niedoczekanie!... mnie ta pod jednym dachem nie siedzieć z taką!...

A zasie Wicek na to:

– Bo prawda!...

Ani se gadać o niczym nie dali, że skoroby tam, mówią i sama przyszła w pokorę, to ta i może; ano coby ją zapraszać jeszcze, a po próżnicy, to i śmiech ludzki.

Tak i stanęło. W chałupie nowe nastały rządy, ład po dawnemu, kiej za nieboszczki, dyc radość oku; a zaś grosza znowuj się kapkę i przygarnęło. Gody po żniwach wyprawił córce, aż mu się oto narodził Franek, że i odmłodniał. A tylko zawdy mało niewiele, żalem go chwyci a lęklivością, a w oczach mu ci jak obraz staje Magduś, niewiasta.

– Okeż durnieje!...

Ino co, musi, onej ci pono i nie zobaczy, nijak a nijak!...

– Ha, wola boża!...

A zegar sunął wskazówką, sunął, godziny biły. Słońce na zachód chyliło tarczę, z ukosa oknem po izbie rzucając światła złote, aż i promieniem padło w kołyskę, zbudziło Franka. Strzepnął rękoma, rzucił się w pościeli, z garści wypuścił resztkę piernika, kopnął pierzynę i wrzasnął:

– Gha!... gha!...

Jakub do wnuka porwał się z ławy, jak oparzony.

– A cichaj, wnusiu!... – cichaj!... – powtarzał.

Czym prędzej pochwycił z okna flaszkę z mlekiem i smoczkiem, i w rękach dziecko usadowiwszy, pić je zaczął. Troskę mu z twarzy zwiąło, jak czarem. W „smyka” wpatrzony, „raka”, „niecnotę”, znowu o biedzie własnej zapomniał i zamaczaną w cebrzyku szmatą, mimo oporu i wściekłych wierzgań, omywszy dziecku twarz zamorusaną, jak mógł sam, znowu się płachtą owinał w koło i wyniósł w niej Franka na podwórze.

I znów niebawem stanął u płota w tarni, jak w oknie, i na „świat” wyjrzał.

Wiatr ścichł pod wieczór. Grusze po miedzach rzucały cienie długie, spokojne. Światłem się teraz mienił, pozłotą, las hen, na skrajach; rdzawą zielenią biło od runi; czerwienią z kałuż, a zaś na lewo, tam, nad kościołkiem, niby latarnia jasna w powietrzu, wieża się tliła słońcem jak w ogniu.

I znów się nagle głos sygnaturki przebił jękliwy, zagrały dzwony, Wojciech, Stanisław i Zygmunt, chórem; śpiew spłynął falą, wzgórzem kościelnym, „kieby ci wstrząsnął”, a zaś ponad nim dostrzegł Musiała trzepot chorągwi.

– Nieszpór wychodzi...

Jakub zdjął czapkę i „Gwiazdo morza”... zanucił z cicha...

Genewa, marzec 1895–sierpień 1896

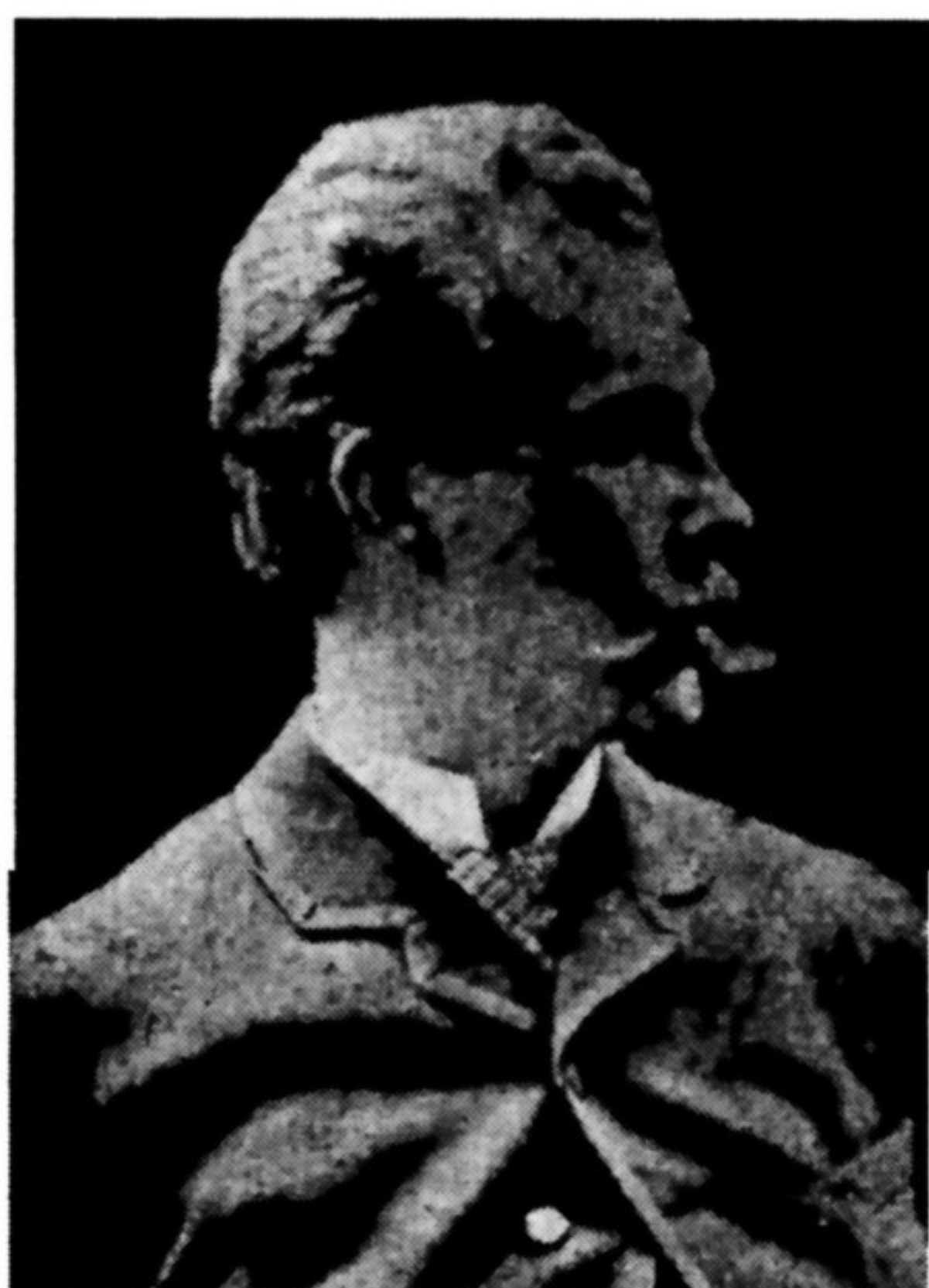


Postowie



WACŁAW KARCEWSKI I JEGO DZIEŁO

Człowiek i pisarz



W literaturze polskiej, jak i w innych europejskich, często spotyka się pisarzy niesłusznie zapomnianych. Należą do nich ludzie, którzy nie umieli sobie torować drogi do uznania łokciami, którzy żyli w odosobnieniu, robili swoje i przechodzili niedostrzeżeni. Gdy po latach krytyka czy historia literatury zwróci na nich uwagę nieraz okazuje się, że owi zapomniani godni są pamięci, bo do literatury wnieśli coś nowego i osiągnęli w niej więcej od niejednej przemijającej, głośniejszej za życia, a po śmierci rychło pogrążającej się w niepamięć „sławy literackiej”.

U nas do takich niesłusznie zapomnianych należy niewątpliwie Wacław Karczewski, o którego życiu wiemy stosunkowo bardzo niewiele. Urodzony w r. 1855 w Woli Siennieńskiej pod Radomiem, bliski krewny znakomitego malarza, Jacka Malczewskiego, wraz z którym wychowywał się we wsi Wielgie pod kierunkiem znanego pisarza, Adolfa Dygasińskiego, pracownik w redakcji „Kuriera Warszawskiego” (1888–1893), następnie bibliotekarz w zamku Rapperswyl w Szwajcarii, gdzie przyjaźnił się z Żeromskim. Zmarł w r. 1911. Dobiegając trzydziestki wystąpił jako pisarz i nawet zdobył początkowo pewne uznanie. Chwalono jego dramat „Lena” (1886), wyróżniony na konkursie im. Bogusławskiego i przychylnie wyrażano się o tomiku opowiadań pt. „Drobiazgów garść” (1887), obojętnie natomiast przyjęto o dziesięć lat późniejszą powieść „W Wielgiem” (drukowana w r. 1897 w „Bibliotece Warszawskiej”, w r. 1898 wydana książkowo przez Grendyszyńskiego w Petersburgu), ostatnia wreszcie jego powieść „Mieczek Wieliski” (drukowana w lwowskim „Słowie Polskim”, 1910) w ogóle nie doczekała się wydania jako osobna książka i poszła całkowicie w zapomnienie.

Przyjaciel Karczewskiego i towarzysz pracy bibliotecznej tak ujął wspomnienie jego postaci:

Człowiek miły, wytwornie ułożony w geście towarzyskim. Wyniosłej postawy, szczupły, z pięknymi rysami twarzy, typowo polskimi, był wizerunkiem człowieka rasowego dobrej kultury. Siwe włosy i wąs staranny przy młodzieńczym wyrazie oczu czyniły go równieśnym dla ludzi wszelkiego wieku. W Rapperswylu robił wrażenie człowieka, który się odosobnił umyślnie od świata w zacisze klasztoru i szukał zapomnienia w benedyktyńskiej pracy bibliotecznej.

Tym właściwościami wewnętrznym odpowiadała potrzeba skupienia się i dojrzałego umysłu, i ona to zapewne sprawiała, że prace literackie Karczewskiego narastały powoli i w wyniku dały dorobek jego ilościowo szczupły, jakościowo natomiast bardzo niepospolity.

Charakter tego dorobku pozostawał w bardzo ścisłym związku z warunkami, w których przyszły powieściopisarz zdobywał swe wykształcenie i swą zaprawę literacką. W zamożnym dworze wiejskim, w ciągłej styczności z życiem chaty chłopskiej, w otoczeniu najrozmaitszych dziwacznych nieraz postaci ludzkich, łączników między dworem i wsią, wśród przyrody, przemawiającej swym pięknem do wyobraźni zdolnego chłopca, rozwijał się on pod wpływem niepospolitego nauczyciela, jakim był Adolf Dygasiński, w towarzystwie drugiego chłopca, który z biegiem lat miał stać się jednym z mistrzów malarstwa polskiego – Jacka Malczewskiego. Obcowanie z tymi dwoma ludźmi nauczyło Karczewskiego wiele, wytworzyło w nim postawę dokładnego obserwatora życia człowieka i przyrody, niemal z naukową ścisłością chwytającego okiem i utrwalającego w pamięci znamienne właściwości otaczającego świata. Do czynników tych, pod wpływem życia, które mieszkańca dworu wiejskiego wyrzuciły na bruk warszawski, później zaś na emigrację, dołączył się inny – tęsknota za utraconym „krajem lat dzieciennych”.

Zaznaczyło się to wszystko bardzo wyraźnie w młodzieńczym zbiorze nowel („Drobiazgów garść, wykazujących, iż mistrzem Jasińczyka – takie bowiem nazwisko pisarskie początkujący literat przybrał tutaj, a i później używał go stale był jego nauczyciel Dygasiński. Wystąpiła tu wyraźna umiejętność dokładnego dostrzegania przeróżnych właściwości życia, ale życia w Wielegiem, w jego dworze i otoczeniu dworskim. Wychowanie „paniczów” pod opieką nieocenionej Karolowej, ukazane w spowiciu tęsknych wspomnień, doskonale zrobiona, choć w ramki niezupełnie szczęśliwe wstawiona sielanka panicza i pełnej czaru dziewczyny wiejskiej, zakończona zagładą obojga ofiar przesądu społecznego („Cztery latka...”), świetny obrazek zmarniałej rodziny dziadowskiej („Kruczek”), wyrazisty portrecik golibrody wiejskiego („Przysiwek”), opowieść wreszcie o przybłędzie-malcu („Ograszka”) mogą iść o lepsze z najlepszymi „szkicami z natury”, kreślonymi piórem Dygasińskiego. Jeszcze wyżej sięga opowiadanie „Jadam i Jewa”, obrazek dwu ślepych koni dworskich, spędzających ostatek swych dni na pastewniku, pod opieką starego Jochymka. Sposobem Dygasińskiego nowele i obrazki swe młody pisarz zaopatrzył tu i ówdzie w uwagi, w których zaznaczył twarde prawa życia przejawiające się w bytowa-

niu chłopskim, potrafił jednak uchronić się natrętnego pouczenia, którym autor „Asa” zepsuł niejedno ze swych dobrych opowiadań ludowych. Że zaś sam miał samodzielną, własną postawę twórczą, dowiódł przez wprowadzenie w bardzo dokładnie odtworzone życie codzienne jakichś nieuchwytnych a pełnych czaru rysów poetyckich, jakiegoś głębokiego zainteresowania dolą człowieka czy zwierzęcia. Dość wskazać na bardzo niezwykle zestawienie piękna przyrody wiejskiej z dogasaniami na jej tle dwu spracowanych szkap folwarcznych, Jada ma i Jewy. W kilkanaście lat po Karczewskim pogłosy tej sprawy powrócą w pismach Żeromskiego. Sposób ich ujęcia dowiedzie, że pomysły te do twórczości autora „Popiołów” wniosło rozczytywanie się w młodzieńczych opowiadaniach Jasińczyka.

Z tym wszystkim „Drobiazgów garść” stanowiła tylko zbiór szkiców do dzieła późniejszego i większego, w którym znajomi na ich kartach poznani wystąpią jako nieodzowne składniki świata, poza który Karczewski wyjść nie chciał czy nie umiał. Dziełem tym jest „W Wielgiem”.

Powieść o życiu wielickim

Wydarzenia rozgrywające się „W Wielgiem”, przebiegają wprawdzie znowuż między dworem i wsią, dwór jednak, stanowiąc w nich punkt wyjścia, usuwa się w obrazie obyczajowym na plan dalszy, na pierwszym zaś wyraziście rysuje się życie w chacie zamożnego gospodarza i w zasobnym środowisku chłopskim. Nie jest to szczegół obojętny, obecność bowiem dworu nie zmniejsza w stopniu choćby najdrobniejszym wyrazistości obrazu życia chłopskiego, nie przyczynia się do uszczuplenia chłopskości powieści.

Najwątpliwiej Karczewski poszedł za przykładem mistrzyni, która wskazała mu, jak powieść jako całość stworzyć, uławiła mu ujęcie pewnych pomysłów, zapewne zachęciła przykładem do ich opracowania. Była nią Orzeszkowa jako autorka „Chama”. Jak bowiem w powieści nadniemeńskiej osią wydarzeń jest niedobre małżeństwo rozwydzonej dziewczyny, muśniętej przez kulturę miejską, z chłopem, tak i Karczewski ukazał na kartach swego dzieła podobne małżeństwo pokojówki dworskiej ze starszym od niej chłopem i jej pogardę dla „chamskiego” życia. I jak Orzeszkowa – poprzestał na bardzo szkicowym potrąceniu o dwór i jego mieszkańców, o „państwo”, choć z konieczności zajął się szczegółowiej przedstawieniem służby dworskiej, wśród której raz jeszcze spotykamy znanych nam już golibrodę Przysiwka oraz furmana Jochymka. Stosunek jednak „W Wielgiem” do „Chama” jest tego rodzaju, iż przypuścić wolno, że powieść Orzeszkowej przypominała Karczewskiemu podobny układ wydarzeń, znany z „rodzinnej wioski” i skłoniła go, zachęciła czy nawet wprost ośmieliła do skupienia na nich uwagi zarówno pisarza, jak czytelnika. Samo bowiem przedstawienie życia, ludzi, ich obyczaju i języka, tła wreszcie przyro-

Wielgie



Fragment stawu – ulubionego motywu Jacka Malczewskiego (fot. B. Popławska)



Suszarnia chmielu (fot. B. Popławska)



Ptaszarnia (fot. B. Popławska)



Aleja kasztanowa prowadząca
na tyły nieistniejącego już dworu (fot. J. Popławski)



Kilkusetletni dąb przy alei (fot. J. Popławski)



Dawny kościół parafialny (fot. B. Polakowska)



Dawna dzwonnica przykościelna (fot. B. Polakowska)



Kościół cmentarny z otaczającym murem (fot. M. Dygala)



Kościół cmentarny (fot. M. Dygala)



Zabytkowy nagrobek Maryji z Nowosielskich Wielogłowskiej (fot. P. Goliat)



Fragment starego cmentarza (fot. M. Dygala)



Typowe wnętrze chaty z początku XX wieku (fot. M Dygala)



Dzieciństwo. Jacek nad stawem w Wielgiem (J Malczewski, 1919)

dy wiejskiej wskazuje na samodzielność twórczą Karczewskiego, na umiejętność chodzenia własnymi drogami.

Dzieje małżeństwa Jakuba Musiała z urodziwą latawicą, Magdzą Nowotnikówną, obraz starcia się dwu namiętności miłosnych zwróconych w różnych kierunkach zmienia się w historię upadku poważnego i zamożnego, ale duchowo niesamodzielnego, nawykłego do babskich rządów chłopa. Młoda żona nie tylko zwodzi starego „dziada”, zadając się z coraz to nowymi wielbicielami, ale ostatecznie okrada go i porzuca, zmieniając go w ruinę fizyczną, którą od zagłady ratuje jedynie pomyślny dlań zbieg okoliczności, obecność w chałupie sił, których nie rozumiał i nie doceniał. Rozpalająca się w Musiale namiętność miłosna, jego obawy przed twardą matką i równie na pozór twardą opinią wiejską, powolne staczanie się z godności kmiecia na barłóg, do którego prowadzi go pijaństwo, przebłycki zazdrości, zmieniające się ostatecznie w pewność, odczucie ruiny własnej i wydzwignięcie się z niej, wszystko to zakończone ciężką chorobą, która mocnego chłopa zmienia w dobrotliwego dziadka niedołęgę, wszystko to stanowi całość psychologiczną jednolitą i konsekwentną, żywą i najzupełniej naturalną. Siwy dziadek nie zapomina swej nieszczęsnej miłości, nie „poprawia się”, pozostaje ruiną samego siebie, ale wierną sobie. Karczewski, wychowanek Dygasińskiego, nie sprzeniewierzył się nakazom mistrza, który od pisarza wymagał prawdziwego odtwarzania życia zbiorowego i jednostkowego. I z tą samą konsekwencją „fotografa życia”, znaną w literaturze pod nazwą naturalizmu, stworzył pełną niesamowitego uroku postać latawicy Magdzi, wiecznie głodnej wrażeń miłosnych i wiecznie żądnej uznania i podziwu. Tylko że na złagodzenie stanowiska wobec życia u naturalisty, pochłoniętego badaniem postępów ludzkich, wpłynęły dwa czynniki u zwolenników naturalizmu rzadko spotykane. Jednym z nich jest u Karczewskiego ukochanie życia i człowieka, drugim zaś pełne szacunku spojrzenie na kobietę. Ostatnie sprawiło, że Magda Musialina roztoczyła na kartach powieści cały czar swej niezwyklej, trującej urody i to, że nad jej wpływami górę biorą siły inne, skryte w piersi zarówno starej matki Jakuba, jak po jej śmierci, w Kasi, Jakubowej córce. Pierwsza staje się czymś w rodzaju ducha opiekuńczego zagrody chłopskiej, druga – nakazy babczyne wprowadza w życie. Musiała, zrujnowany przez żonę, pozbawiony majątku i zdrowia, pod opieką córki pogodnie przeżyje lata starości, dom zaś, ogołocony ze skarbu, zbieranego przez dwa pokolenia w „żeleźniaku” zakopanym w stodole, w gospodarnym ręku pokolenia trzeciego odżyje i zakwitnie dobrobytem, jak niegdyś bywało!

Autor bowiem wierzy i wiarę swą przenosi na czytelnika, że życie chłopskie jest piękne i wartościowe, twardo z ziemią zrosnięte i zdolne do zdobycia z własnej głębi sił, które stanowią o jego trwałości. Ukazani na jego kartach chłopci mają w sobie coś, co przypomina głowy Piastów średniowiecznych na pieczęciach wyryte; obyczaje i zwyczaje chłopskie, w całej pełni ukazane na zebraniach gromadnych, takich jak wesele i palenie sobótki, uderzają swą prostotą a zarazem swą niezwykłością. Ludzie środowiska chłopskiego, nie wymagając

żadnych papierowych upiększeń, pełni naturalnych ludzkich wad i zalet, są ludźmi w całej pełni. Myślą i mówią po swojemu, przeżywają swe wzloty i upadki jak przeżywa je każdy człowiek, którym kieruje i wola własna, i krzyżująca się z nią wola gromady, wśród której żyć mu wypadło.

Obfitość i dokładność szczegółów obyczajowych, podobnie jak związek „W Wielgiem” z „Drobiazgów garścią”, jak wreszcie nawrót do wspomnień z własnego życia w „Mieczku Wieliskim”, stanowią rękojmię autentyczności, prawdziwości obrazu powieściowego o życiu wsi północnomalopolskiej. Rękojmię dodatkową daje jej niezwykle język, obficie zaprawiony najrdzenniejszą, znaną doskonale autorowi gwara ludową. Wprowadzając ją do powieści, Karczewski raz jeszcze okazywał się pojętnym uczniem Dygasińskiego, pisarza, który dla zachowania i odtworzenia swoistej odrębności życia wiejskiego uciekał się do gwary, stosowanej tak bogato, iż wywołało to wojnę między nim a taką zdałoby się miłośniczką rzeczy ludowych jak Maria Konopnicka. Gwara wielicka u Karczewskiego uderza bogatym zasobem słownikowym, przypominającym niejednokrotnie słownictwo pisarzy staropolskich, mnóstwem wyrazów, które w mowie ludu dzisiaj po latach pięćdziesięciu, dzielących nas od napisania „W Wielgiem”, wyszły z użycia. Owe „ano”, „nawidzić” i „nawiść”, dosadne zwroty w rodzaju „a rypaj ino, hyclu, duchem do Jukła po flaszkę mocnej” i ogromna ilość innych, niezapisanych w „Słowniku gwar polskich” Karłowicza, potęgują swoisty urok książki i przyczyniają się do jej wewnętrznej jednolitości.

Karczewski, pisarz bardzo staranny, był właściwie urodzonym poetą i tym się tłumaczył, iż powieść swą ostatnią napisał tym, co sam nazywał „prozą rymowaną”, a co było dźwięczną prozą rytmiczną. Tworząc „W Wielgiem”, uległ duchowi poezji, którą wyczuwał w życiu przyrody i człowieka, i wycuciu temu dał wyraz w bardzo starannym opracowaniu szaty słownej swego dzieła. Nie tylko stop słownictwa ludowego i literackiego, ale i inne zabiegi pisarskie złożyły się na tę szatę. Nie tylko wyrazy odpowiednio dobierał, ale starał się o taki ich układ, który by, nie odbiegając zbyt od mowy potocznej, wyrażał jednak coś więcej, czego ona nie daje. Dowodzą tego już zdania początkowe, w których wyrazy układają się w całe, rozbudowane starannie człony składniowe. A więc: „w ten jasny, uśmiechnięty, wspaniale pogodny ranek majowy”, gdzie cztery przydawki służą uwydatnieniu opisu. Tuż dalej idą zdania, w których kolejność wyrazów potoczną zastąpiono porządkiem innym, przekładnym, oddzielającym przydawki od rzeczowników innymi wyrazami: „Na drodze, długim, płowym pasem biegnącej popod szeregiem kilkudziesięciu chałup, żywego nie spotkać ducha”. Zwykły tok mowy kazałby postawić obok siebie „drogę biegnącą” oraz „żywego ducha”. Tej staranności składniowej, widocznej na każdej stronicy, towarzyszy bogactwo wyrazistych obrazów słownych. Wśród nich na dwa przynajmniej warto zwrócić uwagę. Oto opis księżyca:

zaś od Borowca nad ścianą lasów, rogami zwrócony w górę, ni to oprawa hostii w monstrancji, sierp splotnął srebrny księżyc w wąski, w którego wnętrzu

*trzu, jako w oprawie, pokryta cieniem, część tarczy z mroków świetlisty
widniała kręgiem, jak hostia właśnie zza kłębow widna kadzideł.*

A oto wschód słońca:

*od bąkowskiej i wielickiej za nią granicy splotęło słońce, a na półtora
wzbiwszy się chłopa, już wyzłoczone, spędzając znad kniej chłodów nocnych
ostatki, w mgły i opary raz, drugi rzuciło wiatrem.*

Obydwa opisy wychodzą z dokładnie określonego stanowiska człowieka, który w Wielgiem przygląda się grze światła i cieni nocą czy rankiem, a który równocześnie całym sobą tkwi w świecie powieściowym, myśli obrazami znanymi sobie z doświadczenia codziennego. Innymi słowy nawet w opisach przyrody Karczewski, stoi na stanowisku swoich chłopskich bohaterów i właśnie to rozstrzyga o wewnętrznej jednolitości dzieła, o tym, co nazywamy stylem utworu literackiego.

Dwa przytoczone obrazy słowne nie są dla znawcy naszej wielkiej powieści czymś nieznanym, pamięta je bowiem dobrze z „Chłopów” Władysława Reymonta, w których tego pokroju pomysły występują wcale często. Jeśli do tego dodać, że ich twórca, który sztuki tworzenia takich właśnie ozdób nauczył się od Karczewskiego, pisarzowi temu zawdzięczał również inne motywy swego dzieła, a więc choćby pewne rysy Jagny, żywo przypominającej tu i ówdzie Magdzię, jeśli nadto się zważy na wspomniane poprzednio związki z Karczewskim Żeromskiego, łatwo będzie uchwycić właściwe znaczenie powieści „W Wielgiem”. Najwrażliwsi z jej czytelników, wielcy pisarze, od starszego kolegi po piórze nauczyli się wiele, co twórczo wyzyskali w swych własnych dziełach. Tym samym jednak bezwiednie wystawili świadectwo i talentowi swego poprzednika, i sposobowi, w jaki talent ten zdołał się wypowiedzieć. Tym samym też w dziejach naszej powieści w ogóle, a powieści chłopskiej w szczególności, wyznaczili niepospolite miejsce obrazowi życia chłopskiego sprzed lat pięćdziesięciu, ukazanemu przez Wacława Karczewskiego „W Wielgiem”.

Julian Krzyżanowski

WIELGIE DAWNIEJ I DZIŚ

Wielgie – wieś leżąca w województwie mazowieckim, powiecie lipskim i gminie Ciepiałów. Zlokalizowana jest przy przecięciu dróg z Iłży do Zwolenia i z Lipska do Radomia. Aby dojechać do Wielgiego z Ciepiałowa, kierujemy się na zachód i po 5 kilometrach jesteśmy w sercu wsi.

Jest to miejscowość położona w dorzeczu Iłżanki. Od zachodu otacza ją prawy dopływ Iłżanki, rzeka Kosówka, płynąca wśród malowniczych łąk i olchowych zarośli. Dolina Kosówki jest wyraźnie zaznaczona w krajobrazie okolicy. Nad Kosówką wiosną kwitną kaczeńce, niezapominajki i wiele rzadko spotykanych roślin. Dno doliny wypełniają torfowiska, na których porastają łąki z charakterystyczną roślinnością bagienną (w okresie międzywojennym torf był pozyskiwany przez miejscową ludność do ogrzewania domów).

W miejscach po wybranym torfie utworzono stawy hodowlane, w których hoduje się karpie, liny, szczupaki, okonie i inne ryby. W najczystszych wodach u źródeł Kosówki prowadzi się hodowlę pstrągów. O czystości wód Kosówki i stawów świadczy występowanie na tym obszarze raków. Stawy są nie tylko miejscem hodowli ryb, są też siedliskiem ciekawej roślinności. Można tu zobaczyć pałkę wodną, tatarak, trzcinę, podwodną moczarkę kanadyjską, rogatka i wywłócznika. Bogata jest również fauna tego obszaru. Na stawach można spotkać: łabędzie, bociany, również bociana czarnego, bąka, kaczki krzyżówki, kurki wodne, a także piżmaki, wydry a na rzece Kosówce również bobry. Ostatnio coraz częściej pojawiają się na stawach kormorany.

Wiosną można zobaczyć w parku połacie zawilców, fiołków i wiele innych wiosennych kwiatów. Na terenie parku znajdują się resztki podworskich zabudowań: ptaszarnia, budynki gospodarcze, a w niewielkiej odległości suszarnia chmielu.

Można w Wielgiem spotkać jeszcze pojedyncze chałupy wiejskie kryte strzechą, domy z tradycyjni okiennicami i zdobieniami.

Jest to wieś o wczesnośredniowiecznym rodowodzie. Już w 1414 r. Janusz – właściciel Wielgiego i Łazisk – ufundował tutaj kościół parafialny, choć niewykluczone, że fundatorami byli przedstawiciele możnego rodu Oleśnickich. Kościół ten, pod wezwaniem Bożego Ciała, został konsekrowany w 1544 r. przez biskupa Macieja Waleriana, suffragana poznańskiego, jednak w następ-

nym stuleciu uległ zniszczeniu. W 1508 r. wieś Wielgie należała do Anny Weszmuntowskiej, a w 1569 r. dziedzicem był Jan Krempsi. Uprawiano wówczas we wsi 8 pólanków i 2 role zagrodnicze, zaś 3 pólanki leżały odłogiem. W 1662 r. jeden z tutejszych dworów oraz większa część wsi zamieszkała przez 110 poddanych należała do Mikołaja Głogowskiego, od 1666 r. kasztelana radomskiego. Drugi dwór wraz z mniejszą częścią wsi (18 osób) należał do Mikołaja Stogowskiego.

Pod koniec XVII w. wybudowano w Wielgiem kościół, uposażony przez wspomnianego już kasztelana radomskiego Mikołaja Głogowskiego. Warto przy okazji wspomnieć, że Głogowski był inicjatorem powstałego wówczas przy kościele w Wielgiem bractwa religijnego Najświętszej Marii Panny Szkaplernej, erygowanego w 1668 r. w Warszawie. Pierwszym seniorem bractwa został kasztelan Głogowski, a jego pomocnikiem Jan z Oleśnicy Oleśnicki. W 1744 r. kościół parafialny poddano gruntownej restauracji, a w 1871 r. przebudowie. Wówczas świątynię podmurowano i podniesiono. Przystawiono murowaną zakrystię, wzniesiono nową wieżę, którą pokryto białą blachą, położono nową podłogę i dach. Cały kościół pomalowano, a ołtarze zostały pozłoczone. Zewnętrzną stronę świątyni obito deskami. W roku 1782 w skład parafii wchodziły następujące wioski: Wielgie, Kietlice, Ostrownica, Hotycze, Borowice, Kosów, Czerwona, Łaziska, Bąkowa. Wówczas liczba parafian wynosiła 728 osób.

W 1882 r. wstawiono do środka kościoła dwa nowe filary. Świątynia miała 37 łokci długości, 18 szerokości, 14 wysokości. Od północnej strony znajdowała się zakrystia, od południowej kruchta, w której umieszczono ołtarzyk Matki Boskiej. Jej frontową część zdobiła figura Najświętszej Marii Panny i dwa wazy. Po prawej stronie nawy stał ołtarz św. Józefa, a na zasłonie – św. Izydora. Po lewej stronie stał ołtarz Matki Boskiej z Dzieciątkiem, na zasłonie – Niepokalanego Poczęcia. Kolejny ołtarz ozdobiony był obrazem Matki Boskiej Szkaplernej, na zasłonie św. Rocha.

W kościele stały następujące stare ołtarze. Pierwszym był ołtarz wielki Bożego Ciała, drugi, Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, umieszczony był po lewej stronie od północy, trzeci, św. Anny, umieszczony był po prawej stronie, czwarty ołtarz, św. Rocha, wystawił go parafianin z Tczowa Wojciech z Wielkiego Kroczoza Kroczewski. Piąty, stał między chórem a ołtarzem Matki Boskiej w nawie. Wystawiony został przez ks. Piastowicza. Do dziś zachowały się w kościele parafialnym osiemnastowieczne ołtarze i obrazy, a na dzwonnicy wiszą dzwony odlane w Gdańsku w XVII i XVIII w. Drewniana dzwonnica mieści trzy dzwony: duży z 1757 r., średni z 1723 r., najmniejszy z 1618 r.

Być może także w XVII w. wybudowano drugi kościół na cmentarzu parafialnym, choć niektórzy historycy sądzą, iż pochodzi on z XVI w. Został on zbudowany z czerwonej cegły (około 80% murów zbudowanych jest z grubej cegły, tzw. palcówki, 20% przy dachu to cegła cienka). Okna świątyni znajdują się wysoko, prawie pod samym dachem. Dwa z nich umieszczone są w prezbiterium, kolejne dwa w nawie.

Powstanie kościoła wyjaśnia podanie, które głosi, że dziedzic Wielgiego pokłócił się z dziedzicem Kietlic i zakazał mu przyjazdów do modrzewiowego kościoła. Dlatego tamten wybudował sobie własną świątynię.

Z wizytacji przeprowadzonej przez Jana Szaniawskiego 18 grudnia 1721 r. wynika, że postawili go Mikołaj Oleśnicki i Jan Zawisza, co wskazywałoby na XVI w. jako okres budowy. Kolejny wizytator Kazimierz Dziewulski, który odwiedził kościół w 1748 r. pisał, że Marcin Aleksander Nowodworski zapisał na konserwację kaplicy 600 zł. Dnia 7 maja 1705 r. bp Konstanty Feliks Szaniawski konsekrował ołtarzyk przenośny, zastępujący ołtarz stały. Istniało również zezwolenie biskupów na odprawianie mszy św. w kościółku. Z aktu wizyty odbytej w 1782 r. przez ks. Kozickiego wynika, że istniał wówczas zakaz odprawiania nabożeństw w świątyni, a powodem było jej zaniedbanie. Taki stan trwał przez 90 lat.

Do 1820 r. przy kościele św. Wojciecha chowano zmarłych, dlatego od tego czasu cmentarz przeniesiono na jego grunt. W roku 1866 kościół wyremontowano dzięki ks. Wosińskiemu i na początku XIX w. był on bogato zdobiony. W środku znajdowały się ołtarze i obrazy. Po prawej stronie świątyni stał ołtarz św. Walentego, po lewej św. Antoniego. Od strony południowej znajdowała się kaplica Matki Boskiej Różańcowej. Pod chórem było atrium o dwóch niszach, wychodziło się przez nie do kruchty, a z niej na cmentarz. Dziś można w nim zobaczyć stary ołtarz – rzeźbiony w drewnie lipowym i dwa olejne obrazy oraz figurki świętych. Kościółek otwierany jest raz w roku w czasie święta Bożego Ciała. Wokół znajdują się zabytkowe pomniki z końca XIX wieku. Pochowany jest tu Kazimierz Karczewski, znajduje się tu również pomnik Marianny z Nowosilskich Wielogłowskiej, zmarłej w 1841 r. Do parafii Wielgie należały wówczas wsie: Kietlice, Łaziska, Ostrownica, Bąkowa, Chotyze i Czerwona.

W czasie swojego ostatniego pobytu w Wielgiem syn ostatniego dziedzica – Jerzy Karczewski, wskazał miejsce pochówku matki Malczewskiego na cmentarzu przy kościele św. Wojciecha. Na cmentarzu grzebalnym możemy zobaczyć również nagrobek pułkownika wojsk napoleońskich z I poł. XIX wieku, legionisty z lat 1819–1821, posłów naszej ziemi z XIX i XX wieku oraz wiele ciekawych architektonicznie nagrobków rodów szlacheckich.

W 1789 r. wieś Wielgie należała do Giebułtowskich, liczyła 104 mieszkańców, w tym 4 Żydów. Plebanem miejscowej parafii był wówczas ksiądz Jan Fahl. W 1827 r. wieś, będąca własnością prywatną położoną w powiecie soleckim, liczyła 45 domów zamieszkiwanych przez 331 osób; notowano tutaj wówczas młyn wodny. W 1888 r. wieś liczyła 54 domy i 350 mieszkańców. W 1895 r. już 66 domów i 534 mieszkańców. Ze wsią związana była ściśle wieś Wielgie Poduchowne, będąca własnością włościańską. W 1888 r. było tutaj 7 domów zamieszkiwanych przez 46 osób, a powierzchnia wsi obejmowała 84 morgi gruntu.

Dobra ziemiańskie Wielgie istniały prawdopodobnie do drugiej połowy XIX w., obejmując folwark Wielgie oraz wsie: Wielgie, Nowydwór, Mucha

i Marianki. W 1888 r. z dóbr pozostał sam folwark, obejmujący 1083 morgi gruntu, w tym 369 gruntów ornych i ogrodów, a należący do Karczewskich. Istniało tutaj w tym okresie 6 budynków murowanych i 12 drewnianych, a na gruntach stosowany był płodozmian jedenastopolowy.

Rodzina Karczewskich osiedliła się tu około 1791 roku. Miejscowość pozostawała w ich rękach ponad 300 lat. Karczewscy pieczętowali się herbem Jasińczyk (klucz na błękitnym polu z pięciopątkową koroną), zamieszkiwali we dworze, który miał kształt litery L. Był murowany i pomalowany na biało. Dach budynku był gontowy, a wejście znajdowało się od południa. Dwór składał się z salonu, dwóch pokoi, gabinetu właścicieli, sypialni, pokoju dzieciennego, małego ganeczku, kuchni i korytarza.

Jeden z właścicieli Feliks Karczewski przygotowywał do szkoły swoich synów: Kazimierza, Wacława i Bronisława. Zaproponował on swojej krewnej Marii z Korwin-Szymanowskich Malczewskiej, aby dołączył do nich jej syn – Jacek Malczewski, który do Wielgiego przybył w 1867 roku. 13-letni wówczas chłopiec wykazywał duże zdolności do nauki, przyrody i rysunku. Do 1869 r. chłopcy uczyli się pod opieką prof. Stawińskiego. Następnie ich nauczycielem został Adolf Dygasiński – powieściopisarz, nowelista, publicysta. Zyskał sobie przychylność swoich uczniów, a dla Malczewskiego stał się przyjacielem. Ich wzajemną sympatię podkreśla umiłowanie wsi i przyrody, którą tchnie twórczość obu artystów.

Czteroletni pobyt Malczewskiego w Wielgiem miał duże znaczenie dla polskiego malarstwa. Po wyjeździe do Krakowa artysta nie stracił kontaktu z Wielgiem, odwiedzał miejscowość w czasie wakacji. Krajobraz okolic Wielgiego wprawiał go w zachwyt, co wyrażał w listach do siostry i obrazach. Jego szczególnie ulubionym miejscem w wiosce był staw, który stał się tematem obrazu „Jacek nad stawem w Wielgiem”, należącego do cyklu „Moje życie”. Niski biały dwór, kościół, pola, wiejskie domostwa, przyroda to sceneria symbolicznych obrazów z cyklu „Tanatos”.

Dwaj synowie Feliksa Karczewskiego: Bronisław i Kazimierz pozostali w majątku, natomiast Wacław zajął się pisarstwem. Utworem, w którym rozśławia rodzinną miejscowość, jest powieść „W Wielgiem”. Opublikował ją w 1898 r. pod pseudonimem Marian Jasińczyk, drugi raz ukazała się w 1948 roku.

Ród Karczewskich był ostatnią rodziną szlachecką Wielgiego. Obecnie istnieją jeszcze obiekty z czasów ich bytności we wsi, należą do nich obiekty gospodarskie: ptaszarnia-kurnik, suszarnia chmielu, stawy rybne i park, gdzie znajduje się aleja kasztanowa i 600-letni dąb szypułkowy. Drzewo ma 630 cm w obwodzie, liczy 27 m wysokości.

W latach 1918–1939 w Wielgiem wszystkie budynki były drewniane. Jedyne w kilku domach były podłogi. W pozostałych znajdowały się gliniane klepiska. We wsi funkcjonował sąd, któremu przewodniczył dziedzic majątku w Ła-

ziskach Kazimierz Boski. Znajdował się tu również sklep należący do Michała Kliszewskiego.

W roku 1925 założona została Kasa Stefczyka, rok później powstało Kółko Rolnicze oraz uruchomiono spółdzielnię mleczarską. Częste pożary przyczyniły się do powołania straży pożarnej. Mieszkańcy zbudowali szopę strażacką, w której znajdowały się narzędzia strażackie, m.in. ręczna sikawka.

W roku 1928 przeprowadzono meliorację gruntów i zorganizowano kurs dla analfabetów, który trwał 5 miesięcy. Kolejne przedsięwzięcie mieszkańców zostało uwieńczone sukcesem w 1929 r., zorganizowano wtedy Spółdzielnię Spożywców. W roku 1931 powstał Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici”, działający m.in. w Wielgim. Wspierał wszelkie działania na rzecz oświaty i kultury. W wiosce organizowane były szkolenia, które miały podnosić kwalifikacje, uczyć zawodu. Józefa Czapla Giemza z bratem oraz bracia Wójtowiczowie utworzyli usługowy punkt krawiecki. W roku 1935 po komasacji gruntów wioskę rozbudowano w czworobok o długości boków 8 km.

Dnia 8 września 1939 r. do Wielgiego wkroczyli Niemcy. W czasie okupacji miejscowa ludność przeżywała wiele tragedii. Jedną z nich miała miejsce 18 marca 1942 r. Wówczas zabrano ze wsi nauczyciela Józefa Pyrgła, braci Jana i Władysława Wójtowiczów. Na terenie wsi działała placówka BCh. Dowódcą był Marian Niedziela ps. „Kobek”. Skrzynka kontaktowa znajdowała się w Spółdzielni „Jutrzenka”, którą prowadził Władysław Giemza ps. „Zadrożny”. Do oddziału należeli m.in. Waław Wawrzak ps. „Korzeń”, Stefan Nowotnik ps. „Iskra”, Waław Gołębiowski. W roku 1941 powstał oddział konspiracyjny BCh. W Wielgim organizowano kwatery stałe. Użytkowali ich m.in.: Józef Rogoziński „Napierski”, Piotr Koniusz „Bagnet”, Józef Szarpak „Wawel”, Franciszek Wawrzak, Józef Maj. W czasie działań wojennych żołnierze z BCh znajdowali schronienie w obiektach parafialnych. Pomoc okazywali: kościelny Ludwik Niedziela ps. „Furta”, Franciszek Niedziela ps. „Murek”, proboszcz ks. Franciszek Sendys, organista Antoni Pomorski ps. „Włodarz”, Maria, Teofil, Waław ps. „Korzeń” Wawrzakowie, Józef i Stefan Nowotnikowie.

W 1943 r. gromada Wielgie, należąca do gminy Kazanów w powiecie starachowickim i dystrykcie radomskim, liczyła 755 osób.

W styczniu 1945 r. nastąpił odwrót wojsk niemieckich, a do wsi przybyły pierwsze oddziały Armii Radzieckiej.

Po wojnie majątek rodziny Karczewskich przekształcono w Państwowe Gospodarstwo Rybne. Przedsiębiorstwo wspomagało miejscową szkołę, w 1975 r. zakupiło dla niej stół tenisowy z wyposażeniem. Rozpoczęła się batalia między mieszkańcami Wielgiego i Łazisk o siedzibę Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska, która pozostała w wiosce. Z inicjatywy Władysława Giemzy wybudowano budynek na jej potrzeby. Mieściły się w nim: sklep spożywczy, tekstylny, biuro, punkt kasowy Spółdzielni Oszczędnościowo-Pożyczkowej i świetlica.

W latach 1956–1967 istniała tu Gromadzka Rada Narodowa. W roku 1960 ponownie zorganizowano Kółko Rolnicze. W jego funkcjonowaniu duże zasługi

mieli Bolesław Szota i Marian Wójtowicz. Po jego rozwiązaniu w pomieszczeniach biura została zlokalizowana filia Gminnej Biblioteki Publicznej, a na placu zbudowano Wiejski Dom Kultury, w której mieści się OSP, świetlica wiejska i przedszkole.

W 1991 r. Muzeum Wsi Radomskiej zakupiło drewnianą dzwonnice z Wielgiego. W roku 1993 została rozebrana zabytkowa świątynia. Obecnie na jej miejscu stoi murowany kościół parafialny pod wezwaniem Bożego Ciała, który budowano w latach 1990–1993. Jego wnętrze zdobią trzy zabytkowe ołtarze, które są pozostałością po drewnianej świątyni. W chwili obecnej parafia liczy 1956 mieszkańców.

Dzisiaj Wielgie jest wsią, w której żyje 677 mieszkańców. Zajmują się oni przeważnie rolnictwem. Sołtysem wioski jest Maria Koptas. Większość gospodarstw jest średniej wielkości, 5–7 hetarowe. Przez wioskę prowadzi asfaltowa droga, łącząca ją z Łaziskami, Bąkową, Kazanowem, Radomiem, Ciepiewem, Lipskiem.

Znajdują się tu dwa stawy, którymi niegdyś zarządzała rodzina Karczewskich, w czasie okupacji Niemcy, po wojnie przeszły na własność państwa. Taki stan trwa do dziś. Powierzchnia stawów liczy 50 ha lustra wody. Hodowane są w nich karpie, pstrągi, okonie, liny. W utrzymaniu stawów dużą rolę odgrywa rzeka Kosówka – prawy dopływ Iłżanki, która ma 9 km długości.

W Wielgiem działa miejscowa placówka Ochotniczej Straży Pożarnej. Obecny skład Zarządu jest następujący: Zygmunt Nachyła – prezes, Jacek Koptas – naczelnik, Przemysław Kobylański – wiceprezes, Tomasz Lenart – zastępca naczelnika, Krzysztof Siwiec – skarbnik, Marek Bajor – gospodarz.

Działa tu także filia biblioteczna. Placówka zatrudnia 1 osobę – Marię Kosior. Funkcjonuje również przedszkole, które jest filią ciepiewskiej placówki pod wspólnym nadzorem pani dyrektor Danuty Hyc. Oprócz tych instytucji w wiosce znajdują się dwa sklepy, bar, kiosk i piętrowa szkoła, która ma bogatą historię.

Pierwszą nauczycielką w szkole w Wielgiem była Stefania Czubówna. Pracę rozpoczęła w 1917 r. i pracowała do końca czerwca 1921 r. Od listopada tego samego roku nauczycielem i kierownikiem szkoły został Bolesław Szota. Szkoła wówczas mieściła się w wynajętym lokalu u gospodarza Jakuba Wójtowicza, uczęszczało do niej 120 dzieci.

W okresie międzywojennym mieszkańcy postanowili własnymi środkami wybudować szkołę. Budowę przerwał pożar wiosną 1922 roku. Wówczas wynajęto salę lekcyjną u Jana Kosiora. Uczniowie uczęszczali do szkoły przez cały rok. Lekcje odbywały się od godziny ósmej.

W roku szkolnym 1923/24 szkoła została przekształcona z jednoklasowej na dwuklasową. Pracę rozpoczął drugi nauczyciel Jan Ledkiewicz. Zapisano 130 dzieci, które zostały podzielone na cztery oddziały.

W roku szkolnym 1925/26 został podniesiony stopień organizacyjny szkoły z dwuklasowej na trzyklasową przez włączenie klasy I w Łaziskach do obwodu

szkolnego w Wielgiem. Zorganizowano klasę V. Nauka odbywała się w trzech budynkach. Z pracy odszedł Jan Ledkiewicz. Na jego miejsce przeniesiono wykwalifikowaną nauczycielkę Stanisławę Rothkachl. Przyjęto także Eleonorę Godek. Rok później Szkołę wyposażono w pomoce naukowe do fizyki i robót ręcznych, powiększono także zbiór książek w bibliotece szkolnej. Budynek szkolny został ogrodzony oraz urządzono ogródek kwiatowy.

W roku szkolnym 1927/28 zwiększyła się liczba klas do sześciu. Szkołę opuściła Eleonora Godek, a na jej miejsce została przydzielona Bronisława Jurk. Organizacja roku szkolnego 1928/29 nie uległa zmianie. Do szkoły chodziło wówczas 220 uczniów. Do pracy została przydzielona Janina Sękulska. W szkole działały następujące organizacje: Szkolna Kasa Oszczędności, Spółdzielnia Uczniowska i Towarzystwo Budowy Szkół. Szkoła otrzymała pomoce naukowe do biologii i narzędzia do robót ręcznych. Obok budynku szkolnego zorganizowane zostało boisko.

Duże zmiany przyniósł rok szkolny 1931/32. Do pracy przybył na miejsce Jana Batogi, nauczyciel Stanisław Piasek, następnie zatrudniono Stefana Bernata, Bronisława Mazura, Antoniego Jelonka. Placówkę zaopatrzone w pomoce do nauczania fizyki.

W roku szkolnym 1933/34 przeprowadzono zmiany w strukturze organizacyjnej. Placówka w Wielgiem była szkołą drugiego stopnia, realizującą program w zakresie siedmiu klas szkoły powszechnej. Liczba uczniów wynosiła 240 osób. Przeprowadzone wizytacje oceniły pracę i nauczanie bardzo dobrze.

W 1936 roku powstał Komitet Budowy Szkoły, mieszkańcy sami opodatkowali się po 10 zł od morgi z określonym terminem wpłaty na budowę placówki. Niestety plany inwestycyjne nie powiodły się ze względu na wybuch wojny.

W czasie wojny nauka odbywała się bez podręczników. Program opierał się na pisemku „Ster”. Zorganizowano tajne komplety, które prowadziła Stanisława Szota.

Po wojnie, w roku szkolnym 1945/46 pracowało w Wielgiem czworo nauczycieli: kierownik Bolesław Szota, Stanisław Szota, Marian Wójtowicz, Józef Sakławski. Klasy były bardzo liczne. Z czasem liczba uczniów malała. W 1949 roku wynosiła 180 dzieci. Warunki do nauki były bardzo ciężkie. Na kilku uczniów przypadał jeden podręcznik. Lekcje prowadzono w wynajętych izbach.

W roku szkolnym 1949/50 posadę nauczyciela przyjął Władysław Owczarek „Bula”. Kiedy odszedł do szkoły w Łaziskach na jego miejsce przyjęto Wieńczysława Jaśkowskiego, który w 1952 r. również przeniósł się do Łazisk. Wówczas zatrudniono Danutę Panek.

Kolejne lata przynosiły zmiany w kadrze. Radykalnie zmieniło się ono w roku 1954/55, kiedy to z pracy odeszła Danuta Panek oraz Maria Socha. Do pracy przyjęto Jana Mirowskiego i Jana Siepietowskiego. Warunki lokalowe nie sprzyjały nauce i przekazywaniu wiedzy przez nauczycieli. Odczuwano potrzebę budowy nowego budynku szkoły. Problem ten uaktywniała organizacja ZSL.

Wielokrotny przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego Władysław Giemza zajął się sprawą budowy.

Wiosną 1959 r. przystąpiono do budowy nowej szkoły przez Przedsiębiorstwo Budowlane w Radomiu, którego dyrektorem był Jan Sońta „Ośka”. Mieszkańcy Wielkiego chętnie pomagali materialnie i społecznie przy budowie.

W 1960 r. odeszła na urlop macierzyński Helena Giemza. W tym czasie zastępowała ją Alicja Kapturkiewicz. Etat otrzymała również Wiesława Jaroszek. Wówczas do szkoły uczęszczało 182 uczniów. W roku szkolnym 1961/62 skład grona pedagogicznego wyglądał następująco: Bolesław Szota – kierownik, Stanisława Szota, Helena Giemza, Jan Mirowski, Teodora Misiura.

W kolejnym roku szkolnym odbyło się uroczyste otwarcie szkoły. Nastąpiło to 7 października 1962 roku. Wiele szkół zebrało symboliczną złotówkę na ufundowanie i wmurowanie tablicy pamiątkowej o Adolfie Dygasińskim, patronie szkoły.

Wokół szkoły utworzono zieleńce, rabatki kwiatowe, a także wyrównano plac szkolny. W roku szkolnym 1963/64 odeszła ze szkoły Teodora Misiura. Na jej miejsce przyjęto Marię Mirowską. Dla trzech rodzin nauczycielskich oddano dom nauczyciela, w którym zamieszkali: Marian Wójtowicz z rodziną, Maria i Jan Mirowscy, Maria i Marian Figurowie. Staraniem Komitetu Rodzicielskiego, kierownika szkoły i ZSL szkoła została zelektryfikowana.

W związku z reformą szkolnictwa wprowadzono w roku szkolnym 1966/67 klasę VIII. Do pracy przyjęto Mariana Figurę. Z powodu choroby na urlop odeszła Helena Giemza, którą zastąpił Henryk Ogonowski. W następnym roku przyjęto Teresę Główkę. Kierownictwo zakupiło telewizor. W 1968 r. przyjęta została Teresa Osojca. Wówczas zmarł długoletni kierownik szkoły Bolesław Szota. Na jego miejsce powołano Jana Mirowskiego.

W czasie kolejnych lat zachodziły zmiany wśród nauczycieli. W roku szkolnym 1969/70 szkołę opuścili Maria i Marian Figurowie. Wolne miejsca zajęli: Irena Kolenda i Lucjan Kaczorowski, Alina Chwieszczenik, Maria Gór-ska.

W czasie istnienia placówki przeprowadzano inwestycje w szkole. Na uwagę zasługuje rok szkolny 1971/72, kiedy w budynku zainstalowano urządzenia wodno-kanalizacyjne. Wówczas przestały pracować Elżbieta Gilewska i Teresa Osojca. Na ich miejsce przyjęto Zofię i Tadeusza Kaniów i Halinę Prędyś. Rok później w miejsce nazwy – kierownik szkoły wprowadzono nową – dyrektor. Przyjęty został do pracy Józef Skupień. W roku 1973/74 przyjęto Witolda Bajora. W następnych latach przydzielono do pracy Annę Płazę, Henrykę Małaczek, Jadwigę Gołąbek-Groch.

Kiedy w r. 1977/78 przeprowadzono reorganizację do szkoły, w Wielkiem zaczęły uczęszczać klasy VII i VIII z Łazisk. Rok później rozpoczęto zakładanie parkietu w całym budynku szkolnym. Następnie trwały prace remontowe w zakresie instalacji elektrycznej, zostały zainstalowane lampy jarzeniowe. Na terenie szkoły aktywną działalność prowadziła drużyna harcerska, której opie-

kunem był Kazimierz Niedziela. Odbywały się spotkania z byłym więźniem Majdanka dr Zacheuszem Pawlakiem. W roku szkolnym 1985/86 uczniowie brali udział w „spotkaniach z Malczewskim”, zorganizowanych przez Muzeum Okręgowe w Radomiu.

W roku szkolnym 1988 odszedł na emeryturę Jan Mirowski. Szkołą w Wielgim zawsze kierowały osoby, które dążyły do osiągnięcia jak najlepszych wyników. Jednym z dyrektorów, który zasłużył się dla szkoły, był Kazimierz Niedziela. Obecnie nadal działa aktywnie na rzecz miejscowej placówki oświatowej, prowadząc społecznie drużynę harcerską. Przyjęto nowych nauczycieli: Iwonę Giemzę i Roberta Grzeszczaka.

W roku szkolnym 1990/91 do grona dołączyła Bożena Kosior – katechetka. W następnym roku przyjęto Dorotę Szymańską, Celinę Wójcicką i Urszulę Drapałę. Do szkoły podstawowej w Bąkowej odeszła Jolanta Giemza, a do LO w Zwoleniu Elżbieta Mirowska.

Kolejny zasłużony dyrektor to Halina Gołąbek. Dzięki niej cała szkoła w roku szkolnym 1999/2000 została odrestaurowana. Dzieci mogą korzystać z biblioteki i sali gimnastycznej. Zapoczątkowała demokratyczne wybory do samorządu szkolnego. Uczniowie organizują prawdziwą kampanię wyborczą, zbierają podpisy, a głosowanie jest tajne.

Od roku szkolnego 2000/2001 dyrektorem szkoły jest Dorota Korczak. Obecny skład rady pedagogicznej jest następujący: Urszula Drapała, Iwona Giemza, Robert Grzeszczak, Bożena Kosior, Teresa Michalec, Alina Niedziela, Grażyna Suwisz, Stanisław Wajs, Celina Wójcicka. W szkole aktualnie kształcą się 95 uczniów w 6 oddziałach.

Do szkoły należy zespół boisk sportowych o powierzchni 2,26 ha. Boisko do piłki nożnej i gier zespołowych (tenis, piłka siatkowa i koszykowa) są w trakcie modernizacji, po zakończeniu której na pewno staną się wielką atrakcją okolicznej młodzieży.

Szkoła organizowała i nadal organizuje wycieczki krajoznawcze, m.in. do Czarnolasu, Kazimierza Dolnego, Puław, Warszawy, Zakopanego. Dużym osiągnięciem był udział uczniów w 1996 r. w biegu przełajowym o puchar dyrektora Elektrowni „Kozienice” w Kozienicach. Na 973 uczestników dzieci z Wielkiego zajęły drużynowo III miejsce.

Dzieci uczestniczą również w różnych konkursach, np. w Powiatowym Konkursie Recytatorskim, na którym wyróżnienie otrzymał Łukasz Kosior. W czołówce zwycięzców znaleźli się uczniowie w konkursie zorganizowanym przez Urząd Gminy „Święta Bożego Narodzenia bez alkoholu”. Były to następujące osoby: Martyna Suwała, Kinga Owczarek, Aleksandra Wójtowicz, Patryk Suwisz, Damian Jaśkiewicz, Karolina Koptas, Katarzyna Rogozińska. W konkursie Czterech Gmin położonych nad Iłżanką wyróżniono Justynę Wójcicką i Edytę Góraj.

Nauczyciele organizują spotkania z ludźmi, którzy mają zasługi dla całej gminy. W maju 2001 r. Teresa Michalec zorganizowała spotkanie z ppłk. Wła-

dysławem Owczarkiem ps. „Bula”. Gość opowiadał o latach wojennych i walkach. W ten sposób uczniowie mogli bezpośrednio usłyszeć o czasach okupacji.

Szkoła nadal ma wiele potrzeb. Należy przeprowadzić modernizację boiska, wyposażyć szkołę w komputery. Brak pieniędzy nie wpływa jednak negatywnie na atmosferę, jaka panuje wśród uczniów i nauczycieli i na ich współpracę.

Kolejno dyrektorami szkoły w Wielgiem byli: **Bolesław Szota, Elżbieta Giemza, Kazimierz Niedziela, Jan Mirowski, Dorota Korczak i Halina Gołąbek.**

Dariusz Kupisz, Aldona Jaskulska, Elżbieta Giemza

W opracowaniu wykorzystano materiały z publikacji *Ciepielów – dawniej i dziś* pod red. Heleny Kowalskiej-Kutery i Henryka Bednarczyka, Sycyna 2001.

MAŁE OJCZYZNY – BIBLIOTEKA SYCYŃSKA

*Każdy jest niewolnikiem swej ojczyzny.
Ziemie kocha się po synowsku.*

Adolf Dygasiński

Tę myśl *pisarza chłopskiego i zwierzęcego* można odnieść do twórczości jego wychowanka Wacława Karczewskiego, piszącego pod pseudonimem Marian Jasińczyk. Los zetknął ich w majątku Wielgie (gmina Ciepiałów), gdzie Dygasiński był nauczycielem domowym „u światłej szlachty”. Uczył trzech Karczewskich i Jacka Malczewskiego. Założył dla nich ptaszarnię, by stała się źródłem przyrodniczych obserwacji. Uwrażliwiał podopiecznych na piękno otoczenia. Potrafił także zainteresować chłopców przeszłością. Odbywali wspólnie kilkukilometrowe wycieczki do Jawora Soleckiego na miejsce bitwy, w której 6 listopada 1863 r. poległ Dionizy Czachowski, przywódca powstańców.

Poczynania pedagogiczne zaowocowały. Jacek uwiecznił postać nauczyciela na ilustracjach do *Godów życia*.

Wacław, zaprawiony w młodości do wprawek stylistycznych, poświęcił swojej rodzinnej wsi książkę *W Wielgiem*. Pisał ją od marca 1895 r. do sierpnia 1896 r., kiedy to przeniósł się z Warszawy do Szwajcarii.

Od drugiego wydania książki (1948 r.) minęło ponad pół wieku. Zmieniły się realia życia społeczno-gospodarczego.

Opracowywanie Juliana Krzyżanowskiego zawarte w posłowniu mogłoby skłonić studentów do poszukiwania materiałów o innych utworach autora (np. *Drobiazgów garść*, *Mieczek Wieliski*). Warto też pamiętać, że dramat Karczewskiego *Lena* zdobył wyróżnienie w konkursie im. Bogusławskiego. Sztuka była wystawiana na scenach stolicy i w Radomiu, a główną rolę grała popularna wówczas Maria Wisnowska (jej życie zakończyło się tragicznie).

Misją naszego wiejskiego Stowarzyszenia Oświatowego SYCYNA jest integracja, samoorganizacja i aktywizacja lokalnych społeczności poprzez anima-

cję oświatową i kulturalną w celu wyrównywania szans społecznych i edukacyjnych młodzieży i dorosłych. Stowarzyszenie prowadzi edukację informatyczną, seminaria doktoranckie dla nauczycieli, projekt eSycyna – komputer w każdej wsi. Są ustanowione stypendia oświatowe, organizowane konferencje naukowe (w 2002 r. pod patronatem senatu RP „Idee humanistyczne Renesansu w integracji europejskiej”), wydawana jest gazeta i liczne książki.

Książkę przygotowaliśmy w ramach Biblioteki Sycyńskiej przypominającej i sławiącej małe ojczyzny, których gorącym orędownikiem był nasz sławny poeta Jan Kochanowski. Szczególnie bliskie są nam stwierdzenia Jana Kochanowskiego: *Naprzód mądrość, która czego szukać, a czego się chronić, uczy*, a także idee humanizmu zawarte w nowych wtedy koncepcjach kultury, społeczeństwa i człowieka. Dzisiejsze nawoływania do humanizmu, rozwoju osobowości każdego człowieka powoduje w całym świecie zainteresowanie twórczością Renesansu, ale i własną historią, poszukiwaniem własnej tożsamości. Regionalizm, małe ojczyzny, ich rozwój, ale szczególnie poznanie i zachowanie zabytków, śladów własnej historii stały się silnym nurtem społecznym. Powstaje coraz więcej lokalnych stowarzyszeń i mnóstwo inicjatyw.

Życie w cieniu legend Jana Kochanowskiego, Wacława Karczewskiego, Adolfa Dygasińskiego toczy się tak samo, jak gdzie indziej. Ale legenda, sława może być impulsem do pozytywnego i zespołowego działania. Zacytuję Jana Kochanowskiego:

*Inszy niechaj pałace murowane mają
I szczerym złotogłowiem ściany obijają,
Ja, Panie, niechaj mieszkam w tym gniaździe ojczystym,
A Ty mię zdrowiem opatrz i sumieniem czystym,
Pożywieniem ućciwym, ludzką życzliwością,
Obyczajmi znośnymi, nieprzykrą starością.*

W serii monograficznej Biblioteka Sycyńska ukazały się: *Sycyna – wiek XX* pod red. Henryka Bednarczyka, *Wybór poezji Jana Kochanowskiego*, *Wybór poezji Marii Konopnickiej*, *Ciepielów – dawniej i dziś* pod red. Henryka Bednarczyka i Heleny Kowalskiej-Kutery, *Proteus – świat Jana z Czarnolasu* Janusza Pulnara i wybór nowel *Co się dzieje w gniazdach?* Adolfa Dygasińskiego.

Są przygotowane kolejne monografie *Solca*, *Itży*, *Szydłowca*, *Powiatu zwoleńskiego*. Zespół pod kierunkiem dr. Czesława Barańskiego przygotowuje monografię *Powiatu lipskiego*.

Tak więc przypomnieniu sławnych twórców towarzyszy staranie o ukazanie dnia dzisiejszego. Dlatego powieść Wacława Karczewskiego *W Wielgiem* uzupełniliśmy postłowie: *Wielgie dawniej i dziś*. Mamy nadzieję, że renesans naszego powrotu do korzeni, przypomnienie dawnej sławy będzie przyczynkiem dla większej aktywności lokalnej. Odkryjmy na nowo Wielgie, Sycynę, nasze małe ojczyzny.

*Henryk Bednarczyk
Helena Barańska*

SPIS TREŚCI

Część pierwsza 3

Rozdział I 7

Rozdział II 14

Rozdział III 23

Rozdział IV 39

Część druga 56

Rozdział V 56

Rozdział VI 62

Rozdział VII 67

Rozdział VIII 75

Rozdział IX 81

Rozdział X 88

Rozdział XI 94

Rozdział XII 101

Rozdział XIII 108

Rozdział XIV 115

Rozdział XV 120

Rozdział XVI 128

Rozdział XVII 135

Rozdział XVIII 141

Rozdział XIX 149

Część trzecia 155

Rozdział XX 155

Rozdział XXI 161

Rozdział XXII 168

Rozdział XXIII 174

Rozdział XXIV 184

Rozdział XXV 190

Rozdział XXVI 196

Część czwarta 206

Postówie 213

Wacław Karczewski i jego dzieło – Julian Krzyżanowski 214

Wielgie dawniej i dziś – Dariusz Kupisz, Aldona Jaskulska,

Elżbieta Giemza 220

Małe ojczyzny – Biblioteka Sycyńska – Henryk Bednarczyk,

Helena Barańska 230



ISBN 83-914918-1-1